

ROSALIND  
MILES

*Legat  
nienawiści*

## Rozdział pierwszy

Za oknem, jak każdego ranka, wzywał ją jasny świat. Wysoko na niebie palące słońce obiecywało następny doskonały dzień. Jak to się często ostatnio zdarzało, do głowy przyszła jej znowu ta sama myśl: Dłużej już tego nie zniosę.

Uśmiechnęła się z goryczą. Ile kobiet czułoby się nieszczęśliwie w tak idealnym otoczeniu? I jak wiele kobiet na całym świecie mówiło sobie: Dłużej już tego nie zniosę i nadal żyło tak samo, dzień po dniu?

Stary dom zdawał się obserwować i słuchać, jakby czekał, aż coś się zdarzy. Długim chłodnym korytarzem przeszła na wielką, rozległą werandę. Przed nią ciągnął się busz, mordercze mile, jedna po drugiej, do samego tajemniczego rdzenia Australii, martwego, czerwonego serca, pogrzebanego tam przed wieloma wiekami. Pod oślepiającym słońcem, od ponad pół miliona lat wypalającym ten zagadkowy kontynent, rozciągał się kraj tajemniczy i posepny, potężny i zadumany, ukrywający wszystko, co powinni wiedzieć jego pokorni mieszkańcy, by móc po prostu przetrwać.

Zupełnie, jak Phillip - pomyślała. On też ukrywa w sobie wszystko, czego potrzebuję do życia.

Daleko, na dobrze utrzymanej szosie, za przybudówkami i zabudowaniami gospodarczymi, coś się nieznacznie poruszyło. W plamistym cieniu kępy srebrzystych drzew eukaliptusowych zaczęli się budzić aborygeni. Wstawali i szli przed siebie, z oczyma utkwionymi w horyzont.

Jakim cudem zawsze wyczuwali, kiedy mężczyźni mieli wrócić ze spędu? Źródłem ich całej wiedzy były duchy, które ostrzegały, że coś ma się zdarzyć, przekazywały szeptem swą wiedzę tym, którzy byli na tyle mądrzy, by to usłyszeć. Zawsze z góry wiedzieli, jak przebiegł spęd, nawet to, kto z niego powróci. Coś ścisnęło jej serce, ta sama znajoma mieszanina niepokoju i smutku. Bo jak miliony innych kobiet w historii świata, Helen nie

wiedziała ani co pocznie, jeśli mąż i tym razem wróci, ani co zrobi, jeśli okaże się, że zginął.

- Pani Koenig?

Nie słyszała cichych kroków osoby, która wyszła właśnie z salonu. To była Rose, gospodyni, drobna, żylasta kobieta, urodzona na farmie i kierująca domem Koenigów od niepamiętnych czasów. Nikt nie znał jej prawdziwego imienia. Phillip zatarł jej aborygeńską tożsamość, nadając jej imię „Rose”. Zabrał ją z plemienia jako młodą dziewczynę, by prowadziła mu dom, dawno temu, gdy był pierwszym - od niemal dwustu lat - nieżonatym panem Koenigshausu.

Wtedy nie miał jeszcze żony - ale nie trwało to długo. Według starej plotki Rose nie ograniczała się tylko do prowadzenia gospodarstwa przez te wszystkie lata, przed powrotem Phillipa z Ameryki z nie znaną nikomu, olśniewającą żoną. Przecież Rose była tu wtedy, znała Trudi, musi ją pamiętać - myślała po raz tysięczny Helen. - Widziała, jak ludzie pojawiają się i odchodzą. Ale w rzeczywistości to ty byłaś jego pierwszą żoną, prawda, Rose?

Płonące czarne oczy zignorowały to pytanie i wpiły się w twarz Helen. Kobieta zdławiła westchnienie. Mogła domyślić się, co ją czeka.

- Tak, Rose?

Siwa głowa Rose poruszyła się stanowczo w górę i w dół.

- Mężczyźni po spędzie potrzebują porządnej kolacji, pani Koenig. A nie wytwornego, nowomodnego jedzenia jak z restauracji.

Powinna wiedzieć, że Rose nie będzie zadowolona z nawet najmniejszej zmiany w odwiecznym rytuale. Westchnęła.

- Porządna kolacja? Taka jak zawsze? Rose znowu kiwnęła głową.

- Oni byli poza domem przez tyle tygodni, pędzili byłdo do linii kolejowej, to i zechcą wrócić na dobrą kolację, taką samą jak zawsze.

Zapadło milczenie. Przenikliwe oczy Rose zauważyły, jak bezradnie pochyła się wciąż jeszcze zgrabna sylwetka, a jasna głowa opada na bok. Gospodyni wiedziała, że zwyciężyła. Helen machnęła ze zmęczeniem ręką.

- Rób, jak uważasz, Rose. Podaj im, co chcesz.

Dlaczego próbowała coś zmienić? Phillip nie chciałby żadnej zmiany tego, co jako władca swego królestwa ustalił przed czterdziestoma laty podczas pierwszego samodzielnego spędu. Wiedziała, że Jon też by tego nie chciał. Uwielbiał ojca, był dumny, że jest jego nieodrodnym synem, i nigdy nie podawałby w wątpliwość decyzji Phillipa.

Ale on jest również moim synem! - pomyślała z nagłym bólem. Oczywiście, to naturalne, że w miarę dorastania Jon stawał się bliższy ojcu, marzył, by być taki jak on, a gdy nadejdzie czas, zająć jego miejsce. Tylko czy musiał aż tak się ode mnie odsunąć? Czy nie przypomina mnie trochę, czy nie jest w jakiejś części mój? A może to ja oddalam się od niego, tak jak oddalam się od jego ojca, zmieniając się nie do poznania?

Musiała wziąć się w garść. Rose nadal tu stała, jej oczy spoglądały czujnie z sękatą, brązowoczarnej twarzy. Helen próbowała się uśmiechnąć.

- Cokolwiek przygotujesz, Rose, będzie jak zawsze wspaniałe - powiedziała ciepło, wyciągając rękę, by ucisnąć spracowaną dłoń starszej kobiety. - Byle tylko było wszystkiego dużo, jak to lubi pan Phillip. Podaj coś ze swych specjalów, a wszyscy będą zadowoleni.

Rose potrząsnęła gniewnie głową, wskazując w kierunku kuchni.

- Gdyby tylko ta dziewczyna, Ellie, poprawiła się! Dziś zjawiała się dopiero prawie w porze lunchu i zwała wszystko na tego męża pijaka! Ale i sama potrafi się spóźniać! Staje się coraz gorsza!

Helen spojrzała na nią z milczącym współczuciem. Obie wiedziały, że niezależnie od tego, jak nadęta, leniwa i niechlujna jest pomocnica Rose, nie musi się niczego obawiać ze strony

zadnej z nich. Tylko Phillip mógł przyjąć kogoś do Koenigshausu lub go zwolnić. Taka pokojówka jak Ellie, dość sprytna, by zawsze stawać po jego stronie, miała zapewnioną pracę do końca życia. Do tego była pociągająca, nawet kobieta mogła to dostrzec. Miała leniwe, zachęcające spojrzenie, lekko rozchylone usta, szczupłe, dziecięce ciało dziwnie kontrastujące z zuchwałymi, pełnymi, dojrzałymi piersiami. A Phillip zawsze lubił otaczać się kobietami, które budziły w nim prymitywne instynkty.

Taka musiała być kiedyś Rose. Ale natura traktowała kobiety niesprawiedliwie i okrutnie. Przedwcześnie postarzała Rose mogła się teraz w tajemnicy pocieszać łykiem sherry lub piwa i zniszczoną talią kart, nad którą lubiła mruzczeć wieczorami. Teraz nadeszła pora tryumfu młodszej.

- Pan Phillip lubi, by wszystko było jak zawsze. A Ellie pomagała w domu od czasu, gdy była dzieckiem, prawda? - Tylko w ten sposób Helen odważyła się wyrazić to, co chciała powiedzieć.

Rose zaśmiała się szorstko.

- Nazywa to pani „pomaganiem”? Zaczęła się tu obijać, zanim urodził się Jon, i po prostu została. Jest starsza, niż na to wygląda. Zjawiała się, gdy był tu jeszcze Alex. Kiedy...

- Dziękuję, Rose. - Helen kochała ją, ale nie mogła już więcej znieść. Rose skinieniem głowy przyjęła odprawę i odwróciła się. Obserwując wątle i pełne zawziętości plecy odchodzącej gospodyni, Helen zastanawiała się, czy tubylcom łatwiej jest żyć, gdyż nawiązują kontakt z przeszłością i zmarli są dla nich równie realni jak ludzie, którzy nadal ich otaczają? Zarówno duchy przodków, jaki i ci, którzy wciąż jeszcze oczekują na narodziny, mają swe imiona, oblicza i miejsca w ich sercach, takie same jak inni zamieszkujący teraz ziemię. A może jest im trudniej, gdyż przeszłość nigdy nie umiera, pomyłki i smutki ubiegłych lat nigdy nie zostają pogrzebane, lecz prześladają tych, którzy przeżyli, aż do dnia, gdy i oni umrą?

Mężczyźni, którzy oczekiwali na coś w dole, przy kępie drzew, powoli zbili się w stado i z namysłem wpatrywali się w

rozpalony, rudawopłowy tuman. Wiedziała, że potrafili wyczuć zbliżających się, niezależnie od tego, ile mil zostało im jeszcze do przebycia. Obserwowała ich z zainteresowaniem, oparta o balustradę. Z całą pewnością mogli czuć obecność Phillipa - żaden z nich nie wyobrażał sobie Koenigshausu bez jego wszechobecności, bez jego ducha, dominującego nad tą spaloną słońcem ziemią.

Ale nie chodziło tu tylko o ducha. Całe generacje Koenigów wykroiły swoje fortuny z tej bezkresnej przestrzeni, narzucając wszystkim swą niezłomną wolę, dzięki której na rozległym pustkowiu powstała największa farma hodowlana na Terytorium Północnym. Nie bez powodu zasłużyła ona na nazwę „Królestwo”, używaną przez tubylców od chwili, gdy dowiedzieli się, że niemieckie słowo „Koenig” znaczy po angielsku „król”. Pradziad Phillipa wybudował kaplicę, w której ich dzieci zostały ochrzczone, jego dziadek postawił szkołę, w której uczyli się słów i obyczajów białego człowieka. Każdy z miejscowych do końca życia miał instynktownie wyczuwać Phillipa i jego niezłomną siłę, widzieć jego wielkie, twarde, krępe ciało, bezwzględne ręce i arogancką głowę, słyszeć ten donośny, rozkazujący głos, jakim oznajmiał szorstko swoją wolę.

Helen zadrzała mimo słońca padającego ukośnie na jej opalone dłonie i odsłoniętą głowę. Wiedziała, że tubylcy wyczuwają też obecność Jona, ale w inny sposób. Jon, otwarty jak światło dnia, prostoliniwny i lojalny, nie miał na świecie ani jednego wroga. Dla większości mężczyzn, którzy go znali, był po prostu „chłopakiem Phillipa”, wystarczająco dojrzałym, by kierować spodem pod nieobecność ojca, i na tyle jeszcze młodym, by wygłupiać się z poganiaczami bydła, gdy podróż dobiegła końca.

Kobiety z Terytorium, a zwłaszcza ich córki, inaczej oceniały tego wysokiego młodego mężczyznę około dwudziestki, z mocnym ciałem jeźdźca i naturalną krzepą człowieka urodzonego w siodle. Widziały również szlachetność, drzemającą w tej głębokiej naturze, wrażliwość, jakiej nie spodziewali się ci,

którzy sugerowali się jedynie jego prawdziwie męskim wyglądem, jasnymi włosami, beztruskimi błękitnymi oczami i radosnym uśmiechem.

Ale to właśnie owa subtelność, a nie rys bezwzględności odziedziczonej po ojcu, przemawiała do aborygenów w ich własnym języku. Jon był pierwszym Koenigiem, który chodził do szkoły na farmie z dziećmi z osady i w ciągu nie kończącego się nigdy australijskiego lata nawiązał więzi z tymi, którzy teraz, już jako dorośli, pracowali u jego boku, więzi, które nigdy nie miały być zerwane. Tak, oni wyczuwali Jona. Wyczuwali go sercem.

Helen wiedziała, że to dotyczy również i jej. Urodziła się na tej ziemi jak oni, była zwykłą dziewczyną pracującą na swoje utrzymanie na sąsiedniej farmie, dopóki dynamiczny Phillip Koenig nie zdecydował się, by podbić tę nieśmiałą, stanowczą osiemnastolatkę i uczynić z niej swoją własność. Od tego czasu przez dwadzieścia pięć lat mieszkała tu, służąc Phillipowi i Koenigshausowi, jak tylko potrafiła.

Każdej kobiecie zabrałoby to całe życie, mówiła sobie na poły z gniewem, na poły ze łzami. W granicach tej zielonej oazy leżały nie tylko zabudowania gospodarskie, lecz niemal cała wioska. Mieścił się tu zarówno wielki, stary dom w stylu kolonialnym, gdzie pokolenia Koenigów szarpały się, walczyły i umierały, jak i domy poganiaczy, osada aborygenów, budynek biurowy, z którego Phillip prowadził rozległe interesy, stajnie dla cennych koni, wreszcie kamienna kaplica, którą zbudował pierwszy z Koenigów, gorliwy luteranin, gdy tylko zapewnił sobie dach nad głową.

Nie myślał wyłącznie o sobie. Stary Johann troszczył się gorąco o swą nieugiętą niemiecką żonę o jasnych warkoczach i o siedmioro małych Koenigów o twarzach aniołków, który przybyli razem z nim ze starego kraju. Po roku sześcioro dzieci znalazło miejsce wiecznego spoczynku w tej cichej ziemi, tak daleko od domu. Tylko ostatnie, siódme przeżyło, usprawiedliwiając krew i pot wylane przy tym strasliwym wysiłku. Syn tego Koeniga

również przeżył i chował się dobrze, tak samo jego potomek. Potem przyszedł Phillip, a teraz Jon.

Jon.

Mój jedyny syn.

To dziwne - pomyślała. Koenigowie, pełni wigoru w łóżku, nigdy nie byli równie mocni w płodzeniu dzieci.

Ale przecież potrzebne było tylko jedno dziecko. Jeden syn, któremu to wszystko należało przekazać. Tylko jeden, by dziedziczyć, tylko jeden, by rządzić. Jeden król w królestwie, jeden Koenig na Koenigshausie. Tego tylko było trzeba.

I ona im to dała. Dała im Jona. Był jednym z nich, należał do nich tak jak żaden z Koenigów, którzy dotąd żyli i jeszcze żyć będą. I gdy nadejdzie jego czas, będzie dobrym panem dla tej ziemi. To była zasługa Helen. Wiedziała, że ma prawo powiedzieć, iż zapracowała na miejsce w aborygeńskim porządku rzeczy, nazywanym Epoką Snu.

Ale czy po tych wszystkich latach śnili również o jej rywalce? O Trudi i jej synu, też jedynaku - jak Jon? A może tylko druga żona była skazana na wieczne śnienie o swej poprzedniczce, próżne marzenie, że to jej Bóg dał to smukłe ciało, białe jak lilie Madonny, te bajkowe włosy czarne jak heban i usta czerwone jak krew, długie, wytworne dłonie, aureę leniwej pewności siebie i światowego tupetu, jakie zobaczyła na portrecie żony Phillipa, gdy po raz pierwszy weszła do tego domu. Portrecie, który zniknął, gdy była tu następnym razem, i którego nigdy już nie zobaczyła.

Dosyć! Helen objęła się ramionami, by powstrzymać nieopanowane drżenie.

Co to znaczy? - skarciła się. Weź się w garść! Phillip z Jonem i resztą wrócą ze spędu za parę godzin, oczekując królewskiego powitania, śmigłowiec z Sydney mógł się zjawić w każdej chwili, przywożąc całą furę dodatkowych komplikacji, a ona beczynnym sobie tutaj stoi.

Nad jej głową samotna kurawonga zatoczyła kilka kół, iskrząc się i zawodząc chrapliwie i płaczkliwie jak opuszczone



dziecko. Helen przeczesła dłonią nadal jasne, gęste, sięgające ramion włosy i próbowała pomyśleć, co powinna najpierw zrobić. Dosyć tego! - zbesztła się. Opanuj się, weź się do czegoś!

Mimo upału nadal drżała z zimna. Na horyzoncie odległe mruczenie śmigieł zwiastowało przybycie helikoptera. Gdy po jakimś czasie jego czarny cień przesunął się ze złowieszczym klekotem nad nieregularnym kształtem wdzięcznego starego kolonialnego domu, smukła, silna, jasnowłosa postać stała nadal pochylona na werandzie, jakby oddalona stąd o miliony mil.

## Rozdział drugi

Pięć mil od Koenigshausu kolejne fale ospałego, piaskowobrazowego bytła sapały z zadowoleniem, gdy w wieczornym powietrzu wychwytywały zapach domu. Na czele nie kończącej się kolumny jeden z jeźdźców uniósł się w strzemiączkach i, odłączając się od pozostałych, rzucił wyzwanie:

- Ścigamy się do domu?

- Hej, zaczekaj!

Tato jest zupełnie jak dziecko - pomyślał zachwycony Jon, utkwivszy wzrok w rozpedzonej sylwetce, i ścisnął piętami boki konia w próżnej nadziei dogonienia ojca. Zaraz zawoła: „Kto ostatni, ten baba!” - zaśmiał się w duchu. Na miłość boską, jak długo już zajmuje się spędem? Chyba poświęcił na to niemal każdy dzień ze swych sześćdziesięciu lat!

A jednak był jak zawsze pełen entuzjazmu - nadal w dobrej kondycji, równie twardy i szczupły, pewny w siodle, szybki w rzucaniu lassem i piętnowaniu rozpalonym żelazem, równie niechętnie dawał się wyprzedzić lub spuszczał z tonu. W jego wieku będą tak samo dobry - pomyślał Jon. A tymczasem nie pozwolę, by temu staremu draniowi się udało!

Pokrzykując z zachwytu, rzucił się w pościg. Za nimi leżał ogrom australijskiego interioru, wokół nich rozpalona, czerwona ziemia pod przepastną kopułą niebios rozciągała się prostą

plaszczyzną do mocnej, czarnej linii bezkresnego horyzontu. Pod koniec dnia upał, wprawiający powietrze w drganie, przechodził stopniowo, w miarę jak słońce staczało się z nieba, w przesywające serce odcienie fioletu, błękitu i indygo. Zapadająca z nagłą tropikalna noc była już niedaleko. Na całym świecie o tej porze wszyscy wędrowcy, ludzie czy zwierzęta, zmierzali z pośpiechem do domów.

- Szybciej! No, chłopcze, dalej!

Wyprzedzający znacznie Jona, spięty, skulony Phillip ponaglał białego ogiera ostrogami i krzykiem, aż trudno było uwierzyć, że żył na tym świecie tak długo. Boże, ależ on wspaniale jeździ konno! - przyznał Jon z niechętnym podziwem, A Kaiser zrobiłby dla Phillipa wszystko, choć w stosunku do innych ludzi był złośliwy i podstępny.

- Ale i tak im pokażemy, prawda, Butch? - wyszeptał, pochylając się w strzemionach, by pociągnąć za uszy spoconego wałacha i skłonić go do szybszego biegu.

Koń w odpowiedzi przyspieszył i skoczył ze zdwojoną energią w kierunku grupy zabudowań. Pośrodku kępy szarzielonych eukaliptusów i łobody, otoczony i chroniony ciemniejszym płaszczem cyprysów, cedrów i rododendronów widniał czerwony dwuspadowy dach, ozdobny jak chińska pagoda. Opadał imponująco ku długiej werandzie z balustradą z kutego żelaza, okalającej budynek ze wszystkich stron. Dach ocieniał okna z przesuwanymi skrzydłami i przeszklone drzwi, które prowadziły do niskich, przestronnych pokoi, urządzanych przez długie lata z miłością i na miarę możliwości Koenigów z każdego pokolenia. Był to dom, gdzie ludzie żyli, kochali i umierali, gdzie dorastał sam Jon - i kochał go z całej duszy.

Ale kochał również świat poza obrębem domostwa, ten mały skrawek zieleni, z trudem wykrojony z ogromnego interioru. To było jego prawdziwe królestwo, a nie dom, mimo całej wspaniałości. Na tysiące mil wokół rozpościerała się ziemia jak z Marsa, świat czerwonej gleby, wypalonej roślinności i opalowobrazowego nieba. Tam duch ludzki mógł być wolny, w

miejscu tak rozległym, jak on sam. Jon wiedział, że nigdy nie potrafiłby stąd odejść ani przeżyć w żadnym innym punkcie na kuli ziemskiej.

- Wyprzedzę cię!

Tubalny okrzyk ojca doleciał Jona w chwili, gdy poczuł, że jego koń z wysiłkiem zaczyna nadrabiać straty.

- Nie bądź taki pewny! - zawołał.

Mógł teraz zobaczyć, jak rozpedzony ogier Phillipa zwalnia na widok stajni, wiedząc, że jest już prawie w domu. Obaj jeźdźcy wpadli na podwórze i niemal jednocześnie zatrzymali wierzchowce, zbliżywszy się do ogrodzenia. Koń Jona zaczął właśnie wysuwać się na prowadzenie.

- Wygrałem! - zawołał chłopak.

- Jeszcze nie!

Z brawurą dwudziestolatka Phillip przerzucił nogę nad głową konia i zeskoczył na ziemię, by dotknąć pierwszego słupka werandy. Drugą ręką, jak rugbysta, odepchnął próbującego powtórzyć ten manewr Jona i przewrócił go. Duża, opalona twarz starszego mężczyzny zaczerwieniła się z zadowolenia, gdy zasiadł okrakiem na rozciągniętym na ziemi synu.

- Pobiliśmy cię, chłopcze! - zawołał.

Jon ledwo mógł mówić ze śmiechu, gdy podnosił się z ziemi.

- Oszukiwałeś!

- Zwyciężyłem, no nie? Reguły gry nie zakazują oszukiwania!

- Oszukiwałeś!

W odpowiedzi Phillip znowu szorstko popchnął syna, który ponownie rozciągnął się jak długi na ziemi.

- Musisz się szybciej ruszać, chłopcze! Ale trzeba przyznać, że dałeś mi wycisk!

Z kuchni Helen obserwowała z lękiem w sercu tę rozgrywkę pomiędzy mężem i synem. Phillip zwyciężył. Tylko to się dla niego liczy. Musi pokonać nawet własnego syna. Ale póki ważne jest tylko zwycięstwo, jakie znaczenie ma ktokolwiek inny?

Poczuła, jak zwykle w ostatnim czasie, ucisk w sercu. Nie z powodu męża, lecz syna. Boże, jaki on piękny! I taki ufny, tak łatwo go zranić.

A jednak Phillip też kochał Jona, zawsze tak było. Dlaczego opętał ją lęk, że mógłby zrobić krzywdę synowi? Znowu te głupie myśli. Dostyc tego!

Wymuszonym uśmiechem dodała sobie odwagi, by wyjść na powitanie przez drzwi pokryte siatką, we wciąż pulsujący upał i kurzawę.

- Witajcie w domu! - powiedziała z największą wesołością, na jaką mogła się zdobyć, i otworzyła ramiona, by ich obu objąć.  
- Udany spęd?

Phillip kilkoma susami pokonał niskie schody prowadzące na drewnianą werandę i schwycił żonę z istic niedźwiedzim uściskiem.

- Najlepszy! - oznajmił głośno. - Za każdym razem jest coraz bardziej udany. Jak... - zaśmiał się głośno i grubiańsko jak zwykle. - Jak...? -powtórzył szyderczo, znacząco.

Wiedziała, że chciał dokończyć „jak seks”, i modliła się, by nie powiedział tego, nie w obecności Jona. Ze złośliwego błysku w oku męża zorientowała się, że odczytał jej lęk. Otoczył ją znowu ramionami i przycisnął do siebie. Jego ciało było gorące, ostry zapach, po tygodniach w siodle, był tak intensywny, że mogła prawie czuć w gardle jego smak.

Phillip poczuł, że żona odsuwa się, i przycisnął ją jeszcze mocniej.

- Jak... co byś powiedziała, Hen? Jak co? No, dalej! - powiedział przeciągle, nie spuszczając oczu z jej twarzy.

- Och... nie wiem, Phillipie...

Jon poruszył się, zażenowany. Gdyby tylko tato nie drażnił się z nią w ten sposób. Czyż nie wiedział, że kobiety są trochę przeczulone na tym punkcie? Ale Phillip był głuchy na wszystko.

- Nie wiesz? - zagrzmiął. - Myślałaś, że co mam na myśli? Jak życie, tylko to chciałem powiedzieć... jak życie!

Znowu zaśmiał się hałaśliwie. Przyjrzał się uważnie Helen, ciesząc się jej skrzepowaniem.

- No i co, przygotowałyście razem z Rose dobrą kolację? Zwłaszcza że będziemy mieć gości.

- Gości? - Helen widziała, że Jon był tym zaskoczony.

Phillip znowu uśmiechnął się, bardziej niż zwykle przypominając wilka.

- Taak - powiedział niedbale. - Z Sydney przyjedzie twój wuj Charles, nie mówiłem ci, że ma tu być? I stary Ben z biura w mieście. Kazałem, by helikopter zabrał ich, jak tylko zorientowałem się, że zdążymy dziś wrócić. -Przerwał na chwilę. - Musimy pogadać. O zajmujących sprawach. - Skinął znacząco na Jona. - Bardzo zajmujących sprawach. Sam zobaczysz.

Dlaczego on to robi? - pomyślała ze zmęczeniem Helen. Był czas, że uważała za fascynujące, wspaniałe, nawet podniecające, takie trzymanie w niepewności, uczucie, że jest zależna od niespodziewanych decyzji Phillipa, które wydawały się zawsze spontaniczne, lecz w rzeczywistości wynikały z przebiegłych i skrytych planów.

Ale dziś - widziała, jak Jon walczy z poczuciem zaskoczenia.

- Charles przyjeżdża? I Ben? - Potrząsnął głową. Zdawało się, że jest zakłopotany i zbity z tropu tym, że nie poinformowano go o tak zwykłej sprawie; zaskoczony, a nawet zraniony tym, że beztronski powrót do domu, na który cieszył się po tylu tygodniach spędzonych w interiorze, nagle zmienił się w coś zupełnie innego.

I ważnego, jeśli wziąć pod uwagę wypracowaną zdawkowość wypowiedzi ojca. Helen spojrzała na Jona z bólem. Był taki szczęśliwy, gdy wrócił. Teraz wydawał się napięty i zaniepokojony, jakby postarzał się o pięć lat. Och, dlaczego Phillip musi tak postępować? - płakało jej serce.

Phillip odwrócił się do żony, jego szare jastrzębie oczy były mroczne i przeszywające. Nie po raz pierwszy poczuła lęk, że mogłby odczytać jej zdradzieckie myśli.

- Czy helikopter zgłosił się już przez radio?

- Nie było potrzeby. Są już tutaj. Przylecieli przed godziną. - Zaczepnęła tchu. - Mamy jeszcze jednego gościa. Ben zabrał ze sobą Geenę. Właśnie zakończył się semestr w college'u, więc pomyślał, że przydałby się jej weekend na wsi. Zadzwoił do nas. Tak dawno jej nie widziałam, że od razu się zgodziłam.

- Dobra, to wspaniale! Im nas więcej, tym weselej! Niech wszyscy przyjdą! - Phillip klasnął w wielkie dłonie z aprobatą. - W porządku, chłopie! - Uderzył Jona po ramieniu. - Ponieważ przegrałeś, odprowadzisz konie i sprawdzisz, czy wszystko przygotowane na jutro, do ostatniego spędu. Wezmę prysznic i zobaczymy się w domu, jak tylko będziesz gotów.

Matka i syn przyglądali się sobie, a krzepka postać oddalała się ciężkim krokiem.

- To ty wygrałeś, Jon - powiedziała spokojnie Helen. - On oszukiwał. Po prostu musiał cię pokonać, musiał wygrać.

- Taak - przytaknął Jon i wzruszył niepewnie ramionami. - Ale tata tylko się wygłupiał, sama wiesz. Nie można brać go zbyt serio.

Wiedziała, że kieruje to do niej. Chętnie wymierzyłaby sobie kuksańca za to, że w ogóle otwierała usta. Teraz twarz syna znów wyrażała zakłopotanie i napięcie. Tym razem to była wina Helen, nie Phillipa. Możesz przestać kochać męża, skarciła się ponuro, ale dla innych niczego to nie zmienia. Phillip jest ciągle tym samym człowiekiem. I nadal jest ojcem, którego twój syn ubóstwia od ponad dwudziestu lat. Nie psuj mu tego. Zbyt wiele ryzykujesz. Znajdź sobie lepiej coś dobrego w tej pustyni, jaką jest twoje życie!

## Rozdział trzeci

Przez gładkie szkło francuskiego okna widać było niebo i ziemię, zlewające się w ścianę solidnej czerni, tak gęstej, jak to możliwe tylko podczas bezgwiazdnej i bezksiężycowej nocy pod

wielką, nie zanieczyszczoną czaszą australijskiego nieba. W jadalni kilka małych stołowych lamp rzucało złote plamy zachęcającego światła na stół nakryty srebrną zastawą na sześć osób, dla rodziny Koenigów i ich gości.

W położonym dalej salonie Phillip Koenig stał z synem u boku i myślał o nadchodzącym wieczorze. Wyprostowany, na rozstawionych nogach, oczekiwał gości pod odpychającym portretem Johanna, założyciela dynastii, przed wielkim otwartym kominkiem, płonącym o tej porze roku jaskrawą roślinnością i dzikimi kwiatami. Założył stwardniałe dłonie za plecy i pozwolił sobie na tajemniczy uśmiech, całkowicie odmienny od wylewności tego, który pojawił się na jego ustach, gdy pierwszy z gości wszedł do pokoju.

- Charles!

Zrobiwszy kilka wielkich kroków, Phillip pochwycił dłoń wysokiego, szczupłego mężczyzny, który się do niego zbliżał, i ścisnął ją energicznie, jednocześnie mocno waląc go pięścią w ramię.

- Jak miło cię widzieć, chłopie!

Szybko przywitał w ten sam sposób drugiego mężczyznę, który wszedł chwilę potem.

- I ciebie, Ben! Gdzie twoja urocza córka? Gdzie ją podziałeś?

Ben Nichols przyglądał rzadniejące włosy nad szeroką, dość beznamietną twarzą i próbował zmusić się do uśmiechu.

- Geena jest na gorze, u Helen. Takie kobiece pogaduszki. Wkrótce zejda na dół.

- Cześć... Charles. - Jon dość niedawno przestał mówić do niego „stryju”, nie czuł się jeszcze zbyt swobodnie, używając tej skróconej formy.

A szczupły, powściągliwy Charles nie miał w sobie nic z zuchowatej wylewności Phillipa. Jonowi zawsze wydawał się człowiekiem, który nie wyjawia swych zamiarów i pilnuje, by jego prawdziwe myśli były głęboko ukryte we wnętrzu kształtnej, nadal pięknej głowy.

Jak różni mogą być bracia, pomyślał Jon. Phillip, taki mocny, rubaszny i żywiołowy, z potężnym kośćcem, masą rudozłotych włosów i drapieżnym uśmiechem, Charles ciemnowłosy, smukły i elegancki, dziś nawet ponury. Ale młody Koenig czuł szacunek dla młodszego brata swego ojca i próbował wyrazić to mocnym uściskiem dłoni.

- Witaj w Koenigshausie. I ty, Ben - jak miło cię zobaczyć. Co słychać?

- Zajmij się drinkami, chłopcze! - rozkazał wylewnie Phillip - Chas, bar już otwarty! Na co masz ochotę? A ty, Ben? Wybierz sobie jakąś truciznę! Przygotowaliśmy już twoje ulubione procenty, stary!

Żaden z gości nawet nie próbował udawać, że odpowiada na te towarzyskie uprzejmości. Charles wpatrywał się w Phillipa oczami tak samo szarymi i chłodnymi, jak oczy brata.

- Sądzę, że wszyscy pocujemy się lepiej, gdy zakończymy tę sprawę. Do tej chwili nie mamy czego świętować.

Jowialność Phillipa znikła.

- Na tym polega kłopot z tobą, mój mały Charlesie - mruknął groźnie. - Zawsze tak było. Brak ci ikry. To przecież twój genialny pomysł, a ty masz zamiar zaniknąć się w sobie jak zwykle, prawda? - Zapadło przykre milczenie. - No co, prawda?

Co się dzieje, u diabła? Jon z dezorientacją przesunął spojrzenie z ojca na pozostałych. Szczupłą, ciemną twarz Charlesa pokryły zmarszczki gniewu, gdy próbował zapanować nad sobą.

- To nie kwestia braku ikry - powiedział szorstko. - To poważna decyzja, najważniejsza w historii firmy, wiesz o tym. Nie można traktować tego jako formalności.

Phillip zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Bardzo trafne stwierdzenie. Muszę się wtrącić - pomyślał Jon.

- Może coś do picia, chłopcy? - Zmusił się do odgrywania roli gospodarza, zajmując się karafkami ze rżniętego szkła, kryształowymi szklaneczkami na zastawionym barku stojącym



obok kominka, dopóki każdy z mężczyzn nie piastował uspokajającej dawki alkoholu. Potem odezwał się tak obojętnie, jak tylko potrafił. - O co chodzi? Co nie jest tylko formalnością?

Phillip rzucił chmurne, kąjące spojrzenie na Charlesa.

- Twój stryj miał natchnienie. Wspaniały pomysł.

- To projekt nie tylko mój - powiedział z uporem Charles.

Phillip parsknął urągliwie.

- Chcesz powiedzieć, że to wymyślił Ben? Ben był wyraźnie przestraszony.

- Słuchaj, Phil, wiesz, że gdy przychodzi do podejmowania decyzji finansowych, jestem tylko zwykłym pracownikiem,

- Nie nazwałbym jednego z najsprytniejszych księgowych tego kraju „zwykłym pracownikiem”. Benie - powiedział lekko Phillip. - A jako mój dyrektor finansowy od lat czterdziestu, urodzony na farmie, praktycznie członek rodziny, masz wszelkie prawo, by wtrącić swoje trzy grosze. A naprawdę biorąc pod uwagę, ile kosztuje mnie twoja pensja, oczekuję od ciebie znacznie więcej niż tylko trzech groszy!

Jon czuł się, jak gdyby obserwował mecz tenisowy, nie znając reguł. Z napięciem przyglądał się trzem mężczyznom, stojącym nadal na dywaniku przed kominkiem. Phillip i Charles patrzyli sobie w oczy jak przeciwnicy, Ben wyglądał jak wzięty w dwa ognie. Gdy Jon odezwał się, wiedział, że mówi zbyt głośno.

- Chwileczkę, chłopcy. O czym mówicie? Phillip nie przegapił okazji.

- O sprzedaży Koenigshausu.

Zapadło okropne milczenie. Ani Charles, ani Ben nie patrzyli na Jona. Reakcja Jona zdawała się wypływać z jakichś nieznanych głębin jego duszy.

- Co?

Phillip zwrócił się ku niemu ze starannie pozorowanym zdumieniem.

- Och, nie powiedzieli ci o tym? - spytał naiwnie. - Twój stryj Charles i nasz finansowy geniusz, stary Ben, chcą sprzedać Koenigshaus.

Tylko on wiedział, ile wysiłku musiał włożyć Jon, by się odezwać.

- Sprzedać Koenigshaus? - Nieświadomie powrócił do lokalnej nazwy. - Sprzedać „Królestwo”?

- Właśnie o tym mówimy. Musimy pozbyć się starej siedziby! Sprzedać, sprzedać, sprzedać! Juhu!

Jon zaśmiał się również, z histeryczną nutką ulgi.

- Och, daj spokój, tato! To wstrętny żart.

- Taak - Phillip zaśmiał się na całe gardło. - Taak, wiedziałem, że tak pomyślisz!

Jon zaczął powoli uświadamiać sobie prawdę. Ale ciągle się nie poddawał.

- To nie jest śmieszne, tato.

- Ja nie żartuję, synu. Jon zmarł.

- Chcesz powiedzieć...?

Charles zrobił krok w kierunku Phillipa, z twarzą zastygłą w masce niechęci.

- Och, skończ z tym, Phillipie! - warknął. - Myślałem, że miałeś zamiar mu powiedzieć.

- Miałem.

- Mam na myśli - dzisiaj!

Phillip uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Powiedziałem mu dzisiaj. Właśnie teraz, - Odwrócił się do Jona. - Co o tym myślisz, synu?

Jon pobladł mocno.

- Wiesz, co o tym myślę, do cholery! - mówił przez zaciśnięte zęby. - To niemożliwe! Po prostu nie możesz tego zrobić, tato!

- Mój Boże - rzucił z ironią Phillip. - Zdaje się, że palnąłem coś, z czym nasz drogi chłopiec nie może sobie poradzić. - Rozejrzał się po pokoju. - Miałeś rację, Ben. Ostrzegaleś mnie, że

nasz Jonno może być odrobinę przeczulony na tym tle. Nie mam pojęcia, dlaczego.

- D l a c z e g o? Tato... ja...

Z palącym wstydem i wściekłością Jon zorientował się, że walczy z napływającymi do oczu łzami. Ben z zażenowaniem skorzystał z przerwy w rozmowie.

- Słuchaj, Jonno, firma ma kłopoty. Phillip wiedział o tym od dłuższego czasu. Przekopywaliśmy się wielokrotnie przez rachunki, ale wynik jest wciąż ten sam.

Charles skinął głową.

- To Koenigshaus, hodowla bydła, jest słabym ogniwem Światowe ceny na wołowinę spadają, nasza sprzedaż maleje z roku na rok...

Phillip podjął refren.

- A rancerstwo, jak wiemy, należy do przeszłości. Więc, zdaniem Chasa i Bena, Koenigshaus musi zniknąć! Będziemy musieli sprzedać, chłopcze. Mają zamiar wyrzucić królów z królestwa!

Zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

Wygląda jakby się cieszył, pomyślał Jon tępo. Muszę coś zrobić.

- Słuchaj, tato...

Gdy to mówił, w eleganckim łuku oddzielającym salon od szerokiego holu i schodów pojawiły się dwie kobiece sylwetki. Helen, w klasycznej sukni z zielonego krepdeszynu, który subtelnie podkreślał srebrzyste tony jej pięknych jasnych włosów, miała niezwykłą klasę, zazwyczaj ukrytą pod prostą koszulą i dżinsami, które nosiła na co dzień. W świetle lamp straciła co najmniej dziesięć lat ze swych czterdziestu kilku, a lekkość chodu i delikatność zachowania odjęły następny dziesięć. Tylko jej wrodzona nieśmiałość sprawiła, że nie zauważała, jakie wrażenie wywarła na każdym z mężczyzn obecnych w pokoju.

Ale to dziewczyna u jej boku przyciągała uwagę wszystkich. Półkrwi aborygenka, odziedziczyła najpiękniejsze cechy z obu ras. Wielkie, przejrzyste, brązowe oczy nadawały jej rumianej,

ciemnozłotej twarzy wyraz kruchości prawdziwego dziecka buszu, ale zgrabny nos i wyrazisty podbródek były dowodem siły, zaskakującej u osoby około dwudziestki. Smukła jak marmurowa kolumna, w prostej sukni z białego jedwabiu poruszała się jak tancerka, wchodząc nieśmiało do pokoju pod uważnym spojrzeniem mężczyzn.

Wszyscy przywitali się. Tylko Jon nic nie mówił.

- Jon? - rzekła Helen, ponaglając go. - Pamiętasz Geenę, prawda?

Czy ją pamiętał?

Oczywiście, że tak! Chodziła razem z nim do szkoły, była młodsza zaledwie o trzy, cztery lata. Potem, gdy interesy Koenigów rozwinęły się i cztery lub pięć lat temu stary Ben musiał przenieść się do Sydney, wyjechała, by zamieszkać ze swą rodziną w mieście. Wiedział, że straciła matkę przed paroma laty i że żyli wraz z Benem samotnie. Z rozmów rodziców wywnioskował, choć nie zwracał na to zbyt uwagi, że jakiś czas temu wstąpiła do college'u i wkrótce miała zakończyć naukę.

Ale to była Geena, ta mała przybłąda, tak chroniona przez matkę aborygenkę, którą Ben poślubił! ku powszechnemu zaskoczeniu, że żadnemu z chłopców nie pozwalano się z nią bawić. To był ten brzydki, mały dzieciak z chudym, jakby zamorzonym, ciałem, nogami jak patyki i oczami zbyt dużymi w stosunku do twarzy.

To była...

Nie, to nie mogła być ona!

Na zewnątrz, w holu, niewidzialna ręka uderzyła w gong i w pokoju pojawiła się Rose, z depczącą jej po piętach Ellie. Phillip zaśmiał się i klasnął głośno w dłonie.

- Kolacja! - ryknął. - Chryste, ale jestem głodny! - Jego oczy zaiskrzyły się. - To wspaniałe, jak porządna porcja interesów pobudza chęć na wyzerkę, no nie, chłopcy?

## Rozdział czwarty

Helen leżała w szerokim dębowym łożu, które przebyło długą drogę z Saksonii razem z pierwszymi Koenigami, i wsłuchiwała się w głęboki oddech męża. Gdyby same myśli mogły zabijać, płakało jej serce, połowa kobiet na świecie zabiłaby swych mężów, teraz, w tej chwili!

Przewracała się z boku na bok i dygotała w aksamitnej ciemności. Przed oczyma Helen stawało oblicze Jona, takie, jakie zobaczyła, wchodząc ostatniej nocy do salonu - z oczami podsinionymi jak u młodego boksera, z wyrazem przypominającym zwierzę prowadzone do rzeźni.

Wiedziała, że nie mogłaby dyskutować o interesach z Phillipem. Nigdy nawet nie pomyślał, by pytać ją o zdanie, nie zrobi więc tego i teraz. Niemniej jednak, gdy zajmowała honorowe miejsce przy stole, rozdelała jedzenie, wina i bawiła gości, przez cały czas starała się zebrać odwagę, by wtrącić się do rozmowy. - Słuchaj, Phillipie, jeśli cała firma utrzymuje tę posiadłość, czy nie możemy zrezygnować z czegoś innego i zatrzymać Koenigshaus... dla... dla...

Dla Jona - chciała powiedzieć. Dla mojego syna. Twojego syna. Twego dziedzica. Jedyne, który ci pozostał, czyżbyś o tym zapomniał? A może nie obchodzi cię to, po odejściu Alexa? Czy Jon zawsze ma być namiastką?

Oczywiście, nic nie powiedziała. Wszyscy przy stole też milczeli, Charles ze wściekłością, która go zwykle opanowywała, ilekroć Phillip zaczynał swoje gierki, Ben zastraszonej, Geena głęboko zmartwiona panującym napięciem, a Jonowi wyraźnie odebrała mowę uroda młodej dziewczyny.

A jednak Phillip wyglądał na zachwyconego, w miarę jak mijala noc coraz bardziej dominował nad resztą. Jak zwykle jadł i pił co najmniej za dwóch. I w końcu - wspominając to płonęła i skręcała się w rozgrzanym łożku - uznał za stosowne przypieczetować na oczach wszystkich ostatni punkt wieczornego

pokazu. Odsuwając na bok nie dopite słodkie deserowe wino, trzymając nadal w ręce garść orzechów, które rozłupywał, spojrział przez stół i przyciągnąwszy spojrzenie żony, zaczął wpatrywać się głęboko w jej oczy, ignorując obecnych. Potem zerwał się na nogi.

- Ben!

Zapadło milczenie, a on przeszedł wielkimi krokami przez pokój i chwycił żonę za ramię. Podrywając ją na nogi, rzucił rozkaz: *Chodź - i to już!*, w sposób, który nie pozostawiał nikomu wątpliwości dokąd ją zabiera - i dlaczego.

W sypialni wydawał dalsze rozkazy: *W ten sposób - nie! Właśnie tak! Jeszcze raz! Mocniej! Teraz!*

Zawsze był dominujący w miłości, brutalny i niecierpliwy, nie mógł się doczekać, by się w Helen wdrzeć i zagłębić, przekonany, że wszystko musi ustąpić przed siłą jego męskości. Zdaniem Phillipa, jeśli on był zadowolony, to i ona musiała być usatysfakcjonowana. Zwykle uśmiechała się do siebie, czytając w magazynach dla kobiet artykuły z powagą polecające czytelniczkom, by dawały do zrozumienia partnerom, jakie mają pragnienia seksualne, by uczyły ich gry wstępnej, by „pokazywały im, co lubią”. W świecie Phillipa gra wstępna ograniczała się do decyzji, że mężczyzna ma ochotę na seks. A kobiety nie mogły mieć żadnych pragnień, poza chęcią zadowolenia swych mężczyzn.

I ona godziła się na to. Na początku podniecał ją brutalny pośpiech Phillipa, jego dłonie pod sukienką, gdy unosiła jeszcze twarz do pocałunku, spódnica owinięta wokół talii, zanim osoba wychodząca z pokoju zdążyła całkowicie zamknąć za sobą drzwi. Ciągłe pamiętała ich pierwszy uścisk, w dniu, gdy się poznali. Przyjechawszy na sąsiednią farmę, Phillip ujrzał Helen, gdy próbował znaleźć jej szefa. Potem odszukał ją w składzie z paszą, gdzie sprawdzała zapasy ziarna i pozostałych artykułów. „Wpadłem, by się pożegnać - oznajmił niedbale. - Mam przeczucie, że jeszcze cię zobaczę”.

Od chwili, gdy pojawił się w drzwiach, wiedziała, że ma zamiar ją pocałować. Wywołało to uporczywe drżenie jej ciała, a

w myślach starała się zdecydować, czy chce, aby to zrobił. Ale gdy zamknęła oczy, poczuła nie przyjacielskie muśnięcie ust, lecz twardą dłoń na piersi, prąd przesywający ciało w zetknięciu z szorstkimi palcami badającymi jej sutkę. Zareagowała tak jak gdyby był on stęsknionym kochankiem, spragnionym jej dotyku po miesięcznej nieobecności.

Od tego pierwszego objęcia nie była w stanie oprzeć się Phillipowi. A ich współzycie zawsze podporządkowane było jego rytmowi, jego popędowi, jego pragnieniom. Lubił seks jak potrawę z barów szybkiej obsługi: gorący, pośpieszny i częsty. Lubił wypróbować rozmaite przybrania i przyprawy tylko po to, by dowiedzieć się, jak smakują.

- To na dzisiejszą noc, Hen - oznajmiał, rzucając pakunek na stół za każdym powrotem z Sydney lub jednej z długich zamorskich wypraw w interesach. Było jej miło, gdy wiele lat temu z podróży do Francji przywiózł jej komplet paryskiej bielizny, razem z ekstrawaganckim gorsetem z podwiązkami i czarnymi, koronkowymi falbankami, który nie przyniósłby wstydu Moulin Rouge. Z Niemiec dostała buty, w których Marlena Dietrich mogła paradować w „Błękitnym aniele”, a z Anglii - przez kontrast - gimnazjalny biały bawełniany bezrękawnik. „Od Marksa i Spencera - mówił ze śmiechem, pokazując ostre, białe zęby. - Powiedziałem im, że to dla mojej małej dziewczynki!” Phillip miał bardzo katolickie upodobania.

Ale ostatnio jego wymagania stały się mniej umiarkowane, a jej własne potrzeby trudniejsze do zaspokojenia. Ongiś kochała go na tyle, że nie obchodziło ją, czy będzie miała orgazm. Wystarczył jej przyływ siły i radości, który odczuwała, gdy na jej piersiach spoczywał odprężony i bezbronny mężczyzna. Teraz, gdy kupował jej koronkowe majteczki, czekał, by pochyliła się do przodu, zrywał je z niej gwałtownie i w dodatku wymierzał kilka mocnych uderzeń w pośladki. Nigdy jej już nie całował, prawie zawsze wolał brać ją brutalnie od tyłu, wpychając się w nią jak pies. Jego wielkie dłonie wbijały się

bezwzględnie w delikatną tkanę nad biodrami, gdy przyciskał jej ciało do swego, dopóki nie osiągnął orgazmu.

Jej krzyki i protesty zdawały się jeszcze bardziej go podniecać. Teraz zachowywał się w sposób, który - była pewna - miał sprawić, by wzdragała się i płonęła ze wstydu, jęczała i cofała się, bezskutecznie próbując uciec przed nabrzmiałym narzędziem tortur. Łamał siłą nawet najmniejszy opór. Wiedziała, że jest zamknięta w świecie fantazji i marzeń coraz bardziej sadystycznego mężczyzny, dla którego ponizanie jej stało się niezbędnym warunkiem osiągnięcia satysfakcji. Odretwiała i ogłupiała, nie mogła przypomnieć sobie, kiedy to się zaczęło. I nawet gdyby od tego miało zależeć życie, nie mogła sobie wyobrazić, jak może się to skończyć.

Dzisiaj uległa szybko i całkowicie jego wymaganiom, mając jak zwykle nadzieję, że przyspieszy to jego orgazm i skróci jej męki. Gdy to robiła, i tym razem, jak zwykle, coś w niej umarło.

A potem Phillip zasnął, rozciągnięty na łóżku, brutalnie zaspokojony. Ale dla niej conocna męczarnia dociekań dopiero się zaczęła. Kiedy przestała ją podniecać lub tylko zadowalać tą gwałtowną, krótkotrwałą szamotaniną, i kiedy zaczęła tęsknić za czymś delikatniejszym, bardziej wartościowym, wolniejszym, czymś wspólnym?

Kiedy przestała go kochać?

Poruszyła się gorączkowo pod cienkim prześcieradłem, na próżno szukając chłodnego miejsca w gorącym łóżku, ciągle przechowującym cierpki zapach ich miłości. Kiedy Phillip po raz pierwszy zgłosił swoje prawa do niej, była tak dumna z tego, że jest jego żoną, iż nie dbała o to, czy cały świat wie o ich życiu intymnym. Teraz przenikliwa ocena i nieme współczucie, które widziała w oczach Charlesa, gdy Phillip wyprowadzał ją z pokoju jak zwierzę, paliły ją niczym wrząca oliwa.

Charles...

On także zawsze był w cieniu Phillipa, nikt nie doceniał jego siły, przyćmionej piracką osobowością brata, a teraz - czuła to - ta niesprawiedliwość, trwająca całe życie, rodziła lodowatą



gorycz w głębi jego duszy. A przecież okazałby się równie inteligentny i twardy jak każdy z Koenigów, gdyby tylko dano mu najmniejszą szansę. Charles...

Czy z nim byłaby szczęśliwsza?

Dookoła brzegów ciężkich, mahoniowych okiennic tropikalny świt malował poranną symfonię fioleto, czerwieni i złota. Znowu kolejny cholerny, przepiękny dzień! Jaką miała szansę na godzinkę czy dwie snu, skoro nie mogła znaleźć spokoju ducha?

Czy byłaby szczęśliwsza z Charlesem? Bez Phillipa?

Co to za pytanie? Miała wrażenie, jakby w ostatnich dniach całe jej życie ograniczało się do bezustannych, bezsensownych pytań. Kiedy to się zaczęło? I kiedy, och, kiedy to się skończy?

Gdy słońce wybuchło niczym ognista kula nad Koenigshausem, Jon zrezygnował wreszcie z prób zaśnięcia i wysliznął się z łóżka. Naciągnął dżinsy i koszulę i cicho wyszedł tylnymi drzwiami na podwórze. Po raz pierwszy w swym dwudziestoczworoletnim życiu czuł taką udrękę, że nie zdobył się na to, by stawić jej czoło, lecz pełzał wokół niej niczym zranione zwierzę.

Sprzedać Koenigshaus? Opuścić „Królestwo”? Jak ojciec mógł nawet pomyśleć o tym? Stał na kuchennej werandzie i ogarniał wzrokiem zabudowania i cały otaczający teren. Ziemię, o którą walczyli członkowie rodziny i dla której umierali.

Ale tu nie chodziło tylko o to. Jon odwrócił się powoli, usiłując ochłodzić rozpaloną twarz we wczesnym, porannym powietrzu, które unosiło się -świeże i aromatyczne - z wilgotnej ziemi. Kochał ją, darzył uczuciem ukrytym zbyt głęboko, by można było wyrazić je słowami, a nawet łzami. Niejasno zdawał sobie sprawę, że nikt z rodziny nie był przywiązany do Koenigshausu tak jak on, do tych suchych, piaszczystych akrów, tych niepokornych mil bezpłodnej czerwonej gleby. Tak, Helen kochała je, wiedział o tym, ale ona nie pochodziła z tej posiadłości - jak inne dzieci Jon nigdy nie próbował zastanawiać

się, gdzie właściwie urodziła się matka -a zresztą to ojciec był największą miłością jej życia i na nim też skupiała się lojalność syna.

Charles? Jon próbował postawić się na miejscu swego wysokiego, zamkniętego w sobie stryja. Być znacznie młodszym bratem... to z pewnością nic zabawnego. Czy można się dziwić, że Charles w tak młodym wieku wymknął się z cienia Phillipa, by próbować szczęścia w Sydney? Tam założył i prowadził kwitnącą firmę handlową, dopóki Phillip, wzbogacony w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dzięki dobrej koniunkturze na wołowinę, nie urządził gabinetowego zamachu stanu i nie wykupił udziału brata.

To był początek handlowego imperium Phillipa, który natychmiast zatrudnił Charlesa do jego prowadzenia. W ten sposób Charles, pozbawiony własnej firmy niczym bankrut, pozostał na polu rozgrywki. Miał nawet możliwość bawienia się coraz większą liczbą wciąż znaczniejszych zabawek, gdyż Phillip - aby rozwinąć firmę - stosował się do każdej rady brata. „Masz tutaj wielkie pole do popisu, mój mały Chasie” - lubił zapewniać go. A Charles nigdy nie rzucił bratu w twarz gorzkiej wymówki: „No pewnie, chłopcze, tylko że nic z tego nie należy do mnie!”

Czy decyzja, by sprzedać Koenigshaus, by wylupić ten klejnot z korony i rzucić go obcym, nie była zemstą Charlesa na Phillipie za wszystko, co ten zrobił? Takie myśli były obce naturze Jona i natychmiast zbagatelizował to podejrzenie. A jednak nie mógł uwierzyć, że Koenigshaus musi zostać sprzedany, że nie ma innego wyjścia.

- Muszę coś zrobić! - szeptał rozpaczliwie jak dziecko. - Musi być coś, co mogę zrobić!

U stóp wielkiego drzewa gumowego małe szare zwierzątko nocne przemknęło niczym duszek w szybko jaśniejącym świetle. Nad odległymi górami, otaczającymi Koenigshaus odwiecznym, kamiennym uściskiem, pierwsze kanie i jastrzębie leniwie wzbijały się, by unosić się na zmiennych prądach powietrznych, jak tylko słońce zacznie codzienną pracę.

Ta ziemia jest moja.

Ze wznowionym zapalem Jon obserwował kilka budynków w pobliżu pięknego starego domu i porządny ciąg stajen, tworzących z tyłu schludne podwórko. Niemal jak we śnie obszedł starą rezydencję i zatrzymał się u frontu.

Teraz miał przed sobą całe gospodarstwo. Ziemia opadająca łagodnie ku wielkiemu zbiornikowi wody w buszu, oddalonemu o wiele mil, porządnie utrzymany podjazd z ukochanymi różami matki i palmami posadzonymi wzdłuż drogi, aż do autostrady, kwatery wolarzy, budynek biurowy, domek gościnny, gdzie Ben i Geena spali, gdy on krążył po całym terenie.

Geena...

Ale nawet ta dziwna i przyjemnie bolesna myśl nie mogła odciągnąć jego uwagi od najgłębszej koleiny, żyły biegnącej przez samo centrum jego istoty.

Koenigshaus jest mój.

Przez całe życie mi to obiecywał. Zawsze mówił, że będę go miał, dał mi słowo. Jak może mi go teraz odbierać?

Nagle frontowe drzwi od domu gościnnego otworzyły się cicho i smukła postać w bieli wysunęła się przez nie miękko, zeszła po kilku schodach z werandy i zaczęła przecinać szeroki krąg trawy, idąc w kierunku Jona. Geena! Odjęło mu mowę. Nawet z tego oddalenia zdawała się zarażać od niego nieśmiałością, bo choć wyszła z domu dość pewnie, w miarę zbliżania się stawała się coraz bardziej skrepowana. Powitawszy go krótkim spojrzeniem, spuściła wzrok na swe złotobrazowe dłonie i zaczęła splatać i rozplatać długie palce.

- Zobaczyłam cię - zaczęła niezręcznie, nie pytana. - Z mojego okna. Nie spałam już. Zawsze budzę się wcześniej.

- Tak.

Zapadło dręczące milczenie.

- Usiądź - powiedział z determinacją. - Dlaczego nie siadasz?

Przysiedli, ramię w ramię, na starych kamiennych schodach prowadzących do frontowych drzwi rezydencji. Teraz nie musieli już na siebie patrzeć i natychmiast napięcie zelżało.

- Chciałam tylko powiedzieć... - zaczęła z ociąganiem Geena, nie ulegając pokusie, by rzucić mu ukośne spojrzenie, które, jak wiedziała, podkreśliłoby całą urodę jej wielkich, lśniących oczu -...że, jak się zorientowałam, spotkała cię ostatniej nocy przykra niespodzianka. Sprzedaż Koenigshausu, którą zajmuje się mój tato, wydaje się dość niespodziewana i w gruncie rzeczy nic z tego nie rozumiem.

Pociecha, którą mu ofiarowywała, sprawiła, iż pojął, jak bardzo czuje się smutny, samotny i opuszczony. Uchwycił się tego współczucia, jak umierający z głodu łapie okruchy chleba.

- Ja też nie! - wypalił. - To najlepsza farma hodowlana na Terytorium Północnym, a prawdopodobnie nawet w całej Australii. Słyszałem, jak tato mówił tak setki razy. Mamy tu ponad trzy tysiące mil kwadratowych, tysiące sztuk bydła, najlepszego, jakie można kupić, wydaliśmy majątek, by było silne i zdrowe, wolne od wszelkich możliwych chorób. I właśnie wtedy, gdy tato mógłby pomyśleć o odpoczynku, usiąść spokojnie i cieszyć się tym wszystkim, ma zamiar to sprzedać!

- Ale czy na pewno?

- Co masz na myśli?

Zdezorientowany Jon odwrócił się, by spojrzeć w zadumane brązowe oczy. Geena potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie znam twojego ojca. No, dobrze, znałam go przez całe życie. Ale dla mnie zawsze był kimś niedostępnym. - I przerażającym, dodała w duchu. Prędzej ty mu rzucisz teraz wyzwanie, Jon, niż ja!

Jon zdawał się przechwytywać jej myśli.

- Ale czy coś widziałaś? Zauważyłaś coś? Geena skinęła głową.

- Pomimo całej tej wczorajszej gadaniny on niczego jeszcze nie podpisał, prawda? Była mowa o japońskiej firmie, z którą twój stryj Charles wstępnie rozmawiał o kupnie posiadłości, ale

nie wydaje się, by zaszli daleko. Nie ma żadnego kontraktu. I tak długo, jak go nie będzie, nie będzie i kupna.

- Ale dlaczego miałyby to robić? Mam na myśli tatę? Mówić w ten sposób o sprzedaży, jeżeli nie miałyby zamiaru doprowadzić tego do końca?

Geena przyglądała mu się uważnie, usiłując wyrobić sobie zdanie, jak wiele może powiedzieć.

- Może chciał cię zdenerwować? Zaintrygować, żebyś miał się przez jakiś czas na baczności? Mój tato mówił, że on zawsze obiecywał ci Koenigshaus... że odziedziczysz go, że będzie twój.

- Taak - odpowiedział. Wiedział, że w jego głosie zabrzmiała gorycz. -Zawsze tak mówił.

- No cóż, jesteś jego synem i spadkobiercą! - Uśmiechnęła się do niego. - Oczywiście, jest jeszcze twoja mama, ale nie sądzę, by ona chciała tym wszystkim kierować.

Jon potrząsnął głową.

- Nie, to musi być prawda. A Charles, mój stryj, nie jest farmerem, interesuje się tylko biznesem, w każdym razie i tak by nie chciał Koenigshausu.

- I nie ma już nikogo więcej, prawda?

Jon zawahał się i zaczerpnął głęboko powietrza. W szkole chłopcy aborygeńscy mówili, że kiedy ktoś kłamie, Wielki Wąż w niebie wyciąga szyję i ogon, rozwija ogromne, przerażające ciało i szykuje jeden ze swych zwojów, by porwać winowajcę tam, gdzie wędrują wszyscy kłamcy.

Ale o kłamstwie można mówić tylko wtedy, jeśli na pewno wiadomo, że to nie może być prawda. Nie musiał wcale zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Nie - odparł stanowczo. - Nie ma już nikogo, nikogo, kto pragnąłby Koenigshausu tak jak ja.

Geena zadrżała.

- No więc - powiedziała z dziecięcą prostotą - należy do ciebie. I musisz o niego walczyć, musisz go zatrzymać.

Opanowała go bezsilna wściekłość.

- Ale oni mówią, że sprawy idą źle, że trzeba coś sprzedać.

- Być może. - Jej cichy, gardłowy głos nagle zabrzmiał bardzo wyraźnie. - Ale to nie musi być Koenigshaus! Może udałoby się sprzedać jakąś część firmy w Sydney, żeby Koenigshaus pozostał taki, jak dawniej, zanim twój ojciec wplątał się w interesy w mieście.

O Boże, gdyby to było możliwe, pomyślał Jon. Zalała go fala wdzięczności za promyk nadziei ofiarowany mu przez dziewczynę, za to, że dzięki niej mógł chociaż o tym wszystkim porozmawiać, że zechciała być z nim w jego samotności i bólu. Prawie niezauważalnie przysunął się do tej czulej i łagodnej istoty, i z niezwykłą ostrożnością pozwolił, by jego ramię zbliżyło się do jej ramienia, aż połączyły się w najdelikatniejszym dotyku.

Siedzieli oboje w opalowym świetle poranka, gdy pierwsza kukabura zaśmiała się i zatrajkotała nad ich głowami. Żadne z nich nie odważyło się poruszyć, pogrążyli się w czujnym transie kruchej intymności i delikatnym, nerwowym zadowoleniu. A z góry, z głównej sypialni, spoglądał na młodą parę ktoś o szarych, jastrzębich oczach i bez wahania zdecydował, że niezależnie od tego, jakie oczekiwania miałiby od przyszłości, nie można dopuścić, by się spełniły.

## Rozdział piąty

Jak się chyba należało spodziewać, śniadanie upłynęło w niewesołym nastroju. Członkowie rodziny gromadzili się, jeden po drugim, przy masywnym dębowym stole, pod ciężkim spojrzeniem portretów dawno zmarłych Koenigów, i na próżno usiłowali udawać, że jest to zwyczajny dzień, jak każdy.

Czując jeszcze w ustach smak Phillipa, Helen zdała sobie sprawę, że zwymiotuje po zjedzeniu nawet kawałka postnej grzanki. Już tego dłużej nie wytrzymam - myślała. Naprzeciwko niej Charles rwał na kawałki bułkę, a Ben żuł automatycznie jajecznicę na boczku i starał się nie patrzeć nikomu w oczy. Jon i

Geena siedzieli obok siebie, wyraźnie bez apetytu. Oni też milczeli. To przypomina stypę! - pomyślała Helen. A może po tym, jak usłyszeliśmy wyrok śmierci, czekamy teraz tylko, by Koenigshaus umarł. Mimo wczesnej pory słońce atakowało przez szyby. Nagle wydawało się, że jest zbyt gorąco, by oddychać.

Tylko Phillip, usadowiony jak zwykle w swym wielkim, rzeźbionym, podobnym do tronu krześle u szczytu stołu, kipiał energią. Choć poprzedniego wieczoru przekroczył wszelką miarę w jedzeniu, pochłaniał teraz olbrzymie ilości jajecznicy na boczku, smażonego chleba i grzanek, popijając to wszystko filiżankami kawy, takiej jak lubił - czarnej, gorącej i nieprawdopodobnie mocnej.

- Dobra kawa, Rose! - poinformował starą gospodynię, która przesuwała się pomiędzy gośćmi, ciągnąc za sobą nadaśaną Ellie.  
- Nalej wszystkim, jest dobra i gorąca, a oni wyglądają, jak gdyby potrzebowali dziś rano czegoś gorącego i mocnego w brzuchu. Nalej im jeszcze po filiżance, Ellie!

- A jakże, panie Phillipie!

Z błyskiem w kocich, brązowych oczach i nadgorliwym uśmiechem na ustach Ellie pośpieszyła, by wypełnić rozkaz. Rose mogłaby umrzeć dla Phillipa, ale nawet ta lojalność nie skłoniłaby jej do udziału w jego grze o władzę. Nie miała też zamiaru pozwolić, by tej nie nadającej się do niczego Ellie uderzyło to do głowy.

- Kawa tylko dla pana, Ellie - poinstruowała ją wyniośle. - To wszystko! - Potem zwróciła się do chlebobdawcy. - Niech pan zostawi ich w spokoju, panie Phillipie - powiedziała oschle - i pomyśli o sobie. Co jeszcze chce pan zjeść na śniadanie?

Gniewnie nadaśana płomiennooka aborygenka wycofała się, ciągle usiłując przyciągnąć uwagę Phillipa. Ale on nie był na to wrażliwy.

- To, co konieczne przy spędzie! - zaśmiał się. - Dziś ostatni spęd! Mamy ze dwa tysiące sztuk w odległości jednego dnia jazdy od domu, czeka nas tylko jedna noc pod gołym niebem. Dzisiaj przypędzimy stado do oczka wodnego przy Diabelskiej

Skale, a jutro dotrzemy do linii kolejowej i wyprawimy bydło w drogę! I znowu kolejny udany sezon dla Koenig Cattle! A w rezultacie i dla Koenig Holdings, no nie? Co?

Utkwił w Benie wzrok pełen kpiny. Szeroka, płaska twarz Bena oblała się rumieńcem zażenowania.

- Phil, wiesz, że to nie takie proste - zaczął łagodząco. - W strukturze całego biznesu jest to problem...

- Problemy, problemy - przerwał szorstko Phillip. - Płacę ci za rozwiązania, chłopie, nie za problemy!

Charles nabrał powietrza w płuca i przechylił się przez stół, by wmieścić się do rozmowy.

- Słuchaj, możesz sobie wykrzykiwać, co chcesz, ale to niczego nie zmieni! W żaden sposób nie możemy jednocześnie prowadzić tej farmy i reszty biznesu. - Rzucił okiem na Jona. - Przyznaję, że bydło i ta ziemia nie mają dla mnie takiego znaczenia jak dla was. - Zmrużył oczy. - Ale czy

nie sądzicie, że i dla mnie myśl o sprzedaży czegokolwiek, o oderwaniu choćby części imperium, jest nienawistna? Phillip uśmiechnął się groźnie.

- Nienawistna? Ty nawet nie wiesz, co to nienawiść! Wydaje się, że ty już nawet nie czujesz się Koenigiem, braciszku - jeśli kiedykolwiek wiedziałeś, co to naprawdę znaczy nim być. Dlaczego nie zmienisz nazwiska na „King”, tak jak zawsze chciał tego tata? Wtedy już nie musiałbyś udawać, że nadal jesteś jednym z nas! - Zatrzymał się, by nadać słowom, które miał wygłosić, szydrczy wydzźwięk. - Koenigowie kupują ziemię - my jej nie sprzedajemy! Żyjemy na naszej ziemi, z niej czerpiemy siłę, nasz styl życia, rację bytu. Nigdy się jej nie wyrzekniemy!

Co on znowu wyrabia? - pomyślała Helen z narastającą paniką. Poprzedniej nocy mówił, że musi pozbyć się Koenigshausu!

Charles patrzył na Phillipa z wyraźnym niedowierzaniem. Ben, odkładając niezgrabnie widelec i nóż, wtrącił pośpiesznie bez zastanowienia:



- Phil, to jest naprawdę finansowo uzasadnione, daję ci słowo... Phillip roześmiał mu się w twarz.

- Twoje słowo! Nie masz o niczym pojęcia, uciekasz tylko ze strachu, że aż gównu ci cieknie po nogach! Byłbyś gotów powiedzieć wszystko! Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym uwierzyć w twoje słowo, chłopie!

Chryste Panie, co tatę opętało? Ktoś mógłby go zabić za takie traktowanie! - pomyślał ze wzburzeniem Jon. Wtrącił się gwałtownie do rozmowy.

- Tato, raz mówisz, że sprzedajesz, drugi raz - że nie sprzedajesz. Co to znaczy? Nie możesz tego zrobić! Słuchaj, musimy trzymać się...

Charles rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Może niech to rozstrzygną dorośli, dobrze? Zrozum to, Phillipie, twój kochany Koenigshaus jest tylko ulubioną zabawką! Stał się artykułem zbytku, na który po prostu nie możemy sobie pozwolić! Powiedz mu to, Ben!

Ben odezwał się z trudem pod ostrzałem spojrzeń.

- Do roku 1987 stać nas było na to - powiedział rozpaczliwie. - Ale od czasu tamtego krachu pogrążyliśmy się coraz głębiej i głębiej w recesji. Teraz to już koniec. Niedługo zabraknie nam pieniędzy... jesteśmy na progu bankructwa. Mamy gotówki na jakieś trzy miesiące. Teraz możemy tylko sprzedać albo iść na dno.

Phillip skamieniał. Jon cofnął się z przerażeniem.

- Dlaczego nikt nie powiedział mi, że jest aż tak źle? - zatchnął się ze zdziwienia. - Mam prawo wiedzieć!

Spojrzenie Charlesa stało się mordercze. Kciukiem wskazał pogardliwie na Phillipa.

- Jego spytaj. Od lat wiedział, co się dzieje. Miał cię o wszystkim informować. Jako syna i spadkobiercę.

- Syna i spadkobiercę...

Charles zignorował złowieszcze burknięcie Phillipa i otwarcie stawiał czoło bratu.

- Moja część, Koenig Holdings - rzekł, podkreślając każde słowo - utrzymuje na powierzchni tę farmę hodowlaną, po to tylko, byś mógł odgrywać bohatera z buszu, Clint Eastwooda Terytorium Północnego! No cóż, to już koniec!

Helen przez chwilę widziała w oczach Phillipa ukrywaną wściekłość.

- Nie myśl, że nie przejrzałem twojej gry, Chasie - powiedział dość łagodnym tonem. Ale zaczerwienił się gwałtownie, a jego twarz przybrała nienaturalny, woskowy połysk. - Wiem, o co wam wszystkim chodzi! Chcecie sprzedać moją ziemię i posłać mnie na emeryturę! - Zaśmiał się ostro, urażliwie. - Wyrzucić mnie na śmietnik razem z innymi zdzieciniałymi, starymi durniami, a wtedy naprawdę będziecie mogli zanurzyć ręce aż po same łokcie w słoiku z miodem!

Jon poczuł ukłucie strachu. O czym on mówi? Traci panowanie nad sobą, pomyślał, stary traci panowanie nad sobą!

- Tato - powiedział z naciskiem - to nie...

Ale Phillip już nie mógł się opanować. Waląc pięścią w stół i ociekając potem, zupełnie nie przypominał zadowolonego z siebie i jowialnego gospodarza, który zasiadł do śniadania niecałe pół godziny wcześniej.

- Zrozumcie to! - syknął - Wszyscy macie to zrozumieć. Nie sprzedam tej ziemi! Mam ją po ojcu, a on po swoim, i tak dalej, aż do starego Johanna, który przybył tu z Niemiec z karabinem, siekierą, workiem mąki i furą pełną dzieci, a każde z nich to była gęba do nakarmienia! T a k , j a k w y w s z y s c y !

W pokoju nie słychać było nawet oddechu. Phillip ciągnął dalej z patosem.

- Dzieci - oto czym jesteście!

Nagle zająknął się i stracił wątek. I znowu Helen poczuła zimny dotyk strachu. To nie jest Phillip, człowiek, którego znałam. Od dawna go nie Kocham. Czy może teraz sprawić, bym go znów pokochała?

Ale on potrząsnął głową i ciągnął dalej.

- Nie, nie jesteście dziećmi. Ceny. Mówicie mi o cenach? Były już kiedyś złe ceny i będą w przyszłości. Były okropne w latach trzydziestych! A i przedtem, około 1890 roku, gdy nieomal straciliśmy Koenigshaus, zanim zdążył przetrwać kilka sezonów. A potem znowu się poprawiły! - Potoczył wściekle wzrokiem po milczących stołownikach. - I żądam, byście spojrzeli mi w oczy i przyznali, że to nieprawda! Bo ja w oczy wam powiem, że kłamiecie!

Zapadła nieznośna cisza.

Potem Charles potrząsnął ciemną głową i wstał od stołu.

- To twoja decyzja, Phillipie - przemówił ochryple. - I twoja ziemia. Ale to moje dzieło chcesz zniszczyć, by utrzymać farmę o kilka miesięcy dłużej. I to mój kredyt i moje życie zawodowe będą skończone, choć ty nadal będziesz miał gdzie mieszkać, nawet jeśli stracisz całe swoje ukochane bydło.

Gdy spoglądał na patrzącego nań z wściekłością Phillipa, mimo woli mówił coraz dobitniej, coraz głośniej. Obaj bracia dyszeli ciężko jak ludzie walczący.

- Ale to cię nie obchodzi, prawda? Zawsze gwizdałeś na innych. Byłeś tylko postawiał na swoim, nie obchodzi cię, czy nie stratujesz po drodze jakiegoś człowieka. - Rzucił głębokie, nieprzeniknione spojrzenie na Helen, a ją zaskoczyła jego siła. - Albo kobiety. Ludzie nic dla ciebie nie znaczą. Całe ich życie może ulec zmianie, a ty nawet tego nie zauważysz.

Och, Charles - pomyślała z niedowierzaniem Helen. Zauważyłeś... zrozumiałeś?

Phillip roześmiał się niewesoło.

- Nie muszę tego wysłuchiwać!

- Istotnie, nie musisz. - Charlesa zamiast wściekłości ogarnęło jakieś inne, zawzięte uczucie. Odsunął krzesło. - Odchodzę. Zabieram helikopter do Sydney już tego ranka. Nie sądzę, bym wrócił. Znajdziesz moją rezygnację na biurku. I napiszę w niej, że powinniśmy zdecydować się na sprzedaż!

Spojrzenia wszystkich towarzyszyły Charlesowi do drzwi. Tylko Phillip był na tyle zuchwały, by przerwać ciszę, która zapadła. Utkwił kpiący wzrok w Jonie.

- A co powie mój syn i dziedzic... czy dobrze zrobiłem? A może myślisz, że ci dwaj mają rację, że powinniśmy sprzedać Koenigshaus?

Jon pochylił się i wziął ze stojącej przed nim solniczki szczyptę soli, zaciskając ją pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Wiedział, że drży, ale nigdy w życiu nie czuł się tak pewnie. Świadomość, że siedząca obok niego Geena koncentruje się na nim ze wszystkich sił, jeszcze dodała mocy jego słowom.

- Gdyby to była moja ziemia - powiedział ze specjalnym naciskiem - nie sprzedałbym ani kawałka. Nie sprzedałbym - strzelił palcami i sól rozprysnęła się w powietrzu milionem lśniących ziarenek - nawet takiej odrobiny, choćby zaofiarowali mi po milionie dolarów za akr! - Przerwał i spojrzał lodowato w oczy Phil lipowi. - Tak mówi twój syn i dziedzic. Jeśli jestem synem i dziedzicem!

Nigdy nie odważyłby się na to przed ubiegłą nocą - pomyślała Helen. Ale nagłe zagrożenie Koenigshausu przerzuciło Jona gwałtownie z nieskrępowanego dzieciństwa do tej zimnej, samotnej krainy, gdzie nie można ufać nikomu, nawet własnemu ojcu. Może przynajmniej teraz Phillip nauczy się, że kiedy ktoś zaczyna bawić się ludźmi, to niektórzy z nich podejmą grę i też mogą odplacić pięknym za nadobne.

- Mój syn i dziedzic? - Głos Phillipa był nienaturalny i wymuszony. - O czym ty mówisz? Oczywiście, że nim jesteś. Tak zapisałem w testamencie, czyż nie? - Znowu się zaśmiał. - W każdym razie - w ostatnim!

- W ostatnim? - Jon miał ponurą minę, nie pozwolił się zbyć byle czym. - To ile jest tych cholernych testamentów?

Phillip roześmiał się ponownie.

- Tylko jeden dotyczy ciebie, chłopcze! Zostawia ci Koenigshaus i wszystko, co się w nim znajduje. - Spojrzał po raz pierwszy na Helen. - Jeśli umrę, ta ziemia będzie potrzebować

mężczyzny, by nią rządził. Mężczyzny, nie kobiety. I nie mam na myśli Charlesa.

Miał ich teraz w garści i wiedział o tym.

- Mówię o rządzeniu - dodał spokojnie. - Przez mężczyznę, a nie komitet złożony z mamusi i stryja. - Wyglądał teraz niemal groźnie. - Przez kogoś młodego, nie ludzi, którzy mieli już swą szansę.

I nic nie zrobili ze swym życiem, to chciał powiedzieć! - pojęła Helen. Tak myśli o mnie i Charlesie, pogardza nami, prawdopodobnie zawsze tak było. Zmusiła się znowu do skupienia uwagi.

- ...kogoś, kto nie został zepsuty przez życie w mieście i przez to gównu, w jakie wierzy mój braciszek Charles, przez ten cholerny „biznes”. Kogoś, kto widzi nie tylko szybki szmal i „korzystne inwestycje”, lecz to, co naprawdę ma znaczenie. - Znowu patrzył na żonę. - Ty i Charles, Hen - będziecie mieli to, co słuszne, dożywotni dochód. Jon dostanie ziemię i cały kapitał.

W oczach zatroskanego Bena zabłysł niepokój.

- Phillipie, nie tego miał prawo oczekiwać Charles! A żona też ma swoje prawa zgodnie z przepisami! Taki testament może zostać obalony!

Czy to uczucie, czy pogardę widać było w oczach Phillipa, gdy uśmiechnął się jej prosto w twarz?

- Nieee - zadrwił. - Ta żona nie zakwestionuje testamentu, prawda, Hen? Jonno nie będzie miał żadnych kłopotów. A ja postawię na swoim!

Wielka pięść uderzyła w stół, aż zadzwięczała porcelana. Policzki Phillipa pod opalenizną znowu pokryły się gorącym rumieńcem.

- Żywy czy martwy, ja wiem, co jest najlepsze dla Koenigshausu! Zobaczycie! Wszyscy zobaczycie! Żywy czy martwy, ja to wiem!

## Rozdział szósty

On nam złożył obietnicę, Helen. A teraz ma zamiar ją złamać.

Koła dżipa ciężko turkotały po nierównej, piaszczystej i kamienistej ścieżce w buszu. Droga była trudna. Wokół nich powietrze stawało się już przejrzyste od gorąca, drzewa gumowe na horyzoncie migotały niczym tancerze, gdy ich kształty rozplływały się i zmieniały w jej oczach. Siedzący obok Charles mówił ze swym zwykłym, chłodnym opanowaniem, ale w jego głosie pojawiło się coś nowego, jakaś groźba, czego nigdy dotąd nie zauważyła.

- A ty mu zawsze wybaczałaś - ciągnął zrównoważonym tonem. - Czy i tym razem masz zamiar tak zrobić?

Helen zdjęła jedną dłoń z łuszczącej się kierownicy, by odsunąć z oczu gęste, proste włosy.

- Och, Charles...

Skupiła uwagę na drodze przed sobą, usiłując ukryć przed nim część tego, co przeżywała. Jej głos cichł stopniowo.

- Obiecał nam dożywotni dochód...

- Helen, nie będzie żadnego dochodu! - wybuchnął Charles z irytacją. - A nawet gdyby był, to jest obraza dla nas obojga! Po tym, jak Alex...

Gwałtownie złapała oddech. Mężczyzna przygryzł usta i zaczął od nowa.

- Zanim urodził się Jon, wszystko miało być podzielone pomiędzy ciebie i mnie. Nawet później Jon miał dostać Koenigshaus, a reszta powinna zostać dla nas. Teraz Phillip ma zamiar zniszczyć firmę, czepiając się Koenigshausu i nie robiąc nic w sprawie kłopotów z gotówką. A resztką, która z tego ocaleje, też dostanie się Jonowi!

Wiedziała, że zabrzmi to głupio, ale musiała to powiedzieć.

- Jeśli on ma rację co do spędu, wszystko jeszcze może zmienić się na lepsze. A to, co nam zapisał w testamencie, da dobry dochód, tak twierdzi.

- Dochód! - Charles niemal wypluł to słowo. - Dochód! To nie kapitał! Nie ziemia ani nieruchomości. To tylko słowo i już. Pisane na wodzie, jak wszystkie obietnice Phillipa!

Helen zaczerpnęła tchu.

- Wiem, co on myśli. Uważa, że gdyby zostawił mi udział w Koenigshausie lub spółce, nie byłabym w stanie prowadzić ich w rozsądny sposób. Nie wierzy, że kobiety mają rozum. Sądzi, że po prostu robiłabym to, co byście mi kazali, ty lub Jon.

Na chwilę twarz Charlesa złagodniała i zmęczony uśmiech zarysował linie wokół jego oczu. Przesunął przelotnie grzbietem dłoni po jej udzie. Nie patrzył na nią.

- Robiłabyś to, co bym ci kazał? - powiedział cicho, niemal pod nosem. - Już dawno przestałaś to robić.

Oboje milczeli. Potem dawny gniew znowu opanował Charlesa. Powrócił do tematu.

- Boże, kiedy o tym pomyślę! On po prostu bawił się nami wszystkimi! Kątem oka mogła widzieć, jak wysoka postać obok niej sztywnieje z furii.

- To jego sposób, by trzymać nas w stałym napięciu, w bezsilności. Ciebie, mnie, nawet biednego, starego Bena, a przede wszystkim Jonno. Pomyśl, Helen! Nawet jeśli sama potrafisz to znieść, czy wytrzymasz to, gdy będzie chodziło o twego syna?

To była jedyna sprawa, która się liczyła.

- Charles, nie sądzę, by Phillip tego chciał.

- Robi to specjalnie!

Odwrócił się sztywno i patrzył nie widzącym wzrokiem na spieczony, płaski krajobraz dookoła. Polna droga przed nimi biegła prosto i precyzyjnie do pasa startowego, gdzie czekał helikopter.

- Przy kolacji pozwolił nam sądzić, że zgadza się na sprzedaż. Przez niego Jon musiał spędzić jedną z najgorszych

nocy w całym życiu. - Przerwał. - Nie mówiąc już o tobie... o tym, jak obchodzi się z tobą...

On wie - pomyślała posepnie, wie o wszystkim, co ze mną wyrabia teraz Phillip. Nawet te najgorsze rzeczy? - wzdrygnęła się. Tak, nawet te. Jest mężczyzną, a oni wszyscy wiedzą o tych sprawach. Mogą ich nie robić, ale wiedzą o nich. Boże, jak on musi mną pogardzać...

Twarz ją paliła. Czowała napływające do oczu łzy. Ale w zachrypniętym głosie siedzącego obok człowieka nie było szorstkości.

- Wybrałaś niewłaściwego mężczyznę, Helen. Jeśli zniszczy także firmę, odbierze mi wszystko, co mnie kiedykolwiek obchodziło. Przedtem nie potrafiłem go powstrzymać. Ale teraz mogę!

Uderzył pięścią w drzwi samochodu, nagły, głuchy łoskot zaskoczył ją. Poczwała gwałtowny poryw, by się zatrzymać, ująć dłoń Charlesa, pogłaskać go po ramieniu, po twarzy...

- To dotyczy nas obojga, Helen, zdajesz sobie z tego sprawę?

Zakreśliła kierownicą, gdy dżip wyskoczył gwałtownie z głębokiej koleiny i zaczął miotać się jak dzikie zwierzę.

- Myślę, że zawsze tak było. Gwałtownie skinął głową.

- Bo nigdy mu się nie przeciwstawiliśmy! W każdym razie, nigdy ze skutkiem.

- Próbowałam, ale nic z tego nie wyszło.

Boże, czy miała pojęcie, co czułem, gdy to mówiła? - pomyślał niejasno Charles. Albo jak piękna jest nadal, nawet z tą kruchością i nerwowością, stale widoczną teraz na jej twarzy. Zwalczył pokusę, by znowu jej dotknąć, ale głos mu zachrypł wbrew jego woli.

- Zawsze bardziej się martwiłaś o to, by uszczęśliwić wszystkich - a zwłaszcza jego! - zgodnie wykrzyknęli w myśli - niż o to, byś sama była szczęśliwa.

Poczwała przyływ zjadliwego cynizmu.

- Czy nie tego oczekuje się od żony?



- Być może... dopóki kocha męża. Ale ty postępowałaś tak z poczucia winy. Zawsze czułaś się winna, odkąd Alex...

- Charles, proszę! - Jej głos zabrzmiał silniej, niż się spodziewała. - Nie rób tego. Nie proszę cię o usprawiedliwienie mnie... ani niczego. Byłam wtedy winna. Nadal jestem!

Potrząsnął głową.

- To bzdura, Helen, i ty o tym wiesz. A nawet gdybyś była winna, jak długo chcesz za to płacić?

Tak długo, jak będzie trzeba.

Pogodzili się z tymi nie wypowiedzianymi słowami, które legły pomiędzy nimi. Helen skrzyła w następną koleinę.

- Charles, czy ty w ogóle zauważyłeś, że Phillip się zmienia? A może tylko wobec mnie?

Zauważyła, że to go zaskoczyło.

- Zmienia? Co masz na myśli?

- Och, te gwałtowne huśtawki nastrojów, w które teraz wpada. Nagły gniew, okropny humor, i nagle znowu promienny uśmiech... te gierki, w które się bawi... zachwyty, jaki budzi w nim zbijanie nas z tropu... a potem robienie z nas pośmiewiska.

Sztuczny uśmiech wykrzywił kształtne usta Charlesa.

- Zawsze był taki! A drań może tylko stawać się gorszy! Zapanowała cisza pełna lodowatego zrozumienia. Sprawiała, że serce

Helen zamarło.

- O ile...

Nigdy przedtem nie słyszała w głosie Charlesa tej nutki.

- O ile...?

Ale mogła odczytać jego myśl. O ile czegoś nie zrobimy. I wbrew sobie samej pomyślała: Tak.

Lotnisko leżało przed nimi, helikopter z pilotem czekał już w białym kole pośrodku nagiego, zapyłonego pasa ziemi. Od lewej do prawej w prostej linii ciągnął się podwójny rząd potężnych latarni elektrycznych, umożliwiających nocne lądowanie w Koenigshausie. Za nimi, w cieniu hangaru i wieży kontrolnej, stanowiącej łączność farmy ze światem, stał przeznaczony do

dłuższych lotów odrzutowiec zarządu firmy. Mogła słyszeć poprzedzające lot wezwania, przesywające trzaskiem gorące, przesycone kurzem powietrze:

- Papa Kilo Lima wzywa Koenigshaus, Kilo Hotel Sierra... Powoli zatrzymała dżipa, wyłączyła silnik i zaciągnęła hamulec.

- O ile nie zrobimy czegoś - powiedział Charles głośno, bardzo spokojnie.

Nie chciała zadać pytania - czego?

I nie musiała. Zdawało się, że mężczyzna myśli na głos, zapominając o jej obecności.

- Prędzej czy później weźmiemy prawo w swoje ręce. Phillip nie jest nieśmiertelny, choć tak myśli. Jest starszy od nas obojga o prawie dwadzieścia lat. Teraz to już niemal całe pokolenie. Wiesz o tym, Helen.

Nagle wyciągnął ręce i zacisnął je na jej ramionach, zmuszając, by spojrzała mu w twarz.

- Spędziłem całe życie w cieniu mego brata Phillipa. Musiałem walczyć z nim o wszystko. Większość z tego, co zdobyłem, odebrał mi, tak jak ciebie.

Jego oczy stały się bardzo ciemne, złote błyski wściekłości tańczyły wokół rozszerzonych źrenic. Poczula, jak łzy, zawsze gotowe popłynąć, szczypią ją pod powiekami.

Ale nie patrzył na nią. Utkwił wzrok w rozplywającej się mgielce i ciągnął spokojnie:

- A teraz ma zamiar zniszczyć wszystko, co stworzyłem, wszystko, dla czego pracowałem, po prostu dla egoistycznej zachcianki. I ja mam przyglądać się temu beczynnemu, pozwolić, by to zrobił? O, nie, wielki bracie! Nie myśl, że zniosę choć chwilę dłużej twoją ideę braterskiej miłości!

Proszę bardzo, niech się wszyscy wyniosą!

Z wysokiego okna w jadalni Phillip obserwował chmurę kurzu unoszącą się daleko na horyzoncie za dżipem. Jak zwykle nie troszczył się o potrzeby i pragnienia innych. Hen może sobie odwozić Charlesa na lotnisko, do tego tylko się nadawała, jeśli

wziąć pod uwagę nastrój, w jakim była ostatnio! Wzruszył potężnymi ramionami i wyszedł dumnym krokiem, by dołączyć przy stajniach do Jona.

Pozostawieni samotnie w jadalni pośród resztek śniadania, Ben i Geena wpatrywali się w siebie jak ludzie ocaleni z trzęsienia ziemi.

- Czy on zawsze jest taki? - spytała Geena cichym głosem.

Ben wstając potrząsnął głową z krańcowym zaskoczeniem, a widok jego cierpienia trafił ją prosto w serce.

- Nie wiem, co w niego wstąpiło! Och, zawsze był starym draniem, i zawsze musiał postawić na swoim, nie zważając na nikogo. Ale nie miał wcale takiego wspaniałego życia... sposób, w jaki zmarła pierwsza żona... a potem jeszcze...

Nawet teraz Ben czuł smutek, nie potrafił udawać, że łatwo mu mówić o tym wszystkim... a zwłaszcza o tym, co się zdarzyło z Alexem.

Poczuł, że oblewa go pot. Jakie komplikacje powstałyby, gdyby Alex był tu nadal... Boże Wszechmogący, nie można wprost o tym myśleć! Pośpiesznie odpędził niebezpieczne wspomnienia do ich starego legowiska.

Pytała o Phillipa. To tylko on się liczył!

- Taak, zawsze był twardzielem i zwariowanym starym draniem. Ale dotychczas w jego szaleństwie była metoda! - Odsunął krzesło. - No, dalej, chodźmy stąd.

Razem przeszli przez chłodny hol z lukami do otwartych drzwi frontowych i na cienistą werandę. Słońce malowało wyraziste cienie pod wielkimi drzewami dookoła domu, a papugi o długich ogonach unosiły się, głośno i ochryple skrzecząc.

Ben zacisnął dłonie na poręczy i wychylił się na zewnątrz.

- Pięknie, prawda? - spytał z prostotą.

Geena patrzyła na znaną jej dobrze twarz o grubych rysach, głęboko osadzonych oczach i pochmurnym, beznamiętnym spojrzeniu. Ben nie okazywał uczuć, ale córka wiedziała, że to jest jego ojczyzna. Poczula, że serce jej się kraje.

- Tatku... czy koniecznie trzeba to sprzedać?

Westchnął.

- Koenigshaus zostanie sprzedany, Geeno. Jeśli nie przez nas, to przez likwidatorów.

- Czy naprawdę jest aż tak źle? Kiwnął głową.

- Farma wysysała pieniądze z przedsiębiorstwa od lat. Próbując się nie dać, wzięliśmy za dużo kredytów inwestycyjnych w latach osiemdziesiątych. Od 1987 roku dosłownie odpieraliśmy wierzycieli. Phillip wiedział o tym. Kiedy jest normalniejszy, rozumie to wszystko. Ale serce po prostu nie pozwala mu na sprzedaż.

Następne pytanie było nieuniknione.

- Co robi Jon?

Ben podrapał się w siwą głowę.

- Chcesz powiedzieć... kiedy dojdzie do katastrofy? Weźmie, co ocaleje, i ucieknie, jeśli ma choć trochę rozsądku. Prawdopodobnie spróbuje znaleźć sobie coś własnego, choćby nawet na małą skalę. Hodowla bydła to jedyne zajęcie, do którego się nadaje.

W oddali grupa aborygenów przygotowywała się do ostatniego dnia spędu. Ich spokojne, niespieszne zachowanie mocno kontrastowało z energiczną aktywnością zarządcy farmy, młodego Australijczyka, mniej więcej w wieku Jona. Jeśli dojdzie do najgorszego, Henry pójdzie za Jonem i będzie dla niego pracował, uznała Geena. On też chodził z Jonem do szkoły, jak oni wszyscy. Jego los związany był z Koenigami, dokądkolwiek by poszli. Jon...

Nawet o nim nie myśl - mówiła do siebie. Dumni Koenigowie nie zawracają sobie głowy aborygenkami, chyba że chodzi im o jedno. Wybij go sobie z głowy, bo inaczej skończy się to łzami... twoimi łzami. Myśl o czymś innym.

- A co z ludźmi? Z plemieniem mamy? Co stanie się z nimi?

To pytanie zdziwiło, nawet zaszokowało Bena i było to widać po jego twarzy.

- No cóż, ten kto kupi farmę, będzie potrzebował wolarzy, pracowników, służby domowej. Wszystko będzie w porządku. -

Przerwał na chwilę i odwrócił wzrok. - Słuchaj, nie sądziłem, że ciągle jeszcze myślisz o mamie. Ona odeszła, a ty masz swoje życie. Jesteś teraz dziewczyną z miasta, i to od wielu lat. A kiedy skończysz naukę, świat stanie przed tobą otworem. Będziesz mogła uczyć tańca, gdzie tylko zapragniesz.

Gdzie nie będą ci mieli za złe, że jesteś Koori - Geena wiedziała, że ojciec właśnie to ma na myśli. - Gdzie będą sędzić, że twoje imię jest tylko zmodyfikowaną formą „Giny”, a nie skrótem od „Nungeena”, Żeński Duch Wszeczhreczy. To imię dostałaś po matce, która była czystej krwi aborygenką. Która usychała z tęsknoty i umarła, gdy wykorzeniono ją z tej ziemi i przeniesiono do miasta. Ty nie musisz tak cierpieć. Są miejsca, gdzie ludzie uznają, że jesteś piękna, egzotyczna, wyjątkowa. Gdzie nikt nie słyszał, jak mężczyźni mówią, że wszyscy czarni powinni być trzymeni po drugiej stronie szczelnego płotu, że ich kobiety pójdą z każdym, a stary Ben, no cóż, dawno temu zanurzył swój knot w butelce ze smołą i przykleił się, musiał więc zgodzić się na wszystko...

Ben ją kochał, wiedziała o tym. Ale nie był w stanie zawsze jej chronić i nie mógł przeżyć za nią życia.

- Wybieram się do osady aborygenów, tato - powiedziała z wymuszonym spokojem. - Tylko po to, by się przywitać, sprawdzić, czy ktoś z nich pamięta jeszcze mamę.

- Tak, no cóż... - Ben czuł się niepewnie, zauważyła to. Ale on zawsze ugiął się pod silnym wiatrem. - No cóż, muszę przejrzeć księgi, zanim będziemy mogli wyjechać. Wizyta w osadzie pomoże ci zabić czas, gdy ja zajmę się pracą.

- Miałem nadzieję, że ja będę w stanie zatroszczyć się o to!

Nie słyszeli, że Jon zbliża się z drugiej strony domu. Ubrany w błękitną koszulę ze spłowiałego dżinsu, dokładnie w kolorze swych oczu, znoszone skórzane ochraniacze i buty kowbojskie, wyraźnie był przygotowany do ostatniego dnia spędu, tego końcowego wysiłku przed zagonieniem bydła do domu.

- Sądziłem, że może chciałabyś przyłączyć się dziś do nas, gdy Ben będzie zajęty - powiedział, a oczy mu promieniały. -

Muszę spędzić noc przy zbiorniku wodnym z tatą i całą resztą, ale jeden z chłopców mógłby dopilnować, byś bezpiecznie dotarła do domu. A to nie jest zbyt długa jazda na taki dzień jak dziś.

- Przyłączyć się do spędu? - Poczwała rumieńce na policzkach. - Wspaniały pomysł!

- Przyłączyć się do spędu? Nie ma mowy!

Wszyscy widzieli, jak Phillip wyłania się ze stajni na wielkim, siwym koniu i kieruje się ku nim klusem. Ale jak zwykle nie byli przygotowani na gwałtowność, z jaką się wtrącił, gdy zatrzymał konia i agresywnie wychylił się z siodła.

- Geena nie ma na to ochoty! Nie możesz wlec młodej damy do buszu z bandą łobuzów, takich jak Dusty i chłopcy! - ryknął.

Nie chce mnie nawet widzieć w pobliżu swego syna - natychmiast zrozumiała ze smutkiem Geena. Jon wyglądał na zakłopotanego.

- Och, Geeno, przepraszam. Po prostu myślałem, że to by mogło być przyjemne...

- Na pewno - powiedziała stanowczo. - I bardzo bym chciała pojechać. Nie boję się tych łobuzów. Znam Dusty'ego i całą resztę odkąd żyję!

Oczy Jona rozbłyły.

- Więc wszystko w porządku! Wybiorę tylko konia dla ciebie...

- Nie spiesz się tak, Jonno.

Głos Phillipa był twardy jak kamień, a spojrzenie - jeszcze bardziej bezlitosne.

- Przepraszam, Geeno, nie dzisiaj. Będziemy mieć mnóstwo roboty, zanim zapedzimy stado do zbiornika. Dotrzemy tam dopiero przed samym zmrokiem. Obecność kobiety niepokoi nawet bydło - a co dopiero mężczyzn!

Jon zwrócił się do ojca z niedowierzaniem.

- Tato, o czym ty mówisz...?

- Przykro mi, Jonno. To ostateczna decyzja, chłopie. - Zaatakował Geenę z olśniewającym uśmiechem. - Ale jestem

pewien, że nasza mała Geena znajdzie tu sobie jakąś rozrywkę. Może byś wybrała się do osady czarnych? - Gdzie twoje miejsce! - zawisły w powietrzu nie wypowiedziane słowa. - Pokaż im kilka tańców, których uczyłaś się w mieście.

Geena zawarła w odpowiedzi wszystkie emocje, do jakich była zdolna.

- Nie potrzebują, bym ich uczyła. Potrafią tańczyć od milionów lat.

- Taak, więc możesz się nauczyć czegoś od nich. Podstawowych ruchów. W jej twarzy pojawiło się napięcie.

- Panie Koenig, uczyłam się tańca od ósmego roku życia. Phillip zaśmiał się.

- Taak, pamiętam. Wybrałem się kiedyś na jeden z twych spektakli. W szkole. A może w obozie czarnych?

Chryste, co on wyprawia, czemu uczeplił się tych „czarnych”? Jon skrzywił się, słysząc te obraźliwe słowa ojca. Co się dzieje z tatą? Nie śmiał spojrzeć na Geenę, starał się zwalczyć pokusę interwencji. Ona nie byłaby mu wdzięczna za wtrącenie się do jej walki!

Za jego plecami Ben odetchnął chrapliwie, choć wyraźnie starał się opanować. Jon widział przed sobą ręce starszego pana wsparte o balustradę. Zaciśnięte były w pięści, jak u boksera, wystąpiły na nich żyły i ścięgna, i pulsowały pragnieniem przemocy. To o jego córce mówisz, tato - starał się zasygnalizować Jon - o jego żonie, na Boga, więc przestań!

Geena czuła, że traci panowanie nad sobą.

- No cóż, teraz jestem w Teatrze Tańca w Sydney i mamy tam czarnych tancerzy.

- Kiedy mówisz „czarnych”...

Wiedziała, że Phillip igra z nią, ale nie mogła się powstrzymać.

- Mam na myśli Koori. Aborygenów. Kilku pochodzi z Wysp, mają wszystkie odcienie skóry. A niektórzy to choc-ices, jak ja!

Phillip wydał z siebie ryk autentycznego zachwytu, płosząc konia, który usiłował odsunąć się nerwowo od źródła niepokojącego dźwięku.

- Choc-ices?

Geena zdała sobie sprawę, że drży.

- Taak. Lody w czekoladzie. Czarni z zewnątrz, biali w środku. Z pochodzenia - czarni, wychowani jak biali.

Phillip prychnął.

- To, co w obu światach najlepsze dla tancerza, no nie? Zignoruj go, powiedziała sobie. Zwróciła się do Jona.

- Chyba spędzę ten dzień z rodakami matki, może poznam ich tańce, może nauczę ich kilku moich, kto wie?

Phillip niedbale poderwał głowę spoconego konia.

- Potem wracasz prosto do Sydney, co? Taka bystra osóbką jak ty, nie zechce zagrzebać się tutaj.

Wiedziała, że Jon czeka z napięciem na jej odpowiedź.

- Pan to zrobił. I Jon też. Phillip machnął potężną dłonią.

- My jesteśmy mężczyznami. Hodowcami bydła. Hodowca musi być z bydłem. Ty jesteś tancerką, a tam daleko jest wielki świat. Możesz pracować w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku. W Nowym Jorku jest masa czarnych tancerzy, jak słyszałem.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Na pewno.

Phillip uspokoił zniecierpliwionego konia i spojrzał ostro z góry w jej oczy.

- Gdyby były jakieś problemy z pieniędzmi, z radością ci pomożemy, no nie, Ben? Co byś powiedziała na stypendium, umożliwiający naukę, gdzie tylko zechcesz...

Byłem tylko znalazła się wystarczająco daleko stąd. Z dała od twego syna. Na wypadek, gdyby zbyt zainteresował się dziewczyną z osady czarnych...?

On jest podły - pomyślała i słowa po prostu popłynęły w ślad za tą myślą. Nie patrząc na Jona, utkwiała wzrok w oczach jego ojca.



- Panie Koenig, czy to ma znaczyć, że zapłaci mi pan, abym stąd wyjechała?

Phillip rozłożył z przesadą ramiona, cugle zwisały mu niedbale z dłoni.

- Geeno! Z taką wyobraźnią powinnaś być pisarką, nie tancerką! Miejsce koni jest na torze wyścigowym, hodowców na farmie hodowlanej, tancerzy w teatrze. Ile teatrów tu widzisz? Pomyśl o tym. I pomyśl o Paryżu, o Nowym Jorku. Mówią, że w Nowym Jorku można się świetnie zabawić!

I z tym okrzykiem zniknął. Przygarbiony, zmaląły i zadumany Ben spoglądał za nim w busz.

Jon położył rękę na ramieniu Geeny i wyczuł jej napięcie.

- Nie bierz tego nazbyt serio, Geeno - powiedział, bez powodzenia usiłując wprowadzić lekki ton. - Tato jest urodzonym przywódcą, lubi pomagać. Myśli, że może wszystkim kierować.

- No cóż, mną nie będzie kierować!

Geena gwałtownie opuściła obu mężczyzn i odeszła, próbując za wszelką cenę dotrzeć do bezpiecznego schronienia swego pokoju, nim zaleje się łzami wstydu i wściekłości. Jeśli ktoś nie zabije wkrótce tego człowieka, zaszłochała, będzie to znaczyło, że nie ma na tym świecie sprawiedliwości!

## Rozdział siódmy

Niedobrze.

Coś złego się tu dzieje.

Rose siedziała przy kuchennym stole. Uprzątnęła już resztki śniadania, doczyściła kuchnię do połysku i odeszła do domu tę nieprzydatną do niczego, fałszywą Ellie. Teraz z niepokojem poprawiła się w krzesło, pociągnęła solidny łyk z butelki trzymanej w ręce i zdecydowała się na jeszcze jedną próbę.

Ci, którzy byli teraz razem z całą resztą poza domem i reagowali, gdy wołano na nich: „Dusty”, „Slim” i „Frank”, choć

to nie były ich prawdziwe imiona, wolarze lub służący z Koenigshausu, którzy wracali wieczorami do osady w buszu, mieli lepsze sposoby nawiązywania kontaktu z duchami i wypytywania ich o wszystko, co pragnęli wiedzieć. Nie potrzebowali tego paskudztwa z butelki, by widzieć czekającą ich drogę lub trafić po nocy gdzie trzeba. Ale ona musiała dać sobie radę sama, za pomocą tego, co miała do dyspozycji.

Od dziesiątków lat sięgała po stare karty do tarota, gdy czuła, że pojawiają się duchy i że coś złego zagraża posiadłości lub tym, których uważała za swoich. Tak, jak teraz. Ale nigdy dotąd nie doświadczała tego, co w tej chwili. Wiele nieszczęść dotknęło w ciągu pięćdziesięciu lat pana Phillipa i Koenigshaus, pomyślała, ale żadne nie było aż tak straszne. Pracowicie potasowała zniszczone karty drobnymi, czarnymi dłońmi, powykręcany mi niby korzenie drzew, i podjęła jeszcze jedną próbę.

Znowu przełożyła karty i potasowała je, ponownie rozłożyła, przełożyła i wreszcie im się przyjrzała.

I oto były tu znowu, złowróżbne karty z powyginanej talii, jedna po drugiej wszystkie figury, których pojawienia się lękała. Patrzyła bez mrugnięcia okiem na piekielną trójcę zwiastującą zagładę: Wieżę, Wisielca i Szkielet z Kosą - Śmierć\* we własnej osobie.

Ramię przy ramieniu, ale całkowicie oddaleni od siebie, ojciec i syn jechali w kierunku stad, znajdujących się kilka mil od Drogi Wschodzącego Słońca. Poganiacze zdążyli już wygonić

---

\* W tarocie karta XVI Arkanów Większych - Wieża, zwana też Wieżą Babel lub Wieżą Boga - oznacza m.in. despotyzm, wypadek, wyzwolenie, ruinę, stratę pieniędzy, domu, rodziny i poczucia bezpieczeństwa; a gdy jest odwrócona ostrzega przed całkowitą przegraną, wstydem i klęską. Karta XII - Wisielca - oznacza melancholię, smutek, niespełnioną miłość; jeśli jest odwrócona - to szarpanina, nierealne plany, zdrada. Karta XIII - Śmierć - zapowiada zgon, przejście z jednego etapu życiowego na drugi, brak zabezpieczenia, lęk, ale i późniejsze uspokojenie; odwrócona - to kłopoty nie do rozwiązania, depresja, samobójcze myśli (przyp. tłum.).

bydło pod okiem Dusty'ego, aborygeńskiego nadzorcy, lecz zapewne wkrótce uda się ich doścignąć. Przez ostatnie kilka mil Jon zmagał się z uczuciem, którego nigdy dotąd nie doświadczał: ślepym gniewem na ojca.

Phillip pierwszy przerwał milczenie.

- Nie dąsaj się na mnie za ostatni wieczór. Tylko udawałem, że chcę sprzedać posiadłość, Jonno - powiedział ostrzegawczym tonem. - Nigdy nie miałem zamiaru jej się wyzbywać, próbowałem ich tylko wybadać. Po prostu lubię, kiedy mają się na baczności, to wszystko.

On nic nie rozumie, pomyślał ponuro Jon, naprawdę nic nie rozumie. Na głos powiedział:

- Być może. Ale nie w ten sposób powinno się to załatwić. Phillip od razu wpadł w gniew.

- Więc myślisz, że ty byś zrobił to lepiej, co? Jon patrzył przed siebie.

- Skoro już pytasz, to tak. Na początek próbowałbym poradzić sobie z brakiem gotówki, zamiast udawać, że ten problem po prostu nie istnieje. I nie posyłałbym w cholerę ludzi, jak Charles i Ben, którzy jako jedyni mogą ocalić naszą skórę, jeśli to w ogóle możliwe.

Nie musiał spojrzeć na Phillipa, by wiedzieć, że oczy wychodzą mu z orbit, a twarz oblewa rumieniec furii. Ale odpowiedź ojca była niebezpiecznie spokojna.

- Coś jeszcze?

- Taak. - Jon czuł, jak przewraca mu się żołądek, ale nie mógł się już wycofać. - Tracisz czas, usiłując odstraszyć ode mnie Geenę. Jest na to za mądra.

Phillip wydał ryk wściekłości.

- A niech sobie będzie sprytna, jak chce, do diabła! Ale przecież ona jest Koori, na miłość boską!

- I co z tego?

- To, że jeśli taka ci się podoba, to ją pieprz, chłopie, a nie żeń się! Mówię ci, że dopóki żyję, nie pozwolę na takie małżeństwo!

Konie wyczuły napięcie swych jeźdźców i wierzchowiec Jona zarżał cicho z niepokoju.

- Spokojnie, mały, spokojnie.

Pochylił się i poklepał gładką jak atlas, brązową szyję, próbując wymyślić, co by tu powiedzieć. Rzucił okiem na Phillipa i pomimo zdenerwowania

o mało się nie roześmiał prosto w te pełne wściekłości oczy, purpurową twarz - istną karykaturę ponurego wiktoriańskiego ojca.

Dzięki temu łatwiej przyszło mu powiedzieć:

- Trochę za wcześnie mówić o małżeństwie, tato. Po pierwsze nie wiem nawet, co Geena o mnie myśli. Ale powiem ci coś. Kiedy spotkam odpowiednią dziewczynę, będę się starał o nią na poważnie, nie tylko z nadzieją na szybki numerek!

Zaczerpnął szybko powietrza i pośpiesznie ciągnął dalej:

- A jeśli chodzi o Geenę - powinienes o czymś wiedzieć. Może mama ci o tym nie mówiła. Kiedy byłem mały, badano mi wzrok w szkolnej klinice i okazało się, że nie rozróżniam kolorów. I to się nie zmieniło!

Podniósł się następnie w strzemionach i puścił konia galopem w kierunku powolnie poruszającego się przed nimi stada.

Stojący na samym horyzoncie wiekowy baobab, stary już wtedy, gdy świat był jeszcze młody, czarny i posiwiały na tle zachodzącego słońca, służył jako punkt orientacyjny dla zbliżającej się zmęczonej grupy bydła i jeźdźców. Bardziej przypominał potwora niż drzewo, prastary, pokrecony, z korą niczym skóra nosorożca i gigantycznym pniem, zacięniał krajobraz olbrzymimi rozwidłonymi ramionami i patyczastymi, zachłannymi palcami, nadawał szarzącemu wieczorowi atmosferę jakiegoś nieokreślonego zagrożenia.

Ale sprawy mają się źle tylko wtedy, jeśli się je takimi robi - pomyślał Dusty, nawracając konia i zaganiając kolejnego krnąbrnego marudera do stada. Szefowi przydałby się napój z

kwiatów baobabu, jaki przyrządzają nasze kobiety. Słodki i uzdrawiający, ukoiłby jego serce, uspokoił go. Przez cały dzień miał zły nastrój, a teraz jeszcze bardziej mu się pogorszyło. Pogodne, brązowe oczy aborygena objęły pogrążonego w myślach Phillipa, który kierował się z furią na prawo, podrywając głowę swego wielkiego białego konia i bezlitośnie zawracając go tam i z powrotem za pomocą ostróg, jak gdyby miał pomiędzy nogami kawał mięsa, a nie żywą istotę. Dusty potrząsnął głową. W każdej chwili ogier może pokazać mu, że nie zniesie już tego dłużej, i wyświadczy nam wszystkim przysługę!

Za grzbietem góry wznoszącej się przed nimi leżało oczko wodne, miejsce o przedziwnej piękności, nieoczekiwanej pośrodku bezwodnego, szeleszczącego buszu. Od surowego pustynnego płaskowyżu z popękanymi otoczakami, wyschniętymi strumykami, posepnymi grupami skał i wysmaganymi wiatrem drzewami butelkowymi, pochylonymi pod nienaturalnym kątem, teren opadał gwałtownie ku łagodnemu zagłębieniu, znajdującemu się u podnóża niebotycznej ściany z piaskowca. Na jej pradawnej płaszczyźnie aborygeńscy artyści, śpiący już tysiącletnim snem, wymalowali najświętsze tajemnice swoich plemion. Czas i żywioły przyłączyły się do dzieła artystów, erozja i rozpad porwały i postrugały warstwy miękkiego czerwonego kamienia w dziwne falujące kształty i ciekawe rzeźby, grotty i kryjówki. Mimo to skała trwała nadal, niczym tajemne oblicze Boga, nie naruszona przez czas.

U stóp kamiennej ściany rozciągało się jezioro, przypominające arkusz platyny, odbijający niebo pokryte strzępiastymi chmurami. Wokół brzegów tłoczyły się lilie wodne, woskowobiałe oraz ciemnoniebieskie, o tak głębokim odcieniu, że wyglądały jak czarne. W oddali rosły gęste kępy wielkich strzelistych drzew gumowych, połyskujących szarosrebrzyście w szybko zapadającym zmroku. To miejsce, święte dla mieszkańców tej ziemi od niemal pięćdziesięciu tysięcy lat, było tak starodawne i osobliwe, że Jonowi zawsze przebiegały tu ciarki po plecach. Tutaj, w samym cieniu Wielkiego Ducha,

Praojca Wszechrzeczy, nie sposób było uniknąć poczucia znikomości człowieka.

Jon wziął głęboki oddech i od razu zrobiło mu się lepiej. Miejmy nadzieję, że podziela to również na starego - pomyślał ponuro, zsiadając z konia i puszczając go wolno, by skubał trawę. Będziemy potrzebować czegoś w rodzaju boskiej interwencji, by wytrzymać z nim dziś wieczór!

Ale podczas nie kończących się przygotowań do noclegu Phillip trzymał się na uboczu, wyładowując swoje humory na każdym po kolei, nie reagował na przyjacielskie zabiegi Jona, chyba by udzielić mu gwałtownej odprawy. Dopiero gdy stado ułożyło się na noc, rozpalono ognisko, a Phillip odszedł majestatycznie, by znaleźć sobie osobne miejsce na nocleg, atmosfera zelżała, i mężczyźni zanurzyli się w spokojnej wspólnocie duchowej, jaka powstaje pomiędzy tymi, którzy znają się tak dobrze, że mogą obyć się niemal bez słów.

Siedząc koło ogniska, Jon przyglądał się szczupłym, twardym twarzom mężczyzn, których znał od dzieciństwa: Dusty'ego, Slima, Franka i Jamesa, mężczyzn, bez których po prostu nie mogło być mowy o spędzie. U boku Jona siedział Henry, zarządca farmy, także przyjaciel ze szkoły i rówieśnik, dla którego Koenigowie byli całym życiem. Ale nawet Henry wahał się, czy poruszyć temat, który w sposób oczywisty zajmował wszystkich. Nagle Dusty rzucił prosto z mostu cichym, śpiewnym, rozwlekłym głosem.

- Więc dzisiejszej nocy znowu wypłoszyliśmy szefa? Jon zaśmiał się, trochę niepewnie.

- Obawiam się, że wypłoszyliśmy go... a raczej ja to zrobiłem... już wcześniej, przed dzisiejszą nocą, Dusty. Tym razem nie chodzi o to, że się drapiemy i chrapiemy głośno. Wpadł w zły humor dlatego, że on i ja mieliśmy, cholera, grube nieporozumienie. To była prawdziwa awantura, tak ty byś to określił. I on ciągle to przeżuwa.

Zapadło milczenie pełne aprobaty. Zdaniem przyjaciół z dzieciństwa, jeśli Jon miał jakąś wadę, to była nią zbytnia

wyrozumiałość i uległość wobec ojca. Ale wyraźnie czasy się zmieniały.

Slim, drobny, złośliwy mężczyzna z nieprzytomnym spojrzeniem i rozwianymi włosami, z szaleńczym poczuciem humoru, uśmiechnął się szelmowsko.

- Więc to nie ze strachu przed Bunyipem?

Wybuch śmiechu przywitał tę wzmiankę o australijskim odpowiedniku potwora z Loch Ness. Jon odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Sądzę, że trzeba czegoś więcej niż Bunyip, czegoś więcej nawet niż sam Wielki Wąż z Jeziora, aby pokonać mego ojca!

Tylko Dusty nie przyłączył się do powszechnej wesołości. Zamiast tego oczami starymi jak sam czas spoglądał ponad ogniskiem, ponad spokojnymi wodami jeziora, ku niewyraźnej masie bydła, drepczącej i porykującej w głębokiej czerni nocy. Nie uszły jego uwagi pojedyncze jęki i pełne niepokoju sapanie, których nie słyszeli inni. James kiwnął głową w jego kierunku.

- Ale Dusty coś zobaczył. Jon podniósł oczy, zaskoczony.

- Zobaczył? Co?

Dusty uśmiechnął się leniwie.

- Nie Bunyipa - odparł spokojnie.

Dusty nauczył Jona jeździć konno, czytać z gwiazd i buszu, ocenić złego poganiacza, chorego wołu, cielną krowę, i niemal wszystkiego, co miało jakieś znaczenie. A Dusty wiedział więcej, więcej niż mógłby przekazać białemu człowiekowi. Jego zrozumienie płynęło z bliskości i łączności duchowej ze wszystkimi żywymi istotami. Jon nie potrafił przypomnieć sobie czasu, kiedy nie polegał na tym szóstym zmysle, niemal jasnowidztwie swego przyjaciela.

- Więc co? - nalegał.

- Bydło - powiedział cicho Dusty. Migotliwe światło ogniska przekształciło jego twarz w tragiczną maskę, a głęboko osadzone oczy - w ciemne kałuże pełne przeczuwanego smutku. - Niedobrze tu. Bydło niespokojne. Tu straszny.

Te słowa wzbudziły lęk we wszystkich, którzy wiedzieli, że Yowi, duch ostrzegający o nadchodzącej śmierci, często przemawia do zwierząt, gdy uszy ludzi pozostają głuche. Frank i Slim spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami, a James wbił w Dusty'ego wzrok pełen niemego błagania. Niezauważalnie atmosfera stała się bardziej posępna i chłodny wiatr strachu owionął każdego z obecnych, pomimo płonącego ogniska.

- Hej, chłopcy, dajcie spokój!

Henry Suffolk, zarządca farmy i oprócz Jona jedyny nie-tubylec przy ognisku, zerwał się na nogi i wrzucił do ognia następną kłodę. Uczciwy, praktyczny i całkowicie pozbawiony wyobraźni, nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

- Te cholerne woły są wystraszone, bo wiedzą, że jutro znajdą się na targu! - zaśmiał się. - I wiedzą, że to znaczy, iż wejdą tam na czterech nogach, a wyjdą jako pierwszorzędne steki!

Dusty zamknął oczy i nie odpowiedział. Jona również to nie przekonało.

- Naprawdę? Czy one czują, że czeka je śmierć? Skąd mogą to wiedzieć?

Henry wzruszył ramionami. Dusty siedział w ciemności nieruchomy jak posąg i milczał jak grób. Frank, spokojniejszy od Slima, mimo wszystko upierał się.

- Jednak coś wisi w powietrzu. Jeśli Dusty widzi to i czuje, to znaczy, że coś się dzieje.

Tydzień temu nie zwróciłbym na to szczególnej uwagi - pomyślał Jon. Ale teraz...

- Coś złego? - spytał, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie. Tylko Slim nie zauważał pogorszenia się nastroju. Zachichotał głośno, widząc dookoła poważne twarze.

- Może coś dobrego! Kobiety aborygenów przychodzą tu, aby mieć dzieci, by dziecięce duchy z wody mogły wejść w nie i znaleźć sobie dom. Może postarasz się tu o dziecko, szefie!



Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, opanowała Jona myśl o Geenie i poruszyła go do żywego. Geena... i duch dziecka... naszego dziecka...

W tej chwili zrozumiał, że zakochał się beznadziejnie w przypominającej jelonka dziewczynie, która pojawiła się nieoczekiwanie w jego domu i życiu.

Poprawił się. Może i był zakochany, ale nie beznadziejnie. W najgorszym razie lubiła go, tego był pewien. Teraz należało tylko zmienić sympatię w miłość.

Podniósł się i odszedł gwałtownie w ciemność, korzystając ze swobodnej akceptacji mężczyzn. W marzeniach roztoczyła się przed nim wizja wspaniałej przyszłości. Geena, unosząca twarz, by słuchać jego czułych słów, potem otwierająca się przed nim jak kwiat w słońcu. I Geena jako panna młoda, cała w bieli, z białymi kwiatami we włosach... Tu przerwał, śmiejąc się ze swej głupoty. Mogła pojawić się w bieli, w kolorze żółtym, lub niebiesko-różowym, mogła wybrać dowolną barwę, i - do cholery - z łatwością zaćmiłaby wszystkie kobiety na świecie, nawet gdyby brała ślub w plastikowym worku!

A potem... a potem...

Może nadeszła pora, by stary usunął się, tak dziwnie się ostatnio zachowywał, że prawdopodobnie czas już na młodą krew. Więc... On jako pan na Koenigshausie, z Geeną u boku, miejska filia sprzedana i koniec kłopotów pieniężnych. Zostanie tylko ziemia, która należy do niego i należała, jak daleko sięgnął pamięcią. Ziemia jego i jego dzieci, ich dzieci, chłopców wysokich jak on i ojciec, dziewcząt tak złocistych, nieśmiałych, nieustępliwych i słodkich jak ich matka.

Na czarnym atłasie nieba widniały już gwiazdy, płonęły bladym ogniem. Z ciągle jeszcze rozgrzanej ziemi unosił się zapach nocy, a dusza Jona nigdy dotąd nie czuła takiego spokoju. Nagle uświadomił sobie, że Henry stanął cicho przy nim.

- Mógłbym tu umrzeć szczęśliwy, wiesz. Henry? - mruknął. Henry nigdy nie przepadał za takimi rozmowami.

- Zamierzasz wyciągnąć nogi?

Jon zaśmiał się i wymierzył karcący cios w ramię przyjaciela.

- Nie ma obawy, chłopie. Wiesz co? Ty i ja, kiedy będziemy już prowadzić ten interes, zrobimy z niego najlepszą farmę hodowlaną na całym świecie.

Henry uśmiechnął się szeroko.

- Więc zdecydowałeś już, że nie jesteś stworzony do college'u, chociaż twoja mama pragnie, żebyś się uczył?

- Nie, nigdy ze mnie nie będzie uczony, wszystko czego chcę, to liczyć bydło, jak dzień długi! Tu jest moje miejsce, nie mógłbym żyć w świecie książek, cegieł i betonu. - Przerwał. - Wystarczy tylko pozwolić stryjowi Charlesowi uporządkować sprawę w mieście, a potem będę mógł stworzyć Koenigshaus, o jakim zawsze marzyłem.

No, no... coś się dzieje pod powierzchnią - pomyślał Henry, ukrywając zaskoczenie.

- Widzę tu tylko jeden kłopot, chłopie. Co z twoim starym? Głos Jona brzmiał niemal beztrąsko.

- On się już cholernie dobrze ubawił za swoje pieniądze. Teraz moja kolej.

W martwej ciemności nocy tylko niewyraźny pył blednących gwiazd rzucał odrobinę jasności na ziemię. Obok żarzącego się ogniska postacie śpiących leżały jak nieżywe. Zamilkły nawet nerwowe woły i niespokojne konie. Cała natura spała i samo tętno życia osłabło.

A jednak nawet teraz niektóre stworzenia były pełne wigoru, poruszały się, gotowe sprowadzić nieszczęście, polowały na swe ofiary. Pomiedzy mięsistymi łodygami dzikich lilii wąż wodny ześliznął się do spokojnej wody, przeciął jej powierzchnię o barwie mosiądzu i zniknął. A pośród okrytego mrokiem buszu, poza zasięgiem małej oazy spokoju wokół wodopoju, wszystkie nocne drapieżniki poruszały się cicho i sprawnie, dążąc do wytkniętego celu, zmniejszając za każdym krokiem odległość pomiędzy sobą a bezbronną zdobyczą. Spośród nich

najważniejszy był ciemny i ciężki kształt, który ślizgał się i skręcał, obdarzony własnym złem, niosący ze sobą własną moc zniszczenia, zwiniętą w spiralę i gotową do uderzenia.

Wystarczyła chwila, by zatrzymać się na granicy doliny, rozpoznać małe obozowisko, nieruchomych ludzi leżących wokół ogniska. Każdy drapieznik wyróżniłby samotną postać, wielką, ciężką i imponującą nawet we śnie, która spoczywała w sporej odległości od grupy zapewniającej bezpieczeństwo, otulona grubym śpiworem, pogrążona w głębokim letargu.

Poruszając się niczym duch, wysłannik śmierci zbliżył się do wybranej ofiary. W chwilę później długie, połyskujące, wijące się węże, z których każdy niósł zgubne ostrze śmierci, opadły na leżącego samotnie na ziemi człowieka.

Phillip spał, śnił swój zwykły sen o zwycięstwie i tryumfie, władzy i dominacji. Teraz obudził się do najgorszego z koszmarów. Czuł, że uwięziony jest w ciele, które nie może się poruszyć, nie reaguje na paniczne sygnały strachu i wezwanie do ucieczki, płynące z mózgu. Następnie pojawiło się szokujące wrażenie nie kończącego się, milczącego krzyku, kiedy niewidoczna siła zasłoniła Phillipowi nos i usta aż poczuł, że się dusi. Potem został przerzucony z całą mocą zmyry nocnej prosto w piekło niewyobrażalnego bólu, gdy niezliczone pary jadowych kłów zagłębiały się raz po raz w jego bezbronną twarz i szyję.

Czy to mu się śniło? Czy człowiek zdrowy na umyśle mógłby mieć taki sen? Nie zdołał poruszyć nogami, gdyż przygniatało je coś ciężkiego, jego ramiona były również uwięzione i bezwładne, przyciśnięte do boków. Ale wściekłe drganie każdego z mięśni nadal rozwścieczało napastników i doprowadzone do furii gady atakowały jeszcze gorliwiej. Teraz trucizna przeniknęła do jego krwi i poczuł, jak słabnie pod ich wściekłym szaleństwem, jak zanurza się, bez odrobiny nadziei.

Ostatkiem sił próbował zrzucić ciężar pętający mu ręce i nogi, wyzwolić się spod duszącego go koca, zakrywającego nos i usta. A gdy szarpnął się w przód w gwałtownej konwulsji, przyśniła mu się twarz, którą znał równie dobrze jak swoją,

zobaczył oczy, które widywał tylko w snach. To ty. Wiedział, że spojrzął w twarz śmierci, i przywitał ją bez zaskoczenia.

Poddając się sile większej niż własna, Phillip opadł na ziemię i mgła ciemności zakryła mu oczy. Potem pogrążył się w wieczne marzenie senne, z którego miał się już nie obudzić.

## Rozdział ósmy

Jak to się działo, że nie mogła spać ani kiedy Phillip leżał obok niej w łóżku, ani wtedy, gdy go w nim nie było?

Przez całą noc Helen rzucała się i przewracała z boku na bok pomiędzy prześcieradłami, które zawsze były albo za chłodne, albo zbyt rozgrzane. Czowała, jak przeszywa ją patrzące nieruchomo oko obrzmiałego, malarycznego księżycy, jak osaczają ją niezwykle myśli i obawy. Jedna armia lęków, oblegających spokój jej ducha, grupowała się wokół Phillipa, Phillipa, Phillipa. Druga odpowiadała po prostu na hasło Charles...

- Zadzwoń do ciebie - rzekł wsiadając do śmigłowca. Powiedział to niemal z roztargnieniem, jak gdyby się już z nią pożegnał i odwracał myśli od niej ku jakiemuś zadaniu, które miał do załatwienia. Jak gdyby przenosiło go to w jakiś ponury, zimny obszar, dokąd nie mogła za nim podążyć. I dlaczego powiedział to właśnie teraz, skoro nigdy nie mówił tak wcześniej? Porozumiewali się zawsze za pośrednictwem Phillipa, jak to zazwyczaj bywa pomiędzy szwagrem i bratową. Zadzwoń do ciebie. Tak mówią kochankowie.

Charles.

- Wybrałaś niewłaściwego brata, Helen - powiedział, gdy odwoziła go na lotnisko.

Och, Charles... Wiesz tak samo jak ja, że nie wybierałam, tylko zostałam wybrana!

Nie wypowiedziała tego na głos, rzecz jasna. Ani całej reszty, która wrzała w niej, tym mocniej, że tłumiona od

dwudziestu kilku lat. No, dobrze, to ty mnie zobaczyłeś pierwszy, poznałeś mnie przed nim, kiedy pojawiłam się z plecakiem podczas tamtego spędu, szukając pracy na sąsiedniej farmie. I tak, to dla ciebie, z powodu tego, co jak oboje sądziliśmy, połączyło nas, zostałam tam, gdy spęd się zakończył.

Ale potem...

Potem pojawił się on...

Dosyć!

Nie ma sensu wracać do tego, co oboje wiedzieli, o czym będą pamiętać do śmierci.

Kiedy on się pojawił...

Kiedy tylko Phillip wpadł owego dnia, by załatwić jakąś sprawę z jej szefem, krucha, czuła, młodzieńcza miłość łącząca ją i Charlesa została zdeptana, jak gdyby przeszedł po niej cały tabun bydła. Nie minął tydzień, a Helen znalazła się w domu Phillipa, w jego łóżku. Nie minął miesiąc, a zrobił z niej nie swą kochankę, lecz żonę. Charles, na wpół pijany i oszołomiony z niedowierzania, przebrnął jakoś przez ceremonię jako drużba Phillipa. A następnego dnia opuścił Koenigshaus, by urządzić sobie życie, założyć własną firmę, tak daleko, jak się da.

Firmę...

Zrzuciła z siebie rozgrzane i poskręcane prześcieradła, wstała i włożyła koszulę i dżinsy, najcieńsze jakie mogła znaleźć. Charles i Ben upierali się, że nie będzie żadnej firmy, jeśli Phillip nie uświadomi sobie prawdziwego położenia finansowego. To było przynajmniej coś konkretnego, co mogła sprawdzić, spróbować rozgryźć.

Jeszcze nie świtało i Helen dygotała w migotliwym mroku, gdy wychodziła z domu. Przecięła obrzeżony różami podjazd i klomb i przeszła do budynku biurowego. Niski, pokryty czerwonym dachem, przypominający domek gościnny z naprzeciwka, mieścił wszystkie rejestry Phillipa i urzędowe dokumenty, a także najnowocześniejszy system komputerowy i telekomunikacyjny, jakich wymaga prowadzenie międzynarodowych operacji finansowych.

Jak wszystkie zabudowania w Koenigshausie, biuro nie było nigdy zamykane. Kiedy była tu po raz ostatni? Nie potrafiła sobie przypomnieć, nie było przecież powodu, aby tu przychodziła. Niski, kwadratowy pokój, częściowo gabinet, częściowo azyl pana domu, stanowił mieszaninę starego i nowego jak całe gospodarstwo. Stała na progu, mrugając oczami, oślepiona nagłym światłem, objęła wzrokiem masywny, sędziwy sejf z żelaza, ciężkie dębowe biurko i staromodne drewniane kartoteki, dziwnie klójące się z najnowszym modelem komputera, monitorem, teksem i cicho szumiącym faksem.

Na ścianach Phillip umieścił kolekcję starych batów do zaganiania bydła, dwie szable i grupę starych fotografii. Pomędzy nimi wyróżniały się pamiątki z ekskluzywnej szkoły dla chłopców, z której był tak dumny, i dla której -jak oznajmił - Jon nie był wystarczająco dobry. Czując gwałtowny przyływ gniewu z powodu takiego traktowania syna, Helen wpatrywała się w zdjęcia Phillipa z drużyną rugby i krykieta, z dnia otrzymania promocji. Na honorowym miejscu na ścianie, na wprost biurka, wisiał dyplom z odznaczeniem: Phillip Johann Koenig, Head Boy\*, ROCKHAMPTON COLLEGE, 1948-49.

Przy drugim biurku w rogu pracował ostatnio Ben i jego dokumenty i skoroszyty leżały nadal na wierzchu, niedbale ułożone przed jego terminalem. Białe biurko Phillipa, na odwrót, było całkiem puste, wszystkie bieżące sprawy zostały uprzątnięte przed spędem. Ale od strzelby myśliwskiej i bata w rogu, do fotografii jej i Jona na biurku, obok pudełka cygar, pokój przesycony był obecnością Phillipa. Wzięła głęboki oddech. Boże, tu nawet pachnie nim - jak gdyby mógł wejść w każdej chwili.

Ale nawet to wspomnienie nieprzeciętnej osobowości męża nie mogło powstrzymać Helen przed zrobieniem tego, co musiała. I przy komputeryzacji, pomyślała, musi znaleźć się jakiś

---

\* Head boy - przewodniczący starszych uczniów, pełniący rozmaite funkcje w college'u, reprezentujący szkołę na zewnątrz przy uroczystych okazjach (przyp. tłum.).

ślad tego, jak się rzeczy mają - dobrze czy źle. Podeszła do biurka Bena i otworzyła pierwszy ze skoroszytów leżących na stole. Czarne litery i czerwone cyfry zatańczyły przed jej oczami.

Należność nie została uregulowana od... O ile rachunek nie zostanie uregulowany bezzwłocznie... Pragniemy powiadomić pana, że oddajemy sprawę w ręce naszych doradców prawnych...

Tych pism musiało być ze czterdzieści albo pięćdziesiąt. W panice sięgnęła do następnego skoroszytu. Wystarczył jeden rzut oka na wykaz dokumentów, spisany starannym, typowym dla księgowego pismem Bena, i nie musiała czytać już dłużej: wyrok zaoczny przeciwko Koenig Holdings, styczeń-marzec, kwiecień-czerwiec. Dalej leżały Wyroki w trakcie realizacji... Boże wielki, czyżby winni byli pieniądze całej Australii?

Co ten Phillip wyprawia? W co on się bawi? Z wściekłością pokonała trzema krokami odległość pomiędzy biurkami Bena i męża i usiadła w wielkim rzeźbionym, krytym skórą krześle. Z furią wyciągała szuflady, jedną po drugiej.

W górnej, po prawej stronie leżała wielka, brązowa koperta, którą rozpoznała od razu. Phillip pokazał ją Helen dawno temu i powiedział, gdzie będzie mogła ją znaleźć. Otworzyć po mojej śmierci. Odłożyła ją na bok. Pod spodem znalazła pióra, ołówki i wszystkie typowe dla biurka biznesmena drobiazgi oraz kilka rzeczy, które dobrze charakteryzowały Phillipa -wielofunkcyjny nóż wojskowy, skrobak do skór oraz rewolwer.

Faktury, faktury... i rachunki... rachunki, rachunki, rachunki. Więc Charles miał rację. Phillip dobrze wiedział o finansowych kłopotach Koenigshausu i postanowił je zlekceważyć. Rzeczywiście, podział odpowiedzialności pomiędzy biurkami Phillipa i Bena nie mógł być bardziej wyraźny - daty na dokumentach wskazywały, że informacje nie docierały do Charlesa i Bena, dopóki sprawy nie osiągnęły krytycznego punktu, kiedy nie można było już nic poradzić.

Och, Phillipie... Coś ty zrobił, o czym myślałeś przez ten rok, a może nawet dłużej? Z ciężkim sercem dotarła do ostatniej szuflady po lewej. W przeciwieństwie do pozostałych zaciniała się

i Helen musiała otworzyć ją szarpnięciem. Kiedy poprzednio ją wysuwano? Jeden rzut oka na wypełzłą zawartość i już wiedziała.

Nagłówek na górze rzucał się w oczy równie natargywie jak przed dwudziestu pięciu laty, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

*TRAGEDIA ŻONY PHILLIPA KOENIGA W BUSZU,  
KOBIEITA ZMARŁA PO UPADKU Z KONIA.*

Dłońmi tak zimnymi, że straciły czucie, wyjęła kruchy zwitek wycinków i rozpostarła je na biurku.

Nie musiała czytać, co było tam napisane, pamiętała każde słowo.

*W tym tygodniu, jak donoszą, w Koenigshausie zginęła po upadku z konia żona pana Phillipa Koeniga, właściciela trztyśięcznoakrowej farmy.*

*Pani Koenig (lat 33) zginęła podobno na miejscu, gdy jej koń spłoszył się, napotkawszy w buszu brązowego węża. Jej mąż jechał obok, ale nie był w stanie zapobiec wypadkowi.*

*Pani Koenig, znana powszechnie w okolicy jako Trudi, była osobą bardzo popularną w Terytorium Północnym od czasu małżeństwa z Phillipem Koenigem przed piętnastu laty. Urodzona w Ameryce, pochodziła ze starej i bogatej rodziny z dalekiego Południa i nigdy nie straciła uroku typowej południowej piękności. Pełna talentów jako pani domu i olśniewająca jako gość była ozdobą życia towarzyskiego oraz idealną małżonką jednego z najwybitniejszych ludzi naszego kraju. Gdyby Phillip Koenig zdecydował się na karierę polityczną, co rozważał ostatnio, nie ma wątpliwości, że Trudi Koenig skorzystałaby skwapliwie z okazji, by zabłysnąć na szerszej arenie i wycisnąć niezapomniane piętno na życiu publicznym Australii.*

Pod wycinkami leżała fotografia, ręcznie naniesione kolory były nadal żywe, choć czas sprawił, że tekturowe brzegi ramki popękały i się powyginały. W obramowaniu drzwi rezydencji stała kobieta, na wpół zwrócona do kamery, z uśmiechem pełnym pewności siebie, z twarzą uniesioną ku niebu.



Pomimo palącego słońca smukłe ciało pod odsłaniającą ramiona suknią było białe niczym lilie Madonny, a długie, wąskie palce na framudze świadczyły o delikatności i pochodzeniu, o dziedzictwie wielu wieków. W łagodnym świetle werandy wielkie, ciemne oczy, lśniąco włosy i pełne, czerwone usta nabrały niemal nadnaturalnego blasku, piękne ciało promieniowało żywotnością. Kobiętę obejmował w pasie przytulony młody chłopiec, wpatrzony w nią z takim podziwem, z jakim ona zdawała się spoglądać na mężczyznę, stojącego za kamerą.

Oczy Helen padły na ostatnią linijkę artykułu w gazecie. *Osierociła trzynastoletniego syna Alexandra...*

Czy to dlatego pokochała Phillipa przed dwudziestu pięciu laty, przez wzgląd na dziecko; które w tamto popołudnie straciło matkę?

Nie... bo nawet wtedy dziecko to z goryczą odrzucało wszelkie współczucie i z wysiłkiem, jaki podjąć mogą tylko młodzi chłopcy, usiłowało stać się z dnia na dzień mężczyzną. Było to zadanie na całe życie, niemożliwe do osiągnięcia w ciągu miesiąca, mniej niż miesiąca. I nigdy mu się to nie udało.

Jej zeszywniałe palce przebierały wycinki - wiedziała, że to musi tam być.

### *NOWE NIESZCZĘŚCIE W RODZINIE KOENIGÓW, SYN ZAGINAŁ WKRÓTCE PO ŚMIERTELNYM WYPADKU MATKI.*

*Gaśnie nadzieja na odnalezienie zaginionego w interiorze przed pięcioma dniami syna Phillipa Koeniga. Jak mówią, Alexander Koenig (lat 13) zachowywał się dziwnie od śmiertelnego wypadku matki przed trzema miesiącami. W ubiegłą środę pożegnał się z aborygeńską gospodynią, Rose, dosiadł konia i odjechał do buszu. Dotąd nie powrócił. Nie udało się na razie ustalić miejsca jego pobytu.*

*Policja napomyka, że dalsze poszukiwania zostaną odwołane. Zrozumiałe, że Phillip Koenig będzie na własną rękę szukał jedynego syna. Nagle zniknięcie Alexandra rzuciło cień na próby wniesienia na nowo szczęścia w życie tej tragicznej*

rodziny. W ubiegły czwartek pan Koenig (lat 35) ogłosił zaręczyny z panną Helen Williams (lat 18), która pracowała w okolicy od kilku miesięcy. Spodziewano się, że wesele odbędzie się wkrótce. Pan Koenig odmówił wczoraj wszelkich komentarzy.

Alex.

Nie było wytchnienia, ta rana ciągle pozostawała otwarta.

Dlaczego była tak pewna, że po ślubie potrafi zyskać miłość i zaufanie chłopca, doprowadzić do tego, by ją zaakceptował? Dlaczego była tak porwana szaleństwem zalotów Phillipa, że pozwoliła sobie zignorować

zagubienie, ból, strach i oskarżenie w tych jasnych, płonących oczach dziecka?

To z jej powodu chłopiec odszedł do buszu, by umrzeć. A potem szaleństwo miłości Phillipa zmieniło się w furtkę żalu, który tylko ona mogła uleczyć. To przypało jej małżeństwu, zamiast prostej miłości - świadomość, że spotkało to człowieka tak silnego, tak potężnego, razem ze zrozumieniem jego rany, gniewu, bólu, i ze śmiertelnie koktajlem jego potrzeb, jego pożądania...

Phillip.

Czuła tak silnie jego obecność, wydawało się, że jest tutaj, teraz...

Serce wezbrało jej litością i bólem... litością dla jego cierpienia, bólem z powodu jego bólu.

Och, Phillipie, dlaczego tak musiało być? Wiem, że zniosłeś tyle bólu z powodu Trudi. Ale dlaczego ja musiałam cierpieć, by ci to wynagrodzić? Żadna kobieta nie powinna być do tego zmuszona. Przykro mi, Phillipie, ale to już koniec.

Drzwi otworzyły się nagle i do środka cicho weszła Rose. W ślad za nią, za jej małym, czarnym cieniem ciągnął się ostry, cuchnący zapach alkoholu, jak to zawsze bywało po złej nocy.

- Światło zapalone - powiedziała obcesowo. - Światło tutaj, dwa, trzy razy, późno w nocy. I nigdy nikogo.

Ona śni - pomyślała ze znużeniem Helen, sięgając po omacku po papierową chusteczkę i usiłując otrzeć łzy. Albo jest pijana. Odezwała się ochryplym głosem.

- Dopiero co weszłam, by czegoś poszukać.

Rose objęła wycinki, fotografię i twarz Helen jednym wszechogarniającym spojrzeniem.

- Tak czy owak, niezależnie od tego, czego pani szukała, znalazła pani ją - oznajmiła cichym, przeciągłym szeptem. - Ona jest tutaj, ciągle jeszcze jest tutaj.

- Ciągle jest tutaj? Kto?

- Pani Trudi. Nigdy nie odeszła.

Ona ma rację - przyznała w duchu Helen. Nigdy się jej nie pozbyliśmy, Phillip i ja. Ani Alexa.

Jeśli tylko mogą się pojawiać, to z pewnością ich duchy to robią.

Może się gdzieś odnaleźli, matka i syn? Odrzuciła od razu ten pomysł. Gdyby tylko mogła uwierzyć, że Trudi i Alex spotkali się wreszcie, że połączyli siły, by się nawzajem pocieszyć, gdziekolwiek się teraz znajdowali. Gdyby!

Rose nadal mruczała pod nosem.

- Wróciła. Dzisiaj.

Helen nie chciała uwierzyć własnym uszom.

- Rose, coś ty powiedziała?

- Wróciła - powiedziała Rose gardłowym głosem, pełnym jednak wigoru i przekonania. - Pani Trudi wróciła tu, teraz.

Strach powoli ścinał szpik w kościach Helen.

- Wróciła? Po co?

Ale знаła już odpowiedź. Była tylko jedna rzecz albo jedna osoba, po którą mogła wrócić Trudi.

Rose wypuściła dech z piersi, z ostrym, długim sykiem.

- Wróciła po pana Phillipa.

## Rozdział dziewiąty

Przywieźli go godzinę później. Orszak jeźdźców sunął wolno z ciężką, wstrząsaną drgawkami postacią na prowizorycznych noszach, zawieszonych pomiędzy najsilniejszymi końmi.

*Yawoma, yawoma yaldeenie nongoma murtanna, ouraka mantenekin, wana ma nanudagabalaria...* Wróc, o wróc, woła żona do męża, poczekaj, poczekaj na mnie, dlaczego nie zaczekałeś...

Pełen rozpaczony krzyk Rose przed rozpoczęciem owego monotonnego lamentu żałobnego był pierwszym i jedynym sygnałem ostrzegawczym dla Helen, zanim i ona pogrążyła się w otchłani przerażenia i smutku. Gdy wybiegła pędem na werandę, gdy patrzyła, jak przybysze zdejmują nosze z nie widzącym, krzyczącym i rozedrganym Phillipem, nie mogła uwierzyć, że całe jej życie ulega destrukcji, eksploduje w nawałnicy bólu i krwi.

Och...

Zawsze wiedziała, że to będzie tak boleć, i jak każda z kobiet poślubionych starszemu mężczyźnie, często próbowała przeciwiczyć ten ból, wyobrazić go sobie choć w najmniejszym stopniu.

Sądziła, że jest na to z góry przygotowana. Teraz wiedziała, że nigdy nie byłaby gotowa, nawet gdyby miała przed sobą jeszcze jedno życie.

- Pani Koenig?

To zwrócił się do niej Dusty, w jego oczach, starych jak sam czas, widziała zrozumienie, zaskakujące u tak młodego człowieka. Niezgrabnie wskazał ręką rozgorączkowaną postać na prymitywnych noszach.

- Gdzie mamy...

- Tutaj - odrzekła. - Wnieście go tutaj.

Jon stał obok masywnego ciała ojca, milczący, z błędnym wzrokiem. Wysoki, szeroki w ramionach, sprawiał wrażenie przygotowanego na wszystko mężczyzny, ale oczy należały do zagubionego, zdezorientowanego dziecka.

- Ukąsił go wąż - powiedział ochryplym głosem. - To musiał być brązowy wąż. Henry wzywa przez radio lekarza.

Ich oczy, ich umysły wyraziły zgodnie tę samą myśl: już za późno.

Nie krzycz - powiedziała sobie tępo. To nic nie zmieni. Ale nie mogła powstrzymać łez, wzbierających w głębokim lochu rozpacz, gdzie wszystko zdawało się rozplýwać i roztopiać. Phillipie, och, Phillipie.

Wydawało się jej, że cierpi podwójnie, jako żona z powodu męża, a jako matka - z powodu syna. Jon wyglądał, jak gdyby on też znalazł się na łożu śmierci. Twarz miał bladą, jego ciało z trudem znajdowało się do życia. Ledwo mógł wydusić z siebie kilka słów, by opowiedzieć jej, co się stało. Potem załamał się zupełnie.

- Straciłem głowę, mamó - szepnął rozpaczliwie. - Nie wiem, co robić. W migotliwej mgiele na zewnątrz drzemał nadal obojętnie czerwony, bezpłodny interior. Jakie znaczenie ma jeszcze jedna śmierć, zdała sobie sprawę Helen, wobec pięćdziesięciu, stu, dwustu tysięcy lat? Duchy tej ziemi widziały, jak tylu ludzi rodziło się i umierało. Ale nie tak jak on - zapłakała - nie w ten sposób.

- Cholernie brzydka sprawa!

Żwawy, niewysoki latający doktor widział w życiu dosyć zgonów i jak wszyscy lekarze uświadamiał sobie, jakie miejsce ma każda śmierć w wielkim planie wszechrzeczy. Mogła być akceptowana, nawet witana chętnie, gdy chodziło na przykład o człowieka, który przeżył do końca swe długie życie i zegnał się z nim łatwo, lub gdy uwalniała cierpiącego z katowni długotrwałego bólu i męki.

Ale nie w taki sposób! Człowiek w pełni sił, zaskoczony jak jakaś głupia kaczką, odchodzący w tak straszliwych cierpieniach, ze sparaliżowanymi strunami głosowymi, wywróconymi oczami, człowiek, którego każdy miesiąc napinał się jak stalowa lina, gdy rzucał się niespokojnie, jak gdyby nadal próbował odpędzić napastników...

Doktor zwrócił się gniewnie do mężczyzn o pobladłych i surowych twarzach, którzy otaczali ciągle jeszcze drgającą potężną postać, złożoną na kozłach, pośpiesznie przyniesionych z obory.

- Phillip Koenig spędził w buszu całe życie - powiedział. - Jakim cudem dopadł go teraz brązowy wąż?

Nie było odpowiedzi poza gardłowym rżeniem umierającego człowieka, które po pewnym czasie umilkło.

On jest naprawdę wspaniały, po prostu piękna bestia, cudo nie chłop! I wystarczy tylko ten błysk uśmiechu w oczach, a kto wie, do czego mógłby namówić dziewczynę...

Służąca z westchnieniem zamknęła za sobą drzwi domku i ze smutkiem odeszła. Oczywiście, wiedziała, że nie zapewniano tu pełnej obsługi, jaki motel to robił? No, może w eleganckich miejscowościach. Ale nie tu, w samym sercu Terytorium Północnego, w tak odległym punkcie mapy, że podróżni byli szczęśliwi, iż w ogóle mają się gdzie zatrzymać. A niezależnie od tego, do czego pretendował „Happy Valley Motel” (właściciel E. G. Gibbons), z pewnością nie był to „Ritz” w Sydney.

A on dobrze wiedział, że jest tylko służącą. Myła drzwi sąsiedniego domku, gdy pojawił się i przywitał z nią z tym olśniewającym uśmiechem. Więc musiał wiedzieć, że nie należy to w gruncie rzeczy do jej obowiązków, gdy zastukała do jego drzwi tego ranka i spytała:

- Jadł pan śniadanie? Wliczone jest w cenę pokoju. Czy mogę przynieść coś z baru?

Po prostu musiała go znowu zobaczyć. A kiedy otworzył drzwi i zorientował się, kto go odwiedził, nie wydawał się

zaskoczony. Prawdę mówiąc, zaśmiał się cicho i te błyszczące, ciemne oczy spoglądały na nią tak żartobliwie, że poczuła rumieniec pokrywający szyję i musiała spuścić oczy.

- Przynieść mi coś? - zapytał, wodząc wzrokiem po jej ciele. Stała, czując to spojrzenie, opływające ją niczym gorąca woda z prysznica. - Nie, nie sędzę - ciągnął, przesuwając szczupłą, opaloną dłońią po włosach. Uśmiechnął się szeroko. - No, może z wyjątkiem...

Może. Sposób, w jaki wypowiedział to słowo, sprawił, iż po prostu topniała. Cokolwiek powodowało, że kobiety pragnęły niektórych mężczyzn, on miał tego dwa, trzy razy więcej. Tak jak Phil Gibbons był tego pozbawiony - pomyślała ze smutkiem, wspominając spocone dłonie, krótkie nogi i wystający, typowy dla piwoszy brzuch swego obecnego adoratora.

- Z wyjątkiem...?

Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Zwrócenie się do klienta w tak wyzywający sposób było wystarczającym powodem, by ją z miejsca zwolniono, zanimby zdążyła mrugnąć okiem. Takie przyjęto zasady w motelu tego starego drania Gibbonsa, który był równie pruderyjny, jak jego syn napalony.

Ale ten facet to nie żaden stary klient! Sylwetka jak marzenie, jednocześnie silna i zrelaksowana, szerokie ramiona i najzgrabniejszy tyłek w najelegantszych spodniach, jakie kiedykolwiek widziała. Obdarzony niedbałym wdziękiem, a równocześnie naładowany silną porcją arogancji.

I miał powody do zarozumiałości. W rozmarzeniu robiła w myśli przegląd jego uroków. Rozjaśnione słońcem pasemka gestych, lśniących włosów, fantastyczny profil, klasyczna linia szczęki i podbródka, oczy równie dzikie i ciemne jak u sokoła, rozświetlone humorem, ale z jakąś tajemnicą kryjącą się w głębi, mocne, solidne dłonie...

Niemal jęknęła, jak gdyby czuła je na piersiach.

- Z wyjątkiem...?

Zaśmiał się, mówiąc to. Dobrze wiedział, co miała na myśli, że podawała mu się jak na tacy, wyczytała to z jego twarzy. I z przelotnego uszczyplenia w ramię, jakim ją obdarzył, gdy tak stali u drzwi.

- O tak - powiedział. - Z wyjątkiem rachunku. Muszę wyjechać. Reszta wyjaśnień docierała do niej z trudem. Wyjeżdżał od razu, pilny interes, ma do załatwienia przykrą sprawę, przyjechał tu z daleka, dobry, stary Qantas, gdyby nie ta najstarsza australijska linia lotnicza, nie zdążyłby na czas, nie wypada mu się spóźnić...

Przez drzwi mogła zobaczyć dobrze skrojony, stonowany garnitur leżący na łóżku, obok niego białą koszulę i czarny krawat. Skinęła ponuro głową. Może gdyby zjawił się wcześniej... gdyby miała więcej czasu... gdyby zobaczył ją zrobioną na bóstwo, a nie w tym głupim kitlu i brudnym, białym fartuszkum...

Może...

Ale przynajmniej będzie miała o czym marzyć wieczorem, gdy Phil Gibbons zwali na nią tłuste cielsko i zacznie się miotać bezsensownie, pocąc się i chrząkając jak świnia, którą zresztą był. Może myśleć wtedy o tajemniczym mężczyźnie i udawać, że jest z nim. I naprawdę był tajemniczy, знаła tylko jego nazwisko, nie podał nawet adresu, gdy się wczoraj meldował, zapisał tylko „przejazdem...”

- Mój rachunek?

Jego oczy, płonące teraz jak czarny ogień, z iskrami błyskającymi w głębi niczym robaczki świętojańskie, spoglądały na jej twarz z wyraźnym rozbawieniem. Czerwieniąc się gwałtownie, przywołała się do porządku.

- Tak, oczywiście, pana rachunek... Zaraz im powiem. Będzie gotowy, kiedy zechce pan wyjechać, panie King.

Boże wielki, kiedy po raz ostatni miał na sobie garnitur? Przeklinając i złorzecząc, Jon wcisnął się w marynarkę, która w zestawieniu z dopasowanymi spodniami sprawiała, że czuł się jak



w dobrze skrojonym kaftanie bezpieczeństwa. Szttywny kołnierzyk białej koszuli wpijał mu się już w szyję, aż miał wrażenie, że za chwilę odetnie mu głowę. Zawiązanie czarnego krawata wydawało się tylko drobną niewygodą w zestawieniu z tymi wszystkimi torturami.

Pomyślał, że wie teraz, co człowiek przeżywa w stanie nieważkości, tak dziwnie czuł się, wychodząc z pokoju. Zszedł po szerokich schodach i automatycznie skierował kroki w lewo, na tyły domu, nie potrafił bowiem stanąć przed ludźmi, którzy zebrali się już przed salonem. Żalobnicy przybywali z całego terytorium, samochodami, helikopterami, małymi samolotami. To zrozumiałe, że wszyscy pragnęli oddać Phillipowi ostatnią posługę.

Ale Jon buntował się w głębi duszy. Gdyby to ode mnie zależało, tato, mówił sobie z oczami pełnymi łez, wzięlibyśmy w tym udział tylko ja i mama, Charles, Ben, Geena i Rose. I pochowalibyśmy cię w interiorze, gdzieś na wzgórzu, gdzie mógłbyś spać pod gwiazdzistym niebem, jak to zawsze robiłeś. Nie pozwoliłbym zapakować cię pod podłogę tej cholernej kaplicy, razem z resztą starych kości!

Gdy wychodził bocznymi drzwiami, przy stajniach zobaczył konia - kolejny wyrzut sumienia. Zwieszając głowę przez przegrodę boksu, Kaiser, wielki ogier Phillipa, wyglądał tak ponuro i źle, jak to tylko potrafią wspaniałe niegdyś, a obecnie zaniedbane konie. Nawet jego lśniaca, biała sierść stała się teraz szorstka, spojrzenie miał tępe, a nastrój, jeśli sądzić po wściekle wyszczerzonych żółtych zębach i położonych uszach, dramatycznie pogorszył się w ciągu tygodnia, jaki upłynął od śmierci Phillipa. Muszę go stąd zabrać - pomyślał Jon - i trochę rozruszać, inaczej po prostu zwariuje w zamknięciu. Prawdopodobnie mnie zrzuci i nieźle poturbuje, taki z niego drań. Tak przywykł do Phillipa, że najpewniej nie uzna żadnego innego jeźdźca. Ale jestem winien tę próbę im obu.

Miał dość rozsądku, żeby nie próbować poklepać rozwścieczonego konia, i rzuciwszy mu parę słów, wolno

przeszedł przed dom, by czekać na pojawienie się żałobnej procesji. Zdążył w samą porę, by zobaczyć, jak Helen wybiega pośpiesznie przez główne drzwi. Zeszła po schodach, przecięła podjazd i skierowała się do budynku biurowego. Czego tam szukała? Cicho przeszedł jej śladem po trawie i wszedł do pawilonu.

Stała przy ścianie, za masywnym dębowym biurkiem Phillipa i ciężkim, rzeźbionym krzesłem. Kuląc się przed sejfem, naciskała po kolei guziki, próbując usłyszeć odgłos opadających zapadek. Była tym tak pochłonięta, że nie słyszała kroków syna. Był już prawie przy niej.

- Cześć.

Obróciła się gwałtownie, z winą wypisaną na twarzy, tłumiąc okrzyk przyciśniętą do ust dłonią.

- Jon! Myślałam, że jesteś w domu!

- O co chodzi? - Matka zachwiała się i musiał złapać ją za ramiona. - Hej, co się dzieje?

Helen z olbrzymim wysiłkiem usiłowała wziąć się w garść.

- To nic, kochanie, naprawdę. Wszyscy w domu są teraz zajęci i wydawało mi się, że to właściwa chwila... Pomyślałam po prostu... no, cóż, ponieważ przyjedzie pan Carey z banku, przyszło mi do głowy, że powinniśmy sprawdzić, czy nie ma tu jakiejś kopii testamentu, czy czegoś, co powinniśmy dla niego przygotować...

Jej głos zamarł.

Jon potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Ale przecież on jest wykonawcą testamentu, więc będzie go miał ze sobą.

Kiwnęła żywo głową.

- Och, z pewnością. Zastanawiałam się tylko, czy nie będzie tu jakichś innych zapisów... Wiesz, jaki był Phillip...

Biedna mama - pomyślał. To był dla niej taki wstrząs, zupełnie traci głowę.

- Wiesz, tato mówił, iż tylko jeden z nich jest ważny - powiedział łagodnie.

Przytaknęła z nagłą ulgą.

- Ten ostatni, tak... w którym zapisuje wszystko tobie. Och, jestem pewna, że nie ma się o co martwić.

Niezgrabnie poklepał ją po ramieniu.

- Słuchaj, jeśli chcesz otworzyć sejf, prawdopodobnie znajdziesz szyfr razem z numerem rachunku bankowego i całą resztą w kopercie z biurka którą polecił otworzyć po swojej śmierci. To powinien być sześciocyfrowy numer, wszystkie stare sejfy są takie same. Mam ją w pokoju. Mogę ci ją dać, kiedy tylko zechcesz.

- Nie, nie, kochanie, w porządku. - Uścisnęła uspokajająco jego dłoń. - Jestem pewna, że Phillip nie trzymał tu nic ważnego, prawdopodobnie ter sejf nie był otwierany od czasu śmierci jego ojca. I tak wszystko przechowuje się teraz w komputerze, z hasłem i tak dalej, a tym zajmują się Charles i Ben.

Odwrócili się jednocześnie i wyszli z biura, by dołączyć do gości.

- Nie ma się czym martwić - powtarzała sobie uparcie Helen.  
- Phillip musiał zadbać o wszystko, zawsze to robił. A ty dowiedziałaś się czegoś nowego, trzeba szukać sześciocyfrowego numeru. Ale to był głupi błąd następnym razem powinnaś być bardziej ostrożna!

## Rozdział dziesiąty

Na dworze, w rozpalonej spiekocie i kurzu południa zgromadzili się aborygeńscy mieszkańcy Koenigshausu, by po raz ostatni pożegnać swego pana i ułatwić drogę duchowi Phillipa, wędrującemu gdzieś w Wielkim Śnie, który miał odtąd być jego domem. Unosząc ręce ku twarzy, jedna ze starych kobiet czystym, gardłowym głosem rozpoczęła harmonijny, monotony śpiew, a pozostałe, jedna po drugiej, przyłączały się do niej.

- *Ninnana combea, innara inguna karkania...* O Wielki Duchu, Praojcze Wszechrzeczy, dąb błotnisty wzdycha i płacze,

drzewo gumowe roni krwawe łzy i pogrąża się w żalobie, bo ciemność zagarnęła jedno z twych stworzeń...

W domu zebrali się znajomi Phillipa, by pożegnać się z nim na zawsze. Helen witała ich jak we śnie, zdawali się przepływać przed nią jak nurkowie pod wodą. Miejscowi farmerzy, hodowcy bydła, wolarze, ci, z którymi prowadził interesy w mieście. Nigdy nie wiedziała, z iloma ludźmi przyjaźnił się Phillip ani jak wielu miało powód do wdzięczności za to, co dla nich zrobił.

- To był wspaniały facet, pani Koenig, jeden z najlepszych - wyraził opinię mocno zbudowany olbrzym ubrany w mundur lokalnej policji, koloru khaki. - I ja, i Roscoe zawsze będziemy pamiętać, jaki był hojny. Dla nas wszystkich i dla policji, nigdy nie zapominał na Boże Narodzenie o datku na Fundusz na Rzecz Wdów i Sierot po Policjantach, prawda, Roscoe?

Jego towarzysz skinął z żalem głową.

- George dobrze mówi, będzie nam brak pana Koeniga, zawsze chciał byśmy mieli posiadłość na oku, choć prowadził wszystko w taki sposób, że nie było tu żadnych kłopotów, no nie, George?

- Żadnych kłopotów, Roscoe, nie, nigdy, nie z panem Koenigiem.

- Dziękuję, George... dziękuję, Roscoe... Och... dziękuję, to miło z waszej strony... cieszę się, że mogliście przybyć...

Wydawało się, że ta tortura nie będzie miała końca. Ale wreszcie dano znać, że ceremonia pogrzebowa może się rozpocząć. W ciężkim milczeniu żałobnicy wyszli z domu dwójkami i trójkami, tworząc ponurą procesję, przecięli drogę i trawniki za budynkiem biurowym i domkiem gościnnym, aż doszli do małej, zbudowanej z kamienia kaplicy luterańskiej. Słońce przeszywało już palącymi promieniami wysokie, wąskie okna i oświetlało pyłki kurzu tańczące wokół trumny Phillipa, stojącej w środku, w smudze ukośnego światła. W samym końcu wyłożonej kamiennymi płytami nawy stał skromny i surowy ołtarz, a zwykły, biały obrus i woskowe świece odznaczały się prostotą, którą zaakceptowałby i pochwalił nawet sam Luter.

Przed ołtarzem, obok wieńca z białych lilii i kamelii, usunięto kilka kamiennych płyt, odsłaniając ziejący czernią otwór krypty. Idący na przedzie Jon, z matką czepiającą się jego ramienia, poczuł, jak serce ściska mu się na ten widok. Nie tu jest twoje miejsce, tato! - krzyknął bezgłośnie w rozterce. Powinniśmy pochować cię w buszu, pod gwiazdami!

Obok niego Helen przygotowywała się, by po raz ostatni spojrzeć na męża. Serce ciążyło jej tak, że ledwo mogła się poruszać. Phillip Koenig leżał we wspanialej, wyłożonej jedwabiem trumnie, ustawionej na tych samych kozłach, na których wyzionął ducha, na pozór - jak by to powiedział właściciel tutejszego zakładu pogrzebowego - „w pokoju”.

Ale nie widzące, wywrócone oczy zmarłego nie dały się zamknąć pomimo wszystkich wysiłków i nawet sztuka kosmetyczna szefa domu zmarłych nie potrafiła ukryć jadowitych sinoczerwonych śladów ukąszeń, szpecących woskowo bladą twarz i szyję. Jak wszyscy obecni tu mężczyźni, Phillip ubrany był w rzadko noszony garnitur i koszulę z krawatem, a jego wielkie dłonie, białe i ciężkie jak jego twarz, skrzyżowane były na piersi. To nie jest Phillip! - tylko ta myśl utkwiała w głowie Helen. To nie jest mężczyzna, którego znałam! Aż mdliło ją od tej świętoszkowatości. Co oni z nim zrobili, teraz, gdy nie może się przeciwstawić? Nigdy by nie skrzyżował rąk w ten sposób za życia! Nie był wierzący, sam był dla siebie Bogiem i Szatanem!

Wsparta na ramieniu syna przeszła wzdłuż nawy, zatrzymała się przed trumną i, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, pochyliła się, by ucałować twarz męża. Policzek Phillipa był tak zimny, jak się tego spodziewała, ale wydawało się również, że pokrywa go pot lub wilgoć, jak powierzchnię podziemnych skał. Walczyła wściekle ze sobą, by ukryć dreszcz. Gdy podniosła oczy i odsunęła się, jej wzrok padł na umierającego Chrystusa z wielkiego starego, dębowego krucyfiks wiszącego nad ołtarzem. Miała wrażenie, że przygląda się jej z nieustającym współczuciem i z nieskończoną pogardą.

Och, gdzie jest Charles?

Sama powiedziała mu o wszystkim, wyprzedzając Jona, Bena i zarządcę farmy, który wykonał solidną robotę, pomagając w trudnym zadaniu poinformowania sąsiadów o śmierci Phillipa. Z rozkoszą przekazała innym załatwienie tych telefonów lub telegramów. Ale wiedziała, że tylko ona może zawiadomić Charlesa.

- Co? Jak?

Jego głos brzmiał bezbarwnie, jak gdyby ta nowina zupełnie go nie zaskoczyła. On w to po prostu nie wierzy.

- Wąż. Ukąszenie węża. - Zaczęła płakać.

- Nie płacz - powiedział gwałtownie. - Och, nie płacz, Helen, proszę. Muszę pozatławić mnóstwo spraw, ale przyjadę, jak tylko będę mógł. - Był zmartwiony. Ale wiedziała, że to z powodu jej płaczu, a nie okrutnej śmierci Phillipa.

Teraz stał przy niej, ubrany na czarno jak Jon, i posepny niczym śmierć. Dzisiaj nikt nie uznałby go za przystojnego. Całą jego urodę przesłoniło pełne wściekłości roztargnienie, równie widoczne, jak żałobny garnitur. Nie odzywał się niemal wcale od chwili przylotu helikopterem Koenigów z Sydney przed paroma godzinami.

Po drugiej stronie nawy klęczał Ben z Geeną u boku, twarz ukrył w dłoniach, poruszał grubymi wargami, jak gdyby próbował się modlić. Był szary i wynędzniały, postarzał się w ciągu ubiegłego tygodnia o lat dziesięć. Wciąż zamykał się w biurze i unikał pozostałych domowników. Geena w czerni była złocista, wspaniała i wydawało się, że ostatnie wydarzenia zupełnie jej nie zmieniły - i to spostrzeżenie wstrząsnęło Jonem. Jak tylko to wszystko się skończy, będzie czas o tym pomyśleć...

U drzwi kaplicy podszedł do nich z powitaniem przepracowany przyjezdny kapłan, odpowiadający za to olbrzymie, zapomniane przez Boga terytorium.

- Kiedy chce pani zacząć, pani Koenig? - spytał cicho. Jon odsunął się, by Charles mógł zająć miejsce w pierwszej ławie, potem pomógł usiąść obok niego Helen i kiwnął głową, by rozpoczęto ceremonię. Przesuwając się na środek nawy, pastor

nie musiał nawet zaglądać do starej Biblii o złoconych literach, którą trzymał otwartą w obu dłoniach. Wypowiadane cichym, ale pewnym głosem, znane wszystkim słowa docierały do uszu każdego.

- Jam jest Zmartwychwstaniem i Życiem, mówi Pan. Człowiek, zrodzony z niewiasty, ma żywot krótki i nadejdzie szybko czas, kiedy odsłonią się wszystkie tajemnice serca, kiedy ujawnione zostanie wszystko, co ukryte, a nasze dusze staną przed Tobą, o Panie nagle jak w dniu stworzenia...

...zanim góry się zrodziły, zanim powstały ziemia i świat, od wieczności do wieczności Ty jedynie byłeś Bogiem. Ty wracasz Syna Człowieczego ziemi, z której powstał, zanim wąż uniósł głowę i skazał go na śmierć wieczną. Tyś mu powiedział: „Synu Adama, zwróć się do Boga, twego Pana, a tchnie w ciebie życie wieczne...”

Nagle równy, płynny głos pastora zawahał się i załamał. W tej samej chwili Helen poczuła na szyi niemal dotykalny żar spojrzenia, palący przez białą batystową bluzkę, którą miała pod żałobnym, czarnym lnianym kostiumem. Powoli odwróciła się, podążając za zaskoczonym spojrzeniem duchownego.

W drzwiach, za plecami zgromadzonych pojawiła się ciemna na tle dziennego światła sylwetka wysokiego, dobrze zbudowanego człowieka. Gęste, lśniące włosy, odgarnięte z twarzy o klasycznych rysach, mocna linia szczęk i czyste, śmiałe spojrzenie należały do mężczyzny, który mógłby zarabiać na życie jako model. W swobodnej, zrelaksowanej pozycji, jaką przybrał, również było coś z zawodowej wprawy. Jaskrawe płomienie słońca tworzyły demoniczną koronę za jego piękną głową. Przypominał Lucyfera przed strąceniem z Nieba.

W tej części Terytorium Północnego, gdzie obcy człowiek był taką samą rzadkością jak zębata kura, podczas ceremonii, której uczestnicy znali Phillipa Koeniga i siebie nawzajem przez całe życie, tylko najazd Marsjan mógłby wywrzeć podobne wrażenie. Wszyscy odwrócili się, podążając za wzrokiem pastora

i tępy, zbolałym spojrzeniem Helen. Jedna myśl pojawiła się w umysłach żałobników: Kto to jest, u diabła?

Przybysz odpowiedział na to wszechobecne pytanie przyjacielskim, przepraszającym uśmiechem. Helen nie mogła się ruszyć. Zdawało się, że obcy mówi tylko do niej.

- Przepraszam wszystkich, że przeszkodziłem - zaczął lekkim, miłym tonem. - Ale nieco błądziłem po drodze z miasta. Upłynęło trochę czasu, odkąd tu byłem po raz ostatni, rozumiecie.

Helen poczuła z lękiem, że zaczyna coś pojmować. W ławie za nią Rose zaczerpnęła powietrza, zabrzmiało to jak jęk. Charles wyglądał, jak gdyby zobaczył ducha.

Nieznajomy znowu uśmiechnął się zwycięsko.

- Musiałem tu przyjść. - Urwał. - Jestem...

- Wiemy, kim jesteś. - Helen z całkowitym spokojem wstała i przeszła przez nawę. Śniła o tym spotkaniu od tak wielu lat i zawsze potem płakała, uświadamiając sobie, że był to tylko sen, jedynie okrutne złudzenie. Teraz wreszcie stało się to rzeczywistością, działo się naprawdę. Podeszła do przybysza i ujęła go za rękę.

- Witaj. - Zmobilizowała wszystkie siły. - Witaj w domu.

## Rozdział jedenasty

Witaj w domu, Alex.

Pastor ciągnął dalej cichym głosem:

- Człowiek zrodzony z niewiasty, żyjąc przez czas krótki, napełniony bywa wielu nędzami.

Opierając się mocno na rozstawionych nogach, zacisnąwszy mocno dłonie za plecami, Jon przyglądał się Chrystusowi z kości słoniowej na rzeźbionym krucyfiksie i próbował wyrzucić z myśli bluźnierczy zwrot.

Jezu Chryste!



Utracić ojca i odzyskać brata, w ciągu jednego tygodnia? Co to miało być... jakiś makabryczny żart?

Stojąca obok Helen próbowała uspokoić szlochającą Rose. A w sercu nadal czuła przyływ pulsującej radości i lęku: Alex!

Pokonując ogólne zamieszanie, pastor spokojnie mówił:

- W samym centrum życia jest śmierć...

A w samym centrum śmierci - nowe życie. Nowa krew Koenigów.

Jon niemal zaśmiał się ze zdumienia. Najprawdziwszy brat, choć przez całe życie był jedynakiem.

To śmieszne, to nie może być prawda!

- Wychodzi jako kwiat i bywa zdeptany, ucieka jako cień i nigdy nie trwa w tym samym stanie.

Pastor pochylił głowę, zakończył modlitwę i cofnął się.

Karawaniarze zbliżyli się z namaszczeniem i wprawnie podnieśli ciężką trumnę, zrobili kilka kroków wzdłuż nawy i, zawiesiwszy swoje brzemie nad otworem krypty, opuścili je w dół. Rodzina odruchowo ustawiła się dookoła, by rzucić symboliczną garść suchej, czerwonej ziemi do środka.

- Prochem jesteś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Żyj w pokoju...

Nareszcie było po wszystkim. Żałobnicy wracali powoli do domu. Usiłowali zachowywać się z należyтым szacunkiem, ale nie byli w stanie opanować podniecenia. To Jon musiał podjąć decyzję, na którą nie mogła zdobyć się ciągle jeszcze oszołomiona Helen. Stanąwszy przed rozgadany tłumem w salonie, odchrząknął i zaczął:

- Słuchajcie, myślę, że wszyscy zorientowali się, co się stało. Poprzedni syn taty... - poprawił się zmieszany - ...to znaczy, syn jego poprzedniej żony, przepraszam, pierwszej żony, pojawił się dziś nieoczekiwanie, by być tu z nami. Jestem pewien, że rozumiecie, jak wiele mamy sobie do powiedzenia. Jest co jeść i pić, częstujcie się, proszę, ale mam nadzieję, że wybaczycie nam,

jeśli oddalimy się, by urządzić stypę w gronie rodzinnym. Dziękuję wszystkim za przybycie. Bardzo dziękuję.

- Dobrze sobie poradziłeś... jeśli mogę to powiedzieć...

Po przejściu do izdebki za kuchnią Jon zobaczył, że przybysz, mijając Helen i Charlesa, zmierza w jego kierunku z wyciągniętą ręką.

- Słuchaj, wiem, że to nie jest dla was łatwe... sposób, w jaki się pojawiłem i to wszystko - powiedział zażenowany, choć z niezaprzeczalnym wdziękiem. - Ale zobaczyłem nekrolog taty w gazecie i po prostu nie mogłem nic innego wymyślić.

Rose lamentowała gdzieś w głębi. Charles zaśmiał się trochę dziwnie.

- Nie ma na to żadnych reguł. Trzeba je po prostu tworzyć w miarę potrzeby.

Helen podeszła do Alexa, jej oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

- Gdzie byłeś? Skąd tu przyjechałeś?

- Byłem we Francji, gdy przeczytałem o tym... w Paryżu. Zawsze kupuję australijskie gazety, gdziekolwiek jestem. Wróciłem do Londynu, by złapać samolot... udało mi się załatwić ostatnie miejsce i musiałem wykupić praktycznie połowę Qantas, by je dostać. - Zaśmiał się ponuro.

- Ale przedtem... - nalegała Helen. - Alex, gdzieś ty był?

Opowiadanie zabrało dużo czasu. Zaparzona przez Rose kawa bardzo się przydała, jak i łyk czegoś mocniejszego dla panów, podsunęty przez kręcącą się dookoła gospodynię, której cała uwaga koncentrowała się na przybyszu, jak gdyby mógł zniknąć ponownie, gdy tylko spuści go z oczu. Ale Alex bez trudności skupił na sobie uwagę wszystkich. Czasem z gorzkim śmiechem, czasem ze zwykłym rozbawieniem, chowając momentami twarz w dłoniach, powoli odtwarzał historię swej ucieczki i minionych lat.

- W ciągu jednej nocy zajechałem dalej, niż można się było spodziewać po dzieciaku w tym wieku - mówił. - Potem oddałem konia jakiemuś staremu safandule, pod warunkiem, że ukryje go

na kilka tygodni. Miał udawać, że o niczym nie wie, jeśli ktoś się będzie pytał. I ruszyłem dalej w drogę. - Oczywiście błyszczały. - Australia to idealny kraj, by się zagubić. Jest tu mnóstwo sierot. Szybko się uczyłem.

- Czego? - zapytał zdezorientowany Jon.

Alex zaśmiał się, wzruszył beztrosko ramionami.

- Jak przeżyć.

No cóż, z pewnością wie, jak zyskać współczucie, pomyślał chłodno Charles. I niezależnie od tego, co stracił podczas dwudziestopięcioletniej ucieczki, niewątpliwie nauczył się, jak obchodzić się z kobietami: Alex Koenig; Pożeracz Serc i Sierotka Marysia w jednej osobie! Tylko jego nam tu brakowało, do diabła!

Czując nieprawdopodobne napięcie, Charles rzucił okiem na Helen. Boże, ona chłonie każde słowo, jak gdyby to wrócił jej dawno utracony syn, nie tylko Phillipa! W pewnym sensie może i tak jest. Ale trzeba będzie czegoś więcej, jeśli on ma zasłużyć sobie na miejsce w tej rodzinie! Nie może po prostu zjawić się prosto z buszu, wyglądając jak dorosła wersja zaginionego chłopca, nie mając innego powodu do powszechnej sympatii... nie, bądźmy szczerzy - poza oczami Trudi, jej wyjątkowym kolorytem i uśmiechem, sylwetką młodego Phillipa - i powiedzieć: ludzie, wróciłem do domu!

Zakasał pogardliwie i utkwiał wzrok w odzyskanym bratanku.

- Jak przeżyć? Sądzę z tego, co mówiłeś, że udało ci się uzyskać o wiele więcej? Paryż? Londyn? Co to ma znaczyć?

Alex odpowiedział mu szczerym, otwartym spojrzeniem.

- Pracowałem w turystyce - powiedział z prostotą. - Wydawało mi się to oczywistym rozwiązaniem, skoro chciałem być w ruchu... - Opuścił wzrok pod surowym, karcącym wzrokiem Charlesa. - I całkiem nieźle mi szło - dodał skromnie. - Przynajmniej jak dotąd.

Helen rozejrzała się dookoła. Jon, jak zauważyła, wpatrywał się w Alexa zafascynowany, zahipnotyzowany jego dobrze

skrojonym garniturem, subtelnie podkreślającym europejski styl, modną fryzurą i tą nieokreśloną aurą niezwykłości, promieniującą z nowo przybyłego. Musiał go polubić jako człowieka, nic na to nie mógł poradzić, Alex tak bardzo starał się być miły!

- Słuchajcie, powinniście wiedzieć - powiedział nagle Alex - że nie przyjechałem tu, by sprawiać kłopoty. Chciałem po prostu oddać ostatnią posługę tacie.

Opuścił wzrok na swoje dłonie i wydawało się, że z trudem zdobywa się na te słowa.

- Zawsze miałem zamiar wrócić i pogodzić się z tatą, musicie mi uwierzyć.

Podniósł oczy na Helen.

- I z tobą też. Nigdy nie sądziłem, że on... że to się tak skończy. Myślałem, że mam jeszcze dużo czasu. - Jego głos brzmiał teraz chrapliwie. - Nie chciałem wrócić, dopóki nie zarobię pierwszego miliona. Chciałem mu zaimponować. Żeby był ze mnie dumny.

Jon pochylił się ku bratu impulsywnie, wyciągając do niego rękę.

- I byłby z ciebie dumny - powiedział gwałtownie. - Jestem tego cholernie pewny!

Uścisnęli sobie gorąco dłonie.

- Słuchaj, chłopie - ciągnął Jon. - Nie wiem nic o tym, co się zdarzyło w przeszłości, bo mnie wtedy jeszcze nie było na świecie. Ale wiem, że tato nigdy nie żył w zgodzie z bratem i do samego końca robił co mógł, by go unieszczęśliwić. Prawda, Charles?

Jeśli potakujący gest Charlesa wyrażał zarówno ironię, jak i dystans, Jon tego nie zauważył.

- Nie chcę, aby to samo powtórzyło się z moim bratem, choćby tylko przyrodnim. Musimy zacząć od nowa i tym razem wszystko będzie jak należy. Jeśli zechcesz czegoś z Koenigshausu, wystarczy, że to powiesz. Albo po prostu weźmiesz sobie! - Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła,

nieświadomie naśladować Phillipa. - I jak długo będę miał tu coś do powiedzenia, tak właśnie będzie!

Zapadło milczenie, pełne aprobaty.

Tylko Charles ponownie zakłócił panującą harmonię, gdy skinął głową w kierunku Jona.

- Zanim to wszystko przejmiesz na dobre, nie zapominaj, że Carey jest tutaj. Nikt o tym nie pamiętał. Helen patrzyła na szwagra.

- Carey?

- Dyrektor banku. Z miasta. W sprawie testamentu Phillipa. Prawdopodobnie chciałby się z nami teraz zobaczyć.

- Jest w jadalni - wtrąciła Rose. - Od godziny, dwóch, może więcej. Ogólny śmiech rozproszył napięcie.

- No cóż, lepiej będzie, jeśli i my tam pójdziemy! - powiedziała stanowczo Helen. - Ty też, Alex. Jesteś teraz jednym z rodziny!

O Boże, jak on tego nie znosił!

Zgodził się być dyrektorem banku, a nie odwalić za kogoś czarną robotę. A zapowiadało się, że właśnie przypadnie mu rola praczki wszystkich brudów tej rodziny! Jednakże nic się nie da zrobić - rozmyślał Carey, po raz setny ocierając czoło. Phillip Koenig przez czterdzieści lat był dobrym klientem banku, którego istnienie zależało w dużym stopniu od jego pieniędzy. I tak będzie zawsze. Jakie znaczenie miało, który z Koenigów stanie u steru, jeśli tylko Koenigshaus będzie istniał nadal?

Teraz wszyscy już zgromadzili się wokół stołu w jadalni: wdowa, Helen, elegancka jak zwykle, nawet w żałobie, zauważył z aprobatą; Charles, brat Phillipa; młody Jon; robiący wrażenie skłopotanego księgowego... Nichols czy jak mu tam; ta jego aborygeńska córeczka, choć Bóg jeden wie, jakim prawem się tu znalazła, wreszcie tajemniczy przybysz, dawno utracony brat we własnej osobie. Careya nie było w okolicy, gdy zdarzyła się ta stara tragedia. Ale nikt, kto mieszkał przez jakiś czas w

Terytorium, nie mógł nie znać historii o zbłąkanej owieczce Koenigów.

A może powinienem powiedzieć: czarnej owcy - pomyślał, obserwując z zaciekawieniem ciemnego, przystojnego mężczyznę, około trzydziestu ośmiu, może czterdziestu lat, trochę wyglądającego na hulakę, który siedział nonszalancko na honorowym miejscu przy stole, czując się jak u siebie.

Carey wyprostował się i wzdrygnął.

U siebie?

No cóż, jeśli o to chodzi...

- Panie Carey, sądzę, że zna pan wszystkich obecnych. - Głos Helen był zawsze miły dla ucha - pomyślał Carey, można by go słuchać choćby cały dzień. - Poza moim... moim pasierbem, Alexandrem Koenigiem.

Dobrze to zrobiła - powiedział w duchu Alex. Ze wzruszającym odcieniem świeżości i naprawdę czułym rzutem oka na unizonego sługę - syna marnotrawnego. Wydaje się, że to mimo wszystko miła kobieta.

I do tego nadal atrakcyjna. Nie musiał przyglądać się ciału Helen, jej długim, szczupłym nogom, jędrnym piersiom i szerokim biodrom. Już wiedział, jak wygląda. Wiesz, chłopie - mówił sobie - wcale niezła. Po czterdziestce, to prawda, ale nikt by jej z łóżka nie wyrzucił. Stary zawsze umiał zadbać o siebie, nikt nie mógłby mu zarzucić, że miał zły gust w sprawie kobiet. Nie będzie chyba trudno zdobyć jej sympatii dla zaginionego chłopaczka. A od dawna zasługuję na trochę wygód w starym Koenigshausie. Należy mi się to od tej posiadłości, od nich wszystkich...

Jego wzrok przyciągnęło poruszenie po drugiej stronie stołu i uśmiechnął się do siebie. Ale jeśli mowa o tamtej drugiej, o tej małej choc-ice - cholera! To z pewnością całkiem inna para kaloszy...

Obserwował uważnie Geenę, starannie maskując to szczerym uśmiechem, uprzejmym, lecz nie zanadto poufałym. W

chwile później nadał twarzy wyraz pełnej szacunku uwagi, gdy Carey rozpoczął:

- Czy możemy zacząć? Helen skinęła głową.

- Sądzę, że tak. Carey odchrząknął.

- Czy wszyscy chcą, aby otworzyć testament dzisiaj?

Zważywszy na ostatnie wydarzenia, po tym wszystkim...?

Helen spojrzała na Charlesa z wahaniem. Wyciągnął rękę i krótko uściskał jej dłoń.

- Nie chcę nikogo naciskać, ale sądzę, że jesteśmy już tym zmęczeni. Wydaje mi się, że lepiej będzie mieć to z głowy, a potem jak najszybciej wrócić do normalnego życia. - Zwrócił się w kierunku Jona. - Zgoda?

Jon nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią. Biedny, stary Charles! Każdy, kto ma być całkowicie wydziedziczony, chciałby załatwić to jak najszybciej. Niech tak będzie, skoro tego chce. Skinął głową.

- Zgoda.

Carey podniósł dokument leżący przed nim na stole i zaczął czytać.

- To jest ostatnia wola i testament Phillipa Johna Koeniga...

- Przepraszam, że przerywam.

To był Jon, przesunął dłonią po twarzy i potrząsnął głową.

- Wszyscy mamy za sobą koszmarny dzień. Czy mógłby pan ominąć te prawne terminy i po prostu przejść do sedna?

Carey wyduł usta.

- Zwyczaj nakazuje przeczytanie całego testamentu, zwłaszcza gdy chodzi o posiadłość tak wielką, jak ta, należąca do pana zmarłego ojca. A on zrobił kilka zapisów, wie pan, pod wpływem różnych zmian w życiu i w dochodach. Niedawno dostarczono nam do banku tę ostatnią wersję, choć wiedzieliśmy, że pan Koenig ma zamiar przeanalizować swą sytuację finansową w związku z pewnymi... eee, dość kiepskimi wskaźnikami ekonomicznymi Koenig Cattle i Koenig Holdings. Kilkakrotnie dzwonił do mnie, by przedyskutować te sprawy. Ale ten dokument z całą pewnością zawiera najnowsze postanowienia,

został mi bowiem odesłany przez specjalnego posłańca w zeszłym tygodniu. Skoro pan prosi...

Poprawił się w krześle i utkwiał wzrok w testamencie.

- Krótko mówiąc, bratu Charlesowi pozostawia kierownictwo Koenig Holdings. Wdowie Helen i synowi Jonowi - równy udział w środkach płynnych w gotówce i papierach wartościowych, niezależnie od wielkości majątku w chwili śmierci. Helen Koenig i Charlesowi Koenigowi zostawia ponadto dożywotni dochód z zysków Koenig Cattle i Koenig Holdings.

Zaczerpnął tchu.

- Benowi Nicholowski, w uznaniu sumiennej pracy w firmie Koenigów, zapisuje dziesięć procent akcji Koenig Holdings i sumę pięciuset tysięcy dolarów.

Ben potrząsnął głową i ukrył twarz w dłoniach.

- Gospodyni Rose za wierną służbę u Phillipa Koeniga... sumę stu tysięcy dolarów, - I wreszcie...

Równie dobrze mógłby zawołać: A teraz chwila, na którą wszyscy czekali!, jak komentator sportowy - pomyślał Jon niejasno. Pozostaje mu tylko zakończyć sprawę, tak jak wszyscy tego oczekujemy. Ale co się z nim dzieje?

Jon poczuł nagle niepokój. To wahanie, pot - można by pomyśleć, że bankier zjawił się tu, by zająć majątek z powodu zadłużenia! Carey wyglądał jak człowiek, który ma przynieść złe wieści, zamiast oznajmić coś, na co Jon - jak czuł teraz - czekał całe życie.

- No, dalej, człowieku - polecił szorstko Jon. - Wiemy, jakie były zamiary taty. Ale to wszystko nie będzie moje, dopóki tego nie wypowiesz! No, dalej!

- I wreszcie... - Carey przełknął ślinę i ponownie otarł czoło - ...memu synowi Jonowi zostawiam farmę Koenigshaus, całkowicie i bez ograniczeń, na wyłączne posiadanie i na własność, w nadziei, że będzie kontynuował tradycje tej ziemi. Król nie żyje.

Niech żyje Król.



W tej chwili Jon poczuł, że zajmuje miejsce, które przygotowywano dla niego od dnia urodzin. Był prawowitym właścicielem Koenigshausu, wiedział o tym. Odda mu całe życie, całą duszę. Nie zawiedzie.

- Gratuluję, chłopie!

Alex stał przy nim i potrząsał jego dłonią, pełen najlepszych życzeń, z twarzą rozjaśnioną zachwytem.

- Życzę ci szczęścia, to fantastyczne... Jon uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję!

Ale Carey mówił dalej.

- Panowie, panowie, proszę, to jeszcze nie koniec. Chmura lęku zaćmiła blask szczęścia Helen. Wszystkie oczy zwróciły się na Careya.

Ociekając potem, bankier wyjaśnił pośpiesznie w ciszy, która zapadła.

- Pan Koenig posłał ostatnio po swój testament, by wprowadzić poprawki, których poprzednio nie umieścił... Na wypadek wcześniejszej śmierci pani Koenig lub pana Charlesa Koeniga, albo pana Jona Koeniga, gdyby zmarł, zanim zdąży się ożenić i spłodzić potomka, który w swoim czasie mógłby także dziedziczyć. Innymi słowy, jego myśli obracały się wokół problemu śmierci i praw tych, którzy przeżyją. I być może to wszystko wyjaśnia.

Przy końcu zdania głos Careya przeszedł w nienaturalny pisk. Helen patrzyła na Charlesa, ale ten skupił uwagę na bankierze, jak gdyby ukrywał on sekret wszechświata. Wydawało się, że siedzący po drugiej stronie Alex wyczuł całe to napięcie i spoglądał na egzekutora z niepokojem i podejrzliwością.

Ale w oczach Jona szalał huragan niepokoju, potężniejszy z każdą sekundą. On wie! - krzyknęła w myślach Helen. Pojął, że dzieje się coś złego, coś okropnego, gorszego niż wszystko, co stało się do tej pory.

Carey terkotał teraz niemal histerycznie:

- I przy tych nowych dyspozycjach pan Koenig wprowadził do testamentu kodycył. Nosi datę z ubiegłego tygodnia, prezentuje więc najnowsze intencje testatora w stosunku do posiadłości. Gdyby okazało się, że jego syn Alexander John Koenig żyje, unieważnione zostają poprzednie zapisy. W takim razie rzeczony Alexander staje się jedynym spadkobiercą Koenig Cattle, Koenig Holdings, farmy Koenigshaus oraz całej gotówki, papierów wartościowych i lokat.

## Rozdział dwunasty

Pan Alexander Koenig jest więc właścicielem farmy hodowlanej Koenigshaus, Koenig Holdings i wszystkich aktywów.

Głos bankiera zanikł w lodowatej ciszy. Helen ogarnęła wzrokiem kalejdoskop koszmarnych obrazów: pobladłą, nieruchomą twarz Alexa, wstrząśniętego Charlesa, drżące usta Bena, wielkie, wystraszone oczy Geeny i spoconego Careya, ocierającego czoło.

Nie mogła znieść myśli, jakie znaczenie to wszystko będzie mieć dla Jona. Zmusiła się jednak do podniesienia wzroku, odwróciła głowę i spojrzała na syna. Twarz miał bez wyrazu, lecz zarazem obnażoną, pozbawioną uczuć, a jednak bezbronną. Podniósł się.

- No więc tak! - oznajmił z wymuszonym uśmiechem. Zbliżył się sztywno do Alexa, który obserwował go z napięciem, i wyciągnął rękę. - No więc tak - powiedział znowu, energicznie ściskając dłoń brata. Potem, niby pogrążony we śnie, odwrócił się i opuścił jadalnię.

Helen odezwała się pierwsza, ale dopiero za dragą lub trzecią próbą udało się jej wydobyć głos z gardła.

- Jon i ja... my... wyjedziemy stąd tak szybko, jak się da. Kiedy... kiedy chciałbyś, abyśmy odjechali?

Geena przebiegła jak szalona przez wszystkie pokoje parteru, wypadła przez frontowe drzwi, okrążyła dom, aż wreszcie odnalazła Jona w stajni. Wcisnąwszy wędzidło pomiędzy wyszczerzone żółte zęby Kaisera, Jon włożył mu uzdę i wyprowadzał wierzgającego i stojącego dęba konia z boksu.

- Jon! - krzyknęła dziewczyna.

Zdawało się, że jej nie usłyszał. Biegła ku niemu co sił w nogach, a on wskoczył w siodło i skierował konia w stronę spalonego słońcem buszu.

- Jon!

Ściągnął machinalnie wodze, usiłując uspokoić podnieconego wierzchowca. Wszystkie wyrazy miłości i współczucia u więzły jej w gardle.

- Jon, ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

- Nie ma o czym mówić. Zacisnęła pięści.

- To straszne, po prostu straszne.

- Okropne dla mnie. Dla mamy. Niewesołe dla Charlesa. Ale wcale nie takie straszne dla nowego syna i spadkobiercy.

Jak gdyby naśladować nastrój swego jeźdźca, Kai ser bryknął dziko i zбочzył groźnie w kierunku smukłej postaci stojącej na ziemi. Jon spojrział na nią obojętnie.

- Muszę jechać. Ten typek staje się niespokojny.

Geena popatrzyła na Jona, usiłując przekazać mu swą miłość oczami.

- Tak mi przykro.

- Taak, no cóż. - Utkwił martwy wzrok w dali. - Dziękuję.

Z wysiłkiem pokonując strach, podeszła do wielkiego zwierzęcia tak blisko, jak tylko się ważyła, i dotknęła dłonią wody.

- Słuchaj, jeśli bym mogła coś zrobić...

Nie odpowiedział. Poczula zapach rozwścieczonego, spoconego konia i zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała, że traci Jona.

- Dokąd jedziesz?

Zaśmiał się, odbierając jej resztki odwagi.

- Trzeba zakończyć spęd. A nie sądzę, by Alex połapał się tak od razu we wszystkim tylko dlatego, że teraz to jest jego bytło.

- Kiedy wrócisz?

- Naprawdę, nie mogę powiedzieć.

- Gdy wrócisz... - zaczerpnęła głęboko powietrza - ...przyjdiesz do mnie?

- Och, Geeno... - Jego oczy, wielkie jak tarcza księżycy w ponurej twarzy, zdawały się dostrzegać ją po raz pierwszy. - Co możesz zrobić? Czy w ogóle można coś zrobić?

- Powiedział, że z radością da Jonowi pracę, zatrzyma go, moglibyśmy oboje tu zostać tak długo, jak zechcemy. Nie wolno nam uważać, że musimy wyjechać!

- Och, Helen! - Charles z trudem opanował chęć, by odgarnąć ciężką falę srebrnozłotych włosów z jej zapłakanej twarzy, i odsunął swoje krzesło na bezpieczniejszą odległość od stołu. - Czy naprawdę możesz wyobrazić sobie Jona jako zarządcę u Alexa? U mieszcucha, całkowicie mu obcego? I w majątku, który uważa za swoją własność? Jona pozostającego całe życie w cieniu brata?

Helen potrząsnęła buntowniczo głową.

- Alex chce postąpić jak należy! Był równie wstrząśnięty jak my wszyscy, kiedy Carey nam o tym powiedział.

- Dobra, przyznaję, z początku wyglądał na zaskoczonego. - Charles z zimną wściekłością spoglądał przez okno jadalni w kierunku budynku biurowego, do którego w tej właśnie chwili Alex, Ben i bankier wchodzili po schodach. - Ale drań nie potrzebował zbyt dużo czasu, by wziąć władzę w swoje ręce.

Helen pochyliła się ku niemu.

- Charles...

Pokonała załamanie głosu i próbowała jeszcze raz.

- Charles, to nie wina Alexa, że tak się stało. Widocznie Phillip miał poczucie winy, że przez małżeństwo ze mną doprowadził do ucieczki syna. I to skłoniło go do tego gestu.

Przecież musiał wiedzieć, jak niewielkie ma szanse, by jeszcze kiedykolwiek zobaczyć Alexa.

Słuchał jej, wiedziała o tym. Jego dłoń, leżąca na stole, była gniewnie zaciśnięta i Helen przez jedną szaloną chwilę pragnęła pogłaskać ją, ucałować, przytulić do piersi.

Próbowała opanować drżenie głosu.

- Niezależnie od urzędowego znaczenia ten kodycył świadczy o tym, iż Phillip nigdy nie stracił nadziei, że Alex żyje.

- Nie ukrywała już łez. - Przypuszczam, że to na swój sposób sprawiedliwe. Gdyby tylko Jon nie musiał za to płacić!

- Helen - pochylił się ku niej gwałtownie. - Słuchaj, to wszystko może się skończyć lepiej, niż nam się teraz wydaje.

Potrząsnęła bezradnie głową, ocierając łzy grzbietem dłoni.

- Jak to możliwe...

To nie było nawet pytanie.

Charles przesunął ręką po oczach i usiłował siłą woli sprawić, by poczuła się lepiej.

- Choćby tak. Alex nie jest hodowcą, przyznał to od razu, sama słyszałaś. „Jestem mieszczuchem, co mam zrobić z trzema tysiącami akrów?” - to była jego pierwsza reakcja. Nie wiem też, jakim jest biznesmenem, ale wiesz, że znalazłem paru chętnych kupców, gdy próbowałem namówić Phillipa do pozbycia się Koenigshausu. - Przerwał i zmierzył Helen wzrokiem. - Nadażasz za mną?

- Na razie tak. Mów dalej.

- Dobrze, więc pomyśl... Jeśli uda mi się skłonić Alexa do sprzedaży majątku, jestem całkiem pewny, że ubiję dobry interes, wytarguję niezłą cenę. Potem, kiedy uda się zgromadzić gotówkę z transakcji i postawić Koenig Holdings na nogi, mogę powiedzieć Alexowi, że powinien coś zrobić dla Jona, biorąc pod uwagę, co chłopak stracił. Przynajmniej mogę spróbować namówić go, by zainwestował w nową farmę, która będzie należeć wyłącznie do Jona... o wiele mniejszą od Koenigshausu, ale prawdopodobnie znacznie bardziej dochodową. Tam Jon

będzie mógł być samodzielny i po kilku latach, jeśli zechce, spłaci pożyczkę, a farma stanie się jego własnością. To wszystko.

Charles skończył i pogratulował sobie w duchu. Nieźle jak na zrobioną na kolanie analizę i pośpieszny projekt. I chyba widzi, że robię to dla niej?

Ale jeśli spodziewał się wdzięczności Helen, to nie mógł się bardziej omylić.

- Sprzedać Koenigshaus? - wybuchła nagłym gniewem. - Zaraz po śmierci Phillipa? Kiedy Jon nie mógł znieść myśli o tym, gdy ojciec jeszcze żył... w obecnym stanie ducha... jak sądzisz, u diabła, jaki wpływ to będzie miało na Jona?

- Helen, na litość boską! Jon jest już mężczyzną, nie dzieckiem! Nie możesz go chronić przez całe życie i nie możesz go ustrzec przed tym, co się stało!

- No, mów tak dalej!

Szalała z wściekłości. Jon został zdradzony i wydziedziczony, jedynie Charles mógł stanąć po jej stronie, a on potrafi tylko beczeć o cholernych interesach i sprzedaży Koenigshausu.

- Dalej, powiedz mi! Czy to jest mowa, która zaczyna się od słów: Ta posiadłość wyciska z nas wszystkie soki, pożera pieniądze, toniemy, musimy sprzedać... nie ma innego wyjścia? Jeśli tylko na to możesz się zdobyć. Jonowi będzie lepiej z Alexem. Przynajmniej brata obchodzi, co się z nim stanie, chce o niego zadbać, zrobić, co należy!

- Nie, jest jeszcze coś, jeśli tylko potrafisz uspokoić się na tyle, by mnie wysłuchać. - Też pobladł z gniewu, patrzyli na siebie z wyraźną agresją jak wrogowie. - Zacerpnałem to z lektury Biblii. Z niej nawet w dzisiejszych czasach można się wiele nauczyć. Spytaj sama siebie, Helen, co wiesz o powrocie syna marnotrawnego? Co naprawdę rodzina wiedziała o zbłąkanym chłopcu, gdy pojawił się w domu po tak długiej nieobecności?

Jej oczy płonęły już w odpowiedzi, zanim spytała:

- Co masz na myśli?

Zaśmiał się.

- Och nie, nie wątpię, że to naprawdę jest ten chłopak, syn marnotrawny z Koenigshausu. Na dobrą sprawę dorastałem razem z Alexem, pamiętasz? Zjawiłem się na scenie tak długo po Phillipie, że byłem raczej starszym bratem tego dzieciaka niż stryjem. Pamiętam Alexa, jak gdyby to było wczoraj. - Z jego przymkniętych oczu zorientowała się, że wpatrywał się w przeszłość, która, jak się zdawało, nie budziła w nim żadnych uczuć. -Pamiętam, jaki był wtedy, i przypomniało mi się teraz jeszcze parę spraw. Wcale się nie zmienił.

Co chciał przez to powiedzieć?

- Na przykład? - spytała wyzywająco.

- Na przykład... - Wstał, pochylił się, by postawić Helen na nogi, potem zaciągnął ją stanowczo do okna. - Właśnie to, na przykład. Zawsze lubił dużo mówić, opowiadać bajeczki.

- Co? - Przed domem, wzdłuż podjazdu i dookoła parkingu, leżącego w centrum zabudowań, stało kilka pojazdów: należący do farmy dżip, pikap Jona i trail-rider, mikrus bankiera oraz kilka innych samochodów, które musiały należeć do ostatnich przyjezdnych i gości ze stypy. - Na co mam patrzeć?

- Na to - Charles wskazał palcem.

Zapatrzyła się na ciemnobrązowego, całkiem zwyczajnego dwudrzwiowego forda, którego Charles pokazywał z takim lekceważeniem.

- I co?

- To samochód, którym przyjechał Alex. Odwróciła się, by obserwować jego twarz.

- No więc?

- To jest samochód wielkiego biznesmena... który właśnie zdobywa swój pierwszy milion, czy nie tak to powiedział?

- Charles, to tylko samochód! - wybuchła. - Jak sądzisz, ile mercedesów lub porsche można tutaj wynająć?

- Nie o to chodzi. - Charles uśmiechnął się ponuro. - Pora na lekcję z Biblii. Dlaczego syn marnotrawny wrócił do domu?

- Dlaczego? - Miała ochotę go uderzyć. - By widzieć się z ojcem! Bo wiedział, że ojciec zechce zobaczyć go przed śmiercią! Rodzina, matka...

- Aha. - Pokiwał denerwująco głową. - Taki samolubny drań nie zadałby sobie tyle trudu, by uszczęśliwić starego ojczulka... a tym bardziej pogrążoną w żalu małą macochę! Wrócił do domu, bo zabrakło mu pieniędzy! I wiedział, że rodzinka ma miękkie serce.

Słuchała teraz uważnie, a on ciągnął nieustępliwie.

- Nie zapominaj, co powiedział Konfucjusz czy jakiś inny sprytny dupek: Dom to miejsce, w którym muszą cię przyjąć, jeśli będziesz zmuszony tam pójść.

Przerwał, chcąc umożliwić jej odezwanie się, ale nie mogła nic wymyślić, by przerwać ten nieubłagany potok słów.

- Och, przynajmniej, że Alex dobrze trafił ze swoim powrotem - ciągnął tonem pełnym sarkazmu. - Miał okazję, by dobrać się do słoika z miodem, lecz nie mógł się spodziewać, że dostanie cały kocioł! Ale słuchaj, Helen...

Złapał ją za ramiona i znowu obrócił do okna, tak, aby móc spojrzeć jej w oczy.

- Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Przypuśćmy, że Phillip nie zmienił testamentu i Jon odziedziczył wszystko, gotówkę, Koenigshaus i resztę. Gdyby Alex zjawił się teraz, na pogrzebie Phillipa, i wyznał rozrzewniającą, że jego sprawy nie stoją zbyt dobrze i że w gruncie rzeczy nie ma złamanego grosza, czy tobie i Jonowi nie zrobiłoby się go żal? I czy nie czulibyście się zobowiązani, by zatroszczyć się o biednego, zagubionego i opuszczonego chłopaczka, nie skąpiąc mu niczego?

Helen z wyzwaniem spojrzała mu w oczy.

- Tak! - wykrzyknęła. - Tak byśmy zrobili. Zajęlibyśmy się nim! I to bardzo hojnie!

W budynku biurowym panowała cisza pełna zadumy. Ben, szary na twarzy i mocno zszokowany, pośpieszył, jak zwykle, by zagłuszyć ją wymęczonym podsumowaniem:



- No więc tak wygląda historia Koenigshausu. Główna część, Koenig Holdings, potrzebuje kapitału, farma wyszała z nas ostatni grosz. Nawet w najlepszym okresie kapitał dawał tylko jeden procent zysku. Teraz sytuację można porównać do otwartej żyły.

Alex spojrzał w górę z namysłem.

- Grube pożyczki?

- Z każdym dniem odsetki są coraz większe.

- A licznik wciąż stuka?

- Coraz głośniej i głośniej.

Carey przytaknął z powagą.

- Mogę to potwierdzić, panie Koenig. Tutejszy bank oczywiście pośredniczył w zdobywaniu gotówki dla farmy i kierownik filii od lat naciskał na pana Koeniga... - poprawił się pośpiesznie - ...pana Phillipa Koeniga, by uporządkował interesy albo zdecydował się na sprzedaż.

- Sprzedaż?

Może będzie z niego dobry szef - pomyślał Ben niechętnie. Gdy tak siedział w skupieniu, wbijając w rozmówcę oczy i zadając takie pytania, wydawało się, że naprawdę słucha. Wśród całej katastrofy ostatnich wydarzeń ta myśl zaskoczyła go nagłym promieniem nadziei.

- Taak, sprzedaż! - powiedział z naciskiem, podbudowany szansą na uporządkowanie wszystkich spraw. Może w końcu będzie wolny, może oni wszyscy będą wolni...

- W porządku. - Alex usiadł wygodniej na brzegu biurka Phillipa i skinieniem głowy zachęcił Bena, by mówił dalej.

- Charles rozglądał się za chętnymi, zanim przylecieliśmy tu z Sydney -ciągnął Ben. - Było wielu zainteresowanych, ale na prowadzenie wysunęło się japońskie konsorcjum...

Oczy Alexa rozblęły.

- I mają gotówkę?

Ben zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Ona ją ma.

- Ona? - Kobiety interesu nieczęsto trafiały się w świecie Careya. - Jaka ona?

- Pani Matsuda.

Nie słyszeli, kiedy wszedł Charles. Stał w drzwiach, z teczką z ofertami kupna, którą przygotował dla Phillipa. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy mierzył wzrokiem małą grupkę mężczyzn.

Alex uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona.

- W samą porę, wejdz, Charles! No, a kim jest ta dama, którą dla nas podbiłeś?

Charles wszedł wolnym krokiem, przysiadł na biurku na wprost Alexa i nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Szefem konsorcjum, założonego przez jej zmarłego męża. Siedzibę ma w Tokio, ale inwestuje w światową sieć barów szybkiej obsługi. Hamburgery Szczególnie w Ameryce.

Na twarzy Alexa ciągle malował się wyraz radosnego oczekiwania.

- Dlaczego więc chce utopić kilka milionów w Koenigshausie? Ben skrzywił się.

- Hamburgery.

- Co?

Charles spoglądał ironicznie na zaskoczonego Alexa. Uważa się za biznesmena, a nie potrafi pojąć czegoś tak oczywistego?

- To okazja do tak zwanej „integracji pionowej”. Oznacza to, że firma będzie kontrolować cały ciąg produkcyjny, od kopyta do hamburgera.

- Wyklucza pośredników. - Carey nie miał zamiaru pozwolić, by wyłączono go z rozmowy o wielkich interesach. Pokiwał mądrze głową. - Zredukuje koszty do gołej kości.

- Tak jak każdą sztukę bydła - zaśmiał się zaraźliwie Alex. - A co robi z kośćmi?

Trzeba przyznać, ma poczucie humoru - pomyślał z podziwem Carey. Jon nie może się z nim równać, bez wątpienia. I może to lepiej dla farmy - albo dla spółki, w zależności od tego, na co się zdecydują - że kierownictwo przejdzie w ręce człowieka

dojrzałego, a nie dwudziestoparoletniego chłopaka. No cóż, może ten stary diabeł Phillip mimo wszystko miał rację!

Nagle Carey zdał sobie sprawę, że ciemne oczy nowego właściciela spoglądają na niego z namysłem.

- Czy mogę prosić pana o radę, panie Carey? - spytał uprzejmie Alex.

- Ależ tak, oczywiście!

- Jakie zobowiązania prawne ciążyą na mnie, w związku z Koenigshaussem? - błysnął niepewnym uśmiechem. - Nie chcę nikogo poganiać i mam nadzieję, że nie obraziłem żadnego z was, śmiejąc się przed chwilą. Nie zapomniałem, że dopiero co złożyliśmy do grobu tatę. Ale czuję, że sytuacja będzie dość napięta, dopóki nie ustalimy wszystkiego. Więc chcę, by każdy wiedział, na czym stoi, i zrozumiał, że nie jestem tu po to, by pozbawić kogokolwiek tego, co mu się należy.

Nawet Carey zauważył, że atmosfera uległa poprawie, że dwaj mężczyźni siedzący obok niego wpatrują się w Alexa ze wzmożonym zainteresowaniem. Zareagował natychmiast.

- Musi pan przez cały czas brać pod uwagę interes posiadłości - zaczął z namaszczeniem. - Ale sytuacja wygląda tak, jak to zarządził w testamencie zmarły pan Koenig.

Alex pochylił się z uwagą.

- Tak?

- O, tak - powiedział stanowczo Carey. - Skoro tylko testament się uprawomocni, a nie mam powodu wątpić, że tak się stanie, skończą się moje obowiązki jako jego wykonawcy. Od tej chwili stanie się pan wyłącznym spadkobiercą wszystkiego, co należało do Phillipa Koeniga. A jak zejde panu z drogi - zaśmiał się niepotrzebnie - będzie pan królem tego Królestwa.

- A to znaczy...

Szczerzy zęby jak pies dingo - pomyślał z wściekłością Charles. Oczy mu błyszczą, draniowi! I nic dziwnego! Nagle poczuł, że ma dość tej całej farsy.

- A to znaczy... - powiedział z naciskiem, jakby mówił do półgłówka -...że... możesz... robić... co... tylko... chcesz, do cholery!

## Rozdział trzynasty

PHILLIP JOHANN KOENIG, HEAD BOY, ROCKHAMPTON COLLEGE, 1948-49.

Ben, siedzący na swoim zwykłym miejscu, na wprost biurka Phillipa, oderwał oczy od monitora i obrzucił starą szkolną fotografię Phillipa wzrokiem, w którym pojawiło się coś jakby prawdziwa nienawiść. Jakim był głupcem, sądząc, że z Alexem u steru sprawy mogą się jakoś ułożyć!

Mógł przewidzieć, że Charles nie pogodzi się z tym wszystkim bez sprzeciwu. Za długo był pod rządami starego, by dobrowolnie wsunąć głowę w nową pętlę. Zdażył już przywyknąć do myśli, że ma ustąpić miejsca Jonowi. Ale człowiekowi znikąd? Wielkiej niewiadomej? Przy tak zagrożonych interesach, gdy wszystko, co tworzył przez całe życie, wisi na włosku? Nie ma mowy!

Nie po tym, co musieli znieść, by dojść tak daleko...

A Alex był gotów walczyć, jeśli będzie musiał, nie ma co do tego wątpliwości. Mimo uśmiechów, nie miał w sobie nic z ciamajdy. Och, był całkiem miły, a gdy Charles rzucił mu rękawicę, ze skóry wychodził, by utrzymać spokój i nadstawić drugi policzek. Ale to nie mogło trwać długo.

Z jękiem schował twarz w dłoniach i poddał się troskom i rozpacz.

Cholerny Phillip!

Zwodził ich wszystkich ciągłą gadaniną o „synu i spadkobiercy”, obiecując, że Jon odziedziczy Koenigshaus, gdy nadejdzie czas, a teraz to!

W porządku, może chciał tylko uspokoić cholerne sumienie, i słusznie, gdyż małżeństwo z Helen to zaledwie mały fragment

tej historii! - pomyślał Ben z wściekłością. Ciągłe pamiętał różne sytuacje, na długo przed pojawieniem się dziewczyny, w których Phillip traktował małego Alexa nie jak syna, lecz jak pijanego złodziejaska i wyrobnika, którego przyłapał w swej posiadłości i któremu miał zamiar udzielić porządnej nauczki. Taak, Alex nie uciekł z domu tylko dlatego, że jego ojczulek postanowił ożenić się ponownie z mniej niż przyzwoitym pośpiechem!

Ale nawet jeśli Phillip próbował zrobić coś dla spokoju sumienia, umieszczając Alexa w testamencie, musiał wiedzieć o istnieniu pewnej szansy, iż zaginiony się odnajdzie. Ostatecznie nigdy nie odszukano jego ciała. I ten stary sukinsyn mógł unieważnić testament bez chwili wahania, bez zastanowienia się, co to będzie znaczyć dla Jona, chłopaka, którego wychował wyłącznie na hodowcę bydła, któremu nie pozwolił nawet wstąpić do swej starej szkoły? Chryste, on naprawdę zasłużył na śmierć!

Jon... Ben skierował myśli na bardziej bolesny temat.

Jak u diabła chociaż przez chwilę mógł sądzić, iż Geene czeka tu jakaś przyszłość? Z niezawodną miłością samotnego ojca Ben zorientował się, że Jon nie jest obojętny jego córce. I choć jak w sercu każdego ojca, i w nim coś umarło na myśl, że pierwsze miejsce w jej myślach zajmie inny mężczyzna, wiedział, że tylko Jon jest godny zbliżyć się do tej dzielnej i pięknej dziewczyny.

I pozwolił sobie marzyć, że tak się może stać? Więcej, że tak być powinno...? Jak gdyby to było w ogóle możliwe!

Cholerni Koenigowie! Wszyscy jednacy, dlaczego więc Jon miałby być lepszy? Myśleli tylko o sobie i o Koenigshausie i niszczyli wszystko, czego dotknęli! Powinien wynieść się z tej farmy, jak tylko nauczył się chodzić, i zostawić za sobą tę cholerną bandę! Tymczasem poświęcił życie, by trzymać ich za rączki i podcierać im tyłki, pozwolił, by bawili się czymś, co miało dla niego największe w życiu znaczenie, i skazany był na to do samej śmierci!

Chryste, to było beznadziejne, nawet gdy ten stary diabeł Phillip nie stał już na drodze! Nie było już ucieczki, nie było gdzie się zwrócić. Charles, Alex i Jon rozdrobnią to wszystko krok po kroku i dobry, stary Ben znowu zostanie wzięty w dwa ognie, gdyby więc nawet próbował uciec, cokolwiek by usiłował zrobić... i tak to pójdzie na marne.

Cichy dźwięk na zewnątrz budynku gwałtownie przyciągnął uwagę Bena. Odwrócił się i zobaczył, jak Geena przefrunęła schody ślizgowym lotem ptaka. Znowu przywrócił do życia wygaszony ekran i udawał, że pogrążony jest w ukazujących się na nim zestawach cyfr. Jeszcze jeden krok i córka przeszła przez drzwi.

- Tatku?

Otoczyła ramionami jego szyję. Wydawało mu się, że wyczuł wilgoć na policzku, przylegającym do jego twarzy.

- Tak, kochanie? - spytał schrypniętym głosem. - Widziałaś Jona? Cofnęła się gwałtownie.

- Tak - powiedziała spokojnie, okrążając biurko, by usiąść po drugiej stronie. - Pojechał na spęd. Lizać rany.

Ku swemu zaskoczeniu zaczął bronić mężczyzny, którego przeklinał przez kilka sekundami.

- No cóż, kiedy pomyśli się o tym, co mu zrobił ten stary drań, Phillip...

- Och, wiem. - Ben podniósł wzrok, zaniepokojony tonem głosu córki. Jej oczy, łagodne oczy dziecka buszu, lśniły łzami. - Och, tatku, co zrobić?

Zaśmiał się niewesoło.

- O ile nie zakatrupimy Alexa, nic się nie da zmienić. A nawet wtedy, przy naszym pechu, okazałoby się prawdopodobnie, że ma żonę i piętnaścioro dzieci w Sydney,

Spojrzał na drobną postać, rysującą się na tle światła.

- Najlepsze, co możemy zrobić, to jak najszybciej wynieść się stąd do Sydney. I tak mieliśmy zostać tylko na weekend, siedzimy tu zbyt długo. Niewiele zostało mi do zrobienia, uporaliliśmy się już z codzienną papierkową robotą. No cóż -

poruszył się ze skrepowaniem - muszę jeszcze tylko ponownie sprawdzić parę rzeczy. I Alex poprosił mnie, bym wprowadził go w system komputerowy, we wszelkie tajniki, żeby mógł wiedzieć, co jest co. Ale to nie potrwa długo. A może chcesz, bym go poprosił, żeby zorganizował ci wcześniej jakiś transport?

- Nie, tatku.

- No, to załatwione. - Zapatrzył się przed siebie. - Co mamy dzisiaj, środę? Jeden dzień chyba wystarczy na wszystko. Jak dobrze pójdzie, to w piątkowy wieczór będziemy już na własnych śmieciach. Odpowiada ci to?

- Nie, tatku. - Podeszła do okna i wyjrzała. - Powiedziałam „nie” za pierwszym razem i naprawdę tak myślę. - Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz, oczy miała zdecydowane, podbródek wysunięty. - Nie wyjadę stąd, dopóki nie wyjaśnię z Jonem wszystkiego... nie zobaczę się z nim i porządnie nie pogadam... nie wyjadę, zanim ochłonie z szoku.

Wyjaśnić wszystko z Jonem? Miał ochotę krzyczeć. Instynktownie wiedział, że Jon nigdy nie zaproponuje Geenie małżeństwa po tym, jak został wydziedziczony, poniżony, gdy był mniej niż służącym w posiadłości, która ongiś należała do niego. I desperacko bał się, że Jon nie będzie miał powodu, by oprzeć się pokusie i nie wykorzystać współczucia pocieszającej go dziewczyny...

Ciągle jeszcze pamiętał rady, które dawano mu, gdy zakochał się w jej matce. Upoluj sobie tę wronę, chłopie, jeśli masz na nią ochotę, one są do pieprzenia, nie do żeniaczki, kim ty jesteś, murzyńskim alfonsem? Ktoś już z pewnością to samo powiedział Jonowi. A jeśli był on taki sam jak większość mężczyzn, to nawet nie potrzebował rady...

Próbował zamaskować swój gniew wymuszonym kaszlem. Ale Geena nie patrzyła na ojca.

- Nie chodzi tylko o Jona - powiedziała wolno. - Wiesz, że byłam w osadzie, by poznać współplemieńców mamy. To zaskakujące miejsce.

- I niezwykle ludzie. - Przypomniały mu się drwiny Phillipa tamtego poranka, kiedy po raz pierwszy była mowa o wizycie Geeny w osadzie aborygenów. - Tańczyłaś choć trochę?

Kiwnęła głową.

- Już pierwszego dnia. Kilku z nich pytało, co robię, więc im pokazałam. Potem oni zaczęli przedstawiać mi kroki i ruchy swoich tańców, i tak poszło. Naprawdę uczę się od nich.

- A oni od ciebie, jak sądzę.

- Taak. - Zmarszczyła brwi. - Po raz pierwszy odgrywałam taką rolę, kogoś, kto wszystkim kieruje. Dosyć mi się to podoba. A praca tam pozwoli mi zająć się czymś, dopóki Jon nie wróci i nie będę mogła z nim porozmawiać.

- Geeno, kochanie...

Potrząsnęła głową, odrzucając z miejsca błaganie, brzmiące w jego głosie.

- Tatku, ja chcę to zrobić. Nie obchodzi mnie, ile będę musiała czekać. Wiem, że dzisiaj będą poza domem. Dotąd nie zabrali bydła od wodopoju, jest nadal tam, gdzie było, kiedy umarł Phillip i musieli wrócić. Nie wiem, ile czasu zabierze spędzić, być może kilka dni. Ale nie mam zamiaru lecieć do Sydney, dopóki nie pogadam z Jonem jak należy... choćby tylko jeden raz.

Ben czuł bezradnie, że sprawy idą z góry wyznaczonym torem, wymykają mu się spod kontroli i zbaczają na ciemne i niebezpieczne szlaki. Mógłby rozplakać się z lęku.

- Ja po prostu... nie chcę, abyś została zraniona. - Chryste, powinien zdobyć się na więcej! Wziął się w garść z wielkim wysiłkiem. - Sądzę, że jesteś mu to winna.

- Nie, tatku. - Jej uśmiech, pierwszy tego dnia, rozbłysł nieoczekiwanie. - Jestem to winna sobie samej.

Dotąd wszystko w porządku!

Wchodząc z palącego słońca do chłodnego domu, Alex zmusił się do ukrycia podniecenia. Boże, naprawdę zaczynało go to wciągać! Po spotkaniu w biurze przede wszystkim z całym szacunkiem odprowadził nadętego palanta-bankiera, Careya czy



jak mu tam, do jego pieprzonego samochodu i z absolutnym zachwytem przyjął propozycję tego małego durnia, by wybrać się wkrótce do miasta i spotkać się z nim na lunchu.

Cholernie dobrze poszło!

Potem wrócił do wojowniczo nastrojonego Charlesa i uszczęśliwił go w jednej chwili, zgadzając się, że powinno się tu natychmiast albo jeszcze prędzej ściągnąć helikopterem tę japońską damę, panią Forsiastą, by pogadać o sprzedaży Koenigshausu. Wreszcie kilkoma łaskawymi sloganami o dobrej pracy i lojalności dodał otuchy żaloszemu, staremu, słabemu nudziarzowi Benowi i zostawił go, by dalej odwałął czarną robotę. Więc teraz może zrobić sobie coś do picia, rozejrzeć się dookoła i nie przemęczać się, jak przystało panu tego wszystkiego!

Zrobić sobie coś do picia? Idąc wielkim cieniastym holem w kierunku kuchni, Alex zaśmiał się głośno. Trudno się pozbyć starych nawyków, chłopie, skarcił sam siebie. Pamiętaj, że nie jesteś już byle kim! A skoro nie jesteś już tylko jednym z Koenigów, lecz TYM Koenigiem, absolutnym panem i władcą, nie rób sam tego, za co płacisz służbie.

- Rose - zaczął, otwierając drzwi - może byś...?

Ale to nie Rose apatycznie i bez przekonania przecierała ścierką powierzchnię szafki. Alex zmrużył oczy, obejmując wzrokiem szczupłe biodra i chude nogi stojącej przed nim postaci. Od tyłu można by ją wziąć za chłopca lub dziecko. Ale gdy się odwróciła... Chryste! Nie było wątpliwości, że tego właśnie szukał. Poczul znajome ukłucie podniecenia i uśmiechnął się z wyczekiwaniem.

- Ty jesteś Ellie, prawda? - spytał swobodnie, podchodząc do niej.

Odpowiedziała mu śmiechem, który zaczął się piskiem i przeszedł stopniowo przez całą skalę dźwięków w niski, pełen zachwytu bulgot. Patrzyła na niego kpiącym, sugestywnym spojrzeniem.

- Panie Alexie, pan chyba żartuje? Czyżby zapomniał pan o mnie? Dojrzałe piersi poruszały się swobodnie, usta miała wydęte w świadomie prowokacyjny sposób, każdy mężczyzna by to zrozumiał. Ale jeśli nawet rzucało się to w oczy, było też całkiem seksowne, poczuł, że zaczyna działać na niego dawny, mroczny, magiczny urok.

- Zapomnieć o tobie? - Uśmiechnął się szeroko. - Niemożliwe! Ale nie możesz być tą samą Ellie. którą pamiętam, jesteś na to o wiele za młoda.

Zadziwiające, że ta zagrywka nigdy nie zawodziła. Wystarczy teraz na nią spojrzeć, pomyślał z rozbawieniem, po prostu piszczy z zachwytu. Jeszcze parę odzywek w tym stylu i będzie mu jadła z ręki.

- Byłam małą, bardzo małą dziewczynką, kiedy pan odszedł, panie Alexie - zachichotała - ale przez ten czas nie zapomniałam pana!

- No, popatrz. - Udawał, że cofa się myślą w przeszłość, mierząc wzrokiem jej sylwetkę.

Odpowiedziała mu namiętym spojrzeniem.

- A pan nie zapomniał mnie!

Zmarszczył czoło w udanym zakłopotaniu.

- Taak, przypominam sobie okropne, chude dziecko, brzydkie jak grzech śmiertelny, które obijało się po kuchni. To na pewno nie byłaś ty, Ellie! Miałabyś się tak zmienić? - Zaśmiał się znowu cicho, gardłowo. - Pewnie, że się zmieniłaś. Wtedy tak nie wyglądałaś.

Ellie już się nie śmiała.

- No cóż, wtedy nie było to możliwe, prawda? - wyszeptała. Zbliżyła się do niego o krok lub dwa i rzuciła mu z ukosa wyzywające spojrzenie. -Czas płynie, panie Alexie. Jestem teraz kobietą.

W kuchni zapadło głębokie milczenie. Napięcie pomiędzy nimi rosło, aż zdawało się brzęczeć, wibrować niczym struny fortepianu naciągnięte od wyprężonego, wyczekującego ciała kobiety do uśmiechniętego, przyczajonego mężczyzny.

Alex stał spokojnie, bez ruchu. Jak każdy urodzony Casanova nigdy nie musiał zbytnio się wysilać. Od szesnastego roku życia, kiedy po raz pierwszy poznał swoją atrakcyjność, rozkoszował się poczuciem władzy, jaką dawała mu świadomość, że kobiety go pragną. Inni mężczyźni ronili łzy do piwa i bez końca gadali o podrywaniu dziewczyn. Zawsze go to rozśmieszało. Jeśli wiedziałeś, co masz robić, nie musiałeś „rwać”, nie trzeba było nawet podnieść ręki.

No, może tylko jedną. Przez przejrzysty materiał taniej bluzki mógł widzieć, jak jej sutki prężą się pod jego rozbawionym spojrzeniem. Śledząc jego wzrok, spuściła oczy, ale nie odsunęła się.

- Więc, Ellie? - powiedział kpiąco, zbliżając się o krok. Cofnęła się tylko po to, by wpaść na mebel, którego blat czyściła. Odchyliła się w tył, sugerując niechęć, ale w gruncie rzeczy podsunęła mu piersi niemal pod sam nos. Przysunął się do niej.

W odpowiedzi na to odrzuciła do tyłu głowę i wydała z siebie długi, powolny, uwodzicielski jęk, lękliwy, a zarazem rozpustny.

- Mojemu mężowi to się nie spodoba!

Odpowiedział uśmiechem.

- Nie robię tego z twoim mężem. Jesteś na tyle dorosła, by postępować, jak chcesz. Czuję, że wiem, co lubisz. - Jak gdyby wszystkie kobiety nie lubiły tego samego, jeśli już do tego dojdzie, dodał w duchu.

Wydeła usta.

- Pan nic nie rozumie! On jest gwałtowny i bardzo zazdrosny!

Oparł czubek palca o jej policzek i zaczął obrysowywać linię szczęki, podbródka, a potem szyi, aż do zagłębienia pomiędzy piersiami.

- Więc cóż - powiedział. - Dajmy mu jakiś powód do zazdrości, dobrze?

Z dręczącą powolnością zaczął rozpinąć górny guzik jej bluzki. W chwili, gdy dotknął ciała Ellie, jej reakcja nasunęła mu

na myśl pożar w buszu. Inne kobiety potrzebowałyby godzin na osiągnięcie takiego stanu. Mógł widzieć jej sutki, już naprężone, twardniejące w oczekiwaniu na pieszczotę.

Jeden guzik... potem następny...

Otwierała i przymykała oczy, oddychała chrapliwie. Drobna, zachłanna, ciemnobrązowa dłoń wyciągnęła się w kierunku paska u jego spodni, ale on zręcznie odsunął dolną połowę ciała poza jej zasięg. Nie mogę jej tu wziąć -myślała ta część jego mózgu, która zawsze, zawsze pozostawała lodowato spokojna, nawet w żarze orgazmu.

Więc gdzie?

Co za wspaniałe zakończenie idealnego dnia - zastanawiał się z chłodną wesołością. Syn-tułacz wraca do domu, grzebie tatę, otrzymuje w spadku królestwo, zabiera łupy i dla uczczenia tryumfu zabawia się z jedną z niewolnic w ramach *droit de seigneur*. Fantastyczne! I ma do tego pełne prawo - po tym wszystkim, co przeszedł, co musiało się stać, by doszedł tak daleko...

Więc gdzie?

- Ooooch... jeszcze, oooch...

Chryste, lepiej będzie coś z tym zrobić, jeśli ona już teraz tak jęczy, wywraca oczami i kipi jak garnek na ogniu.

- Hej, dziecinko - zaczął. - Ellie...

Drzwi otworzyły się i Rose weszła z jadalni, oskarżycielsko ściskając w dłoni garść stołowego srebra.

- Uważasz, że te sztuczce są czyste...? - zaczęła agresywnym tonem. Potem ogarnęła wzrokiem znajdujący się przed nią żywy obraz i natychmiast znieruchomiała niczym zwierzę, które obserwuje swego pana i czeka, by zobaczyć, co zrobi.

Alex odwrócił się. Nie poświęcił nawet jednego spojrzenia Ellie, która zaczerwieniła się i z niemądrą miną usiłowała niezgrabnie pozapinać bluzkę. Nie zerknął też na Rose.

- Idę teraz do swego dawnego pokoju w wieży - powiedział niedbale. - Sądzę, że się tam z powrotem wprowadzę. Lepiej

przyjdźcie tam obie i dopilnujcie wszystkiego, pomożecie przy urządzaniu, gdy zdecyduję, co powinno być zrobione.

Zatrzymał się w drzwiach, opierając o nie jedną dłoń.

- Och, i kiedy już skończycie... niech jedna z was przyniesie mi coś do picia. - Przerwał. - Ellie, wolę, żebyś to była ty. - Zaszczycił Ellie uśmiechem. - Przynies nam whisky... i niech będzie podwójna, co?

Jak mógł kiedyś uważać ten zapomniany przez Boga kraj za piękny? Ale czy przed tym wszystkim w ogóle kiedykolwiek myślał?

Pod gasnącym, wyblakłym niebem, pozbawionym kolorów niczym rozbite w pył marzenia, Jon obserwował teren wokół jeziora i żałował, że nie może znaleźć się w jakimś innym miejscu na ziemi, obojętnie gdzie, byle nie tutaj. Dookoła połyskującej tafli wody stały te same, zbite w kępy, szeleszczące drzewa gumowe, za nią wznosiła się ta sama niedostępna ściana prastarego piaskowca, uświęcona mistycznym przesłaniem aborygenów sprzed milionów lat, ponad nią ostatnia tego dnia mewa zdążyła jako smuga przydymionej bieli do domu, wykrzykując odwieczny, oparty na jednej nucie lament, i kierowała się szlakiem nadciągającej nocy ku pierwszej, nisko wiszącej, pełnej smutku gwiazdzie. Wszystko było takie jak zawsze. Ale to go już nie obchodziło, za bardzo się zmienił.

Jak tato mógł go w ten sposób wydziedziczyć? I nie tylko jego -mamę także, gdzie miała się podziać, co, do diabła, miała z sobą zrobić? Wielki Boże, nie poradzi sobie sama, nigdy nie musiała nawet podpisać czeku!

Jak tato mógł tak postąpić? A jednocześnie, czy miał inne wyjście? Przecież Alex istniał. Prędzej lub później musiał powrócić do rodzinnego domu. I prawdopodobnie lepiej, że stało się to teraz niż po upływie wielu lat, w czasie których łudziłby się tylko, że to on, Jon Koenig, jest panem Koenigshausu.

Nie ma sensu nawet o tym myśleć.

Trzeba po prostu zająć się spędem, jak zwykle podzielić bydło i zagonić je do linii kolejowej, a potem będzie można zdecydować, co zrobić z resztą życia.

Poza jedną sprawą.

O niej nie musi więcej myśleć, ta decyzja została już za niego podjęta.

Z twarzą zastygłą jak maska, Jon zsiadł z konia i stał przez chwilę w zapadającym zmroku, obejmując wielką czarną głowę wałacha i ciągnąc go za szorstkie, owłosione uszy.

O Geenie. Geena.

Myśl o niej, a nawet samo tylko imię sprawiało mu ostry i osobliwy ból, tak odmienny od znanego cierpienia. Kiedy marzył, by uczynić ją swą żoną, sądził, że jest przyszłym panem na Koenigshausie, człowiekiem, który miał przed sobą przyszłość tak imponującą jak wielkie jest Terytorium Północne, i nadzieje, sięgające gwiazd.

A teraz?

Teraz był mniej niż najemnym pracownikiem. Nie wiedział nawet, jak wynająć się do pracy, jak pracować dla kogoś innego, jak nie być szefem. A jeśli nie jestem tutaj szefem, to czym jestem? - krzyczał w nim głos wewnętrzny.

Nagle z nicości wyłonił się Dusty i zmierzał ku Jonowi, ściągając na siebie jego spojrzenie, utkwione dotąd we wschodzącym księżycu.

- Hej, szefie - powiedział łagodnie, jak gdyby odczytał myśli Jona.

I tak prawdopodobnie było - pomyślał Jon z roztargnieniem. No cóż, przed Dustym nie można mieć sekretów. Zresztą, tak czy owak, nie miał nic do ukrycia.

Z drugiej strony pojawił się Frank, w milczeniu wyjął mu z ręki wodze i odprowadził zmęczonego konia na dobrze zasłużony odpoczynek w pobliskim korralu. Troszczył się o mnie, jakbym był chory, jakby brak mi było piątej klepki - zauważył z obojętnością. A może i mają rację.

- Zaraz będzie żarcie, szefie.

Dusty popchnął go delikatnie i skierował w kierunku ogniska, gdzie Slim zręcznie dorzucał drewna do ognia.

- Piwa?

Jon z wdzięcznością przyjął proponowaną puszkę i osuszył ją kilkoma pośpieszonymi łykami. Dusty bez żadnego komentarza podał mu następną, potem przykucnął u jego boku.

Jasna wieczorna mgła kłębiła się u podnóża Diabelskiej Skały jak przyływ widmowego morza. Z miejsca, w którym siedzieli, nie można było zobaczyć na tej naruszonej zębem czasu powierzchni wejścia do jaskini, jego azylu i kryjówki w czasach dzieciństwa. Oddalony nieco Henry nadzorował ostatnie manewry przy zaganianiu na noc ospałego i ociągającego się bydła, a reszta poganiaczy stwarzała tylko pozory, że zajmuje się przygotowaniami do noclegu. W powietrzu czuło się przyjazną obecność porykujących i tłoczących się zwierząt, a ich słodki, silny zapach dolatywał do Jona w podmuchach ciepłego powietrza, kołysanego lekkim wieczornym wiatrem. Poczul, że mały skrawek jego zranionej duszy odżywa. Odezwał się, obejmując rękami kolana jak mały chłopiec.

- Wiesz, tato zawsze lubił to miejsce. Gdyby mógł wybierać, myślał, że tu chciałby umrzeć.

Dusty przyjął te słowa ze swą zwykłą, pełną dobrych chęci gotowością, nie czuł potrzeby, by coś odpowiedzieć.

- Przychodziliśmy tu często, jak byłem mały, rozbijaliśmy obóz w zapadlinie, nocowaliśmy w jaskini, tylko we dwóch. - Zadumał się przez chwilę. - Tutaj, tak blisko natury, był naprawdę sobą.

Dusty skinął głową.

- Wszyscy ludzie są tu sobą.

Jon poczuł nagle, że powstrzymuje się od łez.

- Nie mogę uwierzyć, że tato naprawdę odszedł. Gdzie on teraz jest, Dusty? Dlaczego musiał umrzeć?

Dusty zastanawiał się nad odpowiedzią. Zadał już swym duchom te same pytania i wciąż je powtarzał. Drugi problem

poruszony przez Jona budził w nim głębokie obawy, zdecydowanie skupił się więc na pierwszym.

- Szef wrócił do domu - odpowiedział z prostotą. - Do Praojca. Nie umarł, po prostu poszedł do innego pokoju. Spotkamy go tam znowu pewnego dnia. I będzie zdrowy, taki jak zawsze.

Taki jak był przedtem...

Nagle Jon zobaczył Phillipa takim, jak go dawniej pamiętał. Zawsze był człowiekiem twardym, jako ojciec zdawał się wzorować raczej na sposobie, w jaki lew traktuje lwiątko, niż na bardziej wrażliwym ludzkim modelu. A jednak był pełen radości, życia i siły, zawsze - w granicach jego charakteru - można było na nim polegać, przewidzieć, co robi. I zawsze postępował słusznie.

Wyprostował się, zaskoczony.

Kiedy tato zaczął tak dziwnie się zachowywać, poddawać się tym nieoczekiwanym napadom wściekłości i równie szalonym przebłyskom dobrego humoru, często posuwając się do okrucieństwa wobec Charlesa, mamy, Bena, Geeny...?

Geena.

Znowu wróciło to bolesne wspomnienie, jak cios miażdżący klatkę piersiową, łamiący zębra. Tak musi wyglądać atak serca - pomyślał. Odrzucił w tył głowę i usiłował głęboko i spokojnie wdychać świeże nocne powietrze. Przed nimi zbliżał się do ogniska Henry, za nim wlekli się poganiacze, pojedynczo i dwójkami.

Z nagłym wstrętem zrozumiał, że nie potrafi dzisiaj znieść ich towarzystwa, rytuału piwa i papierosów, rutynowego narzekania na bydło, gadania o kobietach... Zerwał się na nogi.

- Słuchaj, stary, nie jestem głodny - oznajmił szorstko. - Powiedz chłopcom, by nie zrozumieli mnie źle, ale mam zamiar pójść dziś w ślady taty. Zrobię sobie legowisko tam, na osobności. - Z zakłopotaniem dał znak przyjacielowi. - I tak nie bardzo nadaje się do towarzystwa. Dusty skinął głową.

- W porządku, szefie.



Jego uśmiech mówił, że nie trzeba żadnych wyjaśnień. Dusty wiedział, że Jonowi dobrze zrobi odosobnienie.

Wiedział też, że nie musi udzielać mu ostrzeżeń: uważaj na siebie, pamiętaj o niebezpieczeństwie, strzeż się tych cholernych brązowych węży. Dusty zdążył już poprosić swe duchy, by czuwały nad Jonem, i czuł w głębi duszy, że to, co zabiło Phillipa, nie miało złych zamiarów względem jego syna. Każdy człowiek miał wyznaczoną godzinę śmierci, a czas Jona jeszcze nie nadszedł. Wierzył w to równie mocno jak w istnienie Wielkiego Tęczowego Węża.

Przechylił na bok głowę.

- Pomóc ci w czymś?

- Nie, dam sobie radę.

Jon uniósł lekko dłoń na pożegnanie i odszedł. Porwał jeden ze śpiworów, które zrzucano z jucznego konia, i ruszył po wybrzuszeniu doliny ku zacisznemu naturalnemu amfiteatrowi, gdzie znajdowało się dojście do wody. Idąc na skróty, odkrył płytkie zagłębienie pomiędzy wielkimi głazami, dość duże, by pomieścić ludzkie ciało, i łagodnie nachylone, jakby zachęcające do snu.

Nie mógł być tego, rzecz jasna, pewien w tym migotliwym zmroku. Ale gdy przygotowywał się i układał na noc, czuł, że odnalazł miejsce, w którym ojciec śnił ostatni sen w życiu. Ta myśl podniosła Jona na duchu.

Długo leżał bezsennie, chwilami pogrążony w rozpacz tak bolesnej, że mógł tylko zachowywać bezruch i czekać, by ból minął, chwilami popadał w rodzaj transu, jak dziecko czekające na narodziny. Co to Slim kiedyś powiedział o duchach dzieci, przebywających w wodzie w oczekiwaniu na czas, kiedy będą mogły się ponownie narodzić, przyłączyć się do nas? Zapatrzył się na wielki szkielet Krzyża Południa i Mleczną Drogę, płonące białym ogniem nad głową. Może coś tu czeka, by wrócić do życia, nawet w tym miejscu śmierci...

Na koniec usnął, choć ta dziwna senność przychodziła i odpływała, tak że nie potrafił określić, kiedy spał, a kiedy czuwał.

W miarę jak nocne powietrze ochładzało się, sen Jona stawał się coraz bardziej niespokojny. Jon wiedział, że ześlizguje się w sny i wynurza z nich, niezdolny ani do prawdziwego spania, ani do przebudzenia.

Czuł teraz, jak szara i wirująca mgła wczesnego poranka przepływa przez mózg, zasłaniając wewnętrzny wzrok umysłu, tak że spojrzenie nie mogło przebić kryjącego wszystko sennego tumanu. Chmury uniosły ze sobą księżyc, a mgła wciąż dryfowała, coraz gęstsza i gęstsza, po skalistym, potrzaskanym gruncie. A jednak we mgle rozbłyskiwały i gasły drżące, ruchome figury płasających światełek, kropki jasności w niewyraźnym, rozplywającym się świetle...

I nagle wszystko znikło jak kurtyna rozsuwająca się na boki, gdy zaczyna się przedstawienie. Zobaczył siebie samego, leżącego na ziemi, wysoką, silną sylwetkę zawiniętą w śpiwór, z twarzą opatuloną z powodu chłodu. Białe światło - czyżby księżyc? - opływało nieruchomą postać, pogrążoną w śnie pełnym błęgiego spokoju.

Po drugiej stronie doliny to samo światło wydobyło z mroku konia, wielkiego białego ogiera.

- To nie mój koń - pomyślał z typowym dla snu leniwym zaskoczeniem - nie stary wałach, na którym przyjechałem, lecz Kaiser. Dlaczego?

Teraz mógł zobaczyć wszystkich mężczyzn leżących dookoła ogniska, otulonych w koce i drzemiących spokojnie. Policzył ich we śnie: Henry, James, Dusty, Slim, Frank i Jon...

Ale jeśli Jon był tutaj, to kim był śniący?

Powoli, jak w koszmarze, odwrócił się, by spojrzeć na uśpioną sylwetkę w zagłębieniu skały.

Sam, a jednak nie samotny - teraz za nim pojawiła się inna postać, ciemna, przybliżająca się ukradkiem jak drapieżnik, który zauważył swą ofiarę. Z tyłu nadciągały dwie dalsze sylwetki, tak samo okryte mrokiem. Poruszały się w ciszy jak zwierzęta i zdawały się porozumiewać bez słów. Wtem spomiędzy tej trójki wysunęły się trzy dziwne, długie, wijące się kształty, trzy

ohydne, syczące formy, zdążające w kierunku pogrążonego we śnie człowieka.

Jon, tak jak ojciec, próbował wykrzyzczyć swoje przerażenie, obudzić siebie rykiem. Ale nie mógł przebić się przez spowijające go zasłony snu. Nie potrafił otrzeźwić nieruchomej postaci na ziemi.

We śnie rzucił się w przód w szaleńczej próbie osiągnięcia bezbronnego człowieka, złapał go za ramię i potrząsnął gwałtownie.

Bezwładnie, powoli, jak w sennym koszmarze, śpiący przetoczył się na plecy niczym kukielka. Gdy to zrobił, dwa lub trzy węże uniosły się nad jego ciałem, zaatakowały i znikły w buszu.

W snopie księżycowej poświaty widać było, jak głowa śpiącego przerażająco opada w tył. Usta miał rozchylone w bezgłośnym krzyku, otworzył oczy, by spojrzeć w twarz śmierci i wpatrywać się przez nią w wieczność. Teraz zza jego szyi wysunęła się głowa węża z drgającym groźnie językiem, szczękami rozwartymi jak potrzask, ostrymi jak brzytwa kłami gotowymi do ataku. Sycząc, niczym skorpion zatopił szczęki w twarzy śpiącego, w szyi i piersi, uderzając raz za razem. Ślady ukąszeń, rzucające się w oczy karminowe śmiertelne plamy, pojawiły się obok tych, które zostawili wcześniej jego towarzysze - mordercy.

W spowijającej wszystko ciemności mógł widzieć, jak ludzie - zabójcy - znikają w nocy, nie odrywając wzroku od leżącego, jak gdyby nie chcieli stracić najmniejszego szczegółu swego ohydneho dzieła. Utkwił spojrzenie w przywódcy, który odchodził na końcu, krył się jako ostatni. Znam tę twarz - krzyknął we śnie Jon. Wiem, kim on jest!

Z głębokim przekonaniem, jakie zdarza się jedynie we śnie, wiedział, że gdyby tylko zrobił wysiłek, zmusił się do ostatniej próby, by przebić wzrokiem upiorne nocne zjawy, które tak zwodniczo poruszały się tam i z powrotem, mógłby ujrzyć to, co musiał zobaczyć za wszelką cenę. Twarz mordercy ojca. Ale w

tej samej chwili obudził się, mając jedynie świadomość, że śmierć Phillipa nie była przypadkowa, jak wszyscy sądzili... że ojciec został zamordowany, uśmiercony w najokrutniejszy sposób, na jaki mogli wpaść zabójcy... i że on, Jon nie zazna spokoju, dopóki ich nie wyśledzi i nie odda w ręce sprawiedliwości.

## Rozdział czternasty

Z pewnego oddalenia dżip wyglądał jak chmura wirującego kurzu. Zwalniając w miarę zbliżania się do osady, Helen skrzyła ostrożnie pod łukowatą bramę, splecioną z gałęzi drzew gumowych. Pokonała teren za ogrodzeniem i zatrzymała się koło największej z chat. Opierając dłonie na gorącej kierownicy, zapatrzyła się na scenę, którą miała przed oczami.

Był to odwieczny obraz, który mógłby stanowić odbicie życia w dowolnym zakątku Australii, zanim przybyli tu biali osadnicy. Wyniosły eukaliptus pośrodku osiedla górował ponad kępą mniejszych drzew, chroniących ognisko. W pobliżu tłoczyło się kilka mniejszych i parę większych chat, nieco dalej - baraki, w jakich aborygeni żyli od niepamiętnych czasów. Jedynym ustępstwem na rzecz dwudziestego wieku była garstka zdezelowanych pojazdów i zatłoczona zagroda końska.

Pośrodku osiedla stadko nagich, roześmianych dzieci bawiło się w tradycyjne dziecinne gry. Milczący i niewzruszeni starcy plemienia przyglądali się wszystkiemu ze swego punktu obserwacyjnego wokół ogniska. Kilku młodszych mężczyzn rozciągnęło się w cieniu i popijało piwo, opierając się o ściany chat, a dookoła nich hałastra na wpół zagłodzonych psów ryła w kurzu w poszukiwaniu odpadków. Tylko kobiety pracowały. Przygotowywały jedzenie, piastowały płaczące niemowlęta lub ratowały z opresji nadmiernie śmiałe pędraki, wieszaly pranie lub wnosiły je do domu, i przechadzając się tam i z powrotem,

niczym papugi pozdrowiały się radosnymi ochryplymi okrzykami.

Helen wyłączyła silnik i zwróciła się do Geeny:

- W porządku? Wszystko załatwione? O której mam przyjechać po ciebie?

Geena uśmiechnęła się.

- Och, około szóstej, jak myślę, żebym zdążyła ogarnąć się trochę przed kolacją.

Ogarnąć się. Helen uśmiechnęła się z milczącym zrozumieniem. Jon powinien wrócić dziś ze spędu i czuła, iż Geena miała zamiar zrobić coś więcej, niż tylko ogarnąć się, zanim go znowu zobaczy.

No cóż, mniejsza o to. To nie jej sprawa. A jednak, zastanowiła się nagle, co by czuła, gdyby coś było pomiędzy Geeną i Jonem? Znała odpowiedź, zanim jeszcze sformułowała w myślach to pytanie. Jeśli coś może znowu uczynić Jona szczęśliwym... cokolwiek... czy ktokolwiek... a zwłaszcza ta niezwykła istota o pięknych, wielkich, smutnych oczach...

Och, na litość boską, fuknęła, przestań budować zamki na lodzie!

Nie możesz go chronić bez końca i nie możesz go ochronić przed tym, co go teraz czeka - powiedział Charles.

Nienawidziła go, gdy to mówił, ale miał rację. Jon był już mężczyzną, a nie jej małym chłopczykiem, nie mogła przeżyć za niego życia. Nieświadomie wyprostowała plecy i ramiona. Niech więc tak się stanie.

- No więc dobrze - powiedziała z największą obojętnością, na jaką potrafiła się zdobyć. - Zobaczymy się później. Przyjemnego dnia.

Geena patrzyła, jak niski i szeroki samochód oddala się, podskakując po drodze, i jeszcze raz żałowała, że nie starczyło jej odwagi, by coś powiedzieć. Cokolwiek. Im dłużej przebywała z Helen, tym wyraźniej czuła, że ta kobieta rozpaczliwie potrzebowała z kimś porozmawiać, do kogoś się zwrócić.

Unosząc rezolutnie podbródek, skierowała się do centrum osiedla i zbliżyła do rozbieganych, wywracających koziółki dzieci, które bawiły się w piasku.

- Hej, chłopie! - powiedziała, mierzwiąc splecione włosy na małej główce jednego z nich. - Co słysząc? Wszystko w porządku?

- W porządku, w porządku! - zaśmiał się chłopczyk. Wyciągnął do niej ramiona, pragnąc, by go podniosła, a ona przytuliła go mocno.

- Ojej, jaki duży chłopiec! Urosłeś od wczoraj! Wkrótce będziesz wielkim mężczyzną, dość dużym, by się ożenić! Chcesz mnie za żonę?

Mały chłopczyk zachichotał z zachwytem, chowając głowę w jej ramieniu, zaciskając mocno oczy. Potem wyskoczył znowu do góry, jak gdyby miał zamiar zawołać: a kuku!

- Wyjdź za mnie, wyjdź za mnie! - zachichotał. Za ich plecami rozległ się głośny śmiech.

- Nie chcesz chyba wychodzić za mąż, po co to dziewczynie, która ma przed sobą przyszłość! Będiesz nadal uczyć tańca, jak to robiłaś tutaj, będziesz miała dobre życie i żadnych dzieci!

Geena odwróciła się, by spojrzeć na Dorę, jedną z młodych kobiet z osady. Były mniej więcej w tym samym wieku, wiedziała o tym, ale szeroka twarz Dory wyglądała na starszą o pięć czy dziesięć lat. Miała już na karku dwójkę lub trójkę dzieci i męża, którego zalety, jeśli je kiedyś widziała, od dawna zbladły w jej oczach. Jednak Dora była zawsze pogodna, wydawało się, że nigdy nie czuje pretensji do losu.

- Trzymaj się tańca, jesteś w tym dobra - zachichotała, odbierając dziecko od Geeny. - Czekają już na ciebie w osiedlu, znajdziesz ich tam, dopilnuj, by się dobrze bawili!

- Dziękuję, Doro!

Geena odwróciła się i przeszła przez osiedle w kierunku grupy, która zebrała się w cieniu wielkiego drzewa gumowego. Poczula się podniesiona na duchu, jak zwykle na widok wieśniaków, o których zawsze myślała jako o „swoich”

tancerzach. Była to mieszanina talentów, od najmłodszych chłopców i dziewcząt po kilku najlepszych artystów plemienia, wielkich, krzepkich mężczyzn, o mocnych, atletycznych ciałach. W samym centrum małego zgromadzenia przykucnął stary człowiek, grający na didgeridoo\*. Dookoła niego inni aborygeni, młodzi i starzy, śpiewali wspólnie, wysokimi, zawodzącymi głosami lub wybijali rytm na bębenkach i klaskankach\*.

Geena zatrzymała się tuż przy zgromadzonych, przyciągnięta, jak zwykle, precyzyjnym, niesamowitym rytmem aborygeńskiej muzyki i potęgą pieśni, które zdawały się przemawiać wprost do serca, choć nie potrafiła zrozumieć ani jednego słowa. Słońce wspinało się teraz na niebo i wydawało się, że piskliwe, jęklive kwilenie didgeridoo zawisło, wibrując niczym dźwięki szklanych dzwonek, w kipiącym żarem powietrza.

- *Wija narani, jilalan, nagugari* - śpiewał starzec. - *Koppi unga, allin-ger yerra-ballama.*

- Wiesz, o czym on śpiewa?

Timbo. To on przede wszystkim zainteresował się Geeną, jak tylko tu przybyła po raz pierwszy. Wysoki chłopak, koło osiemnastki, z sylwetką urodzonego tancerza, niski i dobrze zbudowany, był również, jak tego dowiódł, kopalnią informacji o tradycyjnych tańcach swego ludu. Z przyjacielskim entuzjazmem przyjął możliwość współpracy z nią, wymieniania tanecznych *pas*, figur i pomysłów.

Geena uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

---

\* *Didgeridoo* - to wyżarty przez termity prosty konar z drzewa eukaliptusowego, długi na półtora metra, o średnicy ośmiu centymetrów, zaopatrzone na węższym końcu w usznik ze stwardniałego soku pewnego gatunku orzecha. Większe egzemplarze, pokryte ornamentem, przeznaczone są dla celów obrzędowych. Dla uzyskania lepszego rezonansu opiera się jeden koniec didgeridoo o blaszaną puszkę lub muszlę. Grający dmucha w instrument lub wykrzykuje jakieś słowa, traktując go jako megafon (przyt. tłum.).

\* *Klaskanki* - zwane też *diamalah*, są to dwa twarde drewnianki, którymi uderza się jedno o drugie (przyt. tłum.).

- Nie mam pojęcia.

Słuchała uważnie. Didgeridoo ciągnęło swój hipnotyzujący kurs w górę i dół skali, prymitywny instrument zawodził i wzdychał jak żywa istota, gdy grający delikatnie towarzyszył rytmowi bębna.

Timbo przechylił głowę.

- To lament umierającego - powiedział cicho. - Żegna się z kimś, kogo kochał. Mówi: „Teraz idę, wyruszam w podróż, muszę cię opuścić, daj mi

trochę wody, bo słońce już zachodzi...” - Urwał. - To stara historia, która zdarzyła się na farmie dawno, dawno temu. Zaciekawilo ją to natychmiast.

- Opowiedz mi ją.

Spojrzał na dziewczynę z ciekawością.

- Lubisz smutne opowieści?

- Nie wiem - odparła przeciągle. - Odpowiem ci, jak ją usłyszę. Chłopiec zmienił pozycję i spojrzał w dal, ponad osiedlem, ku odległej linii drzew, czarnych, nieugiętych i wyglądających jak martwe, jak rząd szubienic, rysujących się na tle fosforyzującego nieba. Ponad głowami, na drzewie, jakiś niewidoczny ptak pokasływał i zawodził niczym dziecko, i stary grajek, odpowiadając mu chichotem, wyczarowywał z pustego wnętrza didgeridoo kaskadę dzikich krzyków i dźwięków. Timbo ciągnął, patrząc na niego obojętnie.

- Wiesz, że plemię Koori jest tutaj od tysięcy, tysięcy lat. To nie było pytanie, ale pośpieszyła z odpowiedzią.

- Wiem, że archeolodzy coraz bardziej przesuwiają wstecz datę powstania tutejszych dzieł sztuki... czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy lat...

Mówiąc to zadrżała, przez chwilę jakby zobaczyła przeblysł bolesnego piękna i ciszy tamtego starego, bezludnego świata.

- Taak. - W oczach Timba zauważyła teraz chłodne oskarżenie. Nie było skierowane do niej. - I mogli żyć tutaj, bo mieli wodę... dopóki nie pojawił się biały człowiek.

- Tutaj? W Koenigshausie?



- Tutaj - potwierdził. Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu.  
- Ale wtedy nie używano jeszcze nazwy „Koenigshaus”. Dopiero od czasów Johanna.

- Johanna. - Pradziadka Jona. - Mów dalej.

- Pojawił się, bo tu była woda, dobra woda przy Diabelskiej Skale, całe mnóstwo. Ale on przyszedł, by zabrać tę ziemię dla siebie, dla siebie i swego syna. By stworzyć królestwo. Dla niego woda była towarem jak na przykład złoto, a nie dobrem, z którego korzysta się wspólnie.

Wiedziała o plemienu matki tyle, że aborygeni dzielili się wszystkim ze sobą jak pierwsza rodzina w rajskim ogrodzie, nie rozróżniając, co „moje” i „twoje”.

Timbo ciągnął dalej spokojnym głosem.

- Zagarnął wodę, sprowadził bydło, przepędził i wybił kangury, by zrobić miejsce dla krów. Teraz ludzie nie mieli wody, poza tą, którą znajdowali w kałużach pozostałych w wyschniętych korytach rzek, i nie mieli co jeść, bo nie było kangurów. Wszyscy głodowali. Wtedy najstarszy z plemienu miał sen. W tym śnie Karora, Wielki Duch, który wynurzył się z pierwszego zbiornika wodnego dawno temu, w Epoce Snu, powiedział, że bydło to kangury, które po prostu ponownie narodziły się w nowej postaci.

To były te wszystkie zwierzęta, które zostały dawniej zabite, a ich duchy wróciły jako bydło, by nakarmić głodujących. Więc wojownicy powinni je zabić, by ludzie mogli się najeść.

- Och, nie! - W miarę opowiadania Timba czuła, że zna tę historię, wie, jak rozwija się dawna tragedia.

- Więc młodzi wojownicy poszli i wybili bydło. Musieli to zrobić, by utrzymać przy życiu kobiety, dzieci i starców. A Johann pojawił się ze swymi ludźmi, karabinami i batami, walczył z Koori, pozabijał wojowników, a resztę wypędził za Diabelską Skalę, by poumierali. - Zrobił przerwę. - Dlatego nazywamy to miejsce Diabelską Skalą, bo ten stary diabeł wymordował tam chłopców i dziewczęta, całe plemię, by odebrać im ziemię.

Odwieczna muzyka jęczała teraz i zawodziła, towarzysząc opowiadaniu, aż do krwawego punktu kulminacyjnego. Bębny krztusiły się jak starzy ludzie, walczący o ostatni oddech, klaskanki trzaskały niczym setki dziecięcych kości. Geena miała teraz przed oczyma drżących staruszków, spychanych z dzikiej, urwistej, czerwonej skały, matki z dziećmi skaczące w dół, a pulsujący niczym serce rytm powtarzał lament, jak ziemia powtarza niezmienny cykl. W oddalonym, zapatrzonym spojrzeniu Timba widziała mroczną powierzchnię wody, unieruchomioną przez rozkładające się ciała, i ciemną ziemię, zalaną krwią jak deszczem.

Boże, jak mogła spodziewać się, że wystarczy, by wysiadła z samolotu z Sydney, a stanie się jedną z nich, tylko dlatego, że tego pragnie? Jej życie rozdzielala przepaść, granica, oznaczona napisem „białe” i „czarne”, niczym głęboki kanion, w którym zginęli przodkowie tych ludzi. Czy nie była ostatnią idiotką, myśląc, że uda jej się przetrzymać nad nią most, wbrew przeszłości?

- Uczysz się historii, nauczycielko?

Nie mogło być nic bardziej sprzecznego z jej nastrojem od tego głośnego, szyderczego głosu. Zebrała wszystkie siły, by odwrócić się i najgrzeczniej, jak tylko potrafi, stawić czoło mówiącemu.

- Dzień dobry, Marku - powiedziała spokojnie.

Mężczyzna był już pijany, choć do lunchu zostało jeszcze sporo czasu, i w obu rękach trzymał otwarte puszki piwa, z których popijał kolejno.

- Historii - powtórzył triumfalnie, jak gdyby powiedział coś bardzo mądrego. Potem jego błędne myśli zoczyły na inny, bardziej mroczny szlak.

- Prz'szłaś z domu? - dopytywał się zaczepnie. - Wdziąkaś moją żonę? Geena wiedziała już dosyć, by nie odpowiedzieć na to pytanie. Ze wszystkich małżeństw w osadzie aborygenów, związek Marka i podkuchennej z Koenigshausu był najbardziej burzliwy i najmniej szczęśliwy. Podczas pierwszej wizyty Geena

była świadkiem brutalnej sceny, gdy pijany Mark pobił żonę, bo Ellie upierała się przy pracy w wielkim domu. Gdyby jednak została w osiedlu, Mark równie dobrze mógł ją zbić za lenistwo, za to, że nie przyniesie skromnego zarobku, z którego oboje się utrzymywali. Starszy od Ellie, pijany i pełen złości, był żywym ludzkim koszmarem. Geena starała się unikać go za wszelką cenę, ilekroć była w osiedlu, ale wyraźnie tym razem szczęście jej nie dopisało.

I równie wyraźnie Mark aż rwał się do walki. Stał przed nią, ubrany w podarty podkoszulek i brudne szorty, chwiał się na nogach, jego małe oczka były zapuchnięte i podejrzliwe, jak u świni, gdyż wypił zbyt dużo jak na tak upalny dzień. Cuchnął piwem i zastarzałym potem.

Mógł być przerażającym przeciwnikiem, wzdrygnęła się Geena. Żadna kobieta nie miałaby szans w walce z nim, zwłaszcza gdy był pijany. Spostrzegł wyraz jej oczu i jego tłący się gniew wybuchł płomieniem.

- Czemu tak na mnie patrzysz, suko? - zawył. - Nie możesz na nikogo patrzeć z góry, jesteś nikim, mniej niż nikim, ty bękarcie! Spieprzaj z powrotem do wielkiego domu, gdzie twoje miejsce, zobacz, co twój wielki ojczulek zrobił dla ciebie, gdy tamten wypędek nareszcie dostał swoją szansę, dostał, co mu byli winni, co w końcu należy do niego!

Nagle gorączka go opuściła i bezsensowny atak przekształcił się w pijackie bredzenie.

- Twój ojczulek... twój tatko... to, co ty myślisz... co myślą wszyscy...

- Hej, daj spokój, daj spokój, Markie!

Kilku młodych ludzi zorientowało się z krzyków Marka, że zbliża się kryzys, i przepchnęło się bliżej. Teraz skorzystali z okazji, by go odciągnąć siłą, potaszczyć przez osiedle do jego chaty i złożyć dość łagodnie w cieniu, opierając o ścianę.

Geena zwróciła się z zaskoczeniem do Timba.

- Mój wielki ojczulek? - Zmarszczyła brwi. - Co on chciał przez to powiedzieć?

Timbo wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł obojętnie. Dla niego wszyscy dorośli byli zwariowani, a co dopiero taki pijany, stary nieudacznik jak Mark. - Nie będziesz chyba sobie nim zawracać głowy. - Zaśmiał się. - Zajmij się nami, jeśli już musisz się o kogoś martwić. Możemy wykorzystać cały twój czas i energię!

Gdzie to może być?

Przynajmniej miała teraz okazję, by przeprowadzić poszukiwania. Charles odleciał helikopterem do Sydney sprowadzić ewentualnego nabywcę Koenigshausu, by obejrzał posiadłość, Jon pojechał na spéd, Ben siedział jak zwykle w biurze, a Geena trudziła się w osiedlu aborygenów.

Pozostawał tylko Alex, a on będzie zajęty przez cały ranek. Zaraz po śniadaniu udał się do swojego dawnego pokoju w „wieży”. Tak nazywał kwadratową, dwupiętrową przybudówkę z cegły, wystawioną przy domu przez dawno zmarłych Koenigów. Dawała ona mieszkańcowi uczucie, że jest panem własnego terytorium, a dzięki wysokim oknom i wysuniętemu balkonowi na górnym piętrze czyniła go władcą wszystkiego, na co patrzył.

„Wieża”.

Ona i Phillip rzadko wymawiali to słowo, odkąd chłopiec opuścił dom. Wiedziała, że Alex znajdzie tam wszystko niemal w takim stanie, w jakim było, gdy uciekł od nich przed dwudziestoma pięcioma laty. Gdy jasne się stało, że zaginione dziecko nie wróci, ona i Phillip, za milczącą zgodą, pozostawili pokój nietknięty poza takimi nie znaczącymi zmianami, jak zdjęcie bielizny pościelowej i wyrzucenie śmieci z kosza.

I co z tym teraz robi?

Trzydziestoośmioletni Alex nie potrzebuje z pewnością ubrań i przedmiotów, należących do tamtego trzynastolatka. Ale będzie bardzo zajęty, przeglądając wszystko i dostosowując pokój do użytku. W każdym razie nie będzie powodu, by szukał jej na piętrze w głównym budynku.

Dobrze, teraz więc jest odpowiednia pora. Zresztą nie zostanie jej dziś zbyt wiele wolnego czasu, jeśli Charles dotrzyma słowa i przywiezie z Sydney tych japońskich kupców. To znaczyło, że trzeba będzie przyrządzić kolację, przygotować pokoje gościnne, wysprzątać cały dom... Więc bierz się do roboty! Dlaczego tracisz czas?

Ze wznowionym zapalem wspięła się po szerokich schodach, wiodących z holu, i skręciła korytarzem do pokoju Jona. Od drzwi od razu mogła zobaczyć to, czego szukała. Na komodzie, pomiędzy zwykłymi, nielicznymi męskimi drobiazgami, leżała brązowa koperta, ta sama, którą widziała w biurku Phillipa przed wypadkiem. Otworzyć po mojej śmierci. Pokazał ją Helen przed wieloma laty, gdy ją przygotował, kiedy Jon był jeszcze dzieckiem.

- Tu jest wszystko, Hen - oznajmił. - Konto bankowe, sprawy administracyjne, całość.

To działo się, zanim utworzony został Koenig Holdings po sukcesie Charlesa na froncie miejskim, zanim skomputeryzowano całą firmę, zanim Koenig Cattle rozrósł się tak, że wkroczył na rynki zagraniczne, miała więc wątpliwości, czy ta koperta mogła dziś zawierać „wszystko”.

Ale i tutaj znajdował się taki sam sejf, jaki stał w biurze, masywny, ciemnozielony potwór z mosiężnymi okuciami, z podłogą obciążoną ołowiem i stalowym wnętrzem. Musiał mieć więc taki sam zamek szyfrowy, stare sejfy miały tylko jedną kombinację cyfr, nie mogły być przeprogramowane jak nowoczesne urządzenia. A niezależnie od tego, co Phillip tu przechowywał, musiał gdzieś zapisać numer dla spadkobierców.

Pospiesznie przecięła kilkoma krokami pokój Jona, podeszła do komody i rzuciwszy się na kopertę, wysypała w pośpiechu na łóżko jej zawartość.

Sześć cyfr, mówił Jon, wszystkie stare sejfy są takie same. Gorączkowo przerzucała zaskakująco skąpą zawartość - kilka kartek z danymi bankowymi i numerami kont, parę nazwisk i

adresów, trochę banalnych instrukcji -i nic, co by przypominało szyfr.

Musiała się pomylić, to musi gdzieś tu być! W panice zaczęła szukać bardziej dokładnie, przeglądając leżące przed nią papiery linijka po linijce.

Czuła wściekle gorąco, nawet w chłodzie tego niskiego, wychodzącego na wschód pokoju - z pewnością jest już później, niż sądziła. Zachowaj spokój - mówiła sobie - opanuj się, musiał gdzieś zapisać numer, to po prostu nie ma sensu.

Być może ukrył szyfr gdzieś pomiędzy tymi grupami cyfr. Z niepokojem wróciła do początku i zaczęła poszukiwania od nowa. Ale każda linijka cyfr zdawała się odpowiadać numerom kont lub kodom, a te musiały być wprowadzone przez rozmaite banki jakieś sto lat po zbudowaniu sejfu. Może data? Lecz gdy przyglądała się linijce: 29 maja 1972 - czuła dręczące przekonanie, że to wszystko nie ma sensu.

Nie poddawaj się tak łatwo - skarciła się, powstrzymując łzy - to jest gdzieś tutaj, po prostu musisz dalej szukać!

Notując w pamięci datę, wypisaną dużym, ozdobnym charakterem pisma Phillipa, na wypadek, gdyby okazało się, że jest to poszukiwany szyfr, umieściła dokumenty w kopercie, potem starannie odłożyła ją na komodę, napisem w dół, tak jak leżała, gdy tu przysła. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak postąpiła. Nie chciała tylko, by Jon wiedział, że z narastającą desperacją szuka czegoś, co obawia się znaleźć...

Opuściwszy pokój, starannie zamknęła drzwi na klamkę i cicho przeszła po podeście do eleganckich apartamentów, które dzieliła z Phillipem. Ta sypialniana amfilada ciągnąca się wzdłuż pierwszego piętra domu, na honorowym miejscu ponad werandą, wyposażona w szeroki, biały balkon, panujący nad nieogarnionymi ziemiami Koenigów, była nagrodą dla głowy rodziny i upragnionym schronieniem przed wszystkimi trudnościami, związanymi z tą rolą. Białe ściany, stolarka z naturalnego drewna i żywy, jabłkowiezielony dywan w połączeniu z jasną tapetą w kwiaty i gałązki, pokrywającą jedną

długą, pochyłą ścianę, kojarzyły się z facjatką w angielskim domu, ze słodkim porankiem angielskiej wiosny.

Ale nic, co związane było z Phillipem, nie mogło zbyt długo stwarzać pozorów słodczy. Wielkie, stare, ciemne, dębowe łóżce z baldachimem w stylu europejskim, drapowanymi zasłonami i narzutą, solidny fotel klubowy i stare dębowe biurko głośiły jego dominującą obecność. Pokój miał charakter męskiej palarni, ulubioną atmosferę, którą tak łatwo Phillip stwarzał wokół siebie.

Biurko przyciągnęło Helen, niczym magnes. To było miejsce, w którym Phillip mógłby trzymać to, czego szukała... jeśli coś takiego istniało. W ciągu ich wspólnego życia, od pierwszej chwili, gdy wprowadziła się do - jak myślała przez całe lata - sypialni innej kobiety, biurko było cały czas zamknięte.

- Dla bezpieczeństwa, Hen - powiedział Phillip swobodnie, gdy kiedyś go o to spytała, a ona to zaakceptowała. Po jakimś czasie Helen udało się przekształcić sypialnię w swój pokój. Stopniowo i - jak miała nadzieję -delikatnie wykorzeniła wszystkie ślady gustu „tamtej”. Rzadko używała imienia pierwszej żony Phillipa. Po zmianie tapet, przeróbkach, przestawieniu mebli, dodaniu tu stołu, tam półek na książki, zaczęła naprawdę czuć, że wreszcie jest to mieszkanie jej i Phillipa.

Ale czasem duch „tamtej” stawał pomiędzy nimi. Myślała z głębokim lękiem, że to miało się właśnie zdarzyć. Rose była pewna, że Trudi wróciła, przyszła po Phillipa - przypomniawszy sobie z drżeniem. Czy to możliwe?

Podeszła do stolika nocnego, by wziąć pęk kluczy, przywiezionych z ciałem męża, z którymi nigdy nie rozstawał się za życia, nawet w buszu Eliminując wszystkie duże, błyszczące, nowoczesne egzemplarze, metodą prób i błędów trafiła na ten, którego szukała. Pod łagodnym naciskiem zamek w biurku otworzył się. Z płytkiej szuflady patrzyła na nią twarz dawno zmarłej kobiety, nawet na tej czarno-białej podobiznie nadal piękna i pulsująca życiem.

Trudi.

No pewnie. A któż by inny?

Niemal wyszeptała przywitanie - a może przekleństwo.

Tu właśnie kryło się rozwiązanie jednej z tajemnic tych dwudziestu pięciu lat - co stało się z uderzającym portretem olśniewającej piękności, pierwszej pani Koenig. Portretem, który zobaczyła, gdy po raz pierwszy była w tym domu, w tym pokoju, gdy Phillip po raz pierwszy wziął ją do łóżka. Potem Trudi zniknęła. Helen wiedziała, że Phillip musiał gdzieś schować ten piękny, artystyczny obraz, to nie była rzecz, jaką się wyrzuca. Ale nowa żona miała dość zdrowego rozsądku, by go nie szukać, a po jakimś czasie niemal zapomniała o jego istnieniu. I nigdy, nawet przez chwilę, w ciągu tych wszystkich lat, nie śniło jej się, że tamta była tu, w sypialni. Świadek najbardziej intymnych tajemnic, a w ostatnim czasie - najbardziej wstydliwych czynków.

Poczuła przypływ mdłości, zapragnęła zrzucić obraz ze szczytów Gór Śnieżnych i patrzeć, jak rozpada się na tysiąc kawałków. Albo podrzeć go i wrzucić do ubikacji. Zmusiła się, by wyjąć go ostrożnie i odłożyć na łóżko. Będzie miała dość czasu, by postanowić, co zrobić z Trudi, gdy znajdzie to, czego szuka. A wcale nie była bliższa celu niż wtedy, gdy zaczynała poszukiwania.

Jak we wszystkich zamkniętych i ukrytych szufladach, i tu mieszały się przedmioty cenne i bezwartościowe. Znalazła komplet staromodnych złotych spinek do koszuli i pasujące do nich spinki do mankietów, wysadzone diamentami i masą perłową, ciężką onyksową pieczętkę z wyrzeźbionym gotyckim „K”, drugą - z granatu i krwawnika, złote sygnety z wygrawerowanymi splecionymi inicjałami, kilka solidnych złotych męskich zegarków, przeznaczonych do noszenia na kamizelce, razem z łańcuszkiem i breloczkami. Phillip nie lubił takich rzeczy, pogardzał mężczyznami, noszącymi, jak to określał, „biżuterię”.

Obok starych kosztowności leżała mieszanina drobiazgów, niektórych używał na co dzień, część musiał przechowywać od czasów, gdy był chłopcem. Bryłka czerwonego laku i pudełko



zapalek, jakieś stare klucze, złamany scyzoryk, pocztówka lub dwie od dawno zapomnianych przyjaciół - wszystko to odrzuciła niecierpliwie na bok. Pod nimi leżało zatrzęsienie listów, i służbowych, i osobistych. Starannie sortowała i przeglądała każdy z nich. A to, co odkryła, było najostatniejszą rzeczą na świecie, jaką chciałaby wiedzieć.

Na dnie szuflady leżała zwyczajnie wyglądająca korespondencja, pisane na maszynie pisma w urzędowych kopertach.

*Drogi panie Koenig - zaczynał się pierwszy list z Sydney. Niniejszym potwierdzam umówione spotkanie z doktorem... dnia...*

*Drugi list był bardziej wymowny - ...powiadomić pana, że poczyniono przygotowania do badań radiologicznych i rentgenowskich, zasugerowanych przez doktora...*

*Ta historia miała własną dynamikę, nieubłagany postęp - ...spotkanie w celu omówienia wyników pańskich ostatnich badań...*

Jakie to były wyniki, stało się jasne z coraz bardziej natarcywych komunikatów w ostatniej paczce.

*- ...pragnę jak najmocniej podkreślić, że w tej sytuacji ogromnie ważne jest podjęcie natychmiastowych kroków. Choć rokowania nie są pomyślne, o czym został pan na własne żądanie poinformowany, dzięki współczesnym lekom i metodom leczenia można wiele zrobić, by powstrzymać rozwój nowotworu i zagwarantować przynajmniej przedłużenie życia, jeśli nie całkowitą sprawność.*

*Skutkiem operacji tego typu nowotworów, zwłaszcza usytuowanych na przysadce lub koło niej, niemal na pewno będzie zaburzenie mowy i ruchów, może nawet konieczność poruszania się na wózku inwalidzkim.*

*Jednak rezygnując z leczenia, może pan spodziewać się nie tylko narastającego bólu, ale coraz większego zakłócenia normalnego życia i wyraźnej zmiany modelu zachowań i nastrojów.*

Rak.

Był chory na raka.

Nie czuła nic, ogarnęło ją odrętwienie, spojrzała na datę pierwszego listu. Prawie trzy lata temu Phillip zachorował na raka. Miał nowotwór mózgu

i nie zgodził się na leczenie. Postąpił tak wiedząc, że wymagałoby to daleko posuniętej interwencji chirurgicznej, lękał się, iż po niej stanie się mniej wartościowym człowiekiem. I znosił to wszystko sam, zdecydowany do ostatka być tym Phillipem, co dawniej, walczył, na ile mu sił starczyło, by nie poddać się dobrowolnie temu ostatniemu ze snów.

Dokładnymi, automatycznymi ruchami umieściła listy w kopertach i odłożyła je z powrotem do szuflady. Potem zatrzasnęła drzwi biurka i zamknęła je, odłożyła klucze na nocny stolik Phillipa i ostrożnie wyciągnęła się po swojej stronie łóżka.

Patrzyła długo w sufit, a palące promienie południowego słońca przedzierały się przez weneckie żaluzje i rysowały równoległe linie na szorstkiej białej powierzchni, linie, które ciągnęły się w nieskończoność, gdy nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w światło. I w końcu, z pękającym sercem, z żalem tak głębokim, że miała wrażenie, iż nigdy więcej nie będzie w stanie unieść głowy, Helen Koenig zaczęła wreszcie opłakiwać śmierć męża.

## Rozdział piętnasty

Jon. Musi porozmawiać z Jonem.

I musi przestać płakać, powstrzymać te nie kończące się, bezużyteczne łzy. Czy ciągle jeszcze rozpaczała po Phillipie? Nie, opłakiwała teraz swoją klęskę jako żony.

Opłakiwała tę kobietę, która stała beczynną i patrzyła, jak maż idzie ku bramie śmierci, i nie szła z nim razem, ręka w rękę,

tak daleko jak tylko można. Pomimo wszystkich przeżytych razem lat nie ofiarowała mu nawet chwilowej pomocy ani słowa pocieszenia, gdy wychylał do dna ten puchar goryczy.

I płakała nad kobietą, która straciła wyjątkowego mężczyznę. Straciła go na całe lata przed jego śmiercią, tak że miała pamiętać tylko tego okrutnego uzurpatora, sobowtóra, który zajął miejsce Phillipa i zatrul ich ostatnie chwile.

Jaka to ulga, że mogła teraz powiedzieć synowi prawdę o ojcu, wyjaśnić mu, przez co musiał przejść. Wybuchy wściekłości, odrażające napady złego humoru, to ostatnie szaleństwo zmiany testamentu na niekorzyść Jona - były skutkiem czarnej narośli w jego wnętrzu.

Co więc miała synowi powiedzieć?

Że Phillip był szalony?

Szukając po omacku chusteczki, spuściła nogi z łóżka i usiadła szybko, zbyt zdenerwowana, by leżeć spokojnie. Z pewnością Jon będzie czuł się gorzej wiedząc, że stracił Koenigshaus z powodu choroby ojca i jego szaleństwa, a nie dlatego, że Phillip pragnął, wprowadzić trochę późno, zrobić to, co należało, że jego ostatnim uczynkiem przed śmiercią było uregulowanie długu honorowego?

Ciąg myśli przerwała jej nowa, przerażająca idea. W lustrze toaletki mogła zobaczyć swoją twarz, pobladłą na skutek wstrząsu, zaledwie cień kobiety, którą widywała w nim każdego ranka. Jego ostatni uczynek przed śmiercią.

Phillip wiedział, że umiera. Nie zgodził się na operację ani inny rodzaj leczenia, gdyż nie chciał być skazany przed śmiercią na inwalidztwo lub czysto roślinną vegetację. A jednak gdyby żył, nie mógłby uniknąć powolnej degeneracji, nieuniknionego uwiądu. Czy taki człowiek jak on nie wybrałby raczej długiego, samotnego marszu do buszu, ze strzelbą na ramieniu... uświęconego tradycją sposobu odejścia dla każdego hodowcy? Tylko Phillip był na tyle mężczyzną, by tak postąpić.

Czy mógłby odebrać sobie życie?

Nawet gdyby tego nie zrobił, śmierć i tak upomniałaby się o niego wkrótce, bez niczyjej pomocy. Rak był zaawansowany i nieoperacyjny, stan zdrowia - krytyczny. Chociaż Phillip chodził i rozmawiał ze zwykłą, na pozór, energią, staczał boje z Charlesem i Benem, upierał się, by uprawiać z żoną seks - był już martwy, jego los został już przypieczętowany.

Ta myśl zakorzeniła się i rozrastała. Z pewnością żaden człowiek nie wybrałby takiego rodzaju śmierci, nawet gdyby chciał sam zakończyć skazane na nieuniknioną zagładę życie. Lecz przecież i tak nie sposób było uciec przed śmiercią. A jeśli Koenig z „Królestwa” wybrał brązowego węża, by wyprawić się do „królestwa, które nie jest z tego świata”, czy nie było, w tym również jakiejś potwornej, ostatecznej logiki?

- Dziękuję, Charles. To fantastyczne. Do zobaczenia koło szóstej. Wspaniale! Cześć.

Siedząc na dole, w pokoiku za kuchnią, Alex z namysłem odłoży słuchawkę na widełki poobijanego telefonu i, porwawszy kawałek papieru zaczął szybko kreślić plan działania.

Charlesowi udało się, potrafił namówić Madame Butterfly, by przed odlotem do Tokio wpadła do Koenigshausu rzucić na wszystko okiem Brawo, Charles! Alex pozwolił sobie na krótki gwizd zachwyty, gdy jego myśli skupiły się na dalszym planowaniu kampanii.

Całe towarzystwo zjawi się tu dzisiaj, akurat na kolację, i zostanie co najmniej do jutra. W porządku, najpierw trzeba powiedzieć Helen, że spodziewamy się gości i że są już w drodze, niech zajmie się wszystkim przygotowaniami; potem zejść do kuchni, oczarować Rose, by przyrządziła któryś ze swych specjałów, i upewnić się, że Ellie będzie pod ręką, by pomóc przy podawaniu posiłku...

Ellie.

Usta Alexa rozchyliły się w marzycielskim uśmiechu. Zawsze je potrafisz poderwać, wyczuć na miłą, no nie, chłopie? - pogratulował sobie. Umiesz rozpoznać te naprawdę napalone,

wyłapać gorący towar. Chryste, zrobiłaby dla ciebie wszystko... i dowiodła tego! Dobrze wiedzieć, że stary weteran nie stracił zrzeczności!

Kto by pomyślał, że to chude, drobne ciało wybuchnie jak fajerwerki ledwie tylko się dziewczynę podkręci? I kto by pomyślał, że te piersi, choć osłonięte kusą bluzką wyglądały zdumiewająco, okażą się aż tak wspaniałym kawałkiem ciała?

Ciała stworzonego do dotykania, migotliwie brązowego, lśniącego jak brąz, gorącego jak roztopione masło. I którego wcześniej dotykały ręce o wiele bardziej brutalne niż jego własne.

Zmarszczył brwi. Ciało Ellie, jak to zauważył, gdy się kochali, nosiło ślady bicia, które świadczyły, że to, co mówiła na początku o zazdrosnym mężu, nie było tylko sposobem na dodanie pikanterii pozamałżeńskiemu seksowi. Chryste, jakim idiotą musi być ten pijany tubylec, jeśli jedyną frajdę sprawia mu tłuczenie takiego ciała!

Takie ciało...

I nie tylko ciało.

Te małe, twarde dłonie, z żyłastymi, chciwymi palcami, te zęby, ostre i białe jak u kota, nawet jej uszy, tak wrażliwe, że wystarczyło jedno dotknięcie, by prawie eksplodowała...

Mógł niemal czuć jej dotyk teraz, właśnie teraz, zadrżał poddając się zmysłom. Do diabła, była dobra w te klocki! Nienasycona, gotowa zrobić wszystko, wszystkiego próbować, wydawało się, że nigdy nie będzie miała dosyć...

Czuł znajome poruszenie między nogami, solidną zapowiedź potężnej erekcji za parę chwil. Zachowuj się przyzwoicie, chłopie! Najpierw interes, potem przyjemność. Nie spuszczaj oka z boiska. Jest pewna mała dama, która może mieć w tej chwili ogromny wpływ na twoją przyszłość, pani Fujiyama, czy jak jej tam. Ta-Która-Trzeba-Zadowolić, zanim noc zapadnie.

I to nie dzięki twoim wysiłkom, stary, choć smutno mi to przyznać, ale takie jest życie. W porządku, co dalej? Porozmawiać z Jonem, upomniał siebie, musisz porozmawiać z

Jonem. Współpraca Jona będzie decydującym czynnikiem. Pani Jak-Jej-Tam nie sięgnie do worka z pieniędzmi, jeśli uzna, że dookoła płacze się niezadowolony, wydziedziczony młodszy brat, gotów w każdej chwili przeszkadzać, stwarzać kłopoty, nawet oddać sprawę do sądu!

Nie, uporządkuj to wszystko. Ustaw Jona, wpraw w dobry humor Helen, upewnij się, że będzie miała przed nosem marchewkę dla siebie, pogadaj z Charlesem. Potem doprowadź do sprzedaży, zabierz forszę i udaj się ponownie prosto w zachód słońca, zniknij tam, skąd przyszedłeś.

No cóż, niezupełnie tam, skąd przyszedłeś. Przystojna twarz Alexa pociemniała ze wstydu i gniewu. Gwałtownie odepchnął wspomnienia. Po prostu pech, że go dopadli, to wszystko. Błąd organizacyjny, nigdy więcej nie zrobi takiego głupstwa. A nawet w... t a m t y m m i e j s c u - nie będzie używał innej nazwy, nawet teraz - wiele się nauczył, nawiązał kilka użytecznych kontaktów. Och, bardzo przydatnych, można by rzec... niezastąpionych. Więc w sumie dobrze się ułożyło.

W każdym razie to była już historia, przeszło, minęło. Spłacił długi z nawiązką! I drugi raz nic takiego się nie zdarzy. Jak to wszystko się skończy, będzie urządzony na całe życie. A potem...

No, cóż, Australia jest cholernie wielka, to cudowne miejsce do zniknięcia. A chłopiec, który już raz zniknął, potrafi to zrobić ponownie, gdy tylko zechce. Nie ma strachu.

Więc wszystko ustalone.

Z uczuciem, że odwalil tego ranka kawał dobrej roboty, Alex podniósł słuchawkę i przełączył się na wewnętrzną linię.

- Och, Rose, witaj, moja ulubienico - uśmiechnął się do słuchawki. -Nalej mi trochę whisky, dobrze? Taak, podwójną. - Uśmiechnął się znowu. -Jestem w pokoiku za kuchnią. Może by tak Ellie przyniosła mi ją tutaj?

Jon.

Wkrótce będzie mogła porozmawiać z Jonem.

Och, jaka szkoda, że ta Japonka i jej księgowy mają być dziś na kolacji, jak powiedziała Helen, gdy przyjechała do osady aborygenów. Ale goście nie będą chyba chcieli spędzić całego wieczoru z rodziną? Musi przytrafić się okazja, by ona mogła porozmawiać sam na sam z Jonem. O ile on będzie tego chciał.

O, Boże! Gdyby wiedziała, co on myśli! Geena westchnęła ciężko i wyciągnęła zmęczone nogi, zanurzając się głębiej w ciepłej kąpieli. Chciała spędzić kilka chwil z Jonem na osobności, czy to zbyt wiele...?

Tylko kilka chwil?

Naprawdę?

Uczciwa do szpiku kości Geena spłonęła ze wstydu z powodu takiego samookłamywania się. Nie, nie tylko kilka chwil. Całe życie, jeśli mam być szczerą... a przynajmniej chcę mieć taką szansę.

Czy to szaleństwo myśleć o nim w ten sposób? - zadała sobie to pytanie z niepokojem, siadając i sięgając po ręcznik. Prawie z nim nie rozmawiałaś, nie znasz go, może już mieć dziewczynę, być zaręczony z kimś z innej farmy, może czuć do ciebie fizyczną odrazę, uznać, że jesteś ostatnią dziewczyną, z którą chciałby się ożenić.

Tak może być - szepnął jej cichy głosik do ucha.

Ale nie jest! - odpowiedział mu inny z głębokim przeświadczeniem.

Westchnęła ciężko. No cóż, tak czy inaczej, dzisiaj się wszystkiego dowie. Jak tylko spotka się z Jonem.

Jon mógł widzieć z daleka, jak śmigłowiec nadlatuje w jasnym, czystym powietrzu, niczym moskit kołuje i brzęczy w pustej, złocistej misie nieba. Ku wściekłości mężczyzny, pilot przeleciał nisko nad stadem zgromadzonym koło linii kolejowej. Henry i pozostali chłopcy ładowali właśnie bydło do wagonów, by pokazać ewentualnym nabywcom, jakie wspaniałe sztuki mogą mieć, jeśli tylko zdecydują się na kupno. Zwierzęta

nienawidzą samolotów, boją się hałasu i jeśli coś je mocno przestraszy, po prostu zaczynają uciekać przed siebie.

Mógł przecież oczekiwać, że Charles będzie o tym pamiętał! Chyba że tak desperacko chce ubić ten cholerny interes, że nic innego już go nie obchodzi! Zobaczywszy to z okolicy stajen, gdzie zostawił konia, Jon rzucił kilka gwałtownych i, jak wiedział, bezsilnych przekleństw.

- Piękne dzięki, wy samolubne dranie! - ryknął. - Niech was diabli porwą, mogliście spłoszyć bydło, wywołać panikę. Mogliśmy stracić większość sztuk! I jaką wartość miałyby wtedy wasz bezcenny Koenig Holdings?

Nadal przeklinając, odwrócił się i omijając z daleka boczne drzwi, poszedł aż do małej kaplicy, gdzie tak niedawno chowano ojca. Gwałtownie otworzył na oścież podwójne drzwi, wyglądając na tle światła jak Anioł-Mściciel, rzucił w pył przed wejściem bat i wszedł do środka.

Kwiaty na kamiennej płycie, zakrywającej kryptę, gdzie leżał Phillip, lilie i białe gardenie w obramowaniu lśniącej zieleni liści laurowych, były wciąż świeże i pachnące. Od razu poczuł ich delikatny aromat. W przyływie rozpaczony zauważył, że na grobie nie ma jeszcze napisu.

- O Boże, tato - wybuchnął. - Nawet nie mieliśmy czasu, by umieścić tu mosiężną tabliczkę dla ciebie, a oni już sprzedają twoje kości! Twoje i wszystkich Koenigów!

Z wybuchem nienawiści do siebie samego podniósł oczy na krucyfik i olbrzymią, zrobioną z kości słoniowej skrzyconą postać cierpiącego Chrystusa.

- Słyszałeś to? - wykrzyknął ku Niemu porywczo. - Widziałeś, jakie draństwo się tu dzieje? Jeśli tak, czemu nic nie robisz? A może nic Cię to nie obchodzi?

Odpowiedzią było tylko echo i chłodne milczenie.

- Och, Boże - zapłakał i padł na kolana, starając się zebrać myśli, próbując się modlić. Ale zdawał sobie sprawę, że od ubiegłej nocy znajdował się w stanie szaleńczego napięcia, graniczącego z obłędem. „Tatę zamordowano!” - to było teraz



jego jedynym Wyznaniem wiary, jedynym punktem oparcia w pustyni rozpaczy. Głęboko wierzył, że ubiegłej nocy, koło jeziora, miał prawdziwą wizję.

Był tego pewien, czuł to w kościach. Teraz nareszcie zrozumiał, dlaczego Phillip, taki doświadczony człowiek buszu, nie usłyszał pełzania wielkiego węża, nie zdążył odsunąć się na czas. Zabójca miał dwóch pomocników, którzy zrzucili na ojca trzy jadowite stwory, na wypadek, gdyby jeden zawiódł, przynieśli je po cichu, by ofiary nie obudził odgłos ich zbliżania się, by nie mogła się bronić. Taka była tajemnica tej śmierci i tylko on mógł ją wyjaśnić do końca,

A jednak, gdyby próbował to zrobić, kto by w to uwierzył? Jaki miał dowód, jakie fakty, poza swoim snem? I co to było za świadectwo? Czy mógł wyobrazić sobie, że staje przed sędzią i ławą przysięgłych i mówi: „Tak panie sędzio, wiem, że mojego ojca zamordowano. Widziałem to we śnie” Wygnano by go z sali sądowej śmiechem!

I kogo mógłby oskarżyć? Kim byli mordercy? Była ich trójka, z całą pewnością. Jeden przywódca i dwóch mężczyzn do brudnej roboty. Mężczyzn? Nawet tego nie mógł być pewien. Widmowe sylwetki majaczące w ciemności mogły należeć zarówno do mężczyzn, jak i do kobiet, nie trzeba męskiej siły, by zrzucić trzy węże na śpiącego. Ale kto chciałby w taki sposób zabić Phillipa?

Próbował przypomnieć sobie, czy ostatnio nic opuścił farmy ktoś, kto mógłby mieć jakieś pretensje do ojca. Pijany wyrobnik, który usiłował wymusić u Rose jedzenie i nocleg i został szorstko odprawiony z pustymi rękami, jakiś gburowaty nieudacznik, zwolniony bez wypowiedzenia... wypędzony z farmy z rozkazu Phillipa, niezbyt delikatnie, za pomocą bata, jeśli nie usłuchał od razu. Ale czy tacy ludzie potrafiliby zabijać? A jeśli to nie oni, to kto?

Przez całe życie Jon nigdy o nikim źle nie myślał. Teraz jego zbolał umysł uciekał jak wystraszony koń, przed inną, mroczną ideą - to musi być ktoś z farmy, ktoś z samego Koenigshausu...

Nie! To niemożliwe!

A jednak ktoś to musiał zrobić... ktoś stąd. Ktoś, kogo znał.

Jego myśli krążyły w kółko, niczym szczury w pułapce, aż zapłakał w duchu jak dziecko. Nie wiem, co robić, tatusiu, mamusiu... Powiedzcie, co mam zrobić!

Ale mógł słyszeć tylko chłodne, echowe, karcące milczenie kaplicy, ciszę, grobu.

Powiedzcie, co mam zrobić...

Bezradny, przerażony i wyczerpany, skulił się w wąskiej ławie, podniósł głos i krzyknął:

- O Boże, powiedz mi, co mam robić!

## Rozdział szesnasty

Ładujący śmigłowiec podnosił małe wiry suchego, czerwonego pyłu. Helen, znajdująca się w bezpiecznej odległości, włączyła silnik i podprowadziła dżipa do pasa startowego, by przywitać nowo przybyłych.

Luk w białym boku helikoptera odskoczył jak fragment skorupki jajka, z wnętrza wysunęły się schodki umożliwiające pasażerom wyjście. Pierwszy pokazał się Charles, obrzucił bratową ukośnym spojrzeniem.

- Cześć, Helen. Jak się czujesz?

- Świetnie - odparła automatycznie. - Po prostu świetnie. A ty? Odwrócił się.

- Czy mogę przedstawić ci panią Matsuda i jej finansowego doradcę, pana Buckleya?

- Proszę mi mówić Yoshiko.

Kobieta wysiadająca z helikoptera musi mieć ze czterdziestkę - pomyślała Helen - ale nie sposób tego dokładnie określić. Ta pozbawiona wieku orientalna piękność w dodatku odznaczała się kłującym w oczy bogactwem, a także klasą, która nie zawsze idzie w parze z pieniędzmi. Skórę kobiety, klasyczną porcelanową cerę Japonek, najwyraźniej pielęgnowano w najle-

pszych salonach kosmetycznych świata, te lśniące, kruczoczarne włosy musiały być strzyżone w Paryżu, lniany komplet w stylu safari pochodził z Beverly Hills, a piękne brązowe pantofle i torebka - z Rzymu. Nawet nesesor mógł być kupiony w tej cholernej londyńskiej firmie, w której wciąż jeszcze robią parasole dla królowej Wiktorii - pomyślała z zamierającym sercem Helen.

Próbowała zwalczyć uczucie zazdrości.

- Taak, ci prawdziwi bogacze są inni niż ty i ja - mówiła sobie w duchu bez śladu rozbawienia. - Przede wszystkim żyją dłużej.

Tym gorzej dla pozostałych.

Przy nieskazitelnym szyku wypielegnowanej przybyszki Helen czuła się stara i wyblakła, nieelegancka, za wielka, niezgrabna, niczym koń. Oczami Charlesa porównywała się w myślach z kruchą Japonką i żałowała, że obie nie padły trupem... Yoshiko pierwsza!

- Pani Koenig? Z przykrością dowiedziałam się o śmierci pani męża.

- Proszę mi mówić Helen. O Phillipie? Tak, no cóż, ja... Prawdę mówiąc... - Na litość boską! Przecież mogła chyba coś wymyślić!

Na szczęście był tu Charles i, jak zwykle, zręcznie ją wspierał.

- Dziękuję, Yoshiko. Tak, to był niezwykle człowiek, wielka strata... dla Helen i dla nas wszystkich.

Pemniąc nadal honory domu, odwrócił się, by włączyć do rozmowy wysiadającego właśnie mężczyznę.

- Helen, poznaj pana Buckleya.

- Panie Buckley.

Niezgrabnie wyciągnęła rękę, by przyjąć mocny, urzędowy uścisk dłoni młodego człowieka, który powitał ją dość uprzejmie, jednak bez śladu uśmiechu. Jego głos, garnitur, jasna, gładka twarz, koszula z kołnierzykiem na guziki i okulary w stalowej

oprawie były typowo amerykańskie. Odznaczał się niedbałą elegancją, mógł mieć od dwudziestu ośmiu do pięćdziesięciu lat.

- Buckley, Craig Buckley, proszę pani - zaczął cicho, z akcentem nowoangielskim. - Jestem doradcą finansowym pani Matsuda. Moim zadaniem będzie zajęcie się liczbami. Miło mi panią poznać.

Nagle, w błysku olśnienia, Helen zobaczyła przybyszów oczami Jona - stalową magnolię i wypranego z poczucia humoru asystenta, z nazistowskimi okularami i bezduszną determinacją, by sprowadzić Koenigshaus do zbioru liczb, dobrych czy złych. Jon poczuje do nich obrzydzenie.

Pani Matsuda patrzyła na nią czarnymi jak smoła, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Pan Koenig... Charles... mówi, że ma pani syna, pani Koenig.

- I pasierba - powiedziała słabym głosem Helen. Pani Matsuda posłała jej nieodgadniony uśmiech.

- I pasierba. Jaka pani szczęśliwa. Nie mogę się doczekać, by poznać ich obu.

Jak dotąd wszystko idzie dobrze, powtarzał sobie Alex wypróbowaną, pocieszającą formułę na trudne chwile. Jadalnia jaśniała światłem, igrającym na srebrze i białym adamaszku, pierwsze danie pojawiło się właśnie jakby za pomocą różdżki czarnoksiężkiej, wyglądało i smakowało niebiańsko. Wydawało się, że lody zostały przełamane. Ale nie dzięki braciszкови Jonowi!

- Jeszcze wina, Yoshiko? Craig?

Z miłym uśmiechem dolewał gościom znakomitego wina z Shirazu, które odkrył wcześniej w piwnicy ojca. Zadał sobie nawet trud, by otworzyć wcześniej butelkę, aby czerwony jak krew napój mógł oddychać.

- Helen? Charles? Czy możecie podać butelkę Benowi? Tak, to dobre wino, dziękuję, Yoshiko, cieszę się, że ci smakuje.

Dlaczego, do cholery, Jon siedzi w końcu stołu, patrząc spode łba, jak gdyby za chwilę ktoś miał go wyciągnąć stąd i zamordować? Musimy doprowadzić sprawę do końca! Ze zwycięskim uśmiechem Alex prowadził lekką pogawędkę, z determinacją próbując rozładować atmosferę.

- I co, Yoshiko, czy miałaś okazję zobaczyć coś podczas pobytu w Australii?

Wzruszyła ramionami.

- Sydney, Wielką Rafę Koralową, Ayers Rock. Charles się zaśmiał.

- To dla turystów! Moglibyśmy pokazać ci trochę prawdziwego, starego kraju, gdybyś miała więcej czasu.

Pani Matsuda błysnęła uśmiechem.

- W gruncie rzeczy chciałabym obejrzeć ranczo Koenigshaus.

- Farmę!

Jon wtrącił się ze zrećnością słonia w składzie porcelany.

- Farmę! - powtórzył głośno i agresywnie, beztrąsk kołyszając winem w kieliszku. - To Amerykanie mają rancza na Dzikim Zachodzie. W Australii nazywamy to farmami. Farmami hodowlanymi.

Dziękuję pięknie, braciszku! Chłodny gniew, skrywany głęboko przez Alexa, zaczął gwałtownie odżywać. Zgoda, nie oczekiwał, że Jon posika się z zachwyty na myśl o sprzedaży Koenigshausu i na widok klientów, którzy pragnęli obejrzeć starą posiadłość. Ale sądził, że chłopak zachowa się przynajmniej jak człowiek cywilizowany! Przecież wiedział, że nie ma najmniejszej szansy, by samemu położyć łapę na tym wszystkim, dlatego więc nie potrafi zrozumieć, jaką okazję ma starszy brat, i nie poprze, do cholery, sprawy sprzedaży?

- Bo kiedy już będziemy mieć w garści grubą forszę, mój mały Jonno - zapewnił go wielkodusznie - możesz być pewien, że zatroszczę się, byś dobrze na tym wyszedł! Nasz stary Charles powiedział mi, że to będzie dobra inwestycja, jeśli wykroi ci się przyzwoitą sumkę, abyś mógł urządzić się na swoim. Załatwmy

najpierw ten interes, a potem farma dla małego Jonno znajdzie się na początku listy zakupów!

I tak by mogło być - myślał Alex - gdyby tylko mały braciszek wziął się w garść i trochę poczarował Mamuszkę Forsiastą! Ale ten cholerny chłopak potrafi tylko rozwalić się w krzesło na końcu stołu, wlewać w siebie pierwszoklasne wino jak lemoniadę. A wygląda równie szczęśliwie, jak bękart w Dniu Ojca!

Oczy Alexa spoczęły na dziewczynie, siedzącej obok Jona, wdzięcznej i szykownej w klipsach w kształcie kwiatków i w bladuróżowej bawełnianej sukience. Niewiele brakowało, a roześmiałyby się w głos!

Cholerny Jon!

Co za osioł!

Czy nie widział, że ta jego poza Buntownika-Bez-Powodu nie robi wrażenia na tej biednej dziwce, która tyle wysiłku włożyła, by zrobić się na bóstwo, i to na marne?

Nie po raz pierwszy Alex nie potrafił zrozumieć ślepoty innych mężczyzn. Kobieta mogła położyć się przed nimi na ulicy, a taki potknie się o nią i nawet nie zauważy, uniesie kapelusza i pójdzie dalej! Zdumiewające Zwłaszcza że ta mała to smaczny kasek; o ile znał się na kobietach, to jeśli tylko dać jej szansę, okaże się równie gorąca jak Ellie!

Ukradkiem obserwując Geenę, Alex zorientował się, że Charles siedzący po lewej stronie pani Matsuda niezmordowanie rozprawia o interesach.

- Mamy ci wiele do pokazania, jeśli zechcesz - mówił gładko. - Cała posiadłość zajmuje ponad trzy tysiące mil kwadratowych, ale prawdziwi ozdobą są budynki mieszkalne i gospodarcze, rzecz jasna.

Czarne, paciorkowate oczy pani Matsuda obejrzały jadalnię, gołębioszary boazerie, sufit z gzymsem i lśniącą posadzkę.

- Bardzo stare? - zapytała.

- Historyczne! - odparł Charles. Spojrzał znacząco przez stół na bratową. - Helen ci o tym opowie.

- Zbudowane ponad sto lat temu - Helen włączyła się posłusznie, ale w głębi duszy czuła zamęt. Znalazłam się między młotem a kowadłem -pomyślała ze smutkiem. Jeśli nie uda mi się pomóc przy sprzedaży, Jon zostanie z pustymi rękoma. Ale jeśli się włączę do gry, czy kiedykolwiek mi to wybaczy?

- Jest to jedna z najstarszych posiadłości na Terytorium Północnym - ciągnęła dalej bezdźwięcznym głosem. - Znajduje się we wszystkich reje strach, pisano o niej w lokalnych gazetach. Znana jest jako wspaniały okaz architektury kolonialnej...

Umilkła, ale Japonka o alabastrowej twarzy nie spuszczała z niej smoliście czarnych oczu.

- Przecież to jest twój dom. A teraz ja chcę go kupić i mieszkać w nim Czy to cię nie zasmuca?

Czy czuje smutek? Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Wcale nie - odparła chłodno. - Wszystko się zmienia. Nic nie może być zawsze takie samo.

- Może ty i twój mąż zamierzaliście wycofać się z interesów? - sondo wała dalej pani Matsuda. - Przekazać prowadzenie farmy synom i wyruszyć w świat... odwiedzać przyjaciół... podróżować...?

Helen miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Sam pomysł, że Phillip mógłby kiedyś przejść w stan spoczynku, brzmiał humorystycznie, tak jak obraz pary emerytów, spędzających swoje ostatnie lata na podróży dookoła świata był karykaturą ich życia.

- Nie. Nigdy nic takiego nie mówił. Pani Matsuda z powagą pochyliła głowę.

- Rozumiem. Nigdy nie rozmawiał z tobą o interesach?

Dlaczego czuła poniżenie, przyznając się do tego?

- Nie, nigdy.

Odpowiedzią było sztywne kiwnięcie głową.

- Taki sam był mój mąż, zanim umarł. Bardzo staromodny, tradycjonalista. - Zaśmiała się dźwięcznie. - Ale przecież mężczyźni umierają i kobiety muszą zająć się wszystkim.

Pochyliła się do przodu i postukiwała po białym obrusie idealnym, alabastrowym palcem z pomalowanym na różowo paznokciem.

- Załączkiem mego kapitału były pieniądze męża. Po jego śmierci, gdy znalazłam pomoc, wsparcie, jakiego potrzebowałam - rzuciła nieprzeniknione, ukośne spojrzenie na młodego okularnika, Buckleya, który z uwagą przysłuchiwał się jej słowom - dzięki dobrym, oddanym współpracownikom, pomnożyłam majątek dziesięciokrotnie.

Zerknęła znowu na Buckleya, z wyraźnym błyskiem w oku. Wydawało się, że jej wzrok odbił się od jego okularów, gdy mężczyzna popatrzył na resztę zebranych wyzywająco.

- Lubię myśleć - kończyła Japonka, sięgając po kieliszek z winem - że w ten sposób zachowałam się jak dobra żona. Czuję, że pan Matsuda byłby bardzo dumny z mego sukcesu.

- A pewnie!

To znowu odezwał się Jon, zbyt głośno i agresywnie. Pani Matsuda przyglądała mu się z umiarkowaną ciekawością, ale jej dalsze słowa skierowane były do wszystkich obecnych.

- Tu jest tak pięknie. Dziwię się, że chcecie to sprzedać.

- Tak, no cóż... - włączył się Charles. Helen z przelotnym ukłuciem bólu zauważyła, jak wspaniale wygląda jego ostry, mocny profil w blasku świec. - Wszyscy sądzimy, że dla Koenig Holdings...

- Poza mną! - wtrącił gwałtownie Jon, odsunął się od stołu, opadając niezgrabnie na oparcie krzesła. - Ja nie chcę niczego sprzedawać! Niech mnie diabli, jeśli tego chcę! Ale nie musicie sobie mną zawracać głowy, prawda? Jestem tylko małym braciszkiem, nic, co powiem, nie ma znaczenia!

Więc zamknij ten pieprzony pysk, na Boga, albo... W duszy Alexa obudził się dawny gniew, który - jak sądził - zostawił za sobą i pogrzebał głęboko dawno temu, gdy otrząsnął ze swych stóp pył Koenigshausu. Tym razem nie zamierzał go tłumić.

Ale stalowy japoński motyl wyraźnie przetrwał w swym życiu o wiele groźniejsze nawałnice.



- Panie Koenig - zwróciła się do Jona, pokazując w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. - Proszę, niech pan się zbyt nisko nie ocenia. Pana stryj Charles opowiedział mi wszystko o panu i o Koenigshausie, i o pańskim doświadczeniu w pracy z bydłem.

Co za przystojny młodzieniec - myślała z ubolewaniem - ma takie jasne włosy i niebieskie oczy. I wspaniałe ciało...

Jaka szkoda, że ci chłopcy, tacy piękni i godni pożądania, są zarazem tak nieokrzesani. Dobrze by było zabrać go do Europy, nauczyć wszystkiego o jedzeniu, winie... i reszcie. Zwłaszcza teraz.

Zwłaszcza teraz, gdy Craig stawał się coraz nudniejszy i starszy. Chyba dwudziestośmiolatek jest dla niej za stary, potrzebowała młodszego mężczyzny. No cóż, może zajmie się tym później. Na razie zobaczymy, jak pójdą interesy. Uśmiechnęła się znowu do Jona, dyskretnie spuszczać wzrok.

- W każdym razie cieszę się, że poznałam mojego pierwszego kowboja. Czyżby w sposobie, w jaki to powiedziała, brzmiała zachęta? Alex zastanawiał się nad tym ze wzrastającym podnieceniem. Czemu nie? To by się nam przydało!

Jak większość mężczyzn, którzy poświęcają kobietom choć trochę uwagi, Alex nie miał problemów z ich zrozumieniem. Jon był ładnym chłopakiem, akurat w typie starszej pani o dobrym guście. A jeśli uświadomi sobie, co dla niego dobre, rzuci tę małą Geenę o smutnych oczach i pogoni jak wściekły za Madame Butterfly!

Jeśli zrozumie, co dla niego dobre.

Czy był na to za głupi, a może zanadto pijany, i nic go już nie obchodziło?

- Kowboj? - dopytywał się Jon ochryłym głosem. - Dajcie spokój! Tutaj mówimy „wolarz”. Tak jak mówimy „farma”, nie ranczo. A to jest moja farma i dlatego będę sprzeciwiał się sprzedaży ze wszystkich sił!

Pochylił się gniewnie do przodu.

- Może zrozumie pani, o co mi chodzi - oznajmił pijackim głosem - jeśli powiem, że tu leżą wszyscy moi przodkowie! Przodkowie. Rozumie pani, co to znaczy? Sądziłem, że to jest dla was bardzo ważne!

Zapadło lodowate milczenie. Wreszcie Craig Buckley z pogardliwym uśmiechem otworzył cienkie usta.

- Japonia to nie tylko kulisi, gejsze, riksze i dziwne kapelusze, panie Koenig. Sądzę, że zorientuje się pan, iż nasze konsorcjum ma naprawdę międzynarodowy charakter. Ciekawe, czy to samo będziemy mogli powiedzieć o Koenig Holdings, gdy zakończymy interesy!

Jon zaśmiał się sardonicznie.

- Bardzo proszę!

Stanowczo za wiele pije! - pomyślała w panice Helen. O mój Boże, co teraz będzie?

Pani Matsuda odsunęła talerz i otarła usta wytworną serwetką.

- Będziemy musieli obejrzeć księgi i sprawozdania za ostatnie pięć lat - powiedziała, jak gdyby nic się nie stało. - Poświadczony wykazy inwentarza, wszystko, co może dać nam orientację, jak funkcjonuje farma...

- To żaden problem.

Charles wskazał na Bena, siedzącego w beznamytnym milczeniu na końcu stołu.

- Ben jest naszym dyrektorem finansowym. On ma wszystkie informacje, których potrzebujecie, będzie do dyspozycji przez cały czas waszego pobytu w Koenigshausie. Zgoda, Ben?

- Będę zachwycony - odpowiedział Ben.

Nie dostałby pierwszej nagrody na olimpiadzie radości - pomyślał kwaśno Buckley. Cholera, co się dzieje z tymi ludźmi? Ben odkaszlnął nerwowo, zasłaniając usta ręką.

- Jak długo tu będziecie?

Pani Matsuda rzuciła okiem na Buckleya i uśmiechnęła się.

- Och, sądzę, że możemy się trochę porozpieszczać... i zostać tak długo, jak będzie trzeba. Jak myślisz, Craig?

Ruchem robota Buckley wyjął z kieszeni na piersi cienki jak papier elektroniczny organizator i zaczął naciskać guziki.

- Prawdopodobnie załatwimy się z tym wszystkim dość szybko... ale możemy poświęcić kilka dni, powiedzmy do dwudziestego drugiego - oznajmił niepotrzebnie. - W ten sposób będziemy mogli być dwudziestego piątego w Chicago na Beef Convention, jeśli chcesz tam jechać.

- Do dwudziestego drugiego?

Alex czuł, że nadeszła pora, by się wtrącić stanowczo. Twarz miał spokojną, lecz rozświetloną od środka płomieniem. Teraz on musi wziąć sprawę w swoje ręce, choć planował, że się przyczai. Po prostu musi dowieść tym draniom, kto tu naprawdę jest szefem! Ci kretyni nie potrafiliby sprzedać nawet kawałka mydła!

A jeśli chodzi o Jona...

Mimo to wyczaruje królika z kapelusza, pokaże im, jak się załatwia interesy. Uśmiechnął się zwycięsko.

- Z łatwością przedstawimy wszystko, czego potrzebujecie, przed tym terminem. Przecież Charles i Ben przygotowywali się do sprzedaży od jakiegoś czasu, jesteśmy więc niemal gotowi. Zrobimy, co w naszej mocy, aby wam pomóc...

Jon odsunął z hałasem krzesło i wstał.

- Zrobimy, co w naszej mocy, aby wam pomóc! - z furią małpował gładki ton Alexa. - Pewnie całowałibyśmy wszystkie tyłki stąd do samego Tokio, żeby tylko załatwić tę wspaniałą transakcję! Wszyscy, z jednym tylko wyjątkiem! Mnie! Nie liczcie, że będę się podlizywał! Jeśli chcecie rozszarpać Koenigshaus na strzępy, zrobię wszystko, co w mej mocy, by was powstrzymać, dopóki tchu mi starczy!

Gdy wyszedł potykając się, zapanowało bolesne zażenowanie.

- Tak mi przykro, pani Matsuda - odezwała się z pokorą Helen. - Zazwyczaj Jon nie jest taki. Nie wiem, co w niego wstąpiło.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to nieprzekonująco. Ale Japonka uśmiechnęła się tylko.

- Twój syn jest nieszczęśliwy - szepnęła, potrząsając gładką, ciemną głową. - A wszyscy młodzi ludzie upijają się od czasu do czasu. Ale interes to interes... o ile Koenigshaus jest ciągle na sprzedaż?

## Rozdział siedemnasty

Pozwolicie, że was przeproszę?

Z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć, Geena podniosła się, pożegnała ukłonem zgromadzonych i wyszła z jadalni. Dwoma susami dopędziła ślaniającego się i potykającego Jona, który zmierzał niepewnie ku frontowym drzwiom.

- Jon! - złapała go za ramię. - Dokąd idziesz?

- Na zewnątrz. - Sięgnął po klamkę, otworzył na oścież drzwi i wskazał niedbałym gestem ciemnofioletową pustkę. - Tam.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek.

Jak daleko mógł dojść w tym stanie? A ona spodziewała się cichego sam na sam, marzyła, że zbliży się do niego w ciepłą, letnią, księżycową noc. Chętnie by za to dała kuksańca sobie... albo jemu. Ale nie mogła pozwolić mu odejść, nie w ten sposób.

- Pójdę z tobą.

- Nie ma sensu. - Nie chciał na nią spojrzeć, zaczął się oddalać. - Wszystko skończone.

Mocniej przytrzymała jego ramię.

- Co skończone?

- Nic. I tak niczego nie było. - Zachwiał się lekko i podniósł dłoń do twarzy. - Chryste, ale się upiłem! Nie zwracaj na mnie uwagi, nie wiem, co mówię.

- O tak, wiesz! - Walczyła ze łzami, ale gniew zmuszał ją do kontynuowania rozmowy. - Nie mów do mnie w ten sposób, wiesz, że było coś...

Urwała, nie panowała nad głosem. Patrzył na nią oczami pełnymi bólu.

- Między nami - udało się jej wyrzucić.

Za ich plecami rozległ się odgłos odsuwanych krzeseł, głośniejszy pomruk głosów i nagłe ożywienie. Była to wskazówka, że przyjęcie w jadalni dobiegło końca i goście wkrótce wysypią się do holu. Jon potrząsnął głową, jak gdyby chciał się otrzeźwić.

- Nie możemy tu rozmawiać - powiedział powoli. - Chodźmy.

Ujął ją pod ramię, przeprowadził przez drzwi i zamknął je za sobą. Na zewnątrz wielki księżyc płynął spokojnie po niebie gęsto usianym gwiazdami. Powietrze nocy, świeże i miłe, ochłodziło gorącą twarz dziewczyny i zdawało się przywracać przytomność Jonowi. Poruszając się pewniej, towarzyszył jej w drodze przez trawnik do domku gościnnego i zatrzymał się u stóp schodów, prowadzących do wejścia.

Coś między nami.

Geena miała ochotę odgryźć sobie język. Dlaczego musiała powiedzieć to w taki sposób? Pałący wstyd z powodu miłości do mężczyzny, który - mimo całej uprzejmości - nie odwzajemniał jej uczuć, przepelił kielich goryczy.

Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, zwrócić jakoś jego uwagę, ale nie mogła mówić. Kiedy w końcu Jon przerwał milczenie, nie nawiązał do słów Geeny.

- Ta japońska dama, pani Jak-Jej-Tam - zaczął. - Chcę, żebyś zabrała się z nią, kiedy będzie odjeżdżał.

- Co? - Nie to spodziewała się od niego usłyszeć. Westchnął.

- Chcę, byś wróciła z nią do Sydney, byś stąd wyjechała. Czyżby próbował jej się pozbyć?

- Dlaczego?

- Nie ma sensu, byś dłużej tu była, to wszystko.

Nic nie mogło zranić jej bardziej niż ta apatyczna, jakby obojętna odprawa, niemal straciła oddech z bólu. Ale nie potrafiła nic na to poradzić, musiała jeszcze pogłębić swoje cierpienie.

- Na pewno jest jakiś powód. Wszystko ma swój powód. Powiedz mi. Stał, górując nad jej drobną postacią, jego szerokie ramiona zasłaniały księżyc.

- Nie ma o czym mówić. Po prostu odejdz.

Znalazła na to odpowiedź.

- Nie.

Gdzieś z ciemności doleciał dziki krzyk śmiertelnego strachu, potem przeciągły agonalny skrzek, gdy jeden z nocnych drapieźników dopadł swej niewidzialnej, niczego nie podejrzewającej zdobyczy. Po Jonie nie było znać, by coś usłyszał, zacisnął obie dłonie na balustradzie werandy i mówił dalej:

- Słuchaj, tu się tak wiele dzieje. Ostatniej nocy... ostatniej nocy na spędzie, miałem...

Nie umiał zmusić się, by powiedzieć „sen”, tak mogła mówić jakaś dziewczynka, nastolatka wzdychająca do popularnego piosenkarza.

- Przeżyłem pewnego rodzaju... doświadczenie... pozamysłowe, tak można by to określić. Przy Diabelskiej Skale. Gdzie tato... zmarł. - Potrząsnął w zamroczeniu głową. - Coś w rodzaju zwariowanego snu.

- O ojcu?

- Taak. Śniłem o tamtej nocy, kiedy... i o węzach, o trzech brązowych węzach.

- O trzech brązowych węzach?

Skąd wiedział, ile ich było? Powiedziano im tylko, że przyczyną śmierci Phillipa było ukąszenie węża. Na razie nie było nawet wyników sekcji, by to potwierdzić, a co dopiero sugerować, że gadów mogło być więcej. Odchrząknęła i zmusiła się, by przemówić spokojnie.

- Czy coś jeszcze ci się śniło?

Ale brzmienie jej głosu ostrzegło go, że jest zaniepokojona, odpowiedział więc z udaną obojętnością.

- Och, właściwie nic. Mgła i chmury, jak to zwykle we śnie, kilku ludzi, nie mogę być niczego pewny, nikogo nie rozpoznałem. Mówiłem ci, że to był zwariowany sen.

Zdołał się zaśmiać.

- Tak czy owak, muszę już iść. Powiem rano Charlesowi, by zatrzymał dla ciebie miejsce w helikopterze do Sydney.

- Nie zwracaj sobie głowy - przemówiła gniewnie. - Słuchaj! - Weszła na jeden stopień niskiej kondygnacji schodów, potem na drugi, tak że niemal dorównywała Jonowi wzrostem. - Nie jestem już dzieckiem, nie odpowiadasz za mnie i nie możesz mi mówić, co mam robić. Nie jestem też głupia. Nie oczekuj, że ucieknę z wrzaskiem z powodu jakiegoś niedorzecznego snu... spowodowanego prawdopodobnie tym, że wypiełeś za dużo, tak jak dzisiaj!

Miała zamiar dokuczyć mu tymi słowami, ale poczuła do siebie nienawiść, gdy tylko je wypowiedziała. Twarz Jona zaczerwieniła się w księżycowej poświacie i po raz pierwszy spojrział na nią uważnie.

- Nie byłem pijany, jeśli to miałaś na myśli! - rzucił przez zęby. -W tym śnie były jeszcze inne rzeczy... inni ludzie... niedobre sprawy, sprawy, których znaczenia nie pojmuję. Tak złe, że nie mogę o nich mówić, bo wyglądałoby, iż oskarżam kogoś o coś okropnego.

Coś złego, coś straszego... o czym on mówi? Plecie bez sensu jak dziecko. Ale ugryzła się w język, gdy ciągnął dalej, zacinając się.

- Dopóki nie dowiem się, co to wszystko znaczy, co jest prawdą, a co nie... chcę, żebyś trzymała się z daleka od Koenigshausu. Od niebezpieczeństwa.

- Dlaczego ja? Nie mam z tym nic wspólnego.

Zwrócił się ku niej, a jego głos brzmiał teraz niemal błagalnie.

- Jeśli coś z tego jest prawdą, wszyscy są zagrożeni, całe to miejsce jest niebezpieczne.

Niebezpieczne dla mnie i dla wszystkich, którzy są mi bliscy – to pragnął powiedzieć. Ale wiedział, że nie zasłużył na prawo użycia takiego określenia. Spróbował zaapelować do niej po raz ostatni.

- Ze względu na mnie. Zabierz się z nimi, dobrze?

Nic nie mogło bardziej podbić serca Geeny niż widok tego mężczyzny, pokonanego i błagającego, korzącego się przed jej wolą. Dziewczyna wykorzystwała okazję.

- Jeśli pojedziesz ze mną - zażądała miękko. - Wtedy wyjadę!

- Och, Boże! - jęknął.

Gdybym tylko mógł - te nie wypowiedziane słowa zawisły między nimi jak milcząca modlitwa.

Stała przed nim bez ruchu, wykorzystując całą potęgę swej natury, by rzucić na niego urok i skłonić go, by ją pokochał. Z pewnością musi widzieć, jak bardzo go pragnie, jak mocno go kocha.

Spójrz na mnie - narzucała mu siłą woli - spójrz na mnie, wielki głupcze, piękny, wspaniały mężczyzno, co mam zrobić, żebyś na mnie spojrział, zobaczył mnie, dotknął, pokochał...?

Patrzył na nią w oszołomieniu, jak gdyby była pierwszą kobietą, jaką spotkał. Doleciał go delikatny zapach jej ciała, jej oczy, skóra błyszczały w gwiezdnej poświacie, małe, różowe klipsy promieniały jak płatki róż. Czuł, że jest niezdarny jak kulek, uniósł ostrożnie dłoń do gładkiego policzka dziewczyny.

- Och, Geeno - szepnął załamującym się głosem, muskając palcami gorące, kuszące ciało.

W chwilę później jej ramiona otoczyły szyję Jona jak jedwabne sznury, a ciało przywarło mocno do niego. Delikatnie wsunął dłoń pod podbródek Geeny, czując jak gdyby dążył do tego całe życie, i uniósł jej twarz ku swojej. Całując ją, miał wrażenie, że powrócił do domu. Wydawało mu się, że nigdy nie będzie mógł tego przerwać, że jego duchowi nie będzie potrzeba



żadnego innego pożywienia. Tulił ją mocno do siebie, przyciskając do ramienia jej głowę, sięgającą akurat do jego serca, uczeplił się kurczowo tej kruchej sylwetki, jak rozbitek chwyta się fragmentu rei, dzięki któremu może przetrwać sztorm.

- Chryste, to beznadziejne!

Przeżrana, otworzyła oczy, czując jak odsuwa ją szorstko od siebie i oddala się o krok.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział ochryplym głosem. - To niczego nie zmienia. I tak musisz wyjechać. - Cofał się z wściekłością w mrok. - Chcę, byś stąd wyjechała, jak tylko się obudzisz!

- Jeśli będziecie czegoś potrzebować, powiedzcie tylko Rosie, Ellie lub komuś z nas. Rosie zaprowadzi was do domku dla gości i upewni się, że w waszych pokojach niczego nie brakuje. Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie.

I mam nadzieję, że ani chwili dłużej nie będę musiała grać roli uroczej gospodyni - pomyślała Helen - bo inaczej wybiegnę z wrzaskiem z tego domu i krzyżąc będę pędziła do samego Sydney.

- Dziękuję, na pewno będzie wspaniale - odpowiedziała Japonka. Razem z młodym człowiekiem przeszła przez drzwi pod eskortą milczącej, czujnej Rose. Ben szedł za nimi. - Dobranoc.

Odpowiedziało jej ogólne „Dobranoc”.

- Dobranoc, dobranoc wszystkim - wołał Alex, machając do znikających w mroku gości. - No cóż, to wszystko na dziś - ciągnął, zamykając frontowe drzwi. - Wydaje się, że poszło całkiem nieźle, prawda? - Ziewnął i przeciągnął się z wdziękiem, jak wielki kot. - Napiję się jeszcze whisky, zanim się położę. Nie, nie fatyguj się, Helen. Każę Ellie, by mi nałała.

- Hmmm!

Oczy Charlesa, przepelnione ostatnio - jak zauważyła Helen - nie gasnącym gniewem, śledziły Alexa, który szedł lekkimi, wielkimi krokami przez hol do kuchni, gdzie ciągle jeszcze krzątała się Ellie.

- Chce pomóc przy zmywaniu, co? Prawdziwy harcerzyk! Ze zmęczeniem przeczesła palcami włosy.

- Charles, proszę. Odwrócił się.

- Przepraszam, nie jestem w najlepszej formie. To był ciężki dzień. Skinęła głową.

- Dla mnie też. Idę do łóżka. Charles zawahał się.

- Jesteś pewna, że nie masz ochoty wypić strzemiennego? Żeby łatwiej zasnąć?

- Nie, dziękuję. Jestem wykończona.

Razem weszli po szerokich schodach. Zatrzymali się na chwilę przed drzwiami do apartamentu. Charles spojrział na nią oczami, tak podobnymi do oczu Phillipa, pozbawionymi jednak okrucieństwa brata.

- Na razie jeszcze się nie kładę - powiedział nieśmiało. - Jeśli zmienisz zdanie i będziesz miała ochotę na drinka, zawołaj tylko.

- Wskazał drzwi swego pokoju z lat chłopięcych po drugiej stronie holu. - Będę niedaleko.

- Dziękuję, Charles. - Że zmęczeniem skinęła głową. - Dobranoc. Pokój pogrążony był w głębokim cieniu i Helen czuła, że sama wtapia

się w szaroniebieską pustkę, jak gdyby gwałtownie została pozbawiona ciała. Nagle to, co powinno być błogosławioną ulgą po wieczornym stresie, stało się przerażającą samotnością nie do zniesienia. Ogarnięta paniką cofnęła się od drzwi. Charles stał nadal na podeście i obserwował ją z pewną ciekawością; gdy odwróciła się ze zmieszaniem, napotkała jego kpiące spojrzenie.

- Być może jednak przyda mi się ten drink - wymamrotała. Nie zaśmiał się.

- Może byś tak poszła na balkon - zaproponował. - Rozejrzę się, czy nie znajdzie się coś w jadalni i przyniosę tutaj. - Oczy rozbliły mu ironicznym rozbawieniem. - Nie chcemy chyba zakłócić tej gorącej zabawy w kuchni, prawda?

Otworzyła usta.

- Nie myślisz chyba, że Alex mógłby... że on i Ellie...?

- Kto, nasz nowy młody pan i władca? Myślę, że stać go na wiele więcej niż przelecenie służącej, zwłaszcza tak wartej grzechu jak Ellie. - Zaśmiał się. - Ale oboje są pełnoletni. To nie nasza sprawa. Muszę tylko sprawdzić, co uda mi się zdobyć bez przeszkadzania mu w podbojach. Nie odchodź!

Zanim zdążyła się zdecydować, który z dwóch leżaków ma wybrać, wrócił z butelką chardonnay i parą kieliszków.

- Dlaczego nie siadasz? Spróbuj wina... dobre?

Z wdzięcznością wzięła od niego upragniony kieliszek i z namysłem sączyła chłodny trunek o dębowym posmaku, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

- Charles... jeśli Alex i Ellie... znasz jej męża. Spytałam ją raz, skąd ma siniaka na twarzy. Nie chciała odpowiedzieć. Ale ja wiem, że on ją bije, tak mówi Rose. Podobno jest bardzo zazdrosny...

- Helen... - w głosie Charlesa zabrzmiała ostrzegawcza nutka. - Nie wolno nam się w to mieszać. Nic nie możemy zrobić. - Lekko usiadł na stojącym tuż obok leżaku.

- Och, wiem.

Księżyc zachodził nad górami, wisiał nisko, niemal na jednym poziomie z granatowoczarным horyzontem i krwistoczną ziemią. Helen miała wrażenie, że jest zbyt zmęczona, by zasnąć, a jednocześnie - wypoczęta, jak gdyby wydostała się z ciała i unosiła się w powietrzu, żeglując razem z księżycem. Usłyszała swój głos, zanim zorientowała się, co ma zamiar powiedzieć.

- Kochałam go, wiesz o tym.

Jego głos, nieskończenie smutny, zawtórował jej.

- Och, wiem.

- Ale ciebie też kochałam. - Skąd wzięła odwagę, by to powiedzieć? Rozbrzmiewający w ciemności głos Charlesa był dość spokojny, ale miał w sobie ostrość brzytwy, wecowanej przez więcej niż dwadzieścia lat.

- Nie tak mocno jak ja ciebie kochałem. Musiała go o to zapytać.

- Dlaczego pozwoliłeś mi odejść? Zapadło milczenie, pełne zdumienia.

- Więc o to ci chodziło? Po prostu poddawałaś mnie próbie, czy to chcesz powiedzieć? Żeby sprawdzić, czy kocham cię na tyle, by walczyć o ciebie z Phillipem, odebrać mu ciebie, tak?

Skręciła się z bólu.

- Nie! To nie było tak!

Jak mogła wytłumaczyć mu potęgę innego mężczyzny? Energię, bezwzględność woli Phillipa, która odebrała jej siłę woli, opanowała jej jaźń?

- Miałam osiemnaście lat! - krzyknęła. - Co mogłam wiedzieć o życiu?

- Więcej niż kiedykolwiek zdradziłaś! - W głosie Charlesa zabrzmiała teraz zaskakująca brutalność. - Och, zjawiłaś się znikąd, by po prostu przyjąć tę pracę przy spędzie, tak? Żadnej historii, żadnych komplikacji. Ale nikt nie wiedział, skąd przychodzisz, gdzie byłaś przedtem... ani z kim... Nie ruszyła się, dopóki nie dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Więc myślałaś...?

Zaśmiał się, ostro, krótko, niczym ptak-przedrzeźniacz.

- Zrozumiałem później, że prawdopodobnie od początku miałaś plany co do Phillipa. Przecież tragedia w rodzinie Koenigów była publiczną tajemnicą! Wiedziałaś, że stracił żonę, i musiałaś domyślać się, że nie jest typem mężczyzny, który długo pozostanie wolny. A czy dla dziewczyny znikąd może być lepsze życie niż rola pani na Koenigshausie?

- Ale jeśli...

Próbowała jakoś się odnaleźć, niczym w upiornej grze w ślełą babkę.

- Ale jeśli przez cały czas chodziło mi o Phillipa, dlaczego kochałam ciebie? Jaka była twoja rola?

- To proste, mój drogi Watsonie! Znowu ten ostry śmiech.

- Powiedziałaś mi, że przede mną nigdy się z nikim nie kochałaś. Ale nie byłaś dziewicą, nawet ja to zauważyłem. Jeśli pragnęłaś Phillipa, musiałaś jakoś to wytłumaczyć, mój kochany

brat był zadziwiająco staromodny w tych sprawach. A kto mógł się do tego nadawać lepiej od małego Charlesa, którego przez całe życie wielki brat usiłował pokonać? Słyszałaś o tym? Kobiety wiedzą o takich sprawach. A może zwyczajnie poszłaś na ryzyko, że jak tylko się dowie, iż należysz do mnie, po prostu będzie musiał mi cię odebrać?

Czuła teraz taki ból, że musiała odpłacić mu pięknym za nadobne.

- Byłeś o niego zazdrosny, to wszystko!

W blasku gwiazd widziała, jak skinął głową, jego usta poruszyły się potwierdzająco.

- Jasne! Oczywiście, że tak! Byłem zazdrosny, bo Phillip był taki, jak ja chciałem być, a nigdy nie mogłem!

- Nie! - krzyknęła z udręką. - Byłeś inny, to wszystko. Dlaczego miałoby to mieć znaczenie?

- O Boże, Helen... nic nie wiesz o mężczyznach, jeśli możesz o to pytać!

- Dlaczego? Czy to takie okropne, że jesteś sobą, a nie nim?

- Tak! - wykrzyknął gorąco. - Tak, bo przez to nie mogłem mieć tego, na czym mi zależało. Zainteresowania rodziców... troszczyli się tylko o swego bezcennego pierworodnego! Mojej tożsamości i miejsca na ziemi... szacunku, który mi się należał. - Przerwał na chwilę. - I t w o j e j m i ł o ś c i .

- O Boże, Charles, czy to pora...?

Usiadł wyprostowany, opuszczając gwałtownie nogi na ziemię.

- A kiedy będzie właściwa pora, Helen? Czy kiedyś nadejdzie? Kochałem cię, kiedy byliśmy niemal dziećmi, zbyt młodymi, by obronić coś tak cennego, że nie wiedzieliśmy, ile jest warte, dopóki tego nie utraciliśmy. -

Zerwał się i podbiegł do balustrady balkonu, wpatrując się nie widzącym spojrzeniem w wybielony księżycową poświatą teren, ponury jak marsjański krajobraz. - Czekałem na ciebie przez całe życie. Nigdy się nie ożeniłem, bo nie spotkałem kobiety, która by ci dorównywała. Na pewno o tym wiedziałaś! -

Odwrócił się oskarżycielsko w jej stronę. - Dlaczego za niego wyszłaś?

Ledwo mogła mówić, czuła, jak gdyby usta miała napuchnięte i obolałe.

- Kochałam go, byliśmy szczęśliwi, dał mi wszystko, czego mogła pragnąć kobieta.

Wybuchnął ironicznym śmiechem prosto w jej twarz.

- Na Boga, Helen, oszczędź nam tych bredni z magazynów dla kobiet! -Siedział teraz okrakiem na jej leżaku, ściskając mocno jej przegub. - Dał ci szczęście? Wiem, że przez niego płakałaś!

- Charles, ja...

Tym razem nie pozwolił sobie przerwać.

- Czy zabierał cię do takich miejsc, jak ja? Wyszukiwał jeziora, gdzie mogliście, jak my kiedyś, razem pływać, nadzy jak dzieci, przez cały dzień, aż nie chciało się wam wracać? - Widziała łzy w jego oczach. - Czy kiedykolwiek wyczesywał rankiem siano z twoich włosów i przygotowywał ci śniadanie po całej nocy miłości w stodole?

Zaląła się łzami.

- Och, Charles - płakała. - Dlaczego coś się popsuło? Dlaczego musiało tak być, jak było?

Wyciągnął rękę po jej drugą dłoń i przycisnął obie do ust, pokrywając je miążdżącymi pocałunkami.

- Nie wiem - wymamrotał ochryplym głosem. - Ale wiem jedno. Teraz, gdy wreszcie pozbyłem się z mego życia tego drania Phillipa, nie mam zamiaru zmarnować ani chwili, zdobędę to, czego pragnę... to znaczy ciebie!

## Rozdział osiemnasty

Jutro będzie nowy dzień.

Ten, kto to powiedział - pomyślał Jon z pełnym zaciętości zalem - nigdy nie obudził się z perspektywą takiego dnia, jaki

miał nadejść dzisiaj. Czuł mdłości, a przede wszystkim obrzydzenie do siebie samego. Ale tylko jedno można było zrobić. Więc po prostu przejdź przez drzwi i zrób to.

- Dzień dobry wszystkim.

No cóż - zauważył Jon - określenie „wszyscy” niezupełnie było zgodne z rzeczywistością. Ben i Alex nie zeszli jeszcze na dół, o ile w ogóle mieli zamiar pojawić się na śniadaniu.

Ale ona tu była i tylko to się liczyło. Wziął głęboki oddech i, próbując jednocześnie opanować mdłości i ból rozsadzający mu czaszkę, zbliżył się do pani Matsuda, która siedziała na werandzie przy nakrytym do śniadania stole. Pochylił głowę.

- Wydaje mi się, że jestem pani winien przeprosiny - zaczął, przeklinając sam siebie za to, że wpakował się w takie położenie. - Mam nadzieję, że nie sądzi pani, iż chciałem być niegrzeczny wczoraj wieczorem.

Pani Matsuda uśmiechnęła się. No, no... Może jednak będzie coś z tego chłopaka.

- Nie trzeba. To było zwykle nieporozumienie.

- Tak, no cóż... - zdecydował się wreszcie. - Zachowałem się jak głupiec i bardzo mi przykro.

Dłoń pani Matsuda, jaśniejąca lakierem do paznokci i klejnotami, zatrzepotała niczym koliber.

- Proszę się nie martwić. Nie ma powodu. - Obdarzyła obecnych uśmiechem.

- Dzień dobry, Jonie! - powiedziała Helen z ulgą i radością. - Akurat zdążyłeś na śniadanie!

Rose zjawiała się u jego boku, jak tylko usiadł.

- Co panu podać, panie Jonie?

- Jajecznice na boczku - poleciała Helen. Jon skrzywił się.

- Tylko kawę, Rose, dziękuję.

Wygląda okropnie - myślała Geena, bojąc się spojrzeć na niego, choć jednocześnie nie mogła patrzeć gdzie indziej. Niemal tak źle jak tatko, blady, roztargniony i taki daleki.

Wygląda prawie tak źle jak ja.

Wiedziała, że bezsenna noc spędzona na płaczu fatalnie wpływa na osoby o jej kolorycie. Jaśniała złociście tylko wtedy, gdy była szczęśliwa, teraz musiała wyglądać, jak gdyby wymazała twarz popiołem, chorobliwie blada, z cerą wyblakłą i poszarzałą. Szara i zrozpaczona, tak jak Jon. Chciało jej się płakać.

Pani Matsuda uśmiechała się do Jona i poklepała go po ręce.

- Rozumiem, co pan czuje - powiedziała niefrasobliwie. - Pan Matsuda nigdy by nie sprzedał takiej posiadłości. Ma to pan po ojcu, on by czuł tak samo. To niezwykle miejsce. Dlatego chcę je kupić.

- Jeśli naprawdę panią to interesuje... - twarz Jona ożywiła się - może mógłbym pokazać pani to, o czym mówiłem... mój Koenigshaus?

Chryste, tego tylko brakowało! Dzwonki alarmowe niemal ogłuszyły podenerwowanego, przerażonego Charlesa, siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Jon, Yoshiko i Craig mają przed sobą ciężki dzień - zaczął ostrzegawczo. - Nie sądzę, aby było dość czasu...

- Och, znajdę go trochę.

Pani Matsuda podniosła się z wdziękiem. Musi wygospodarować czas dla tak pięknego chłopca, inaczej jaki sens miałyby życie, po co tak ciężko pracuje?

- A może teraz?

- To... co to jest?... Prywatna kaplica?

Poranne słońce sprawiło, że powietrze w małej kaplicy było stęchłe i mdlące. Lilie na grobie Phillipa przed ołtarzem zaczynały gnić i zapach ich dotarł do nozdrzy Jona, jeszcze bardziej potęgując jego mdłości. Skinął głową.

- Są we wszystkich starych domach. Wielkie farmy w dawnych czasach leżały z dala od kościołów. Więc musiały mieć własne kaplice.

Ze swego punktu obserwacyjnego przy drzwiach mogli widzieć wielką figurę Chrystusa z kości słoniowej, majaczącą



posepnie w górze, przytłaczającą małe sylwetki ludzi w nawie. Craig Buckley stojący za drobną i kształtną chlebobawczynią przestąpił z nogi na nogę, oczy zalśniły mu za okularami, zakasłał napastliwie.

- Nigdy czegoś takiego nie mieliśmy w Ameryce za dawnych czasów powiedział z wyraźnym szyderstwem. - To takie angielskie i staromodne, prawda?

Nie zwracaj na niego uwagi - ostrzegł Jona jego Anioł Stróż. Zdecydowanie mówił dalej.

- To jest również grobowiec. Leżą tu wszyscy Koenigowie. Yoshiko posłała mu kpiące spojrzenie.

- Pana przodkowie?

Skinał głową, z zażenowaniem wspominając swój wczorajszy pijacki wybuch.

- Tak.

Spuścił oczy i wskazał podłogę. Od drzwi do ołtarza, przez całą nawę, ciągnął się szereg mosiężnych tabliczek, wmurowanych w stare kamienie. Jon ująwszy panią Matsuda pod ramię, skierował ją ku pierwszej z nich, tuż przy drzwiach, dosłownie u stóp zwiedzających.

- Tutaj. - Wspaniałą i ozdobną ongiś płytę, w przeladowanym dziewiętnastowiecznym stylu, zatarł upływ czasu i ludzkie stopy, czarne gotyckie litery znikły niemal zupełnie. Jon ukląkł, by dotykami odtworzyć ten napis oraz drugi, na sąsiedniej, bliźniaczej tabliczce.

- JOHANN KOENIG 1850-1930 - odczytał. - BEATE KOENIG 1870-1940. Była jego żoną.

- Och. - Smolicie czarne oczy Japonki rozwarły się szeroko, gdy porównała w myślach daty. - Koenigowie długo żyją.

- A czy zawsze żenią się z kobietami młodszymi o dwadzieścia lat? - wtrącił zaczepnie Buckley. - Pożeracz cyfr nie może tego nie zauważyć!

Pani Matsuda uśmiechnęła się. Więc Craig jest zazdrosny o tego młodego Australijczyka? I słusznie! Dobrze mu to robi.

Ale nie wolno tracić kontroli nad mężczyznami. Nie patrząc nawet na Craiga, zlekceważyła go, zwracając się tylko do Jona.

- I to był pierwszy z Koenigów, którzy tu przybyli?

- To on stworzył „Królestwo”. - Przerwał na chwilę. - Albo zdobył je, zależy jak na to patrzeć. Przybył tu z Niemiec z żoną i dziećmi. - Krótkim gestem wskazał małe mosiężne tabliczki, rozsiane dookoła płyt rodziców. - Dla zdobycia tej ziemi wymordował całe plemię... rodaków Geeny - dodał z wysiłkiem. - W tym czasie utracił wszystkie dzieci poza jednym.

- Ach, tak. - Kiwnęła głową, pochłonięta opowieścią.

- A tutaj... - Jon szedł wzdłuż nawy. - PHILLIP KOENIG 1885-1917. Zginął podczas I Wojny Światowej. Pod Gallipoli. Johann sprowadził jego ciało z Europy, by mógł być pochowany z rodziną. Ze swą żoną. - Wyciągnął rękę. - SARAH JANE KOENIG 1887-1961. To moi pradziadkowie. Następny z Koenigów to John - znowu wskazał tabliczkę. - A dalej... -urwał i upewnił się, że panuje nad głosem. - A dalej leży mój ojciec.

Nawet Buckley nie był na tyle głupi, by rzucić jakąś uwagę na temat nie oznaczonej dotąd tabliczką płyty Phillipa ani też tabliczki tuż obok: TRUDI MARIA KOENIG 1935-1969.

- Więc rozumie pani... - Jon odwrócił się i spojrzał na panią Matsuda błagalnie - dlaczego nie mogę pogodzić się z tym, że tamci chcą sprzedać Koenigshaus. Nie mogę... - zacisnął zęby. - Nie mogę wyobrazić sobie życia bez „Królestwa”. Więcej tutaj zmarłych Koenigów niż żywych, to cała nasza historia. Przecież nie możemy ich wykopać i zabrać tam, dokąd pójdziemy!

Pani Matsuda przyglądała mu się z powagą.

- Wszystko ma swój kres - powiedziała. Jon zeszytniał.

- Nie wszystko.

- Hej, chłopie, słuchaj!

Byli teraz na terytorium Buckleya, więc wtrącił się z tupetem do rozmowy.

- Z waszych własnych ksiąg wynika, że możecie oczekiwać mniej niż 1,3 procent zysku z kapitału... i to w dobrym roku!

Lepiej byście wyszli, pakując po prostu pieniądze do najgorszego banku na świecie!

Jon potrząsnął z uporem głową.

- Nie wszystko jest na sprzedaż.

- Taak, no cóż. - W Buckleyu obudził się tyran. - Macie tu niezły bałagan i kupę wysiłku trzeba włożyć, by to uporządkować. Lepiej wbij to sobie do głowy. Twoja rodzina mogłaby też sprzedać coś z Sydney, motele, firmy handlowe z Hongkongu. A że to wszystko przynosi dochód, nie mieliby kłopotu ze znalezieniem chętnych. Za to Koenigshaus, ta twoja bezcenna farma, jest po prostu dziurą bez dna, w którą pieniądze wsiąkają jak krew. Macie szczęście, że trafia się wam kupiec. Czyli my. Skoro oferta jest ważna, jak się wydaje... - Wyprostował się tryumfalnie w snopie światła, który pojawił się nieoczekiwanie. - Dla mnie to jasne. Jak tylko podsumujemy wszystko, konsorcjum Matsuda musi wygrać, nieprawdaż?

- Czy kawa gorąca?

Rose podniosła się z trudem zza kuchennego stołu i odpowiedziała:

- Zaparzę dla pani świeżą. Helen potrząsnęła głową.

- Nie, nie fatyguj się, ta mi wystarczy. - Podeszła do kuchenki i naląła sobie duży kubek. - Wpadłam tylko, by powiedzieć ci, kto będzie dziś na posiłkach.

Na stole pomiędzy nimi leżały na wpół rozłożone ukochane karty do tarota Rose. Czy istotnie mogły ukazywać przyszłość? A jeśli tak, to czy naprawdę chciałyby ją poznać? Helen odwróciła wzrok, jak gdyby przerwała Rose jakiś najskrytszy rytuał, i powiedziała:

- Pani Matsuda i jej asystent wyjeżdżają dzisiaj, więc będziemy mieć ich z głowy. Na kolacji nie będzie też jeszcze jednej osoby.

Rose widziała, jak minionej nocy Jon i Geena odchodzą razem od stołu, nie potrzebowała więc kart tarota, by zrozumieć, co znaczący ich ponure miny przy śniadaniu.

- Panienska Geena wyjeżdża?

- Geena? Nie. - Helen z bólem uświadomiła sobie, że tak była zaabsorbowana Charlesem i Jonem, nie mówiąc o pani Matsuda, iż tego ranka całkiem zapomniała o dziewczynie. - Nie, to Alex... nagle zdecydował, że zabierze się z nimi śmigłowcem do Sydney, by dopilnować interesów, więc nie będzie go przez parę dni.

- Dobrze. To wszystko?

Helen zorientowała się, że nic nie odczyta z czujnych oczu gospodyni. Żałowała, że nie wie, o czym myśli ta kobieta. Rose wiedziała o Koenigshausie więcej niż ktokolwiek z żyjących. Gdyby kiedyś zdecydowała się opowiedzieć wszystko, co pamięta, wypełniłoby to całą książkę.

Nagle do głowy wpadła jej szalona myśl. Rose może znać szyfr do tego cholernego sejfu! O, Boże, gdyby to była prawda!

Nie, to śmieszne. Rose nie mogła tego wiedzieć. Zresztą Helen nigdy nie zapytałaby jej o to. Nikt nie może dowiedzieć się, czego szuka. A gdyby to znalazła, nikt nie może wiedzieć, że to kiedykolwiek istniało.

Z drugiej strony, jeśli nie uda jej się dostać do sejfu, odszukać szyfru... nikt inny nie potrafi tego zrobić, była pewna. Nikt z Koenigshausu.

Koenigshaus.

Następna nitka gobelinu, utkanego z lęków, pękła i wysunęła się na powierzchnię. Czy powinni doprowadzić do sprzedaży?

Wbrew wszystkiemu, co mówił Charles, Helen nadal nie była przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Po ostatniej nocy nie wiedziała również, co ma sądzić o Charlesie. Wyszła z pokoju zaraz po jego deklaracji, drżąca i zapłakana, nie potrafiła zdecydować się, czy ta obietnica zdobycia jej wreszcie to ślubowanie miłości czy groźba.

Co powinna zrobić? Czy go kocha, czy go teraz pragnie? Jak to możliwe tak prędko po śmierci męża?

A co z Jonem? Ubóstwiał ojca. Co czułby, gdyby tak szybko zastąpił go inny mężczyzna? I to właśnie Charles!

- Helen, on ma już dwadzieścia cztery lata! - Nadal słyszała pogardliwy głos Charlesa.

- Ale zawsze będę jego matką! A który syn chciałby myśleć, że matka może się zakochać, flirtować, być z mężczyzną...?

Boże, chyba traci rozum!

Nieruchoma jak posąg Rose patrzyła na nią obojętnie, ale w jej wzroku było też pewne zrozumienie... Czyżby potrafiła również czytać w myślach? Na stole między nimi leżały karty do tarota, jaskrawe plamy błękitu, żółci i czerwieni.

- Hej, Rose - powiedziała impulsywnie. - Powróż mi, dobrze? Rose nawet nie drgnęła.

- Pani nie wierzy w takie rzeczy, pani Koenig.

- Nie wiem, czy wierzę, czy nie. Spróbujmy. No, dalej, Rose, rozkładaj karty!

Dłonie Rose jak pająki biegały po kartach, sprawnie zbierały je, tasowały i rozkładały. Kobieta podniosła oczy i zobaczyła, że Helen utkwiała wzrok w starej, zniszczonej talii.

- Stare karty są najlepsze - powiedziała obronnym tonem. - Mają największą moc.

- Czy są bardzo stare?

Rose rzadko się uśmiechała, ale jej zacięta twarz jaśniała teraz, gdy odpowiedziała:

- Pan Phillip przywiózł mi je, gdy po raz pierwszy wyjechał do Francji.

- Po raz pierwszy...? - Helen próbowała szybko obliczyć lata. Francja była zawsze ulubionym krajem Phillipa, wyjeżdżał tam kilkakrotnie, czasem na dłużej. - To musiało być ponad czterdzieści lat temu.

- Taak, to możliwe. - Rose koncentrowała się, wybierając na oślep karty. - Z samej Francji.

Helen nie mogła się powstrzymać.

- Czy tylko to ci dał?

Rose znieruchomiła. Nie podnosiła wzroku.

- Taak - powiedziała w końcu. - Z Francji. Za tamtym razem.

- A... innym razem?

Rose nie przegapiła niczego.

- Znała pani pana Phillipa - powiedziała miękko, patrząc w oczy Helen. - Zawsze był prawdziwym mężczyzną.

Przy drzwiach rozległ się łoskot i przed kobietami pojawiła się nadąsana Ellie, otoczona chmurą niezadowolenia, ciągnąc za sobą wiadro i szczotkę do podłogi. Przywitała Helen lekkim pochyleniem głowy i odezwała się do Rose cierpkim, monotonnym głosem:

- Doprowadziłam do porządku werandę, sprzątnęłam po śniadaniu, co teraz?

Rose spojrzała na nią z wyraźną niechęcią.

- Pójdź do domku dla gości, posprzątaj tam.

Dziewczyna wyszła z ponurą miną. Helen patrzyła, jak odchodzi.

Ellie...

I Alex...

Na stole leżały już pierwsze karty, zwrócone ku niej. Kochankowie\*. Zawsze ciekawiło ją, dlaczego karty nie przedstawiały szczęśliwej, kochającej pary, lecz mężczyznę z dwiema kobietami, przychwyconego na starym jak świat przejściu od jednej do drugiej. Marzenie wszystkich mężczyzn - pomyślała - kobieta na każde zawołanie, ich wyobrażenie o szczęściu.

Jak Alex... I Ellie...

Następną myśl odczuła jak uderzenie. Jak Phillip.

I Rose.

Jaki ojciec, taki syn. Ostatniej nocy Alex nie widział nic złego w zabawianiu się ze służącą niemal pod samym nosem wyjątkowych gości, ważnych partnerów w interesach, których sam tu zaprosił.

---

\* *Kochankowie - VI karta Arkanów Większych tarota. Oznacza miłość, poświęcenie, ślub, konieczność dokonania wyboru, wybór pomiędzy dwiema kobietami lub dwoma mężczyznami. Odwrócona - to zły wybór, separacja, zawód miłosny, zdrada, niestałość uczuć (przyp. tłum.).*

Phillip postąpiłby tak samo.

Nagle na wpeł sformułowane lęki i podejrzenia, narastające latami, stały się oczywistością.

Dobrze, więc Phillip zatrudnił Rose, gdy oboje byli młodzi i wolni. Zawsze wyczuwała, że obowiązki „gospodyni” nie ograniczały się tylko do prowadzenia domu. Sądziła jednak, że cokolwiek było pomiędzy Rose i Phillipem, skończyło się z chwilą, gdy poślubił Trudi.

Ale niby dlaczego tak by miało być? Kobieta nie traci uroku tylko dlatego, że mężczyzna, który ją kochał, poślubił inną. A Rose była tu zawsze, zawsze pod ręką, zawsze oddana. Mieszkała z nimi, była tak samo częścią małżeństwa, jak ich syn. I tak miało być do końca. To ona musiała przygotowywać śniadanie owego fatalnego ranka, gdy zginęła Trudi. Patrzyła, jak jadą razem do buszu...

A potem, gdy Phillip został wdowcem, Rose nadal tu była.

Dopóki nie zjawiała się ona, osiemnastoletnia, naiwna i całkowicie w jego władzy.

Widziała teraz, że mógł mieć inne kobiety podczas ich małżeństwa, a ona by nic nie zauważyła, nie zadawała żadnych pytań. Ale jaki mężczyzna utrzymywałby przez tyle lat kochankę, w trakcie obu małżeństw, mimo obecności młodej żony, która go uwielbiała i nie odmawiała niczego?

Taki jak Phillip.

Mężczyzna o silnych pragnieniach i popędach, dla którego seks był niczym jedzenie... który każdego dnia mógł spożywać z przyjemnością dwa, trzy, cztery posiłki. Lubił też różnorodność, w pełni rozkoszowałby się odwieczną pikanterią posiadania i czarnego, i białego ciała. A wymykanie się z kwiecistego buduaru pachnącej damy do jej ubogiej siostry w pomieszczeniach dla służby, kopulowanie w brudnej i usmarowanej kuchni - to pasowałoby do wyobrażeń Phillipa o władzy we własnym królestwie, o wszechmocy Phillipa Koeniga.

Na stole leżał Król Mieczy\*.

Wyciągnęła szybko rękę, powstrzymując Rose, która miała pomieszać karty.

- Co się dzieje, Rose? - rzuciła z wyzwaniem. Stara kobieta skamieniała.

- Nie wiem, o co pani chodzi.

- Ty wiesz wszystko! A przynajmniej więcej, niż okazujesz! Ale stara kobieta nie ustąpiła ani o włos.

- Wiem tylko to, co mówią mi karty.

- Dobrze, więc je spytaj. - Jeśli była niesprawiedliwa wobec Rose, nie martwiło jej to, chodziło tu przecież tak samo o nią, jak i o starą gospodynię. - Co się stanie z Koenigshausem? Czy zostanie sprzedany?

- Już je pytałam. Nie odpowiadają, przyszłość tonie w mroku.

- Muszą powiedzieć coś więcej!

- Pokazują tylko, że się o tym mówi. Ale tak było już wcześniej. Powiedziały mi, że pan Charles jest za sprzedaniem, pan Jonny - przeciw, ale ani słowa o tym, kto wygra, kto może zapobiec sprzedaży, nic z tych rzeczy. - Spojrzała na Helen, każda zmarszczka na jej twarzy wyglądała jak znak ostrzegawczy. - Nie wiemy tego, nie możemy nic powiedzieć. Teraz, gdy pan Phillip nie żyje, wszystko może się zdarzyć. - Zaciśnęła dłonie w pięści, wtulając lęklonie kciuki do środka, jak dziecko. - Przez całe życie mieszkałam tylko tutaj. Jeśli pan Alex tu zostanie, nie będzie chciał mnie zatrzymać, on lubi Ellie, tego brudasa! A jeśli sprzeda farmę, kto mnie wtedy zechce?

- Nie wiem.

---

\* Król Mieczy - jedna z kart Arkanów Mniejszych. Symbolizuje dominację, władzę, autorytet, kontrolę, sprawiedliwość, kogoś, kto wie wszystko. Odwrócona - oznacza tyranie, sadyzm, egocentryzm, przestępcę. Człowieka, który lubi zadawać ból, lubującego się w niskich przyjemnościach. Brak wyższych uczuć, skrupułów, hamulców moralnych (przyp. tłum.).



Helen podniosła się na nogi z rozgoryczeniem, cała miłość do Phillipa, która odżyła, gdy dowiedziała się o jego chorobie, ustąpiła miejsca bólowi z powodu dawnej zdrady.

- Czemu nie spytasz kart? Spytaj tych cholernych kart!

Widoczny z trawnika port w Sydney mienił się w słońcu. Iskrzące się jak diament drobne fale tworzyły widok wart dziesięciu milionów dolarów, które zapłacił właściciel domu. Od historycznego Harbour Bridge do legendarnej Opery, górującej tryumfalnie nad Bennelong Point, wokół którego pływały tam i z powrotem żagłówki, rozciągała się żywa panorama, która nie mogła znużyć widzów, choćby podziwiali ją wiele razy.

Alex zatrzymał się na progu eleganckiego pokoju. Gdy pochłaniał oczami niezwykle wnętrze wraz z panoramicznym oknem, za którym widniał sławny na cały świat krajobraz, poczuł mieszaninę zazdrości, pożądania i lęku, bardziej gryzącą niż zwykle. Dostyc tego, chłopie! - skarcił się w duchu. Przyzwyczaj się do myśli, że niedługo ty też będziesz tak mieszkał! Przestań czuć tę cholerną niepewność z powodu nieoczekiwanego uśmiechu Fortuny! Będziesz miał dom z równie pięknym albo i lepszym widokiem za kilka krótkich tygodni. Pora zacząć żyć jak należy!

- Panie Koenig!

- Pani Castlemaine! Proszę mówić mi Alex!

Przywołał uśmiech na usta i odwrócił się, by powitać gospodynię, która płynęła majestatycznie z wnętrza domu, z depczącą po piętach nieodłączną pokojówką w czarnej sukience i białym fartuszk.

- Więcej szampana dla gości w altanie - rozkazała. - A potem podaj znowu kanapki.

Odprawiwszy pokojówkę, pośpieszyła do gościa, ozdabiając twarz wylewnym uśmiechem.

- Witam na moim małym przyjęciu! Jak to miło widzieć cię tu w Vauclose!

Lindi Castlemaine pogratulowała sobie zręcznego przywitania nieznajomego. W każdym razie nie pomyliła nazwiska, to musiał być Koenig, którego zaprosiła Trisha, wszyscy inni już się zjawili. Mmmmm. Ciekawe, gdzie go Trisha odkryła... Taki przystojny, jaka szkoda, że to nie ona poznała go pierwsza...

- Proszę mi mówić Lindi - zaśmiała się figlarnie, podając mu obie ręce. - Sądzę, że szukasz Trishy, tedy, proszę, idź za mną.

Ogród, podobnie jak i dom, był hołdem złożonym wizjom i planom wieku elegantszego i mniej pochłoniętego pracą. Na falistym trawniku o szmaragdowej zieleni kobiety wyglądały jak kwiaty, które rosły wszędzie w naturalnych kępach, nie uszeregowanych sztywno w zwartych kwietnikach, typowych dla parków. Tu i ówdzie goście gromadzili się w cieniu starych drzew, podziwiając wytworne eukaliptusy zwane drzewami duchów, wysokie palmy lub drzewa kampešzowe. Inni wędrowali po ścieżkach wysypanych żwirem przez kępy mimozy do punktu obserwacyjnego, z którego rozciągał się widok na trzydzieści mil pięknego rzeczno-krajobrazu.

To miejsce uspokoiłoby nawet największą wściekłość, ale nie wpływało kojąco na Alexa. - Popatrz tylko na nich - pomyślał, chory z pogardy.

Świat dzielił się na ludzi, którzy żyli ekskluzywnymi przyjęciami, i tych, którzy woleli spędzać czas w ZOO. Alex orientował się, że wszędzie będzie mile widziany, że uśmiech, wygląd i wdzięk zawsze mu pomogą i zapewnią ponowne zaproszenie, zwłaszcza ze strony kobiet każdej sfery. Ale taki zbiór prawdziwych bogaczy, międzynarodowych próżniaków i okazów typu „Jestem-piękna-gdyż-jestem-piękna” budził w nim tak gwałtowną niechęć i zazdrość, że niemal go mdliło.

- Freddie!

- Polly, kochanie, gdzieś ty się podziewała!

- Nie, spytaj Josha, była jego żoną, zanim...

- Tak, trzysta tysięcy, tyle mu płacą, możesz w to uwierzyć...?

- Oczywiście, że wygląda dobrze, dzięki niej rozwija się chirurgia plastyczna!

Chryste, ale typy! Dlaczego zgodził się tu przyjść? Powinien umówić się, że wpadnie po nią później, albo poprosić, by zrezygnowała z przyjęcia...

Zrezygnowała z przyjęcia? Co, Trisha, królowa towarzystwa, miałyby poświęcić jakąś rozrywkę? Wszystko, tylko nie to...

Pragnienie, by ją zobaczyć było tak silne, jak męki głodowe. Boże, gdzie ona może być?

- Louis!

- Manny!

- Sally!

- Hal!

Posyłając na wszystkie strony uprzejme uśmiechy, Alex szedł za gospodynią i obserwował tę galerię typów, przedstawicieli towarzystwa, polityków i biznesmenów, zdesperowanych starszych kobiet i bezmózgich smarkul, ludzi, którzy szli w górę, i tych którzy usiłowali ich powstrzymać, oraz satelitów: osoby towarzyszące, ochroniarzy, strażników, gawędziarzy, utrzymanków i podtatusiałych lowelasów. Oni wszyscy szaleńczo gonili za jarmarczną rozrywką.

Alex czuł, jak narasta w nim chłód. Jezu, co za pieprzone, ludzkie ZOO... I zanim gospodyni zbliżyła się do ostatniej grupki pod drzewem, tuż nad wodą, wiedział, że ma już dosyć.

- Trisha! - zaśpiewała Lindi Castlemaine, ze swobodą pani domu wtrącając się do rozmowy. - Zobacz, kogo tu mamy!

Tak, to była ona. Szczupłe plecy, miękki zwój złotych włosów na karku, piękne ramiona nad obcisłą suknią, biała szyja, która odwracała się, odwracała... i głos, który słyszał we śnie...

- No, no!

I już patrzył w znajome oczy o uniesionych zewnętrznych kącikach, jasne, niemal żółte, zwężające się na jego widok w ciemne szparki. Znowu poczuł przeszywającą, wibrującą radość przypominającą ból.

- Witaj, Alex - powiedziała przeciągle. - Przedstawię cię. Wskazała długą, czarną cygarniczką na czwórkę lub piątkę opalonych,

wytwornych osób, bawiących się kieliszkami szampana. Wybraną reprezentację „Pięknych tego świata” i tych, którzy wkradli się w ich szeregi i sami stawali się piękni dzięki temu, że zaspokajali ich potrzeby. Rozpoznał najślynniejszego producenta filmowego Australii, aktorkę, ostatnio bardziej znaną dzięki pamiętnikom niż sztuce aktorskiej, magnata prasowego, modnego psychiatrę i mistrza grzebień, bez którego nie mogła się obyć żadna z najelegantszych dam w Sydney. Alexowi wystarczyła chwila, by z wdziękiem wyprowadzić Trishę z ich grona i skierować do cichego zakątka pod różowym oleandrem i fiołkowo-różową jacarandą, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie wiem, dlaczego ci na to pozwalam, Alexie Koenigu! - wykrzyknęła z rozdrażnieniem, wrywając mu rękę. - Jak na kogoś, kogo dopiero co poznałam, pozwalasz sobie za wiele!

Dopiero co poznałam. A ile na to trzeba czasu?

Unosząc ironicznie brew, zignorował jej słowa. Nie miał zamiaru tracić czasu na sprzeczki, tak samo jak on wiedziała, że są siebie warci.

- Chodzi o Koenigshaus - powiedział, oczy błyszczały mu w mroku jak wilkowi. - Dostała mi się nie mała porcja, lecz cały majątek. Mam już kupca i deszcz złota to tylko kwestia czasu. A jak będę siedział na farmie, potrzebne mi towarzystwo. Twoje. Spakuj się, lecimy tam jutro.

## Rozdział dziewiętnasty

O nie, byle nie kolejny cholernie piękny dzień!

Oślepiające słońce przedostało się przez okno i bezlitośnie uderzyło w zamknięte powieki śpiącego. Jon obudził się, czując już drugi dzień z rzędu znajomy bunt żołądka i pulsujący ból głowy. Jęknął. Nie mógł chyba wciąż pokutować za jedną noc

spędzoną na pijaństwie? A może to był po prostu skutek następnej nie przespanej nocy, przerywanej męczącymi, pełnymi wyrzutów snami?

Wiedział, że nie będzie mógł spać, dopóki nie rozwiąże zagadki śmierci ojca. Musiał to zrobić, by odzyskać spokój ducha, czuł też, że to jego obowiązek wobec rodziny. Do tej chwili nie będzie z niego pożytku - nie potrafił myśleć o niczym innym. Jego umysł natychmiast po obudzeniu wpadł, niczym szczur laboratoryjny, w nieskończony labirynt myśli.

Jeśli chciał wyświecić tajemnicę, od czego powinien zacząć?

Najlepiej od początku - udzielił sobie pouczenia. Czy był naprawdę pewien, że Phillip został zamordowany? Choć Jon nie studiował psychologii, wiedział, że mózg potrafi płać dziwne figle. Ludziom śniło się to, o czym marzyli lub w co chcieli wierzyć. Czy więc on chciał wtedy, by ojciec umarł, albo nawet pragnął go zabić?

- To po prostu freudowska bzdura! - powiedział do siebie gwałtownie. W swym nieskomplikowanym świecie kochał ojca, kochał go szczerze.

Może to nie jest tylko bzdura - mówił mu dalej głos rozsądku. Może tato został zabity, a komuś uszło na sucho morderstwo doskonałe.

Ale kto by to mógł być?

Jakiś przejezdny robotnik lub inny nieudacznik? Mało prawdopodobne. Morderstwo wymaga zaplanowania i chłodnej inteligencji, a nie pijackiej partaniny człowieka, który nawet nie potrafi utrzymać posady. A co z tymi dwoma, którzy w śnie Jona pomagali mordercy?

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że musiał być w to wmieszany więcej niż jeden człowiek. Nawet gdyby morderca zachował największą ostrożność, skradał się jak najciszej - Phillip mógł jeszcze nie spać i stawić opór. W najgorszym razie, obudziłby się przy pierwszym ukąszeniu... nie leżałby spokojnie dalej, czekając aż jego mocne, wielkie ciało pochłonie śmiertelne dawki trucizny. Przez cały ten czas musiały

go obezwładniać, przytrzymywać i kneblować czyjeś silne ramiona. Jak to odkryć?

To pytanie dręczyło go, wprost paraliżowało przez ostatnie dwa dni. Musi jakoś otrząsnąć się z tej słabości, przełamać się już teraz, dzisiaj!

Przynajmniej pozbyli się tej pani Matsuda i jej pomocnika. A teraz miał również z głowy Alexa, więc mógł zacząć poszukiwania. Gdyby tylko przekonał Geenę, by się z nimi zabrała, miałby przed sobą czyste pole. Ale zawałił całą sprawę...

Geena.

Nawet pod parzącym strumieniem prysznicza zadrżał i poczuł chłód. W chwilę później oblało go warem wspomnienie jej pocałunków i zapragnął jej dziko, gorąco, właśnie teraz, pokazałby jej, co znaczy prawdziwy mężczyzna, do czego są kobiety...

Och, Boże! Myśląc w ten sposób, jak jakiś najgorszy, cholerny osioł, nie zasługuje na żadną kobietę, a co dopiero na Geenę!

- Na litość boską, skończ z tym, zapomnij, zapomnij o niej - pouczał samego siebie, odmawiając w nieskończoność desperacką litanię usychającego z miłości mężczyzny.

Powtarzając to zdanie jak mantrę, ubrał się i bez śniadania poszedł prosto do stajni. Z odległości stu jardów Kaiser wyczuł zapach Jona i radośnie zarżał.

- Taak, teraz ja jestem twoim panem, ty hałaśliwe bydlę - Jon przywitał go mocnym klepieniem w szyję. - A ty jesteś moim koniem. Masz ochotę na przejażdżkę?

- Cześć, Jonny!

- Hej, Jon-Jon!

- To pan Jon!

Zawsze był mile widziany w osadzie aborygenów, wpadał tam zarówno w trudnych chwilach, jak i wtedy, gdy miał powody do radości. Teraz wszyscy, od starców plemienia, którzy już byli w podeszłym wieku, gdy Jon był małym chłopcem, do

przewracających się w kurzu i walczących ze sobą łobuziaków, witali go gorąco. Pozdrawiano go ze wszech stron.

- Przyszedeś zobaczyć tańce? - dopytywała się Dora, podchodząc rozkołysanym krokiem, z dzieckiem wspartym o biodro. - Jest tu Geena, powinieneś ją obejrzeć, jest cholernie dobra!

Patrząc ponad ogrodzeniem, mógł widzieć Geenę w trykotach i spódniczce baletnicy, stojącą bosą na twardej, suchej podłodze prowizorycznej sceny. Ćwiczyła z grupą mieszkańców. Korygowała jakieś błędy w tańcu młodego człowieka, a z kolei ją pouczała jedna ze starszych kobiet, nie można więc było określić, kto tu jest uczniem, a kto nauczycielem.

- Co oni robią? - zapytał Dorę, zaintrygowany. Dora zaśmiała się radośnie,

- Ćwiczą taniec na corroboree\*. Będzie specjalny pokaz. Wtedy wszyscy zobaczą, co przygotowali.

- Corroboree!

Boże Wielki, jak mógł zapomnieć? Kiedy to ma być, za miesiąc, na pewno nie wcześniej? Najważniejsze wydarzenie w roku dla aborygenów, a on niemal o tym zapomniał, do diabła! Jedyna okazja, przy której Phillip robił tyle zamieszania, urządzał wielką ceremonię pieczenia wołu koło domu, starał się uczcić ludzi i pracę, jaką wykonywali przez cały rok w Koenigshausie. Teraz tato nie żył, to spadnie na niego, tradycja musi być kontynuowana...

Ale czy naprawdę spadnie to na niego?

Jeszcze raz poczuł ból na myśl o tym, co utracił, jak zmieniła się jego pozycja, a wraz z nią prawo do troszczenia się o takie sprawy, ale brutalnie zdławił litość nad sobą. Ktoś musi podtrzymać tradycję corroboree, powie o tym Alexowi, jak tylko ten wróci z Sydney. Wpatrywał się chciwie w tancerzy i drobną

---

\* *Corroboree* - nazwa świeckich i kultowych uroczystości aborygenów, które połączone są z tańcami i śpiewami (przyp. tłum.).

postać pomiędzy nimi. Powie mu, że w tym roku będzie to wyjątkowy pokaz...

- Chcesz podejść i popatrzeć? - dopytywała się Dora.

- Nie, nie, nie teraz - powiedział niezręcznie. - Przyszedłem zobaczyć się z Dustym, jest tu gdzieś?

- Jestem, szefie.

Pojawienie się niskiego, uśmiechniętego mężczyzny zaskoczyło go jak zawsze.

- Chcesz wsiąść na konia, szefie, przejechać się trochę?

- Nie, pobaw się z nami, Jonny, nie jedź jeszcze, nie jedź!

Jon zaśmiał się. Był tak lubiany przez dzieci, że w żaden sposób nie mógłby spokojnie porozmawiać z Dustym w osadzie.

- Muszę jechać, chłopcy. Zaraz wrócę, obiecuję. Do widzenia. Zmusił się, by odjeżdżając nie spojrzeć na Geenę. Przejechali pod bramą plecioną z gałęzi, wyglądało na to, że Dusty wie, dokąd jada, a Jon godzi się, by przyjaciel go prowadził.

Słońce nad ich głowami wybielało niebo i paliło krwistoczerwoną ziemię. Na odległym urwisku płonęła niczym ogień chmura mimozy w odcieniach od jaskrawego szafranu do pomarańczowej czerwieni. Na górnych gałęziach migały krucze kakadu i barwne papugi, tworzące jaskrawe plamy bieli i żółci, uwieńczone szafirem. Jon czuł, że ciężar na jego piersi nieco maleje i gdzieś daleko zobaczył przelotny błysk nadziei.

„Królestwo” - pomyślał. To moje królestwo. Przynajmniej tego nikt mi nie może odebrać.

W końcu uznał, że może już mówić, otworzyć swoją puszkę Pandory.

- Dusty - zaczął gwałtownie. - Wiem, że twoje plemię wierzy w sny. Chryste, przecież w tym kraju to wyście je wymyślili. Mielicie Epokę Snu setki tysięcy lat temu, zanim przybyli tu biali ludzie. Ale czy wierzysz w złe sny... w coś w rodzaju Szatana? Diabła, który wkłada je w nasze głowy?

Dusty nie spieszył się z odpowiedzią.



- Zawsze, zawsze istniało zło, szefie. Dobre duchy i duchy złe, dobre zwierzęta i złe, ludzie dobrzy i źli. Ale więcej zła jest w ludziach niż w duchach. Zawsze tak było.

- Dusty...

Jon był dziwne podniecony, instynktownie czuł, że zaczyna przedzierać się przez mgłę zamętu i niezdecydowania, która więziła go od nocy, kiedy nawiedził go ten straszny sen.

- Dusty, co mieszka przy jezioru? Aborygen patrzył przed siebie.

- Ryby, ptaki, jaszczurki... i wielkie węże.

- Węże?

- Przecież nie chodzi tylko o to, co tam żyje, prawda szefie? Każdy może się tam wybrać.

Teraz Jon już wiedział, dokąd zmierzali.

- Tak, jak my teraz?

Na ustach Dusty'ego pojawił się cień uśmiechu.

- Właśnie tak.

Jechali przez długi czas w milczeniu, zdawało się, że Dusty'emu to odpowiada. Wreszcie Jon nie mógł już tego znieść.

- Czy i tak miałeś zamiar dziś tu przyjechać? A może urządziłeś tę wycieczkę tylko dlatego, że ja się pojawiłem?

- Och...

Dusty uniósł z namysłem oczy i zsunął z czoła kapelusz.

- Chyba sobie myślałem, że dobrze by było wybrać się tu w najbliższym czasie.

Jon znowu poczuł przyływ podniecenia.

- Odkryłeś coś! - powiedział z wyzwaniem. - Albo coś wyczuliś, usłyszałeś...

Dusty uśmiechnął się ironicznie.

- To nie magia Epoki Snu, szefie, tylko zdrowy rozsądek. Obiło mi się coś dziwnego o uszy, to wszystko. Pamiętasz, jak podczas spędu czuwaliśmy na zmianę przy bydle? Na kilka godzin przed śmiercią twego taty przypadała warta Slima. Powiedział mi, że w nocy słyszał jakiś samolot. A przecież nikt

nie pojawił się na farmie ani nie wyjeżdżał, o ile wiem. Więc kto tu był? I w jakim celu?

Jon usiłował zachować spokój.

- A może ktoś tylko przelatywał?

- Slim mówił, że nie. Samolot dotarł tylko do lotniska.

- Więc mógł tamtej nocy nadlecieć, wylądować, a potem znowu odlecieć, nie dostrzeżony przez nikogo?

Dusty skinął głową.

- Tak się wydaje. - I ktoś...

- Lub kilku „ktosiów”...

- ...mogło cichaczem zakraść się na farmę i potem odejść, a nikt by nic nie zauważył? - Jon czuł, że mąci mu się w głowie. - A z lotniska tutaj, na przelaj, nawet nocą, pieszo... jak sądzisz, ile czasu mogło im to zająć? Jeśli znali teren?

Dusty już to wszystko sobie przemyślał.

- Dobremu, silnemu piechurowi... nie więcej niż godzinę. A szef... - przerwał. - Tutaj wszyscy znają teren.

- Taak. - Czuł, jak zalewa go gorycz. Było coraz bardziej oczywiste, że kimkolwiek był morderca Phillipa, musiał pochodzić z tych stron. - Więc oni mogli przylecieć i odlecieć pod osłoną mroku?

Dusty kiwnął głową.

- Jeśli byli jacyś „oni”. Zobaczymy.

Zbliżali się już do oczka wodnego. Dusty nalegał, by zsiadli i przywiązali konie do drzewa, rosnącego na krawędzi niecki, która opadała do wody omywającej podnóże skały.

- I tak już zbyt wiele osób tu chodziło - powiedział. - Najpierw twój tato, potem my wszyscy, gdy go znaleźliśmy i zabraliśmy ze sobą, potem jeszcze ty... Może nic nie znajdziemy, może nie zostało już nic do odkrycia. Poczekaj tu, przy drzewie. Ja się rozejrzę. Jeśli coś zobaczę, krzyknę.

Ułynęło wiele czasu, nim Jonowi udało się usłyszeć coś poza cichymi odgłosami buszu. Siedział tak długo w milczeniu i bezruchu pod drzewem, że wszystkie żywe istoty zaczęły traktować go jako kogoś ze swego grona. Zielonoczarne insekty i

złote żuki biegały dookoła i zajmowały się codzienną pracą, nie zauważając go, jaszczurki ocierały się o jego buty, a mała polna mysz przebiegła mu po nodze.

Ale w końcu rozległ się oczekiwany okrzyk.

- Hej! Tutaj! Tutaj!

Jon wstał. Dusty dokładnie przeszukał teren wokół jeziora, zataczając coraz szersze kręgi od zagłębienia pomiędzy głazami, gdzie Phillip wyciągnął się do swego ostatniego snu. Gdy Jon zbliżył się do młodego aborygena, kucnął on na ziemi i „odczytywał” ślady, używając zarówno obu dłoni, jak i bystrych oczu. Teraz odchylił kępę nisko rosnących zarośli i oskarżycielsko wskazał coś palcem.

- Widzisz to? - powiedział cicho. - Trzech mężczyzn. Truchtem. Nawet gdyby od tego zależało życie, Jon nie mógł zauważyć nic, poza kilkoma zdeptanymi łodygami.

- Truchtem?

- Biegli lekko i szybko. Śpieszyli się. Kawał drogi.

W okamgnieniu Jon zobaczył ten obraz tak wyraźnie, jakby był przy tym.

- Biegli. Uciekali! - Przerwał na chwilę. - To musiało być po... po tym, jak już zrobili swoje.

Dusty wyprostował się i rozmasował plecy, wskazując ręką w lewo.

- Zeszli na dół. Zgubiłem trop tam, gdzie leżał twój ojciec, za dużo ludzi, za wiele śladów. Ale ta sama trójka, która tam zeszła, wróciła tędy. - Znowu pokazał ręką. - Ten sam kierunek.

- Taak - Jon skinął głową. - Do lotniska. - Utkwił w Dustym spojrzenie, pełne zaciętej dociekliwości. - Jesteś pewien, że było ich trzech?

Dusty przytaknął.

- Trzech.

- Mężczyzn?

- Trzech mężczyzn, szefie. Chyba że znasz jakieś panie w okolicy, które noszą buty numer dziesięć i jedenaście. I były w wojsku.

- W wojsku?

- Albo w jakiejś organizacji, gdzie ćwiczysz się musztrę. Spójrz. - Zszedł w dół niecki, w kierunku zagłębienia, gdzie Phillip przygotował sobie nocleg. - Widzisz ten ślad? Tu położyli się na brzuchu. Czołgali się. Ot tak.

Opadł na ziemię i zademonstrował węzowy ślizg, posuwał się do przodu na przedramionach, ciało i nogi miał rozluźnione i nieruchome.

- Uczyli tego w Wietnamie, to stara sztuczka spadochroniarzy. Unikasz przy tym odgłosów, jakie wydaje człowiek, więc nie zaalarmujesz kogoś, kto przyzwyczajony jest do buszu. I zacierasz trop w miarę posuwania się do przodu, nie ma więc śladów stóp, mógłbyś być po prostu jednym z wielkich zwierząt.

Jon poczuł, jak zalewa go fala bólu i gniewu, tak silna, że ledwo zdołał wykrztusić:

- Albo ogromnym wężem.

Czy stary stał w ten sposób, gdy czekał, aż domownicy zejdą na kolację? - zastanawiał się Alex. A może ta postawa - nogi rozstawione, mina pana na zamku - była zbyt rzucająca się w oczy, jak na typ właściciela, którego miał zamiar odgrywać? Niezmiernie elegancki w dobrze skrojonych spodniach i francuskim blezerze, zmienił pozycję na dywaniku przed kominem i starał się opanować niepokój, który czuł w sercu.

Dlaczego ją tu sprowadził? Do tej pory radził sobie świetnie. Został przyjęty jako syn i spadkobierca, wszyscy wokół niego skakali, miał nawet małą Ellie dla odprężenia i rozrywki, czego można chcieć więcej?

Trishy.

Odkąd ją spotkał, pragnął jej przez wszystkie chwile każdego dnia. Więc gdy helikopter wracał do Sydney wydawało się, że to świetny pomysł, by zrobić sobie krótką wycieczkę, zobaczyć dziewczynę i zabrać ze sobą. A skoro już poddał się

temu fatalnemu impulsowi, nie było odwrotu, tylko jedno można było zrobić.

Co w niej było takiego? Alex z napięciem przeczesał palcami gęste, czarne włosy, torturując się tym pytaniem po raz tysięczny. Co on w niej widział? Tak, rzeczywiście, była piękna jak supermodelka. Miała zachwycające ciało, gęste złote, nie... miodowozłote włosy, idealną budowę, szeroko rozstawione oczy, ocienione gęstymi rzęsami, i szerokie usta, które nadawały pozór uczuciowości, do jakiej nie była zdolna. Lecz Alex nigdy nie tknął kobiety, która nie była piękna, uważał to za naturalne, nie w tym więc krył się sekret jej siły przyciągania.

Ani w zmysłowości, naturalnym instynkcie dzikiej kotki, nie w fantastycznym ciele, w którym - jak się wydawało - zakończenia nerwów czuciowych znajdowały się bliżej powierzchni skóry niż u innych ludzi. Była prawdziwą kobietą, to pewne. Ale to też było coś, czego zazwyczaj wymagał tkwiący w nim prawdziwy mężczyzna.

Prawdziwa kobieta.

Ponuro pociągnął łyk whisky, czując jak ta myśl zapada mu w duszę i rozlewa się niczym plama. Prawdziwa kobieta. Taak.

Prawdziwa kobieta, próżna, egocentryczna, wymagająca. Bez litości odfajkowywał kolejne pozycje na znajomej liście jej grzechów. Boże, fryzjer, manikiurzystka, aromaterapeuta byli dla niej ważniejsi od niego! Jak każde piękne zwierzę, brała z życia to, czego pragnęła, a potem wyrzucała wszystko, poza kośćmi.

Tylko zachowuj się przyzwoicie w Koenigshausie! - wydał jej polecenie. I nie pij za dużo, tam nie prowadzi się szampańskiego stylu życia! To są farmerzy, ludzie uczciwi, którzy nie widzieli nic, poza swoją farmą.

W odpowiedzi usłyszał kpiący śmiech. No więc, najwyższy czas, by się czegoś nauczyli!

Ostrzegła go, że ma zamiar zostać tu tylko kilka dni, może tydzień. To i tak długo... bez sklepów i gabinetów kosmetycznych, bez trenera, astrologa i masażystki, całego tego systemu, który robił z niej to, czym była... płytkie, próżne i

egocentryczne stworzenie. Jak się między nimi ułoży, gdy on dostanie już pieniądze, Bóg jeden wie!

Jeśli w ogóle się między nimi ułoży.

Zagryzł wargi. Od chwili, gdy spotkali się w tym małym barku niedaleko Double Bay, nie okazywała niemal wcale zainteresowania jego życiem, przeszłością ani przyszłością. Dla Trishy ważne było tylko ciało mężczyzny i jego zdolności do dotrzymania jej kroku we wszystkich pragnieniach, rozrywkach i zachciankach.

Ale z rozległego doświadczenia Alexa wynikało, że nie wolno pozwolić, by kobiety narzucały swą wolę. Po prostu zdepczą każdego porządnego faceta; tylko tym, którzy zachowują się jak ostatni dranie, wszystko ujdzie na sucho. Trisha nie była typem kobiety, która pozwoliłaby jakiemuś mężczyźnie wejść sobie na głowę. Ale z pewnością pogardzałyby każdym, który nie potrafiłby się jej przeciwstawić.

Alex zmarszczył brwi, z goryczą wyobrażając sobie bitwy, które go czekają. Oczywiście, nie ma zamiaru przyłączyć się do tego śmiesznego cyrku, który tak uwielbiała, do tego światka wyższych sfer z Sydney, w który entuzjastycznie weszła po śmierci pierwszego męża. Ten bajecznie bogaty, podstarzały Amerykanin, emerytowany handlarz zbożem ze środkowego Zachodu nie żył dostatecznie długo, by sprawić żonie kłopot swym istnieniem lub zakłócić jej ewolucję od rozpuszczonej córeczki bogatego, kochającego ojca do zepsutej kobiety, jaką była teraz, mogącej robić wszystko, na co ma ochotę.

A jednak...

A jednak...

Zaklął pod nosem, opuścił punkt obserwacyjny pod portretem starego Johanna o groźnym, jastrzębim spojrzeniu, pełnym wszechogarniającej dezaprobaty, i znowu nalał sobie whisky.

A jednak pragnął jej tak, jak żadnej innej kobiety w życiu. Nie dlatego, że go odpychała, przeciwnie - oddała mu się bez

najmniejszego skrepowania. Przypuszczał, że tak samo postępowała z każdym mężczyzną, którego chciała.

Mimo to nadal jej potrzebował. Stała się jego nałogiem.

Wiedział, że każdy nałogowiec musi mieć środki, by zaspokoić swoje pragnienie. Musiał zdobyć pieniądze ze sprzedaży Koenigshausu, zarówno po to, by zatrzymać Trishę przy sobie, jak i po to, by się samemu nimi cieszyć. Bo kobiety takie jak ona były kosztowne, nie rozstawały się z tabliczką, wiszącą u szyi: „Jeśli pytasz o cenę, to znaczy, że cię na mnie nie stać”.

Ale czy nawet mając te wszystkie miliony - pytał cichy, zimny głos jednego z jego wewnętrznych demonów - kiedy naprawdę nią zawładniesz, będziesz mógł powiedzieć, że jest twoja? Czy nie odejdzie, jak tylko się tobą znudzi, przepuści twoją forszę lub znajdzie innego faceta, który będzie miał więcej pieniędzy?

Alex nie potrafiłby nigdy użyć słowa „miłość”, nawet w najskrytszych myślach. Ale chociaż najzawzięciej tego unikał, zaczął obawiać się, że zaraził się tą chorobą, i to w najgorszej postaci.

A gdzie Trisha jest teraz?

Wściekając się spacerował po pokoju.

Zejdź na dół wcześniej - polecił jej przecież. Chcę, byś tu była, zanim zjawi się cała reszta!

Gdzie ona się podziewa?

Czuł ból w głębi duszy, całe ciało tęskniło za nią z bólem, przypominającym początek choroby. Ile czasu potrzebuje kobieta, by się przebrać do kolacji?

Gdzie ona się podziewa?

Na odgłos lekkich kroków w holu zwrócił się z szerokim uśmiechem w kierunku łuku. Nareszcie! Właściwie nawet lubił, gdy mu się przeciwstawiała, bo potem mógł jej kazać za to zapłacić. Teraz może powiedzieć, jak ma zamiar ukarać ją później, kiedy będą sami.

- Alex, mój drogi, gdzie jest Trisha?

Helen jest naprawdę sympatyczna - pomyślał Alex. Od chwili jego powrotu nie zaprzestała wysiłków, by wynagrodzić mu przeszłość. Ale tego nie mogła rozwiązać.

- Och, zjawi się tu wkrótce - powiedział lekkim tonem. - Prawdopodobnie stroi się jeszcze, wiesz, jakie są kobiety.

- Mam nadzieję, że będzie jej wygodnie w domku dla gości, chętnie zaprosilibyśmy ją tutaj, jeśli chciałbyś ją tu umieścić...

W wieży, z tobą, w twoim pokoju... - delikatnie sugerował jej ton.

- Nie, tam będzie jej dobrze - powiedział stanowczo. - Lubi mieć przestrzeń wokół siebie, naprawdę tego potrzebuje.

- Tak, jak ja - zaręczył w duchu. - Dobrana z nas para.

Usłyszał poruszenie klamki przy drzwiach frontowych. Nadeszli Ben i Geena, a w chwilę później zszedł po schodach Charles, by się przyłączyć do reszty. Sprawiał wrażenie chłodnego i zamkniętego w sobie. Alex zauważył, że nawet nie spojrział na Helen, nie podryfował w jej kierunku, jak to zwykle robił.

Czy dlatego Helen wyglądała tak bezbarwnie, niemal tak blado, jak jej jedwabna suknia koloru kości słoniowej? Alex stwierdził z irytacją, że córka Bena, popijająca apatycznie wodę mineralną, też przypomina zombie. Co się z nimi wszystkimi dzieje? Przynajmniej przyczyna jej chandry stała się jasna, gdy tylko pojawił się Jon. Oczy dziewczyny rozbliły, od razu podeszła do niego.

Po prostu pogadaj z nim - mówiła do siebie Geena przez cały dzień. Nie zrobiłaś nic złego, to on wszystko popsuł. Więc pogadaj z nim, miej to z głowy! Drżała z niecierpliwości, gdy zbliżała się pora posiłku. Teraz nie obchodziło jej, co mogą pomyśleć inni, rzuciła się ku Jonowi, gdy tylko pokazał się w drzwiach.

- Słuchaj, przepraszam, że nie skorzystałam z miejsca w śmigłowcu i nie wyjechałam, jak tego chciałeś - wyrzuciła z siebie cichym głosem, oglądając się przez ramię, by upewnić się,



że nikt nie może tego usłyszeć. - Ale nie mogłam tak po prostu rzucić wszystkiego, co tu robię... tyle czasu poświęciłam na pracę z mieszkańcami osady, na przygotowanie występów...

- Wiem.

Ku swemu zdziwieniu Jon stając twarzą w twarz z Geeną, był o wiele mniej zażenowany, niż się tego spodziewał. Wszystko zmieniało się tak szybko, czuł że nie jest już tym człowiekiem, który ukoronował idiotyczny pijacki wieczór jeszcze głępszym przystawianiem się do stojącej przed sobą dziewczyny.

Ale to nie było zwykłe przystawianie się - skarciło go przelotne, słodkie wspomnienie. Jednak po tym, czego dowiedział się dzisiaj, co przeżył, to uczucie, ten pocałunek należały do innego świata...

Pograżył się w myślach - uznała Geena - po prostu nie jest sobą. Nic dziwnego, po tym, jak Alex zademonstrował, że ma zamiar być panem na Koenigshausie, posuwając się nawet do sprowadzenia kochanki!

- Jon - powiedziała nalegająco - co teraz zrobisz?

- Co zrobić?

- Mam na myśli, chyba kupisz sobie coś własnego, prawda? A gdzie się podzieje mama?

Spojrzał w jej oczy, pełne troski, i zapragnął z całego serca, by na nią zasługiwał albo choć miał nadzieję, że może być jej godny. Gdyby tylko sprawy wyglądały inaczej. Boże, była taką cudowną dziewczyną, taką wspaniałą istotą, gdyby tylko...

Żadnych „gdyby”!

- Dziękuję za zainteresowanie - powiedział z wahaniem, omijając jej pytanie. - Prawdę mówiąc, nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że powinienem o tym wkrótce pomyśleć, jednak Alex jest tak dobry, że pozwolił nam zostać, dopóki nie uporządkujemy swoich spraw.

- Tak, ale teraz...

Geena uprzytomniła sobie z przerażeniem, że Jon przyszedł tu wprost z buszu, nie rozmawiał z nikim, o niczym nie wiedział! Z trudem dobierała słowa:

- Chciałam powiedzieć, teraz, kiedy...  
- Kiedy co? - Poruszył się niespokojnie. Co miało znaczyć jej spojrzenie?

Geena wzięła głęboki oddech.

- Teraz, gdy jest tu przyjaciółka Alexa...

- Przyjaciółka?

Boże, co on znowu przegapił?

Nagle w grupie stojącej koło kominka ucichły rozmowy. Jon zauważył, że Alex utkwiał oczy w drzwi za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. Niemal jego wzrostu, zbudowana jak bogini, głęboko osadzone, mroczne oczy lśniły pod kaskadą włosów, które można było określić tylko jako złote, ubrana była w suknię z zielono-złotego, śliskiego materiału, nadającą jej wygląd wspaniałego węża. Narzucając wszystkim milczenie, jak ktoś urodzony dla światła sceny, stała pod łukiem prowadzącym do jadalni, i - obrzuciwszy krótkim spojrzeniem zaskoczone i milczące towarzystwo - zatrzymała wzrok na Jonie.

- No, no... - powiedziała przeciągłym tonem i ruszyła zmysłowym krokiem dzikiego kota - ...ty musisz być tym małym braciszkiem Alexa.

Szła wprost na niego, ignorując zaniepokojoną Geenę i zdenerwowanego Alexa, który szybko przeciął wyłożony dywanem pokój. Patrzyła na Jona wyraźnie wyzywająco.

- No, no... nikt mi nie mówił o t o b i e !

## Rozdział dwudziesty

**B**oże, ależ to był wieczór!

Co za kolacja! Istny koszmar!

I ta cholerna Trisha! Jak Alex to znosi, z pewnością mógłby znaleźć sobie kogoś innego, miłszego!

Och, oddałaby wszystko, byle tylko znaleźć się w łóżku, teraz, w tej chwili... musi mieć trochę czasu dla siebie...

- Helen!

Charles czekał na nią, gdy wyszła z jadalni, choć przeciągnęła sprzątaną, by wszyscy zdążyli odejść i zostawili ją samą. Dla jej napiętych nerwów widok wysokiej, szczupłej sylwetki wyłaniającej się z nicości, u stóp schodów osłoniętych półmrokiem holu, był nie do zniesienia. Rzuciła się jak tygrysica.

- Charles, proszę, skończ z tymi balkonowymi scenami! Jestem za stara, by bawić się w Romea i Julię!

Cofnął się, jak gdyby napluła mu w twarz.

- Nie miałem zamiaru zaciągnąć cię do swego pokoju jak jakiś nastolatek, jak myślałaś, Helen! - Twarz pobielała mu z gniewu. - Jeśli mówisz, że jesteś za stara na takie rzeczy, to przynajmniej mogłabyś przyznać, że ja również wyrosłem z etapu uczniowskich macanek i migdalenia!

- Dobrze, już dobrze. To dlatego, że... po dzisiejszym wieczorze... po tym, jak zachowywała się Trisha... muszę mieć trochę ciszy i spokoju, muszę ochłonąć.

- Ja też! - Twarz mu złagodniała. - Może spróbowałibyśmy zrobić to razem? - Przerwał na chwilę. - Słuchaj, nie idź jeszcze do łóżka, przejdziemy się trochę.

Łagodnie pociągnął ją za sobą przez hol i otworzył frontowe drzwi.

- Taka piękna noc. Kiedy po raz ostatni miałaś okazję patrzeć na księżyc?

Po chwili wahania ustąpiła i ruszyła w kierunku otwartych drzwi, wchodząc w pachnącą, rozszepstaną noc. Na dworze, pod gwiazdami, cały nocny wszechświat wydawał się przepełniony życiem, westchnieniami, dźwiękami, szeptami, nieśmiałym plądrowaniem i cichą, pogodną bieganiną. Ten świat był bardziej naturalny i realny niż to, co musieli znosić przez cały wieczór.

- Nie będę pytał, co sądzisz o... o naszym gościu - zaczął ostrożnie Charles. Zdawał sobie od początku sprawę, że Trisha należy do tego typu kobiet, które natychmiast zostają

napiętnowane mianem dziwki. - Zastanawiałem się tylko, jaki wpływ, według ciebie, będzie miał jej przyjazd na sprawy twoje i Jona. - I moje... nasze - mógłby dodać, ale nie zrobił tego.

- Ona go nie kocha! - powiedziała Helen porywczo. - Takie kobiety nigdy nie kochają nikogo poza sobą! Gdyby obchodził ją Alex, nigdy by nie kokietowała w ten sposób Jona. Mój Boże, to było obrzydliwe, to flirtowanie i przewracanie oczami, mogła przecież widzieć, jak strasznie tym denerwuje Alexa!

- Z pewnością dlatego to robiła - ośmielił się powiedzieć Charles, prowadząc Hellen przez trawnik i obsadzoną różami aleję, ciągnącą się od domu. - Nie trudziłaby się chyba tak bardzo, gdyby ją nic nie obchodził?

A i tak całe to przedstawienie nie zrobiło wrażenia na Jonie - miał ochotę dodać. Chłopak był tak oderwany od świata, że do głowy by mu nie przyszło, o co jej chodziło, nie zauważyłby zaproszenia ze strony napalonej damy, nawet gdyby było wypisane literami milowej wielkości!

Ale w samą porę Charles przypomniał sobie, że mężczyzna, który nie jest pewien swojej pozycji u kobiety, nie powinien żartować z jej syna. Ugryzł się w język i milczał.

Helen podjęła tok jego myśli.

- To o Jona się martwię - powiedziała. - Gdzie on się podzieje?

- Co masz na myśli?

- No cóż, musimy się stąd wynieść. Zrozumiałam to, jak tylko Alex dał znać przez radio, że przywiezie z Sydney „pewną damę”. - Uniosła dłoń do zmarszczonego czoła i odsunęła włosy gestem, który tak bardzo kochał. - Niezależnie od tego, czy będzie bawił się w zachowywanie pozorów i umieści ją w domku dla gości, czy też spędzi z nią dobę w swoim łóżku, jasne jest, że to jego przyjaciółka. Widać to ze sposobu, w jaki ją traktuje. A jeśli on jest nowym panem na Koenigshausie, ona będzie następną panią.

Dobry Boże, ależ ona sięgnęła daleko w przyszłość!

Charles był wdzięczny, że ciemność pomogła mu ukryć zaskoczenie. Zaprosił Helen na nocny spacer, ponieważ czuł się za nią odpowiedzialny, szczególnie w tej nowej i niespodziewanej sytuacji. Sądził jednak, że będzie musiał wszystko wyjaśnić, krok po kroku, pracownicy przedstawić konsekwencje tego, co się stało. Teraz zrozumiał, że przez cały czas nie doceniał bratowej.

- Wydaje się, że dobrze to sobie przemyślałaś - odważył się powiedzieć.

- Tak, dobrze.

Zastanowiło go, skąd wzięła się twarda nutka w jej głosie.

- Ostatnio wiele się dowiedziałam! - przemówiła ostro. - Rychło w czas, jak się wydaje. Przegapiłam cholernie dużo spraw, które działy się pod moim nosem, godziłam się z rzeczami, których nie powinnam znieść ani przez chwilę. Boże, jaka byłam głupia! Powiedzmy to szczerze! - Zaśmiała się krótko, niewesoło. - W dzisiejszych czasach nie opłaca się być niemądrą kobietką, prawda?

- A co z Jonem?

Zatrzymała się gwałtownie pod wielkim cedrem i przycisnęła pięści do ust, niemal miażdżąc wargi.

- Och, Charles.

Drżała na całym ciele, usiłowała stłumić głośne, duszące ją łkanie.

- Nie mogę tego znieść, nie mogę nawet pomyśleć o tym, co przytrafiło się Jonowi! Dotąd nie miałam odwagi uświadomić sobie, co dla niego znaczy utrata Koenigshausu, bo do tej chwili w nią nie wierzyłam. Ja mogę pójść dokądkolwiek, to nie ma znaczenia. Koczowałam już kiedyś, mogę to zrobić znowu, jeśli będzie trzeba. Ale on nie zna świata poza Koenigshausem. Co się stanie z Jonem?

Teraz, teraz, gdy wszyscy byli już w łózkach i spali, teraz była właściwa pora.

Jak typowy mieszkaniec prowincji Jon nie obawiał się ciemności. W gruncie rzeczy, jakaś jego cząstka nawet mocniej kochała busz pogrążony w mroku. Miękkie, puszyste istoty nocne, z wielkimi oczami przystosowanymi do nocnego trybu życia, witały go zwisając głowami w dół z gałęzi drzew, które mijał. Były jego przyjaciółmi. Mógł odróżnić każdy krzyk, każdy szept, który słyszał, trzask każdej gałązki, pękającej nie pod jego stopami.

Ale dzisiaj Jon nie mógł pozwolić sobie na nocną włóczęgę, która od wczesnego dzieciństwa sprawiała mu tyle radości. Celem jego wyprawy był budynek biurowy z nadajnikiem radiowym i faksem.

Choćby w Australii wszyscy spali, na całym świecie nawet, byli ludzie, którzy czuwali przez całą dobę, wiedział o tym. I musiał z nimi pomówić w czasie, gdy cały Koenigshaus pogrążony był w spokojnym śnie. Wśliznąwszy się do środka, Jon odszukał numer Centrum Kontrolnego w Sydney, włączył radiostację i nacisnął przycisk „nadawanie”.

- Tu Kilo Hotel Sierra, Kilo Hotel Sierra, farma Koenigshaus, tak, cześć. Możecie połączyć mnie z Centrum Kontrolnym dla Terytorium Północnego? Proszę o informację. Lot z Sydney, tak, cel Koenigshaus. Dziękuję.

Przysiadł na biurku Phillipa i czekał, patrząc przed siebie.

Ze ściany odpowiadał mu spojrzeniem młodzieńki Phillip, z twarzą pozbawioną zmarszczek i uśmiechu, absurdalnie szczupły i wyniosły, typowy uczeń elitarnej szkoły. Oczy syna przesunęły się bezmyślnie po czarnym, pełnym zakrętasów napisie: PHILLIP JOHANN KOENIG, HEAD BOY, ROCKHAMPTON COLLEGE 1948-49. Head boy.

Dobry, stary tato. Tak zaczął się ciąg sukcesów, który trwał przez całe życie Phillipa.

A jednak skończył w żlebie pomiędzy dwoma głazami, w potrzasku, niczym zwierzę, zabity jak robak, przez robaki, przez ludzkie robactwo...

Czuł, jak znajoma gorzka wściekłość podchodzi mu do gardła, niczym fala wymiotów. Dopadnę ich, tato, obiecuję, nie ujdzie im to na sucho, dostanę ich...

- Halo? Tu Koenigshaus, taak, cześć, chłopie. Przepraszam, że zawracam ci głowę tak późno w nocy. Chodzi o to, że zgubiliśmy dane o locie sprzed tygodnia lub dwóch i szef wścieka się jak diabli. Myślałem, że może mógłbyś przefaksować do nas kopie danych, które musieliśmy wam podać do księgi raportów, gdy zgłaszaliśmy lot.

Czekał na odpowiedź.

- Kiedy? W ubiegły wtorek, jedyny lot w tym miesiącu, poza kilkoma kursami helikoptera. Zrobisz to? Wspaniale! Dziękuję. Dobra, podam ci nasz faks, poczekaj, już mam. - Starannie podyktował numer niewidzialnemu operatorowi. - Możesz mi to załatwić od ręki? Stokrotne dzięki, chłopie, nie masz pojęcia, jak mi na tym zależy!

Po chwili trzymał w ręce przekazane informacje, litery i cyfry skakały mu przed oczami. Samolot Victor-X-ray 4355 Odlot Sydney, godzina 22.00 - miejsce przeznaczenia: Kilo Hotel Sierra farma Koenigshaus, lądowanie godzina 00.10. Lot powrotny; start godzina 02.30, przybycie 04.40.

Więc jednak był tu samolot!

Jon z trudem ogarniał rozumem sytuację, zmuszał się, by rozszyfrować garstkę faktów.

Victor-X-ray-4355...

Ktoś wyleciał z Sydney o dziesiątej w nocy, wylądował w Koenigshausie tuż po północy. Potem odleciał o drugiej trzydzieści i był z powrotem w Sydney około czwartej czterdzieści, więc nikt nie mógł wiedzieć, że w ogóle tu był.

Dwie i pół godziny.

Według oceny Dusty'ego to wystarczająca ilość czasu, by pieszo przejść z lotniska nad wodę, napaść na śpiącego i wrócić do samolotu. Gorączkowo obrzucił wzrokiem dokument. Pasażerowie: 3. Więc Dusty miał rację.

Trzech mężczyzn.

Och, dranie!

Ale kto był szefem, kto dowodził, czyj to był pomysł?

Jon zerknął na ostatni zapis. Samolot zarejestrowany na Kingdom Holdings Sp. z o. o. Właściciel i pilot pan I. A. M. Kingdom\*.

Och, co za drań.

Cholerny, sakramencki drań.

Jon siedział nieruchomo jak kamień, a ta świadomość powoli przesączała się do jego mózgu, jak kolorowe żyłki przenikają przez marmur.

Tylko jeden człowiek w Koenigshausie został pozbawiony swego „królestwa”, wydziedziczony podwójnie: raz przy urodzeniu, drugi raz - gdy jego firma została podkupiona przez starszego, silniejszego mężczyznę.

Tylko jeden człowiek mógł czuć się zmuszony do popełnienia morderstwa, by ocalić w ten sposób imperium handlowe, które stworzył na miejsce wszystkiego, co mu odebrano.

Tylko jeden człowiek odznaczał się gorzkim, ironicznym poczuciem humoru, które mogło skłonić go do nadania fikcyjnej firmie nazwy utraconego imperium.

Tylko jeden człowiek był na tyle chłodny, rozgniewany i zdeterminowany - i miał dosyć powodów, by zabić. Zabić Phillipa Koeniga. Charles.

To musiał być Charles. Stryj Charles.

Teraz umysł Jona olśniła kolejna iluminacja, bombardując go sygnałami ostrzegawczymi, nie zauważonymi w swoim czasie, ale teraz składającymi się na coraz głośniejszy sygnał alarmowy.

Charles.

---

\* Kingdom - inaczej Królestwo.

Prawdopodobne znaczenie: „I am Kingdom”, czyli „Ja jestem królestwem” (przyp. tłum.).



Charles u boku matki, gdy szli razem nawą kaplicy podczas pogrzebu Phillipa...

Helen, zwracająca się instynktownie do Charlesa, gdy usłyszała, co zawiera testament...

Charles, wykorzystujący Helen, by wymóc na japońskich kupcach przyspieszenie sprzedaży Koenigshausu, i wpływ, jaki na nią wtedy wywierał...

Oczy Helen zwrócone na Charlesa podczas dzisiejszej kolacji...

Nie!

Niezależnie od tego, czego chciał Charles od jego matki, co pragnął osiągnąć, to on, Jon, powinien położyć temu kres! On powinien się nią opiekować!

Jon czuł bezlitosne wyrzuty sumienia. Gdyby tylko próbował trochę więcej pomóc matce, zamiast wykradać się z domu niczym zwierzę, które pragnie wyłącznie lizać swe rany. Gdyby nie starał się upić do nieprzytomności, nie flirtował z Geeną... Chryste, zostawił ją tak okrutnie samą, wcale się nią nie zajmował! I w tę próżnię wśliznął się drogi, stary stryj Charles, człowiek, który próbuje zbić fortunę! Nie!

Nigdy, dopóki syn może się jeszcze zatroszczyć o matkę!

Jon zerwał się na nogi, wciskając zmięty plan lotu do kieszeni, jednym susem pokonał odległość pomiędzy biurkiem i drzwiami, zgasił światło i biegiem opuścił budynek. Sprawdź tylko, czy mama śpi bezpiecznie w łóżku, potem jeszcze raz rozważ starannie całą sprawę - myślał. Spróbuj wziąć się w garść, zebrać więcej szczegółów, więcej dowodów, zajmij się mamą...

Jak wszyscy ludzie buszu Jon biegł lekko, bezszelestnie, przemierzając przestrzeń bez zwracania na siebie uwagi czegokolwiek lub kogokolwiek w najbliższym otoczeniu. I zawsze wyczuwał czyjąś obecność wcześniej, nim ta osoba odkryła jego bliskość.

Co to było?

Za trawnikiem, pod drzewami zauważył jakieś poruszenie, ale nawykłe do światła oczy potrzebowały kilku sekund, by

przyzwyczać się do ciemności. I wtedy, ku swemu niewyobrażalnemu przerażeniu, zobaczył Charlesa i matkę stojących obok siebie, zanurzonych w ciepłą, bujną noc. Zobaczył, jak Charles otacza Helen ramionami i przyciska mocno do piersi, potem całuje gwałtownie, długo, prosto w usta. Pod okropnym blaskiem chłodnych, idiotycznych gwiazd, oddalonych o miliony mil, widział matkę, zatopioną w chciwym, zapamiętałym uścisku człowieka, który zabił jego ojca.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Dziękuję, że mnie podwiozłeś, tatku. Nie mogłam dziś prosić pani Koenig, aby mnie jak zwykle podrzuciła. Wydawała się taka... nie wiem, jak to określić! Nic dziwnego, z tą... tą kobietą na karku!

Ben zauważył z ironicznym rozbawieniem, że w córce zostało zbyt wiele z klasztorного wychowania, by mogła powiedzieć „z tą dziwką”!

- Z Trisha? - spytał ponuro. - Tak, nie bardzo pasuje do farmy hodowlanej, prawda? Nie wyobrażam sobie, by mogła się tu osiedlić i zrobić z Koenigshausu swój dom, jak to potrafiła Helen, nie, nawet za milion lat. Ironia losu polega na tym, że i tak z jej powodu Helen będzie musiała się stąd wynieść, nawet jeśli Trisha nigdy nie zechce tu zamieszkać.

- Taak. - Serce Geeny ścisnęła zazdrość i niechęć. - A Jon... teraz i Jon będzie musiał przez nią wyjechać. - Położyła dłoń na ramieniu ojca. - Och, tatusiu, znałeś pana Koeniga... dlaczego zmienił testament i wydziedziczył Jona?

- Zabij mnie, nie wiem - powiedział Ben z naciskiem. Automatycznie wziął ostatni zakręt na ubitej drodze i skierował dżipa do

osady aborygenów. W samym centrum stała wysoka biała postać, pogrążona w poważnej dyskusji z grupką młodych ludzi. Serce Geeny podskoczyło...

Jon?

Ben skinął głową.

- Znasz Henry'ego Suffolka, zarządcę farmy? Pozdrów go ode mnie, dobrze? Nie mogę czekać, lepiej od razu ruszę w drogę. - Zmusił się do uśmiechu. - Chcę już z tym wszystkim skończyć, wynieść się stąd jak najprędzej. Sądzę, że oboje na długo będziemy mieć dość Koenigshausu i Koenigów, prawda?

Biedny tatko, biedny, kochany tatko.

Ze ściśniętym sercem Geena stała i machała na pożegnanie Benowi, obserwując jego odjazd z dziwnym bólem. Jak wszystkie córki samotnych ojców kochała go opiekuńczą miłością, tym głębszą, że nigdy o tym nie mówili. Biedny, stary tatko. Tak bardzo się starał, ale zawsze obrywał, prędzej lub później.

- Czyżby niektórzy ludzie rodzili się, by przegrywać? - myślała. - A może ich klęski były tylko wynikiem wyczerpania i upływu czasu, pecha, niedostatku, cudzej agresji, walk innych...?

- Hej! Dzień dobry!

Odwróciła się, by spojrzeć na wysokiego, silnego mężczyznę, który trzymając w rękach zniszczony kowbojski kapelusz, zbliżał się do niej. Jego sympatyczna, szczerą twarz mogła być przystojna w oczach kochającej kobiety, ale najbardziej pociągającą cechą był uśmiech, miły, nieśmiały i jakby niepewny. Zdawało się, że ten młody człowiek zbyt rzadko miał okazję do śmiechu i nieczęsto śmiał się z innymi.

- Panna Nichols?

- Geena - odpowiedziała z uśmiechem.

- Chciałem się tylko przywitać - mówił ze skrepowaniem Henry, żałując, że w ogóle się odezwał. Boże, gdy przed chwilą przyszło mu do głowy, aby przyjrzeć się bliżej tej ślicznej istotce, którą widywał w Koenigshausie, nie miał pojęcia, jak trudno mu będzie ciągnąć rozmowę. - Zbyt wiele czasu spędzonego w męskim gronie, a za mało praktyki z damami - pomyślał ponuro. I pod uważnym spojrzeniem tych ogromnych, lśniących oczu,

oczu w których człowiek mógłby utonąć, nie potrafił wymyślić, co by tu powiedzieć.

- Co pan tu robi? - spytała półgłosem Geena, łagodniejąc, jak to zdarza się wszystkim kobietom, gdy mają do czynienia z nieśmiałym mężczyzną, zwłaszcza takim, który skrywa tę cechę za sylwetką, jakiej nie powstydzilby się młody John Wayne.

- Wpadłem tylko, by umówić się z chłopcami na następny spęd. Oczywiście, większość spraw załatwia Dusty. Ale musiałem się z nim porozumieć, by przekazać Jonowi, co tu się dzieje.

Dziewczyna stłumiła westchnienie.

- Szczęściarz z pana, jeśli zawsze pan wie, co się dzieje, panie Suffolk. Chciałbym móc powiedzieć to samo!

Przed jej oczami przesunęła się, niczym komiks, wczorajsza nieszczęsna kolacja. Dlaczego to musiało tak boleć?

Jon był szczery, mówił już przedtem, jaka jest jej sytuacja. Nic ich nie łączyło i nic łączyć nie będzie, wyraził to tak jasno, jak tylko możliwe.

- Przepraszam, panie Suffolk - powiedziała. - Muszę już iść, jestem pewna, że pan też. Proszę pozdrowić ode mnie Jona, gdy go pan zobaczy.

Przebiegła pośpiesznie osadę, zmierzając w kierunku prowizorycznej estrady, gdzie tancerze już gromadzili się pojedynczo i parami. Czekał tam niecierpliwie Timbo, który był jednym z najbardziej utalentowanych i zapalonych członków trupy.

- Hej, Geeno! - rozpoczął bez żadnego wstępu. - Pamiętasz, prosiłaś, byśmy spytali starszków, czy znają jakieś historie, które moglibyśmy wykorzystać w naszym występie, w tańcu, przygotowywanym na corroboree? Sądzę, że mam coś dla ciebie.

Oczy mu błyszczały i Geena czuła, jak rośnie w niej podniecenie.

- Wspaniale, Timbo, co to jest?

W odpowiedzi otoczył kciukiem i jednym palcem nadgarstek dziewczyny i poprowadził ją z powrotem w dół wzgórza, do

jednej z małych chat stojących na uboczu. Zatrzymał się i przyłożył palec do ust.

- Nic nie mów, tylko słuchaj. I żadnych pytań... ona jest bardzo, bardzo stara, starsza niż te pagórki. Pierwszy Johann wziął ją sobie jako swoją kobietę, tak o niej mówią.

Geenie zapało dech.

- Pierwszy Johann? Timbo, to niemożliwe, musiałyby mieć ponad sto lat...

- Ciii! - Timbo znowu przyłożył palec do ust, wskazał gestem, by szła pierwsza i wprowadził ją do chaty.

W środku migotliwy półmrok tańczył wokół sędziwej postaci, siedzącej po turecku na kocu w centralnym punkcie brudnej podłogi. Przedostające się przez szpary w dachu strzępki słonecznego blasku, poszatkiwane przez drobinki kurzu, ześlizgujące się w górę i dół po promieniach światła, igrały wokół aureoli śnieżnobiałych włosów i czarnej twarzy, nie zwyczajnie poznaczonej zmarszczkami, lecz pociętej i pobrużdżonej liniami, głębszymi niż czas. Oczy kobiety, dwie wielkie, mlecznobiałe kule ponad bezzębnymi, zapadniętymi ustami, patrzyły niewidząco w górę, a jej małe pomarszczone dłonie spoczywały, niczym kraby, na kolanach.

Chłopiec ukląkł przed nią, unosząc jedną z jej dłoni do swej twarzy, by mogła go rozpoznać.

- Babciu, to ja, Timbo - powiedział wyraźnie. - Przeprowadziłem tę dziewczynę. Opowiedz jej swoją historię, by mogła ją odtańczyć.

Kobieta rozpoczęła śpiewną, monotonną recytację, jak gdyby tylko na to czekała.

- Wszechojciec stworzył mężczyzn białych, stworzył mężczyzn czarnych, stworzył im kobiety do pary. Dawno temu pierwszy Johann miał swoją kobietę, białą kobietę ze swego kraju, a czarni mężczyźni mieli swoje kobiety.

Geena gwałtownie zaczerpnęła tchu. Timbo rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, a stara ciągnęła dalej.

- Johann przyszedł tu, by brać. Co tylko ludzie mieli, on brał. Zabrał ziemię, zabrał kangury, którymi się żywili, zabrał wodę. Ale chciał coraz więcej. Zobaczył żonę wodza i też chciał ją mieć.

Żaden ruch nie zakłócił ciszy. Stary głos szeptał dalej.

- Chciał ją mieć i przyszedł po nią. Zjawił się w buszu, zabiegał o nią i ona z nim poszła. Myślała, że jeśli spotka się z nim w sekrecie, on będzie dobry dla jej plemienia. Ale Johann chciał ją mieć tylko dla siebie, tak jak tę ziemię. Tylko dla siebie. Więc odciął dostęp do wody, wypędził ludzi, by poumierali, a zamiast nich sprowadził bydło. Przerwała, zawodząc coś jękliwie pod nosem.

- Ale tłumacze snów wyśnili, że bydło to po prostu kangury, które wróciły, by ludzie mogli je zjeść. Więc wybili bydło Johanna. A on ich pozabijał. Wszystkich, poza tą kobietą. Kiedy zobaczyła, że nie może uratować męża ani wólplemieńców, chciała ocalić samą siebie. Uciekła od batów i karabinów, uciekała, uciekała i uciekała. Ale on ścigał i odnalazł ją. Potem zatrzymał ją na zawsze przy sobie jako swą czarną kobietę. A ona została z nim, choć zabił jej męża, wymordował jej lud, zagarnął ich ziemię. I nigdy nie zapomniała, nigdy nie zapomniała tego, co się wydarzyło. Aieeee! Aieeee!

Przyciskając dłoń do czoła, staruszka podniosła zawodzący, piskliwy, rozdzierający serce lament. Timbo złapał Geenę za rękę i wyprowadził z chaty.

- I co myślisz? - dopytywał się.

Geena potrząsnęła głową, zbyt pochłonięta myślami, by mówić. Czy stara kobieta opowiadała historię swego życia? Czy to ona była dziewczyną, której tak pragnął stary Johann, że wymordował całe plemię, aby ją zdobyć? A może tylko to sobie wyobraziła, postawiła się w sytuacji tamtej młodej kobiety, przeżywając jej tragiczny los?

Dziewczyna ścisnęła dłoń Timba, pogrążona w zamięcie uczuć.

- Jeśli pozwoli nam pokazać tę historię w tańcu... Timbo, nie wyobrażam sobie nic bardziej potężnego i odpowiedniego dla tego miejsca i dla tego corroboree!

Boże, jak wspaniale byłoby pracować nad czymś tak kojącym i łatwym, jak taniec - pomyślał Henry Suffolk z przelotną dziką zazdrością - zamiast odwalać taką ciężką robotę! Dziwnie wytracony z równowagi, obserwował Geenę, która wracała z Timbem u boku przez osiedle, by dołączyć do grupy tancerzy. Zwrócił się do otaczających go mężczyzn.

- Dobra, ze spędem już wszystko ustalone. Skoro wiem, że wszyscy chcecie brać w nim udział, dam wam znać, jak tylko będziemy gotowi do drogi.

Kilka rzędów głów przytaknęło i mężczyźni zaczęli już zbierać się do odejścia.

- Jeszcze tylko jedna sprawa, zanim sobie pójdziecie - podjął Henry. - Wiadomość od szefa... młodego szefa, pana Jona, to znaczy... nie, słuchajcie, chciałem powiedzieć...

Przerwał zmieszany, miał ochotę wymierzyć sobie szturchańca. Chryste, ile czasu zajmie mu przyzwyczajenie się do myśli, że Phillip nie żyje? I kiedy uświadomi sobie ten okropny fakt, że to nie Jon jest ich nowym szefem, lecz ten mieszcuch Alex?

Henry przeklął gwałtownie w duchu siebie i los i podjął kolejną próbę, ukrywając zakłopotanie.

- Słuchajcie, Jon chciał, żebym spytał, czy ktoś z was nie zauważył albo nie słyszał czegoś w noc, kiedy zmarł stary szef?

Zapadło głębokie, pełne zadumy milczenie. Wszyscy mężczyźni gapili się dyplomatycznie przed siebie, unikając wzajemnie swego spojrzenia. Henry uśmiechnął się szeroko.

- Nikt nie będzie miał z tego powodu kłopotów, daję słowo, niezależnie od tego, co przeszkrobał. Jon po prostu chce wiedzieć, czy jeśli któryś z was nie spał albo znajdował się w sąsiedztwie z jakiegoś powodu, to nie zobaczył czegoś niezwykłego, to wszystko.

Odpowiedzią na wezwanie były tylko obojętne miny i kręcenie głowami. Henry poddał się.

- Dobra - powiedział. - No cóż, dziękuję, że mnie wysłuchaliście. Jeśli ktoś coś sobie przypomni... niech da nam znać. Chodzi po prostu o to, by sprawdzić wszystko, co waszym zdaniem odbiegało od normy. O nic więcej.

- No, szefie - zaśmiał się psotnie Slim, wskazując kpiąco na człowieka, który przechodził obok chwiejnym krokiem, powłócząc nogami. - Dlaczego nie powiesz mu, aby pogadał z naszym starym Markiem, mężem Ellie? On z pewnością odbiega od normy, jakkolwiek by na to patrzeć! Hej, chłopie! -zaśpiewał, nie czekając na zachętę. - Szef chce wiedzieć, czy nie widziałeś czegoś ostatnio? Czegoś niezwykłego?

Jak większość pijaków, Mark był skory do podejrzeń, że ktoś chce mu ubliżyć, a gdy go drażniono, był niezwykle przeczulony. Podniósł wzrok, jego małe, czerwone, świńskie oczka stały się bardziej przekrwione, a potężne ciało wezbrało nagłą wściekłością.

- Zdaje się, że to ja powinienem spytać o to szefa! - wymamrotał z gniewem, zaciskając krzepkie pięści. - Ten zadzierający nosa pan Koenig trzyma ostatnio moją żonę w Koenigshausie przez cały cholerny dzień! Rano, w południe i wieczór, cały czas tam siedzi, goście, kolacje, sprzątanie, gotowanie, i nie wiem, co ona tam jeszcze do cholery robi! Teraz ta dziwka kryguje się, jest dla mnie za dobra, nie chce mieć do czynienia ze swym starym, cholernym mężem!

Mówiąc tak, stopniowo doprowadzał się do furii, gwałtownie tracił resztkę panowania nad sobą. Teraz nacierał na Henry'ego, potrząsając pięściami.

- Wszyscy jesteście tacy sami, tacy sami, do cholery! Jak nie stary szef goni za naszymi kobietami, to któryś z was, młodych skurwieli! Myślicie po prostu, że możecie mieć dziewczęta Koori na każde skinienie! No cóż, powiedz szefowi, że jeśli ktoś będzie się zabawiał z moją żoną, to przysięgam, zabiję tę krowę! Będzie



mógł sobie wybrać najlepszy kawałek! Zrobię mu prezencik! Zabiję tę pieprzoną krowę!... pieprzoną krowę... zabiję ją...

Ochrypli głos milkł stopniowo. Tracąc wątek, szukając słów, ciągle przeklinając, Mark upadł na kolana i zaczął płakać. Groźby i przekleństwa zlewały się ze sobą, aż stały się jednym, niezrozumiałym jękiem.

- Zabierzcie go stąd, dobrze?

Henry dał znak pozostałym, przyglądając się z nie ukrywaną odrazą tej ruinie człowieka u swych stóp. Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje -pomyślał. Wszystkie pijusy są takie same. Nigdy nie spełnią swych gróźb. Och, nikt znający tę parę nie dałby wiary, że Mark i Ellie kiedykolwiek się ustatkują i staną szczęśliwym małżeństwem. Ale ona nie musi się niczego obawiać z jego strony, choćby najwięcej gardłował! Jak długo kochający mąż topi smutki w zawartości blaszanej puszki, tak długo Ellie może spokojnie żyć jak chce.

Poza tym Henry miał w tej chwili inne problemy na głowie. A zwłaszcza jeden.

Ten problem miał pięć stóp i cztery cale. Stojąc na bosaka, na drobnych, brązowych, muskularnych stopach, głową sięgałby akurat guzika kieszeni na jego piersi, a na imię miał Geena.

## Rozdział dwudziesty drugi

Tylko jeśli Jon będzie zadowolony, tak powiedziała Charlesowi.

Szczerze zadowolony, to znaczy, jeśli ucieszy się ze względu na nią Charlesa i siebie samego, czując prawdziwą ulgę, że nie musi się już więcej martwić o matkę... Tylko w tej sytuacji mogłaby pokusić się o związek z Charlesem.

Helen zbudziła się tego ranka, czując się niewytłumaczalnie szczęśliwa. Leżała w kałuży słońca, senna i rozgrzana, odprężona, niczym kot. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiała się, czy nie

jest zakochana. Tyle czasu minęło. Czy tak się wtedy człowiek czuje? Mogłaby przysiąc, że tak...

I przez więcej niż kilka chwil pozwoliła sobie marzyć.

To było wspaniałe marzenie.

Znowu mieć mężczyznę, w życiu, w łóżku, tylko dla siebie... Nawet tal krótka udreka wdowieństwa nauczyła ją raz na zawsze, że nie jest kobietą która potrafi iść samotnie przez życie. Och, są kobiety, które cenią sobie niezależność, uwielbiają swoją wolność, kochają odchodzić wtedy, gdy mają na to ochotę, nie słuchają nikogo. Ale ona całe życie spędziła owinięta niczym bluszcz wokół podpory, którą był Phillip, i wiedziała, że do nich nie należy.

Ona potrzebowała mężczyzny. I nie tylko dla seksu - choć czuła już, jak okropnie jej tego brakuje. Musiała mieć kogoś, o kogo będzie dbać, kin będzie opiekować się nawet w drobiazgach. Kogoś, czyje szczęście będzie dla niej ważniejsze od własnego. Dla kogo przebuduje życie, będzie wstawać każdego ranka, czekać na spotkanie pod koniec dnia, z kim będzie leżeć w łóżku, tak dla towarzystwa, jak i z zachłannego pragnienia miłości.

Przez cały ranek, gdy wstawała i ubierała się, udawała, że je śniadanie i zauważyła, że nie zjadła ani kęsa, myśli Helen, jak u nastolatki, bez przerwy odtwarzały ubiegłą noc: pachnąca ciemność, ich dwoje przy księżycu, miękkie światło gwiazd...

Och, Charles...

Nie zszedł dziś na śniadanie i jak nastolatka - nie mogła zdecydować się, czy czuje żal, czy ulgę.

A teraz siedziała w oknie i marzyła, spoglądając na odludny, płaski krajobraz, zamiast zajmować się tysiącem i jeden drobiazgow, które powinna zrobić.

Marzenia o Charlesie...

Co do niego czuła? Czy mogli mieć nadzieję, że odzyskają pierwszą miłość, która połączyła ich tak dawno temu?

- Rozegramy to na twój sposób, Helen - szeptał natarczywie, obejmując ją ostatniej nocy. - Zrobisz, co zechcesz, powiesz, co

zechcesz, Jonowi czy komukolwiek. Ale nie będę czekał wiecznie! Czekałem już o wiele za długo!

To odnosiło się i do niej, nieprawdaż?

Czy nie była przez całe życie - jak Rose - członkiem świty, oczekującym na ciężko zapracowaną pochwałę z ust jednego mężczyzny, osobą zależną od jego życzeń, nastrojów, gniewu, pragnień? Zrobiła sobie bożka z Phillipa, sądziła, że jest on Bogiem. I w końcu została stratowana jego glinianymi nogami.

Tak jak Rose.

Musi pokonać ten bezsensowny gniew na Rose, przestać winić gospodynię za coś, co zrobił Phillip. Jaki wybór miała Rose? Czy kobiety, takie jak ona, w ogóle miały jakiś wybór?

No cóż, teraz była kolej Helen, by wybierać. Po pierwsze, powinna porozmawiać z Jonem. Gdzie on może być?

Podobnie jak Charles, jej syn nie zszedł dzisiaj na śniadanie, ale nie było w tym nic dziwnego. Często wpadał do kuchni tylko na kawę i zaczynał dzień, nie zatrzymując się nawet, by coś zjeść. Wstąpiwszy na chwilę do sypialni Jona, która wydawała się tak zimna i pusta, jak gdyby nikt tam nie nocował, Helen zeszła po schodach i wyruszyła na jego poszukiwanie.

Do biura zaszła tylko na wszelki wypadek, by spytać, czy Ben nie widział Jona lub nie wie, gdzie mógłby się podziewać. Ale Jon był tutaj, siedział obok Bena przy biurku i przyglądał się badawczo ekranowi komputera, przysłuchując się z uwagą każdemu słowu księgowego.

- Więc widzisz - mówił Ben - jak już dostaniesz się do systemu za pomocą hasła, możesz po prostu wybierać, co chcesz obejrzeć. To wszystko jest tutaj, na pewno gdzieś tu jest. Zazwyczaj cały kłopot w tym, by to odszukać! - Zaśmiał się. - Cześć, Helen, ty też przyszłaś na kurs komputerowy?

- Jon! - zawołała ze zdumieniem Helen. - Co ty tu robisz?

Czy jej się zdawało, czy syn zaczerwienił się na jej widok? Czując, że też się rumieni, wspomnienie ubiegłej nocy ciągle paliło jej usta, twarz.

Ale Jon nie mógł nic wiedzieć o tej nocy, nie powiedziała o tym nikomu i mogłaby przysiąc, że Charles też nie...

O Boże, ona już ma minę winowajcy - pomyślał Jon z niepokojem.

- Po prostu uczę się - odpowiedział krótko, lekko się czerwieniąc, ze wzrokiem nadal utkwionym w ekran. - Wiele się dowiedziałem dzięki naszemu Benowi.

- No cóż, myślę, że teraz już się orientujesz - wtrącił Ben. - Miałem właśnie pójść do domu na kawę, czy ktoś idzie ze mną?

Jon potrząsnął głową.

- Myślę, że pobawię się jeszcze trochę komputerem. Helen machnęła ręką.

- Idź, Ben, chciałam zamienić kilka słów z Jonem.

- Dobra, zobaczymy się przy kolacji, jeśli nie wcześniej - rzucił Ben i wyszedł.

Przez cały czas, gdy Helen szukała syna, jej pewność siebie umacniała się, podniecenie rosło, a pragnienie, by podzielić się z nim swymi uczuciami, wzmagало się z każdą chwilą. Ale teraz gdy byli sami, dziwnie trudno było

jej zacząć.

- Chciałeś, by Jon pokazał ci, jak pracować z komputerem? - zaryzykowała z zakłopotaniem.

- Taak.

Zdawało jej się, że syn specjalnie zachowuje się obojętnie i udaje zajętego. Nie odrywał oczu od ekranu.

- Po prostu byłem ciekaw... kilku spraw. Nie mam nic do roboty do następnego spędu. To znaczy, jeśli w ogóle będzie następny spęd, przynajmniej dla nas. - Głos mu stwardniał. - Jeśli słynna pani Matsuda się pośpieszy, możemy wcześniej wylecieć stąd na złamanie karku!

- Właśnie... o tym chciałam z tobą pomówić, kochanie - zaczęła drżącym głosem. - Jak dotąd nie mieliśmy okazji, by o tym pomyśleć... ale na cokolwiek się zdecydujesz, nie chcę, byś uważał, że musisz się o mnie martwić.

Zaczerwienił się, na chwilę spojrzał jej w oczy i szybko odwrócił wzrok.

- Martwić się o ciebie? Oczywiście, że się martwię! Jesteś moją matką! I nie chcę, żebyś zakochała się w tym draniu Charlesie!

- No cóż, teraz sama muszę się o siebie troszczyć. Syn spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

- Myślisz, że potrafisz?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Uciekł znowu wzrokiem w bezpieczną kryjówkę monitora, migającego zielonymi hieroglifami.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, mamó... do diabła, twoje życie było bardzo spokojne i bezpieczne. Nie znałaś żadnego mężczyzny poza tatą...

- To nieprawda! - wybuchła. - Znałam Charlesa, zanim spotkałam Phillipa, i on... nie byłam mu obojętna!

Charles!

No cóż, to cholernie pasuje, prawda?

Z nagłym wstrząsem Jon odkrył następny fragment układanki. Oczywiście, wiedział, że to Charles przedstawił mamę ojcu. Każde dziecko dowiaduje się tego o rodzicach, zanim nawet pamięta o pytaniu „Jak się poznaliście”? Ale to było coś więcej niż zwykłe zapoznanie, teraz uświadomił to sobie... Charles ją kochał, mógł to zobaczyć w jej twarzy!

A czy ona go dawniej kochała? Na tyle, by przymknąć oko na nagłą śmierć Phillipa, w tak dogodnym momencie?

Może wciąż kochała Charlesa, czy to chciała powiedzieć?

John musiał powstrzymać jej zwierzenia, słowa wypowiedziane stawały się rzeczywistością.

Ciągnął gwałtownie dalej.

- Jeśli nawet tak było, tato wszystko za ciebie robił, o wszystkim decydował, zajmował się tobą... a są ludzie... - i to tutaj, tu, w Koenigshausie! - miał ochotę wykrzyknąć - ...ludzie, na których musisz uważać... przed którymi musisz się bronić...

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- O czym ty mówisz?

O cholernym Charlesie, o kimże by! O człowieku, który zabił twojego męża!

O człowieku, którego teraz tropię, i w komputerze usiłuję wysledzić jego nieczyste interesy i oszukańcze fortele, by znaleźć sposób na pociągnięcie go do odpowiedzialności.

Nadal wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Odwrócił wzrok z desperacją.

- O niczym specjalnie, jak sądzę.

Biedny Jon - pomyślała Helen. Serce jej weszło macierzyńską miłością. Jego nerwy są napięte do ostateczności, nie powinnam dokładać mu jeszcze kłopotów. Denerwuje się śmiertelnie o swoją przyszłość, o Koenigshaus i wszystko, a ja zamiast po prostu powiedzieć prawdę, jeszcze zawracam mu głowę głupimi ogólnikami, bo jestem zakłopotana jak dziewczynka, która umawia się po raz pierwszy z chłopakiem.

Wzięła głęboki oddech.

- Słuchaj, mój drogi, chciałam ci coś powiedzieć na temat... na temat przyszłości. Mojej przyszłości. Oczywiście, jeszcze na to za wcześnie, ale przeraża mnie myśl, że przez resztę życia mam być sama. Chciałabym wiedzieć, co czułbyś... co czułbyś, gdyby... co sądzisz o tym, że mogłabym kogoś sobie znaleźć... może nawet wyjść ponownie za mąż...

- Wyjść za mąż? - Nie byłby chyba bardziej przerażony, gdyby uderzyła go w twarz. - W y j ś ć z a m ąż ? Mój Boże, nie!

- Dlaczego nie?

Patrzył na nią, szok, ból i gniew przemknęły mu po twarzy.

- Na litość boską, mamo, masz czterdzieści dwa lata!

- To jeszcze nie starość - broniła się.

- To... to... - przeczesał włosy palcami. - Nie chodzi tylko o to!

- Więc o co?

Rzucił jej znowu przerażone spojrzenie, potem nie chciał już patrzeć jej w oczy. Wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości z obrzydzenia.

- Po tacie... po takim człowieku jak tato... jak możesz nawet o tym myśleć?

- Jon... słuchaj... wiesz, że kochałam twego ojca, ale... nie był jedynym człowiekiem na ziemi!

Zwrócił się ku niej, całe ciało miał napięte z gniewu.

- O co chodzi, mamó... nie potrafisz znieść myśli, że przestaniesz być panią wielkiego domu? A może masz już na oku zastępcę taty, zanim on zdążył ostygnąć w grobie?

Co mogła na to odpowiedzieć?

Ale Charles nie był zastępcą, na litość boską, był sobą, a jeśli go kochała, to dlatego, że był tak inny od Phillipa...

- To nie może... - Jon urwał, zaczerwienił się mocno i przygryzł wargę. - Nie może chodzić o... sprawy fizyczne, prawda? - Sprawiał wrażenie, jakby skręcał się z zażenowania, ale wyglądało, iż ma zamiar za wszelką cenę wyjaśnić sprawę do końca. - W twoim wieku...

W twoim wieku... Więc tak myślał?

Zobaczyła się nagle jego oczami i poczuła potworny ból.

- Nie, oczywiście, że nie, ja naprawdę nie chcę... Nie wiem, co mnie napadło, że to powiedziałam, zapomnij o tym, udawajmy, że nic mówiłam, dobrze? - Zdawała sobie sprawę, że plecie bzdury, ale nie miała siły, by przerwać. - Oczywiście, masz rację, kochanie, nie miałam tego na myśli, zapomnij, że w ogóle była o tym mowa.

Zmierzała ku drzwiom, pragnęła tylko za wszelką cenę stąd się wydostać. Jon znowu odwrócił się do komputera, szerokimi, przygarbionymi plecami odcinał się od niej i od całego świata, jak gdyby chciał zapomnieć o jej obecności i wymazać najmniejszy ślad ich rozmowy. Gdy Helen wybiegła, schował twarz w dłoniach i zaczął przeklinać siebie i matkę, ale przede wszystkim Charlesa.

Więc ten drań zaszedł aż tak daleko? Chryste, ależ był szybki! A mama, tak wrażliwa, zbyt ufna, by jej to wyszło na dobre, co ona mogła wiedzieć?

Nie potrafił uwierzyć, by zdawała sobie sprawę, jaką rolę odegrał Charles w zabiciu Phillipa. Nie, nigdy w to nie uwierzy. Potem niepożądane wspomnienie zmusiło go, by zatrzymał tok myśli. Mama próbowała dostać się do sejfu w dzień pogrzebu taty. I ta jej mina winowajcy...

Nie! To niemożliwe! Zgoda, nie kochała już ojca, Jon z nagłym bólem uświadomił sobie wszystkie drobne, bolesne sygnały, które do niego docierały, a których wcześniej nie rozumiał. Ale nie mogła go zabić, prawda?

Nie, to zrobił Charles, tak musiało być.

Powinien ją ostrzec, opowiedzieć jej o Charlesie.

Ale co powiedzieć?

Co mógłby powiedzieć, co wiedział na pewno?

Nic, mniej niż nic!

Poranny telefon do Rejestracji Firm w Sydney nie przyniósł więcej informacji o Kingdom Holdings ponad to, co Jon już wiedział. Firma miała się mieścić na Macquarie Street, w eleganckiej handlowej dzielnicy Sydney, zwykły adres korespondencyjny, nic więcej.

Dzięki wielkiej wytrwałości i pomocy mającego jak najlepsze chęci urzędnika z Rejestracji Jonowi udało się ustalić, że Kingdom Holdings należy do innej firmy. Ona też nie była spółką macierzystą, jak to cierpliwie wyjaśnił urzędnik. To wszystko stanowiło zasłonę dymną i zabójca mógł się za nią bezpiecznie ukryć, ze świadomością, że tylko inny, o wiele sprytniejszy oszust mógłby zerwać jego maskę.

Zostało więc tylko jedno do zrobienia: tropić tego człowieka po śladach, jakie za sobą zostawił.

Dopadnę cię, chłopie, nawet gdybyś był najmądrzejszy, choćbyś się nie wiem jak wykręcał i kluczył!

Zielonkawe światło monitora igrało niesamowicie na napiętej, ponurej, zdecydowanej twarzy Jona, gdy niezręcznie wystukiwał coś na klawiaturze. Cichy klekot klawiszy nierównomiernie wtórował nie kończącemu się potokowi chaotycznych myśli.



Charles kochał mamę, był w niej zakochany, zanim tato ją poznał. Musiał ją kochać przez cały czas, mężczyźni zabijali z mniej ważnych powodów.

Nienawidził taty, tato poniżał go całe życie, to motyw zabójstwa, sięgający czasów Kaina i Abła.

Straciłby wszystko, gdyby tato nie zdecydował się na jakiś krok, by uporządkować interesy, i to też bywało powodem do zabójstwa...

I nagle, proszę!

Tato umiera i wszystko otwiera się przed Charlesem. A potem mama spada mu prosto w ręce, jak on tylko pociągnie za sznurek.

Koniec kłopotów, pełna kontrola, ma w garści ukochaną kobietę i firmę, którą też kocha, to wystarczający motyw dla każdego. Musiał wiedzieć, że zgodzę się na wszystko, by zachować Koenigshaus, inaczej niż tato, nigdy nie walczyłbym z nim o te interesy z Sydney i Koenig Holdings, podałbym mu to jak na tacy. A nie mógł przewidzieć, że tato zmieni testament, że w końcu obaj stracimy wszystko.

W dodatku jest Koenigiem. Johann wymordował całe plemię, by dostać to, czego pragnął. Na miejscu Charlesa też czułbym pokusę. Czy Koenigowie zawsze zabijali, gdy coś im stało na drodze? Czy teraz ja będę musiał zabić Charlesa? Czy to właśnie nas czeka, walka na śmierć i życie, jako przeznaczenie Koenigów?

Weź się w garść, chłopie, to rzeczywistość, nie film przygodowy!

Jon wzdygnął się i wrócił do komputera. Motyw bez dowodu to za mało. Musi udowodnić, że Charles był zdolny do nadużycia zaufania, że miał powód, by zaatakować Phillipa, niczym wąż, i odebrać mu życie.

I wreszcie Jon natrafił na ślad.

Piekły go oczy, bolała szyja, w głowie mu się kręciło, ale wiedział, że w końcu znalazł to, czego szukał. PAKIET AKCJI.

Ponuro przyglądał się ekranowi i zobaczył wreszcie, co udało mu się odkopać.

Nowy, ryzykowny program nabytków.

Ambitny zestaw spekulacji i zakupów, który wpędził firmę w długi, pochłonął cały kapitał i postawił bezbronną na granicy przepaści.

Kierownictwo całego projektu należało do Charlesa Koeniga, dyrektora operacyjnego Koenig Holdings. Nazwa przedsięwzięcia - Operacja Kingdom.

## Rozdział dwudziesty trzeci

W porządku, ubawiła się, a teraz musi za to zapłacić! Zdaniem Alexa nie był to dobry początek dnia.

- Hej, szefie!

Z trudem uwalniając się z grzęzawiska złych snów, otworzył oczy i zobaczył wyjątkowo niemile widzianego gościa.

- Tak, do pana mowa!

Przed nim stała zapłakana i agresywna Ellie z poranną herbatą i mnóstwem gwałtownych pretensji.

- Przywiózł pan tu tę kobietę, już mnie pan nie chce! - Tak brzmiała jej pierwsza salwa.

Pieprzona dziwka...

Sam jej widok wywoływał w nim gwałtowne mdłości, czuł się, jak gdyby nagle stanął nad kałużą własnych wymiotów.

- Masz rację - odpowiedział zimno, patrząc na nią z odrazą. - Nie chcę cię już.

Na szczęście dla niego była zbyt głupia, by uwierzyć w to, co powiedział w tym rzadkim napadzie szczerości.

- Aiee!

Z okrzykiem wściekłości rzuciła tacę i skoczyła na niego. Więc był zmuszony położyć temu kres, pokazać, gdzie jej miejsce, tradycyjną, starodawną metodą.

Potem szlochała i użalała się nad sobą, czepiała się go w sposób, który jedynie budził w nim chęć, by uderzyć ją mocniej, zerznąć jeszcze brutalniej.

- Niech pan coś dla mnie zrobi - płakała. - Mój mąż wie o nas, groził mi, może zrobić coś okropnego.

Zesztywniał.

- Co o nas wie?

Te kobiety Koori to kłamczuchy - upominał się w duchu - nie powinieneś wierzyć ani jednemu słowu tych dziwek, nie panikuj, zachowaj spokój. Bez wątpienia w płonących gniewem brązowych oczach Ellie mignęła przebiegłość, gdy odpowiedziała:

- On myśli, że spędzam tu, w tym domu, za dużo czasu jak na to, co zarabiam. Mówi, że muszę dostawać więcej pieniędzy albo on...

- Albo...

Pociągnęła nosem.

- Albo mnie zbije...

Zaśmiał się chłodno.

- Mocniej niż ja?

Wzruszyła z rozdrażnieniem drobnymi, dziecięcymi ramionami.

- Kiedy pan to robi, to co innego.

O Boże, wszystkie kobiety są takie same, nic dziwnego, że mężczyźni je biją! Leżeli w łóżku, kciukiem i palcem wskazującym ujął podbródek Ellie i skierował jej twarz w kierunku światła. Pod brązową skórą mógł widzieć ciemny kontur sińca wokół podbitego oka.

- Bardziej niż to robił dotąd?

Znowu zaczęła skamlać.

- On mnie dostanie, on mnie zabije, powiedział, że prędeży będę trupem, nim pozwoli, bym stała się kolejną czarną kobietą do zabawy tych cholernych Koenigów...

Alex zaśmiał się znowu.

- Zabije cię? A kto mu w tym pomoże? Ale w sercu czułem coraz większy chłód.

- Pan musi mnie przyjąć, panie Alexie! - upierała się. - Jest dużo miejsca tu, gdzie mieszka Rose, mogę tu zamieszkać, żyć, mogę się przydać do pomocy jak ona, a wtedy będę od niego bezpieczna.

Chryste, mieć ją tutaj, w domu, wężącą dookoła niczym goniąca się suka, w obecności Trishy, która nawet z odległości mili potrafiła wyczuć, że ktoś się nim interesuje...?

Przeszył go gorący płomień paniki.

- A jeśli tego nie zrobię?

Ale nie musiała na to odpowiadać. Jeśli się wygada, co łatwo może zrobić... Chryste!

Taki głupi romans, z plugawym posmakiem skandalu, miłosna awantura z zamieszaniem w nią gburowatym, gwałtownym rogaczem, która nie może nie poruszyć aborygenów, tak niedaleko domu - to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali, jeśli chcieli ubić interes z panią Matsuda. Japończycy są bardzo skrupulatni w tych sprawach. Nie szanują ludzi, którzy nie potrafią powstrzymać się przed mieszaniami interesów i niższych form przyjemności.

A kto inny mógłby kupić tę studnię, z wodą tak dokładnie zmaconą przez ostatnich właścicieli?

W dodatku Trisha była okropną snobką... Gdyby wiedziała, kto jest jej rywalką, że on pieprzy służącą...

Gdy tak leżał z tą małą dziwką, nadal gruchającą mu w ucho, bawiącą się jego sutkami i wyobrażającą sobie, że wróciła całkowicie do łask, zmuszał się do spokoju, by ocenić wszystko krok po kroku. Potem obdarzył dziewczynę kilkoma słodkimi słówkami i jeszcze słodszyimi dolarami za „godziny nadliczbowe”, klepnął ją po tyłku i odprawił. Ale, na Boga, będzie musiał obchodzić się z nią ostrożnie w przyszłości... z nią, z tym wszystkim...

Przynajmniej miał jedną przyjemną nowinę na początek dnia, telefon od Careya, że sprawy idą gładko, testament został zatwierdzony i wkrótce wszystko będzie załatwione.

Ale nawet to nie mogło złagodzić wspomnienia poprzedniego wieczoru. Alex czuł, jak pali go zimny ogień, gdy wróciło to uczucie upokorzenia.

Ubiegła noc...

Noc, na którą tak bardzo czekał, noc, kiedy miał odzyskać Trishę. A ona uznała za właściwe cały czas zajmować się jego bratem. Flirtowała z Jonem tak gorliwie, pochylając się w przód i zachęcając go tak jawnie, że ciągle groziło, iż wysunie się ze swej niezbyt obszernej sukni i na oczach wszystkich wyląduje naga na talerzu.

Dobra, w porządku.

Jeśli w ten sposób chciała to rozegrać - obiecywał sobie Alex, gdy tylko zaczęła zabawę - to za każdą chwilę, podczas której musiał siedzieć przy stole i patrzeć na to, co wyprawia, będzie musiała zapłacić mu wielokrotnie. Tak, jak teraz.

Idąc na ukos przez trawnik do pawilonu gościnnego, Alex wzniecał w sobie wściekłość, która stała się tym bardziej lodowata, że hamował się przez całą noc. Nie chciał wtedy okazać Trishy, jak bardzo wytrąciła go z równowagi, nie da jej satysfakcji, by wiedziała, że czuje się pokonany, że wpadł w panikę.

Odprowadził przyjaciółkę do apartamentu, jak przystało dżentelmenowi, choć żadna dama nie mogłaby być tak zalana jak boska Trisha tego wieczoru. Chwiała się na nogach, chichotała i była bardzo z siebie zadowolona, nie przejmując się tym, że narozrabiała.

Żadna prawdziwa dama z najwyższych sfer, dobrze wychowana, z autentyczną błękitną krwią w żyłach, nie złapałaby go za krawat, gdy przeprowadzała ją przez drzwi, i nie próbowałaby zaciągnąć go do łóżka, łapiąc go to tu, to tam. Zdołał w końcu wyrwać z jej zaciśniętej dłoni jedwabną ozdobę

szyi od Armaniego, wartą dwieście dolarów, nie stworzoną z myślą o takiej karze.

Kara...

Na to przyjdzie czas później - mówił do siebie, gdy zdecydowanie układał ją na łóżku i uwalniał się od niej. Kiedy będzie dość trzeźwa, by to pamiętać.

Więc ostatniej nocy ograniczył się tylko do ratowania krawata i resztek szacunku dla samego siebie. Siłą pomógł Trishy położyć się, upewnił się, że będzie jej wygodnie... i wyszedł. A tego ranka zamierzał odpłacić jej z nawiązką, ustalić raz na zawsze, kto był w tym królestwie władcą... którego słowo było prawem... i co czekało niegrzeczne dziewczynki, kiedy naruszyły to prawo.

Geena i Ben wynieśli się po śniadaniu - rozważał Alex z niechęcią - Ben, by onanizować się nad komputerem w biurze, Geena, by zajmować się tym samym, w bardziej ekskluzywnej wersji, z czarnymi kumplami. To znaczyło, że domek opustoszał, co prawdopodobnie było konieczne, jeśli chciał zrealizować to, o czym myślał.

Alex pokonał jednym zwinnym skokiem niewysokie schody prowadzące do wejścia, przeskoczył mały korytarz i wszedł bez pukania przez pierwsze drzwi na wprost. Południowe słońce przebijające przez zsunięte różowe, atlasowe draperie skąpało cały pokój w zmysłowej poświacie. Usiadł ciężko obok śpiącej postaci, wyciągniętej swobodnie w poprzek wielkiego, szerokiego łóża, utkwiał wzrok w zarumienionej twarzy, na wpół ukrytej pod burzą lśniących loków... i czekał.

Nie trwało to długo. Jak wszyscy światowcy Trisha zawsze wiedziała, kiedy ma towarzystwo.

- Urrggghh! - jęknęła, rozpoczynając długą wspinaczkę do przytomności. - Kto tu jest?

Która godzina, panie Wilku?

- King Kong - odpowiedział. Przekręciła się leniwie niczym dziecko.

- Uuurgghh! Czego chcesz?

Jakie pan ma wielkie zęby, panie Wilku!

Pokazał białe zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- Musisz się obudzić, żeby się dowiedzieć.

Przekoziółkowała, wciąż owinięta zmiętym prześcieradłem niczym mumia, i próbowała odsunąć włosy z oczu.

- Alex?

Nakręcał się coraz bardziej, czuł, jak lont staje się z każdą chwilą coraz krótszy. Jeszcze moment i nastąpi wybuch.

- A myślałaś, że kto?

- Och, jeśli to wszystko, co potrafisz powiedzieć - wymruczała ochryplym głosem - zrób mi drinka albo odpieprz się!

- Drinka dostaniesz potem - odezwał się przyjaźnie. - Teraz czas na odrobinę zabawy.

- Zabawy? - Udało jej się spojrzeć na niego zezem najpierw jednym okiem, potem obydwoma. - Jak to, gdzie się odbędzie?

Aby cię lepiej zjeść...

- Tutaj - odparł.

Pragnął ją zabić. Coś w jego głosie sprawiło, że jej oczy, wciąż senne jak chabry rankiem, na ten dźwięk otwarły się szeroko. Jej ręce uniosły się obronnym ruchem i instynktownie zacisnęły prześcieradło pod brodą. Alex zaśmiał się, budząc w niej jeszcze większy lęk.

Siedział obok niej na łóżku, teraz pochylił się szybko i wstał, wrywając prześcieradło z jej zacisniętych dłoni. Pod nim miała tylko falbanki z brzoskwiniowego atłasu i koronek, rodzaj nocnego wdzianka, którego wielkość jest odwrotnie proporcjonalna do ceny. Mała różyczka z jedwabiu, otoczona pianą atłasowych kokardek, wtulała się w idealny dekolt. Zacisnął w jednej ręce wstążki i szarpnął gwałtownie.

- Ty draniu!

Dźwięk, który rozległ się, gdy przejrzysty materiał rozdarł się i rozpadł na kawałki, zgalwanizował ją niczym wstrząs elektryczny. Poderwała się, jej dłonie skoczyły do jego twarzy.

Brutalnym pchnięciem powalił Trishę znowu na łóżko, uchwycił w obie dłonie karczek wdzianka i rozerwał je na pół.

- Chryste, nie! - wrzasnęła z przerażeniem, walcząc ile jej sił starczyło. - Alex, na litość boską, kupiłam to w Bloomingdale's, kosztowało majątek, do cholery, przestań, ty draniu...!

Ale on z dokładnością maszyny zerwał resztki stroju z leżącej i poszarpał je na strzępki.

Trisha leżała teraz, tak jak to lubił, napięta i zaszokowana, oczy miała szeroko otwarte, usiłowała zrozumieć, co będzie chciał teraz zrobić i jak daleko musi się posunąć, by go ułagodzić. Alex stał w nogach łoża i mierzył wspaniałą postać chłodnym wzrokiem, który jak wiedział, przerażał ją więcej niż najwściekłejsze pożądanie. Powoli usiadł na niej okrakiem, uważnie przyglądając się białemu ciału, bujnemu i rozluźnionemu po śnie.

Dobra, była gotowa.

I on też.

Lekkimi, wprawnymi ruchami pieścił pełne, miękkie piersi, gładząc sutki lekkimi musnięciami kciuka, dopóki nie nabrzmiały pod jego dotykiem. Chciał, aby stały się bardziej wrażliwe na to, co je czeka. Jego dłonie przesunęły się w dół po zaokrąglonych biodrach i długich, białych nogach, zwięzających się od miękkiego, splątanego gąszczu. Czuł, jak dziko jej pragnie, jak penis napiera na materiał dżinsów.

- Dobra, dziecinko - wyszeptał w końcu przyjaznym tonem. - Ręce za plecy.

Otworzyła jeszcze szerzej oczy.

- Alex, ja...

Pochylił się i delikatnie ujął pasma włosów po obu stronach jej twarzy, potem powoli skrzyżował je pod brodą i w poprzek szyi. Bez pośpiechu, bezlitośnie naciskał gardło Trishy. W chwilę później został wynagrodzony widokiem jej dłoni gorączkowo chowających się za plecy. Zamknęła oczy, pogodzona z losem.

- Tak jest lepiej - powiedział tak samo łagodnie. - Teraz już wiesz, za co, prawda?



Skinęła głową.

- Chcę to usłyszeć, kochanie. - Dłoń Alexa odnalazła jej piersi i niezbyt delikatnie pociągnęła za sutek. - Pytam cię. Wiesz za co to wszystko, prawda?

Skinęła znowu głową, zaciskając mocno oczy.

- Tak.

- I zasłużyłaś na to, prawda? Odpowiedziała bardzo cicho.

- Ta..ak.

- Proszę, powiedz to.

- Zasłużyłam!

- Grzeczna dziewczynka. Dobrze, więc masz...

Unieruchomił ją lewą ręką i wymierzył dwa dzwięczne klapsy w jej pełne piersi. Pierwsze uderzenia zostawiły czerwone pręgi na miękkim, białym ciele, ale to go nie powstrzymało.

- Bo... nie... lubię... kiedy... dobierasz... się... do... innego... faceta -zauważył tonem człowieka prowadzącego niemal normalną rozmowę, wymierzając rytmiczne uderzenia.

- Och! Och! Ooooch!

Ciche, jękliwe okrzyki tylko go podniecały, ślady na piersiach, nabrzmiałe aureole wokół sterczących sutek budziły w nim ostrą rozkosz, równie silną, tak sądził, jak jej ból.

- I... nie... mogę... znieść... kiedy... tym... draniem... jest... mój... mały... braciszek!

Przerwał, oddychając ciężko, i spojrzał na nią. Atlasowa powierzchnia jej piersi była czerwona jak ogień, jasnoróżowe sutki pociemniały i naprężyły się z pożądania, czekając na jego dotyk. Przez rozchylone wargi z trudem wymykały się jęki, łzy tryskały pomiędzy mocno zaciśniętych powiek.

Dobra, to na początek.

Rozpinając ciężki pas przy dzinsach, rozważał, czyby nie odwrócić jej na brzuch i nie zacząć wszystkiego od początku. Myśl o rozgrzaniu tego ciała Królowej Śniegu, sprawieniu, że jej blady zadek zaczerwieni się, aż będzie musiała błagać o litość, zdawała się roztopiać kawałek lodu w jego sercu, jak nic dotąd.

Ale jego własne pragnienie nie mogło już dłużej czekać, odłożył to na inny dzień. Wcisnął dwa palce w jedwabisty trójkąt pomiędzy jej nogami, poczuł obfitą wilgoć. Gotowość Trishy podnieciła go. Zrzuciwszy ubranie, wbił się w nią i znowu poczuł tę niezawodną sensację, którą tylko ona mogła wywołać, dziką ekstazę, jakiej nie czuł przy żadnej innej kobiecie.

- Ty draniu!

W chwili, gdy Trisha poczuła jego nagie ciało między nogami, ocknęła się i zaczęła walczyć.

- T y draniu! Ty wstrętny, pieprzony draniu!

Drżała pod nim z mieszaniny gniewu i pożądania. Niemal jednego wzrostu z Alexem, jego sile przeciwstawiała własną niemałą moc, gdy ujeżdżał ją niczym nieposłuszną klacz, ujarzmiając ją przez cały czas. Zapomniała o łzach, śmiała się z zachwytem, gdy ją obezwładniał lub cofał się przed jej pięściami, mlóącącymi ramionami i nogami, i ostrymi białymi zębami, dopóki nie doprowadził obojga do nie kontrolowanego, rozrywającego orgazmu. Leżeli potem nasyceni, ogarnął ich spokój, jedyny, jaki tak niespokojne dusze mogą znaleźć po tej stronie grobu.

Nie trwało to długo. Gdy odpoczywali zaspokojeni, oszołomieni i senni, rozległo się szuranie i głośny brzęk w holu, ktoś grubiańsko otworzył drzwi, z umyślnym brakiem uszanowania.

- Posprzątać pokój, psze pani? - rozległ się głos Ellie. W następnej chwili zobaczyła na łóżku splecionego z Trisha Alexa. Tryumfalna nieuprzejmość służącej przekształciła się w krzyk zazdrości i furii.

- Pan tutaj... z nią?

- Czy nie masz tyle rozumu, by nie pakować się do sypialni, gdy ludzie śpią?

Zanim Alex zdążył ją powstrzymać, Trisha z wściekłością uniosła się na łokciu i wpatrzyła się w intruzkę zaczerwienionymi, gniewnymi oczami.

- Co się tak gapisz? Wynoś się do wszystkich diabłów w tej chwili i nie wracaj! Zabieraj stąd swój czarny tyłek, wstrętna krowo! Jesteś zwolniona, ty dziwko!

- Wskakuj, podwiozę cię!

- Dziękuję, jaka miła niespodzianka, mam szczęście, że akurat tędy przejeżdżałeś!

To nie ma nic wspólnego ze szczęściem - powiedział sobie w duchu Henry. „Przypadkiem” miał pilną sprawę do załatwienia w osadzie aborygenów, ale okazało się, że Geeny tam nie ma. Dowiedział się, że poszła pieszo do domu. „Tak się złożyło” zatem, że musiał jechać w tym samym kierunku. W ten sposób zatrzymał się teraz przy drobnej postaci, maszerującej z wysiłkiem w drgającym upałem popołudniu.

- Taak - powiedział ze skrępowaniem. - To szczęście, że przejeżdżałem tędy. Zdziwiłem się widząc, że wracasz na piechotę do domu. Chyba zwykle ktoś cię podwozi?

Uśmiechnęła się smutno, rzucając mu ukośne spojrzenie, które trafiło go prosto w serce.

- Och, tak było każdego dnia, do dzisiaj. Ale jakoś wszystko wywróciło się do góry nogami odkąd... odkąd przyjechała przyjaciółka pana Koeniga. A pani Koenig ma tyle spraw na głowie i wiem, że w dodatku martwi się o Jona...

- Więc sobie pomyślałaś, że wrócisz spacerkiem?

- No cóż, jak wychodziłam nie wydawało mi się, że to tak daleko! - Zaśmiała się cudownym, gruchającym śmiechem. - Przynajmniej dopóki nie spróbowałam. Ale naprawdę ucieszyłam się, gdy usłyszałam ciężarówkę i zobaczyłam cię w niej.

Czy rzeczywiście tak myślała? I jak mógł jej wystarczająco dowcipnie odpowiedzieć? Boże, gdyby tylko częściej prowadził takie rozmowy o niczym! Tyle jej pragnął powiedzieć. A gdy wreszcie udało mu się coś wymyślić, zabrzmiało to niezręcznie.

- Opowiedz mi coś o sobie - wypalił.

- O sobie? - Jej nie udawane zaskoczenie świadczyło o prawdziwej skromności. - Nie ma o czym!

- No, co robisz w Sydney?

- To samo, co tutaj! - zaśmiała się. - Tańczę! Tylko to umiem robić! Dlatego gdy czekałam, aż tatko skończy robotę w Koenigshausie, zajęłam się przygotowaniami do występów z mieszkańcami osiedla.

- A tak, występy. - Dlaczego sprawiała, że ciągle czuł się tak głupio? Zbliżali się już do zabudowań, wiedział, że kończy się czas, gdy miał ją tylko dla siebie.

- Przygotowujesz je na corroboree? - spytał. - To już niedługo, za tydzień lub dwa, prawda?

- Tak! - potwierdziła z zapalem.

Zatrzymali się przed frontowymi drzwiami i dziewczyna wyskoczyła od razu. Z pewnym smutkiem zauważył, że nie miała zbytnej ochoty, by pobyć z nim dłużej. Gdy ciężarówka stanęła, Ben pośpiesznie wyszedł z budynku biurowego, gdzie, jak widać, siedział na czatach.

- Och, jesteś, Geeno - zaczął. - Widziałem, że wszyscy są dziś zajęci i nikt nie pomyślał, by po ciebie pojechać, więc zastanawiałem się...

- Wszystko w porządku, tatku, nie denerwuj się, jestem już duża! -Uciszyła go czułym całusem. - W każdym razie byłam w bezpiecznych rękach! - Wynagrodziła Henry'ego ciepłym, przelotnym uśmiechem.

- No cóż, muszę już iść - powiedział Henry, bardziej zakłopotany niż zwykle. - Do widzenia, panie Nichols. Do widzenia, Geeno... zobaczymy się... zobaczymy się jeszcze.

Ojciec i córka stali obok siebie, obserwując, jak odchodzi. No, no, no - pomyślał Ben, rzucając spojrzenie na nie podejrzewającą niczego córkę. - Henry Suffolk, co? No cóż, mogła trafić o wiele gorzej!

## Rozdział dwudziesty czwarty

Dlaczego pogoda zawsze musi być najpiękniejsza wtedy, gdy wszystko idzie jak najgorzej? Helen szła korytarzem prowadzącym do pokoju Charlesa. Odwracała twarz od słońca, mając wrażenie, że tylko smutne, szare niebo i chmury nabrzmiały wszystkimi zmartwieniami świata mogłyby pasować do jej nastroju. Skoro podjęła już decyzję, musiała powiedzieć o niej Charlesowi jak najszybciej. Była mu to winna... to ostatni wzgląd, jaki będzie mu mogła okazać.

- Proszę!

Jak on wspaniale wygląda, zauważyła z bolesnym smutkiem, gdy otworzyła drzwi i stanęła z wahaniem w progu. Brał niedawno prysznic, świeżo uczesane włosy miał jeszcze wilgotne, lśniące i ciemne, jakby pokryte brylantyną. Okryty jedynie ręcznikiem wyciągał czystą koszulę i spodnie z szafy.

- Helen! - zawołał z radością. - Wejdz, zamknij drzwi!

- Nie, nie - odparła niezręcznie. - Nie zostanę długo. Przyszłam tylko powiedzieć, że... przepraszam, nie zejdę dziś na kolację...

Połapał się natychmiast, mimo tych kiepskich, konwencjonalnych wymówek.

- I nie zjesz ze mną kolacji ani tu, ani gdzie indziej, w żadnej dającej się określić przyszłości, prawda?

O Boże, dlaczego to takie trudne?

Myślała o tym, płakała, modliła się, próbowała jakoś pogodzić ze sobą obowiązek wobec Jona i szacunek, należny jej długoletniemu związkowi z człowiekiem, który ofiarował jej zarówno małżeństwo, jak i syna - oraz tę nową, a zarazem dawną miłość dla Charlesa, która teraz odżyła z taką siłą.

Przynajmniej sądziła, że podjęła już decyzję. Niezależnie od tego, ile to ją miało kosztować, znalazła właściwą drogę.

Ale teraz, gdy zobaczyła jego twarz...

Czuła się jak morderca, zabijający jego miłość, jego nadzieje. Twarz Charlesa, całe jego ciało zdawało się odczuwać to jak cios. Drżał, włosy na jego ramionach zjeżyły się. Zrobił krok w jej kierunku jak człowiek pogrążony we śnie.

- Nie wierzę w to, Helen, po prostu nie wierzę, że możesz mnie odpedzić.

- Muszę - rozpląkała się. - Rozmawiałam z Jonem...

- Jon! - Żal i wściekłość Charlesa przekształciły się w eksplozję goryczy. - Helen, czy słyszałaś, by jakikolwiek syn cieszył się, widząc matkę w ramionach innego mężczyzny? Zwłaszcza taki syn jak Jon, który bałwochwalczo czcił ojca, a matkę uważa za osobę tak naiwną, że nie może pojąć, jak sobie dawała radę w życiu przed spotkaniem męża!

- Charles, on nie jest taki, on...

Zacisnęła z wściekłością dłoń na jej łokciach.

- Helen, wyświadcz mi tę ostatnią łaskę, nie mów ze mną o swym najdroższym synu! Powiedziałem ci wcześniej, że już czas, abyś pozwoliła mu dorosnąć! W prawdziwym świecie kobiety mają synów ORAZ kochanków. I chyba najwyższa pora, aby nasz mały Jonny to zrozumiał. Ale to wasz problem - twój i jego!

Urwał i potrząsnął głową jak osaczony byk, dręczony przez pikadorów. Potem spojrział Helen w oczy z bólem, jakiego dotąd u niego nie widziała.

- Jeśli chcesz mi odmówić, Helen, jeśli twierdzisz, że nie może być nic między nami, miej odwagę powiedzieć mi to sama. Spójrz teraz na mnie i powiedz: Charles, ja ciebie nie pragnę, nie kocham cię, chcę, byś odszedł i nigdy więcej nie zwracał mi głowy!

- O Boże, Boże... - szlochała. - Nie mogę, nie mogę...

- Nie możesz tego powiedzieć! - Potrząsał nią teraz gwałtownie, czuła się jak marionetka z zerwanymi sznurkami. Jego ciało było tak blisko, pragnęła pogłodzić go po piersi i odwzorować każdą wypukłość żeber, chciała ucałować miękkie zagłębienie u podstawy szyi. - ...A nie możesz tego powiedzieć, bo to nieprawda!

Pragnęła paść mu na pierś, obmyć jego ramiona łzami, znaleźć tę ogromną pociechę, jaką dają silne ramiona mężczyzny, pozwolić, by odgonił pocałunkami wszystkie jej smutki. Ale wiedziała, że jeśli zbliży się do niego choćby o krok, będzie zgubiona.

- Musisz odejść - wydusiła z siebie przez zły. - Nie mogę cię poślubić, nie mogę być z tobą, nie mogę narazić się na utratę syna!

- A jeśli Jon się ożeni... - nalegał Charles. - Och, Helen, czy sądzisz, że będzie miał wtedy czas dla mamuski?

- Nie wiem! - krzyknęła z desperacją. - Ale teraz... teraz, kiedy dopiero co stracił ojca... nie mogę żądać od niego, by się pogodził z utratą matki!

- Helen, jesteś idiotką. - Odsunął się od niej z wyrzutem, zbrojny w nieznaną godność. - Z powodu bezsensownego poczucia winy poświęcasz siebie i mnie, i wszystko, co moglibyśmy razem stworzyć. To ci nie da szczęścia i z pewnością nie uszczęśliwi Jona. W porządku, więc ja się nie liczę w twoim równaniu. Ale przynajmniej nie będzie mnie tutaj, by patrzeć na chaos, który wywołasz.

Patrzył teraz na nią uważnie, bardziej jak kapłan i spowiednik niż kochanek.

- Dokonałaś wyboru. Odejdę, możesz mnie teraz pożegnać. Będę trzymać się z dala od ciebie, dopóki nie skończymy ze sprzedażą i nie będę mógł wyjechać na zawsze. - Przerwał, udało mu się nawet przywołać krótki uśmiech. - I to będzie naprawdę na zawsze, moja kochana, bo w naszym wieku nie trafia się druga szansa. Nie możesz stale odkrywać kociołka ze złotem na końcu łyżeczki... zwłaszcza jeśli już raz byłaś na tyle szalona, by stamtąd odejść. - w jego uśmiechu mieścił się teraz ból wszystkich straconych miłości świata. - Byłem na tyle głupi, by uwierzyć, że znowu odnaleźliśmy naszą łyżeczkę. Myliłem się, to wszystko. - Wziął ją w ramiona i uniósł jej twarz ku swojej. - Prawdziwe pożegnanie zajęłoby całe życie. Więc do następnego życia... żegnaj, moja kochana dziewczyno.

Chryste, była w jego pokoju, jak długo przebywali tam razem, całował ją na pożegnanie, co się, u diabła, dzieje?

To był krańcowo frustrujący dzień. Nadal prawie nie mając pojęcia o funkcjonowaniu komputera, Jon usiłował odszukać w nim więcej niż pozwalała mu na to uzyskana wiedza. I teraz, idąc po schodach, był na wpół przytomny. Zdecydował, że zrezygnuje z kolacji, może rozrusza trochę Kaisera lub pójdzie na spacer, by przejaśniło mu się w głowie. Potem mógłby jeszcze raz spróbować wyszukać w komputerze więcej informacji o Charlesie. Albo może połączy się z latającym doktorem, by sprawdzić, czy zrobiono sekcję zwłok taty, nie potrafił uwierzyć, że wszystko było w porządku...

Wchodząc do domu, nie słyszał nic. Ale on też nie narobił hałasu, gdyż ciężkie drzwi stały otworem, jak zawsze w takie gorące popołudnia. Gdy szedł po schodach, zobaczył jakiś ruch na podeście. Helen wychodziła z pokoju Charlesa, dłoń miała przyciśniętą do ust typowym gestem kobiety, którą przed chwilą ktoś całował. Całe jej ciało świadczyło o tym niedwuznacznie, a Charles, który właśnie zamykał drzwi, oczy miał spuszczone, twarz napiętą z emocji, a okryty był tylko ręcznikiem.

Co się dzieje, u diabła?

Przecież nie mogli...

Znowu Jonem zawładnęło mroczne podejrzenie, napełniając go lękiem. Czy matka wiedziała, co zrobił Charles, zachęcała go, by pozbył się jej męża, może nawet wspólnie to zaplanowali?

Mój Boże, nie!

Nie zatrzymał się, by choć przez chwilę pomyśleć. Jednym susem dopadł pokoju Helen, obcesowo zapukał i wszedł do środka. - Dobra, mamó, czas, byśmy pogadali!

Stała tuż przy drzwiach, pięści miała przyciśnięte do ust, ramiona opuszczone jak u zagubionego dziecka. Usiłowała powstrzymać łzy.

- Jon... co...?

Zrobił krok do przodu, czując w sercu morderczą wściekłość.



- To on, matko, to o Charlesie mówiłaś? To za niego chcesz wyjść? Kiedy doszłaś do wniosku, iż „przeraża cię myśl, że do końca życia masz być

- sama”?

Przedrzeźniał ją z okrucieństwem, naśladowując nawet jej intonację, i Helen zaczerwieniła się ze wstydu.

- Jon, o czym ty mówisz?

Wydawało się, że jej zmieszanie tylko powiększa gniew syna.

- O czym mówię? Pomyśl, kochana mamó! Pomyśl! Jeśli jesteś w stanie jasno myśleć! A kiedy już skończysz świętować wybór nowego męża, może wtedy będziemy mogli porozmawiać!

- Jon, ja... - zaczęła płakać. - Przykro mi, jeśli... Nie mógł się powstrzymać.

- Jest ci tylko przykro, że was nakryłem! W każdym razie na samym końcu!

- Na litość boską! O czym ty mówisz? Nagle stał się namaszczony niczym sędzia.

- O tobie, mamó. O tobie i Charlesie, Chryste, widziałem cię przed chwilą! Wychodziłaś z jego pokoju, opuszczałaś jego pokój, a on tam stał i miał na sobie tylko ręcznik!

Teraz mogła zobaczyć ten obraz, a także pojąć, jak zrozumiał to syn w tym stanie podniecenia. Ogarnęła ją wielka rozpacz, nie miała siły, by odeprzeć atak.

- Nie powinieneś był tego zobaczyć.

- Do diabła, pewno, że nie!

- Nie, ja... chcę powiedzieć... że nie było nic do zobaczenia!

- Mamó, proszę! - Na twarzy Jona malowało się obrzydzenie. - Daj spokój, jestem już mężczyzną, nie dzieckiem! Nie sądzisz chyba, że w to uwierzę?

- Słuchaj, Charles i ja... - Chryste, to wyglądało na kłamstwo szyte grubymi nićmi, musi bardziej się starać!

Ale syn cofnął się, zdawało się, że ma ochotę zatkać sobie uszy.

- Nie chcę tego słuchać! Helen usiłowała zebrać siły.

- To ty zacząłeś, więc musisz dowiedzieć się wszystkiego!  
Spojrzał jej w oczy.

- Jesteś moją matką!

- Ale nie przestałam być człowiekiem! - krzyknęła. - I mam swoje życie, tak jak ty...

- Nigdy nie powiedziałem, że tak nie jest!

- Jonie... - gdyby nie była doprowadzona do rozpacz, na myśl by jej nie przyszło, by to powiedzieć - ...nie wiesz, jak bardzo byłam nieszczęśliwa...

Złapał ją za ręce i ścisnął je aż do bólu.

- Oczywiście, że jesteś nieszczęśliwa, matko, jak każda wdowa, jak kobieta, która straciła takiego mężczyznę jak tato!

- Mężczyznę takiego jak... synu, on...

Powstrzymała się. Och, Boże, czy będzie mogła to zrobić? Zniszczyć jego wyobrażenie o ojcu, tylko dla jakiejś abstrakcyjnej prawdy, dla obrony swoich interesów? Kiedy i tak straciła już Charlesa? Bo jego pocałunek był ostatecznym pożegnaniem, gdyby się nawet widywali codziennie po sto razy, on już się z nią rozstał, nie cofnie się, nigdy nie będzie do niej należał.

Jon mówił dalej z wściekłością.

- Dobrze, jesteś przybita, ale skąd ci przyszło do głowy, że...

- Niemal się zakrztusił, nie potrafił zmusić się do wypowiedzenia tego znienawidzonego imienia. - Skąd ci przyszło do głowy, że ON może dać ci szczęście?

- Nie wiem, po prostu...

- Życie trwa dalej, tak? Tato umarł, ale ty żyjesz?

- Jon...

- Czy nie tak to się mówi?

- Jon, to jest prawda! Życie trwa dalej!

- Nie dla niego! - Gdy to mówił, jego twarz wyrażała gwałtowną rozpacz. - Nie dla taty! On jest w grobie, a ty bawisz się w wesołą wdówkę z pieprzonym stryjem Charlesem! Niech go diabli porwą! I ciebie też!

Nigdy przedtem nie przeklinał w obecności Helen, a tym bardziej nie używał takich słów w stosunku do niej. Patrzyli na siebie, szok odebrał im mowę, przerażenie ogarnęło oboje. I nagle ciałem Jona wstrząsnął silny, bolesny szloch. Helen wyciągnęła dłoń, by dotknąć twarzy syna, i zwalczyła chęć, by utulić go w ramionach, jak to robiła w przeszłości.

- Och mój synu, mój synu.

- Na Boga, matko, przestań!

Z furją odsunął jej rękę i zdusił łzy, które napłynęły mu do oczu. Ale Helen poczuła się spokojniejsza.

- Tylko mnie wysłuchaj, dobrze? - powiedziała ochryple. - Słuchaj i nie przerywaj, potem możesz się wściekać, ile zechcesz. Będziesz słuchać?

Zawahał się, potem skinął buntowniczo głową.

- Charles poprosił, bym zastanowiła się, czy możemy odnowić nasz związek - zaczęła najpewniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Ponieważ my... my kochaliśmy się, zanim... dawno temu... zanim pojawił się twój ojciec. Charles zawsze uważał, że Phillip mnie mu odebrał. Teraz wydawało się, że to właściwa pora... - Jej głos zamierał stopniowo, traciła pewność siebie.

Ale Jon ciągle słuchał, utkwiał w jej twarzy pociemniałe z emocji oczy. Ze znużeniem mówiła dalej:

- Jednak odmówiłam mu. To, co zobaczyłeś, co uznałeś za umówione spotkanie, za potajemną schadzke kochanków, było w istocie pożegnaniem. Kiedy rozmawiałam o tym wczoraj z tobą, kiedy chciałam cię wybadać, zrozumiałam, że ta historia z Charlesem po prostu nie może się zdarzyć. - Zaczerpnęła powietrza. - Więc zrobiłam już to, czego ode mnie chcesz, do cholery! Już go odprawiłam. Wyjedzie najszybciej, jak to będzie możliwe, i nigdy więcej go nie zobaczę, dobrze?

Czuł teraz taki wstyd z powodu słów, których użył, i podejrzeń, które żywił, że po prostu nie wiedział, gdzie podziać oczy.

- Dobrze - wymamrotał.

Helen miała wrażenie, że serce jej krwawi, że cała krew wycieka jej z żył, przeciętych przez niewidzialnego kata. Był nim Jon, czy może Charles? Myśl o Jonie - napominała się w duchu - tylko on jest ważny, to ze względu na niego musisz to wszystko znosić!

- Słuchaj, zapomnij o mnie! - powiedziała gniewnie. - Myśl o sobie, masz więcej możliwości niż sądzisz.

- Możliwości? Jakich „możliwości”?

- Wiesz, że zawsze chciałam, byś poszedł do college'u... wstąpił na uniwersytet...

- Och, mamó...

Z oszołomieniem i wściekłością zauważyła, że patrzył na nią, jakby chciał ją uderzyć.

- Słuchaj... - Z trudem usiłował zapanować nad sobą. - Słuchaj, mamó, wiem, że zawsze uważałaś mnie za wielkiego zapoznanego geniusza z Terytorium Północnego, ale tak naprawdę nie jestem mołem książkowym, nie mam w sobie nic z uczonego! Nie interesuje mnie nauka, jeśli o mnie chodzi, mogliby spalić wszystkie cholerne książki! - Westchnął i uniósł głowę, jego wzrok mimo woli uciekł ku dalekiemu horyzontowi. - Należę do ziemi. Do tej ziemi.

- Ale teraz...

- Teraz, gdy tato odszedł - powtórzył z uporem - tym bardziej jestem potrzebny farmie.

Jego naiwność budziła w niej chęć krzyku.

- Ale farmy już nie będzie!

Obdarzył ją szalonym, krzywym uśmiechem.

- Wykopią ją? Zabiorą ze sobą?

- Och, Jon...

Nie płacz - rozkazywała sobie gwałtownie - nie wolno ci teraz płakać, on ma już dosyć łez.

- Jon, wiesz, co mam na myśli.

- O tak, wiem, co masz na myśli. Chcesz powiedzieć, że muszę zacząć nowe życie, skończyć z zabawą w kowboja. Nie ma tu już dla mnie przyszłości, pora, bym stawił czoło faktom. -

Urwał, zmagając się z jakimś silnym uczuciem, którego nie potrafiła rozpoznać. - Fakty, mamó, stawmy czoło faktom! Gdybyśmy tylko wiedzieli, jakie są to fakty! - Zwrócił się ku niej. - Wiesz, mógłbym posunąć się do zabójstwa, byle tylko czegoś się dowiedzieć... znaleźć jakieś konkretne fakty zamiast tego... tego wszystkiego...

- Zamiast czego?

Helen poczuła nagły niepokój. Czy z Jonem było wszystko w porządku? Żył w takim napięciu... a historia z nią i Charlesem wydawała się tą ostatnią kroplą. Zawsze był wrażliwy i nerwowy, nawet gdy był małym chłopcem.

O Boże, czyżby teraz miał się załamać?

Jak gdyby czując jej strach, Jon pozwolił, by osłabło to dziwne podniecenie, które go opanowało.

- Taak, dajcie mi kilka faktów, a stawię im czoło - powiedział z niedbałym uśmiechem, spokojniejszym tonem. - I nie martw się, mamó, myślałem o „przyszłości”, jak to nazywasz, i wiem, co zrobię. Jeśli pani Matsuda kupi Koenigshaus, mam zamiar poprosić ją o pracę. Nie może kierować farmą z pomocą tego pożeracza cyfr, tego idioty Buckleya. Będzie potrzebować zarządcy.

Nie mogła się powstrzymać.

- Jon, to upokarzające! Pracować jako zarządca tu, gdzie twój ojciec...

- Gdzie mój ojciec był właścicielem? I jego ojciec, i ojciec jego ojca, i tak dalej, aż do początku tego królestwa? Dokąd nas to zaprowadzi, mamó? I dokąd zaprowadzi to mnie?

Zdziwienie przemknęło mu przez twarz. Wyszeptał, jakby do siebie:

- Dokąd zaprowadził mnie tato? - Jego nastrój znowu przeszedł gwałtownie w wisielczy humor. - Pani M. i ta jej nowa miotła z pewnością mają jakieś plany. Jak przerobią kaplicę na dyskotekę, może dostanę posadę jako disc jockey!

- Och, Jonie...

Nagle znowu stał się dawnym, miłym Jonem.

- Słuchaj, zawsze będę kochał Koenigshaus i obiecałem tacie... obiecałem sobie samemu, że zajmę się wszystkim, dopóki nie pojawi się następny właściciel. Alex nie potrafi tego zrobić, nawet jeśli teraz farma należy do niego. Po prostu nie ma o tym pojęcia. - Oczy mu pociemniały. - Taka farma jest jak żywa istota, nie można jej zostawić na łasce losu, tak samo, jak nie można tego zrobić z bydłem lub końmi. Każdy dzień bez opieki oznacza opóźnienie w rozwoju. Jesteśmy to winni Koenigshausowi, musimy zadbać teraz o niego, tak jak on zawsze troszczył się o nas. I mam zamiar robić to tak długo, jak będę mógł.

Przerwał i znowu patrzył przez okno, oddalony od matki o całe mile. W gęstym, przesyconym słońcem powietrzu unosiły się ciche dźwięki buszu. Kiedy Jon znowu odezwał się, jego głos przenikał przez miękką pajęczynę różnorodnych odgłosów życia.

- A jeśli po sprzedaży znajdę sposób, by nadal pozostać tu, gdzie zawsze byli Koenigowie, zrobię to. Jeśli nie, będę musiał po prostu urządzić się gdzieś na swoim. - Spojrzał na nią tak, jak wtedy, gdy miał dwanaście lat. -Gdzieś, gdzie będę mógł hodować bydło. I zająć się tobą. Tak blisko Koenigshausu, jak to możliwe.

Zająć się tobą...

Nadal nic nie rozumiał, nie pojął ani słowa z tego, co próbowała mu powiedzieć, nawet po tym wszystkim...

Helen usłyszała swój głos, zadający pytanie, choć nie wiedziała nawet, że o tym myśli.

- Gdzieś z Geeną?

- Geena. - Wykrzywił się. - Nie, nie sędzę.

- No cóż, pomyśl o tym!

Uśmiechnął się, wyglądał nieskończenie staro.

- Romantyczka z ciebie, mamó. Naprawdę wierzysz, że miłość wszystko zwycięża.

- Bo tak jest!

- Mamó. - Przykucnął przy niej i ujął w obie ręce jej dłonie. - Czasami coś się psuje. Rodziny. Ludzie. Jak martwe zwierzę na

słońcu. Przez dzień, dwa, może sobie tak leżeć. Jednak po pewnym czasie nie da się ukryć rozkładu. Zaczyna się od środka i nikt tego nie zauważa. Ale on tam jest i rozszerza się, aż nikt już nie może tego ignorować. Ani miłość, ani małżeństwo nie potrafią tego zmienić. - Westchnął ciężko. - I właśnie tym się musimy zająć tu, na farmie, zanim któreś z nas będzie mogło pomyśleć o czymś innym!

## Rozdział dwudziesty piąty

Z dogodnego miejsca na pięćdziesiątym piętrze jednego z największych biurowców w Sydney, spółka pani Matsuda królowała nad najwspanialszym krajobrazem finansowym w Australii. Innymi słowy - na całym świecie. Tak myślał Craig Buckley, a jego duszę, przypominającą liczydło, wypełniło uczucie tak zbliżone do szczęścia, jak to tylko możliwe.

Och, rzecz jasna, Madame miała narożny apartament, oddający należną cześć bliźniaczym bożkom architektury australijskiej - Harbour Bridge i gmachowi Opery, które leżały u stóp wieżowca, niczym stadko mew odpoczywających po locie. Ale z biura Craiga, które mieściło się za sąsiednimi drzwiami, było widać to samo, a nawet więcej. Bo zza biurka mógł patrzeć niemal pionowo w dół na betonowe wawozy dzielnicy handlowej, z ich nie kończącym się potokiem mrówek-robotnic, trudzących się nieustannie na dolnych piętrach. To sprawiało, że czuł się wspaniale, niemal jak na Wall Street, prawie jak w domu. A kiedy pokazywał Madame to, co odkrył ostatnio w buchalterii Koenigów, miał uczucie, że istotnie czeka ich prawdziwy sukces.

- Craig? To była ona.

Nigdy nie przyzwyczyił się do jej nawyku wchodzenia bez pukania, nadal tęsknił za sztywną etykietą swej szkoły handlowej. W dodatku to było takie niejapońskie. Ale tu ona była szefem. Zerwał się na nogi.

- Tak, jestem tutaj!

Z uprzedzającą grzecznością podprowadził ją do krzesła, które właśnie opuścił i stanął obok niej, z ręką opartą o klawiaturę komputera.

Skrzyżowała obciążone jedwabiem nogi i odchyliła się w tył, rzucając mu złośliwe spojrzenie.

- Mówiłeś, że chcesz mi coś pokazać? Coś ciekawego, mam nadzieję? Czy widziałam to już kiedyś? A może masz zamiar czymś mnie zaskoczyć?

Był zbyt mądry, by w godzinach pracy złapać się na ten haczyk. Starannie odwrócił oczy od pokusy, która - jak wiedział, kryła się pod niebieskim kostiumem z perłowymi guzikami i bluzką z surowego jedwabiu koloru magnolii, i wywołał na ekranie to, w co się poprzednio wczytywał.

- Spójrz - powiedział krótko. - Sądziłem, że to cię zainteresuje. Nigdy nie musiał objaśniać cyfr Yoshiko, znała je, zanim nauczyła się mówić. Nie oczekiwał, że okaże jakieś emocje, ale gdy studiowała ekran, jej oczy zwilgotniały i rozbłysły, w ten sam sposób - zauważył z ironią - jak wtedy, gdy się kochali.

- Tak! - odezwała się w końcu ze zdecydowaniem. Skinął głową.

- Taak, niezależnie od tego, co mówi Charles Koenig, Koenig Holdings to kupa śmieci. - Wskazał gwałtownie głową na ekran. - Prawdę mówiąc, jeśli popatrzeć na to, co tam wyprawiają, powiedziałbym, że nie upłynie wiele czasu, a Australian Securities Commission zacznie węszyć i zadawać kłopotliwe pytania. - Znowu uśmiechnął się szeroko. - Jeśli chodzi o księgowość, to nie można już mówić o „kolorowaniu”! To prawdziwa filozofia New Age, po prostu bzdury!

- Tak.

W takich sytuacjach zazwyczaj prawie nic nie mówiła. Ale po jej oddechu poznawał, jak bardzo lubiła, gdy mógł tak przy niej żywcem obdzierać ze skóry potencjalną ofiarę, ćwiartować ją, a szczątki zostawiać swej pani do dyspozycji, by zrobiła z



nimi, co zechce. Niczym *meistersinger* prowadzący wykład, ciągnął dalej:

- Ktokolwiek tym wszystkim kierował, po prostu całkowicie utracił kontrolę. Ich sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, nie panowali nawet nad miesięcznym wzrostem odsetek. I szybko zmierzali donikąd.

Nastała cisza. Japonka w milczeniu analizowała jego słowa, wpatrując się długo w płasający pomarańczowy ekran. Craig czekał cierpliwie. W końcu oderwała od cyfr smoliście czarne oczy i spojrzała na niego.

- Powiedziałeś „ktokolwiek tym kierował”? - spytała łagodnie. Ponownie skinął głową, uśmiechając się do niej z całkowitą jednogłośnieścią.

- Sądzę, że to jest to, tu jest pies pogrzebany, dlatego wszystko się wali.

Wyjaśnij mi - mówiły jej oczy.

Boże, on to po prostu uwielbiał! I ją też!

- Mieli bezpieczną, konserwatywną, porządnie prowadzoną firmę przez dwadzieścia kilka lat. Potem zadłużyli się w końcu lat osiemdziesiątych. Banki zarzucały ich pieniędzmi, a oni zgarniali je pełnymi garściami. I nadszedł październik 1987 roku. Po załamaniu się rynku wpadli w gówno po uszy i od tego czasu ciągle się wykręcają i kluczą.

- A teraz?

Dobrze wiesz - miał ochotę odpowiedzieć. Ale taki był rytuał, nie w jego mocy było to zmienić.

- Teraz wzięli znowu baty w Czarną Środę zeszłego roku i przy kolejnym załamaniu się rynku. Mogliby sprzedać filie międzynarodowe i miejskie, spłacić długi, spuścić z tonu, i pogodzić się z tym, że mogą sobie skromnie żyć z dochodów Koenigshausu.

Uśmiechnęła się niczym kot, który właśnie zobaczył olbrzymią misę śmietany.

- Ale był ktoś, kto nie chciał sprzedaży, bo byłoby to oznaką przegranej. Ktoś, kto nie chciał tylko skromnie żyć, kto nie chciał spędzić reszty życia w Koenigshausie, z dala od świata.

- Słusznie. Więc zostali wciągnięci w tę szaleńczą spiralę pożyczek...

- I...

Uwielbiał ją, gdy bawiła się w kotka i myszkę, to go podniecało, jak nic w świecie, poza pieniędzmi.

- I... choć przez długi czas ukrywali to bardzo zrećnie, ten ciężar musi ich prędzej lub później wciągnąć pod wodę.

- Kto to ukrywał...?

Teraz on z kolei udawał, że nie rozumie.

- Kto?

To jej sprawiło przyjemność, gra toczyła się tak, jak to lubiła.

- Dokończ - poleciła mu.

Czuł, jak rośnie z dumy, mógłby teraz pieprzyć ją tak, że wyzionęłaby ducha.

- Wiesz, kto wydał taki rozkaz, kto tym kierował i kto zacierał ślady - powiedział miękko. - Cały czas o tym wiedziałaś, ale teraz mamy dowód. To znaczy, że trzymasz Koenig Holdings i Koenig Cattle za jaja. Możesz kazać wszystkim, co tam żyją, łącznie z tymi pieprzonymi krowami, by od razu nadstawili ci tyłek, jeśli tego pragniesz. - Uśmiechnął się z zadowoleniem i nacisnął klawisz, by uruchomić drukarkę. - Teraz twój ruch. Możesz robić, co zechcesz.

Błysnęła oczami.

- A czego ty chcesz?

- Chciałbym - odrzekł z powagą - żebyś powiedziała mi, jaka jest twoja decyzja, jeśli chodzi o nasze następne posunięcie. Potem chcę cię stąd zabrać do tego francuskiego bistro na Macleay Street, na prawdziwe jedzenie, ugotowane jak należy. - Odważył się na łagodną złośliwość. - Nie żadne japońskie paskudztwo... choć wiem, że to, co dobre, zawsze podaje się w małych porcjach. A potem...

- Ach tak... - powiedziała wymijająco. - Chciałbyś zjeść coś u Daniela? Tam, gdzie jest ten miły chłopiec? - Machnęła ręką w kierunku biura. - Każ im zamówić stolik. A potem...

Teraz on jej przerwał.

- Ale najpierw... Koenig Holdings.

- O tak.

To był ostatni ruch w tej grze. Jednym z powodów, dla którego kochała Buckleya - uświadomiła sobie nie po raz pierwszy - było to, że pomimo niemal księżących min zawsze stawiał interesy przed przyjemnością, zupełnie jak pan Matsuda.

- Pan Alex Koenig dzwoni teraz codziennie - powiedziała. - Namawia nas do powrotu. Urządzają jakieś corroboree, reżyserują spektakl oparty na historii Koenigshausu... mówi, że to okazja, aby zobaczyć farmę w najkorzystniejszym świetle...

Potrafił czytać w jej myślach. Idąc w kierunku biura, powiedział:

- W porządku, każę im przygotować wszystko i zadzwonię do Koenigshausu. Lecimy jutro?

- Jutro. - Skinęła głową, potem spojrzała na niego, twarz miała bez wyrazu. - Zabierz torbę z rzeczami do bistro... nie wrócisz dziś na noc do siebie.

Dlaczego czuł się tak fatalnie, gdy wszystko szło tak wspaniale? Alex z irytacją wziął niemal pustą teczkę z przedniego siedzenia dżipa i wszedł spieszenie do domu. Zgoda, lunch z tym napuszonym bucem - bankierem był koszmarem katorem, nudną jak flaki z olejem. Ale przetrzymał wszystko mężnie i na koniec ten mały nudziarz ścisnął mu rękę z podziwem, jak gdyby zawarł z nim przyjaźń na śmierć i życie.

I cały interes był już prawie załatwiony, ten szczurogęby Carey potrzebował aż długiego lunchu, by powiedzieć o tym Alexowi. Niezależnie od tego, na czym polegało „uprawomocnienie testamentu”, bez wątpienia to właśnie miało teraz miejsce i to w rekordowym tempie - oznajmił mu z dumą.

- To wszystko będzie już wkrótce należało do pana, panie Koenig! -ogłosił tryumfalnie. - I jak tylko to się stanie, może pan być pewien, że pański uniżony sługa jak najszybciej przekaże tę nowinę przez telefon!

- Bardzo panu dziękuję, panie Carey - mówił gorąco Alex, odwzajemniając gorliwie uścisk dłoni, jak gdyby bankier był jego najbliższym przyjacielem. - Żadne podziękowania nie będą za wielkie. - Przerwał, potem zniżył głos dla lepszego efektu i ciągnął dalej: - Nie muszę mówić, że uważam to za początek długich i korzystnych dla obu stron interesów. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Uśmiechnął się do siebie. Będzie robił interesy z Careym na Święty Nigdy. Ale co szkodzi dać ludziom trochę szczęścia.

Więc dlaczego nie potrafi zatroszczyć się o swoje szczęście?

No cóż, częściowo z powodu tego cholernego braku gotówki!

Och, był oczywistym spadkobiercą, ale jak dotąd to była tylko przyszłość, nic konkretnego. W porządku, udało mu się jakoś spławić ludzi z agencji wynajmu samochodów, gdy zwracał im tego cholernego koszmarnego forda. I żył sobie tu jak książę, mieszkał za darmo, ale nie mógł już dłużej tu tkwić, nie mając złamanego grosza. Coraz bardziej to do niego docierało.

I to samo docierało do niej.

Ze wszystkich kobiet właśnie Trisha nie była stworzona do czekania. Patrząc z wściekłością spode łba, Alex skierował się w stronę zaplecza gospodarczego i rzucił okiem na zegar. Druga godzina, więc pewnie się już obudziła. Czując dziwny ból w sercu, jak zawsze gdy o niej myślał, nie potrafił podjąć decyzji, czy pójść do niej, czy poczekać aż sama wyjdzie, by go odszukać. W obu wypadkach lepiej będzie najpierw przygotować dla niej śniadanie z czymś na wzmocnienie.

Rzucił teczkę, którą wziął ze sobą tylko na pokaz, zdjął pośpiesznie marynarkę od dyskretnego, tradycyjnego garnituru i ruszył korytarzem w kierunku kuchni.

- Dzień dobry, Rose!

Gospodyni siedziała przy stole z Ellie - zauważył przelotnie, mijając je. Więc wszystko było w porządku, wczorajsze historie już minęły.

- Wiadomość od Matsudy - raportowała Rose monotonicznie. - Wróć tu jutro, zostaną na corroboree.

Wspaniale!

W jednej chwili Alexowi minął zły nastrój, a jego miejsce zajęła fala tryumfu. Więc ma zamiar kupić Koenigshaus, nie mogła mieć innego powodu, by tu wracać, taka kobieta jak pani Matsuda nie traci czasu i pieniędzy na gierki! Teraz miał dobre nowiny dla Trishy i powód, by z nią to uczcić! Mógł jej powiedzieć, że wyniosą się stąd przed końcem tygodnia, ściskając gotówkę mocno w garści! To aż się prosi o tę specjalną butelkę, którą schował głęboko w lodówce...

Już prawie wychodził z kuchni, ale uświadomił sobie, że siedząca obok Rose młoda aborygenka, którą widział od tyłu, to wcale nie Ellie. Spróbował stłumić ukłucie niepokoju. Więc to potrwa dłużej, zanim tej głupiej dziwce przejdzie wściekłość, że straciła pracę. No cóż, im wcześniej się pojawi, tym lepiej! Musiała wiedzieć, że nie jest naprawdę zwolniona, że nie Trisha decyduje, kto zostaje, a kto odchodzi z Koenigshausu. I z pewnością zdawała sobie sprawę, ile szkody narobi, gdy wybiegła z sypialni, zawodząc i krzycząc, i więcej się nie pokazała. Poniewczasie próbował ukryć swą pomyłkę.

- Dzień dobry, Geeno.

Potem złapał z lodówki butelkę białego wina i zniknął najszybciej, jak potrafił.

- Hmm.

Rose potępiła zachowanie Alexa potrząsając głową, nie potrzebowała nawet nic mówić.

I pomyśleć - zdumiała się Geena - że знаła go jako małego chłopca, prawdopodobnie uczyła go pierwszych słów...

Stara kobieta postarała się zmienić nastrój, odwrócić uwagę od tego, co zaszło.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego tak zawracasz sobie głowę tym waszym występem.

Geena uśmiechnęła się z z troskaniem.

- No cóż, corroborree będzie już niedługo! Na początku wydawało się, że przed nami całe wieki, a teraz to sprawa tylko kilku dni.

Rose patrzyła na nią bez zrozumienia.

- Robiłaś bardzo wiele prób.

- Ale jeszcze nie wszystko dopracowane - broniła się Geena.

Rose ze zniecierpliwieniem uderzyła w stół.

- Byle tylko pojęli, o co tam chodzi.

- Chciałabym mieć pewność, że to dobrze wypadnie. Rose wysunęła przed siebie stwardniałą czarną dłoń.

- Spytajmy kart.

Geenie zaparło dech. Nie wiedziała, czy chce usłyszeć odpowiedź losu. Ale Rose była nieugięta.

- Rozłóż! - poleciła. - I jeszcze raz!

Zdaniem Rose już pierwsza karta stanowiła odpowiedź na wszystkie zmartwienia Geeny. Triumfalnie położyła kartę, zwracając ją w kierunku dziewczyny.

- Królowa Świata\*! - westchnęła z szacunkiem. - Jest na samym szczycie, ostatnia z Arkanów Większych. To najlepsza karta, jaką można mieć.

Z lekkim drżeniem Geena przyglądała się wyrazistej, jaskrawej podobiznie kobiety o długich, falujących włosach, wspaniale nagiej, poza draperią zakrywającą łono, delikatnie, niczym tancerka, balansującej na chmurce. Ponad postacią anioł i gryf podtrzymywały laurowy wieniec osiągnięć, a pod jej

---

\* *Królowa Świata - właściwa nazwa „Świat”. Jest to karta XXI Arkanów Większych, oznaczająca nadzieję, radość, najwyższe szczęście, koniec zmartwień, wieczne życie, osiągnięcie celu, spełnienie marzeń, pełnię człowieczeństwa, pełnię miłości, a także zabawę, taniec, rozrywkę. Ostrzega, że droga do prawdziwej miłości jest długa i nie można iść nią na skróty (przyp. tłum.).*

stopami kulily się konie i lwy, unosząc w górę pełen uwielbienia wzrok, poddając się jej władzy<sup>\*\*</sup>. Geena spojrzała w nieruchome, szeroko otwarte oczy Rose przypominające guziki.

- Co to znaczy?

Rose zaśmiała się suchym, urywanym śmiechem, podobnym do kaszlu.

- To znaczy, że cały świat masz u swoich stóp, moja śliczna! To oznacza sukces we wszystkim, co próbujesz robić, i cudowne zakończenie czegoś, nad czym pracujesz. Ten występ... będzie wielkim, wspaniałym wydarzeniem, choć może inaczej, niż to sobie wyobrażasz. Ta karta przynosi spokój i satysfakcję z czegoś, co zostanie doprowadzone do końca, co będzie dobrze wykonane. - Geena z zaskoczeniem zorientowała się, że Rose wygląda na szczęśliwą jak nigdy dotąd. Żyła kartami i z nich czerpała wszelkie przyjemności. - Dokonasz wielkich rzeczy, dobrych rzeczy - mówiła gorączkowo. - To twoja pierwsza wróżba tarota i dostała ci się Królowa Świata? Pozwól, że ci powiem, panienko, nie mogło ci się trafić nic lepszego!

Geena wiedziała, że powinna być zadowolona, a nawet wdzięczna starej kobiecie za tak szczęśliwą wróżbę. Ale nawet wtedy, gdy usiłowała znaleźć słowa, by podziękować, do głowy przyszła jej myśl: to mi nie wystarcza.

Tak, oczywiście, pragnęła, by występ się powiódł. Lęk, który czuła dzisiaj, uświadamiając sobie, że uroczystość jest już tak blisko, pokazał jej, jak bardzo potrzebuje sukcesu, nagrody za ciężką pracę. Ale to nie było wszystko... to nie był Jon...

Rose popatrzyła na nią bystro. Podeszła do lodówki i wyszukała sobie butlę - pocieszycielkę.

- Chcesz jeszcze spróbować? Dziewczyna znowu zadrżała.

- Tak.

---

<sup>\*\*</sup> Z opisu można sądzić, że jest to karta z tzw. Tarota Marsylijskiego, pochodzącego z połowy XVII w., posługującego się symbolami alchemicznymi (przyp. tłum.).

To dobry człowiek - mówił do niej Ben - mogłabyś trafić o wiele gorzej. Czyż mogła mu powiedzieć: „Tak, tatku, ale ja chcę trafić o wiele lepiej”? Prawdę mówiąc, nawet nie zauważała Henry'ego Suffolka, dopóki Ben nie zwrócił jej uwagi na spokojnego młodego człowieka.

- Wiesz - powiedział z namysłem, gdy Henry oddalił się po podrzuceniu Geeny do domu. - Nie wydaje mi się, żeby miał ochotę odejść.

- A niby dlaczego? - spytała z roztargnieniem.

- I wcale mu nie mam tego za złe - ciągnął Ben.

- Tatku! - Dlaczego ojciec był taki nieznośny? - O czym ty mówisz?

- O Henrym - odparł. - On cię lubi.

- Och, tatku! - zaśmiała się ze skrępowaniem. - Jesteś taki stronniczy, myślisz, że wszyscy mnie lubią!

- O, w tym przypadku wcale się nie mylę, uwierz mi. - Wydawał się bardzo spokojny. - I jestem pewien, że jego zamiary...

- Jego zamiary! - Natychmiast ogarnął ją gniew. - Tato, na litość boską, tylko raz z nim rozmawiałam!

- Chyba mi mówiłaś, że widziałas go kiedyś w osadzie, jak rozmawiał z chłopcami?

- No dobrze, więc dwa razy! - powiedziała obronnym tonem.

- Ale na litość boską... słuchaj, tatku, daj spokój, dobrze?

- Och, Geeno. - Ujął ją pod ramię i odprowadził w zacisze domku dla gości. - Obiecałem twojej matce zanim umarła, że kiedy nadejdzie właściwa pora...

- ...nie zapominaj o właściwym mężczyźnie!

Uśmiechnął się ze smutkiem, ale zlekceważył jej ironiczny docinek.

- Kiedy nadejdzie czas, obiecałem jej, dopilnuję żebyś założyła rodzinę z kimś, kto zapewni ci życie, o jakim dla ciebie marzyła. Z kimś, dla kogo będziesz całym światem. - Przerwał, potem ciągnął z trudem. - I nie sądzę, by tym kimś był Jon Koenig.



Uniosła się natychmiast gniewem.

- Dlaczego, co on takiego zrobił?

Spojrzał na nią z pełnym miłości współczuciem.

- O to właśnie chodzi, Geeno. Nic nie zrobił. Nie okazuje ci żadnego zainteresowania, ignoruje cię! A ja widzę, że umierasz z tęsknoty do niego, i to doprowadza mnie do szału! Mężczyzna, który nie widzi, jaka jesteś, ile masz do zaofiarowania, według mnie nie jest ciebie wart!

Ale on mnie kocha, wiem, że tak jest! - pragnęła krzyknąć. Jak jednak mogła przekonać ojca, skoro sama nie była tego pewna?

- No, a ten młody Suffolk - mówił Ben z powagą - to zupełnie inna sprawa. Jego rodzina to dobrzy ludzie, mili, uczciwi do szpiku kości. - Nie tak, jak Koenigowie - pragnął dodać, ale tego nie zrobił. - Jest solidny... rzetelny...

- I nudny jak flaki z olejem! - Jej gniewna twarz złagodniała, gdy spojrzała na ojca. - Och, tatku, tak mi przykro, nie chciałam tego powiedzieć. Ale ja go nie kocham, nie interesuje mnie, jeśli o mnie chodzi, mógłby być dwa razy miłszy i bardziej solidny...

Zapadła cisza.

- Kochasz Jona?

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Tego nie powiedziałam!

- Och, kochanie. - Nie miał zwyczaju okazywać uczuć, ale otoczył ją ramionami i przycisnął do serca. - Och, kochanie... nie musisz mi tego mówić.

- A teraz przypuścimy... - Rose plotła dalej, zatopiona w kartach, dopomagała sobie we wróżbach, pociągając solidnie z butelki - ...przypuścimy, że Walet Kielichów\* ...to ten młodzieniec

---

\* Inaczej Walet Kier. Kielichy należą do Arkanów Mniejszych, oznaczających życie, zakochanie, radość, nostalgię, pogodzenie ze stratą, wpływy przeszłości, oddalenie, zerwanie, stabilizację, szczęście w miłości. Karta waleta jest bliska znaczeniowo karcie Śmierci Arkanów Większych, ale oznacza rozmaite powikłania psychiczne, poszukiwanie czegoś, co nie istniało, chęć przekształcenia świata tak, by odpowiadał naszym wyobrażeniom, donkiszoterię, koszmary senne. Odwrócona - to ktoś, kto nie

tutaj, kawaler, czyli rycerz, młody książę w Orszaku Miłości. Przepuścimy, że wiąże się z Królową Buław<sup>\*\*</sup> ... -

Jedną dłonią mieszała razem wszystkie karty. - Królowa Buław to starsza kobieta, która często się gniewa, lubi kłótnie i bijatyki, gdy mężczyźni walczą o nią... I lubi młodych mężczyzn.

Co starała się przez to powiedzieć? Młody mężczyzna... Jon?

- Królowa Buław - ciągnęła dalej Rose swym śpiewnym głosem. - Nie lubi innych kobiet, jest trochę jędzą, tak mogłabyś powiedzieć. Ma silną wolę, ale jest niestała.

Jedyną kobietą na farmie, poza matką Jona, była ta dziwka z domku dla gości, ta Trisha...

Nie trzeba być magikiem, jak Gipsy Rose Lee, by to zrozumieć - pomyślała Geena z zamierającym sercem.

- Niestala?

- Płochą. - Oszłomione alkoholem i wizjami przyszłości oczy Rose podobne były teraz do sówich. - Niewierna.

Serce Geeny wywróciło koziołka. Po tej dziwce Trishy mogła się spodziewać wszystkiego. Przecież aż nazbyt wyraźnie okazała tej pierwszej nocy, że ma ochotę na Jona. Ale czy Jon pozwoliłby sobie na związek z Trishą? Czy mógłby to zrobić? Nie potrafiła w to uwierzyć.

- Musi postawić na swoim. A królowie i rycerze są jak glina w jej rękach...

Królowie i rycerze... Alex i Jon?

Pomimo upalnego wieczoru Geena zadrżała i poczuła chłód.

---

*przejawiał dotąd żadnej aktywności, a został do niej zmuszony, osoba o bogatej wyobraźni (przyp. tłum.).*

*\*\* Królowa Buław, czyli trefl. Buławy - należące do Arkanów Mniejszych - oznaczają m.in. wiedzę, nieznaną horyzonty, poszukiwanie, zwycięstwo, determinację, zakochanie, powikłania. Królowa Buław symbolizuje przedsiębiorczość, seks i rozkosz, dobrą znajomość siebie, swoich potrzeb i pragnień; osobę sympatyczną, wyrozumiałą i przyjacielską. Odwrócona - to wulgarność w miłości, niestałe, niepewne uczucia, przykrości i porażki (przyp. tłum.).*

## Rozdział dwudziesty szósty

Dlaczego dręczył go niepokój o Ellie? I dlaczego wini! za to Triszę?

Boże, była piękna nawet z samego ranka, kiedy inne kobiety cuchnęły jak psie legowisko - pomyślał z żalem, wchodząc do jej pokoju. Piękna i diabelska.

- Masz drinka? - zapytała agresywnie, zaraz po obudzeniu, jak to zwykle ostatnio robiła. Piła teraz o wiele za dużo, zresztą oboje pili w nadmiarze.

- Trzymaj - powiedział, podając jej gładką, chłodną butelkę. Podniosła się z wysiłkiem na łóżku, rozczochrana, z przymkniętymi oczami, ale wciąż wspaniała. Usiadł obok niej, wdychając jej mocny, słodki zapach, i próbował odzyskać choć w części poprzedni nastrój.

- Prawie załatwione! - rzucił lekkim tonem. - Właśnie dowiedziałem się, że wraca pani Matsuda. Jestem niemal pewny, że nam się udało, sprzedaż murowana!

- Najwyższy czas, do cholery! - sarknęła. - Jeszcze tydzień w tej dziurze, a zwariuję, po prostu oszaleję!

- No cóż, teraz masz tylko być miła dla pani Matsuda, odgrywać panią domu, tak jak tylko ty to potrafisz, uśmiechać się podczas corroboree niczym królowa Anglii, i sukces pewny! - Urwał. - I nie pij za dużo, hm? Och, i jeszcze jedno. - Uśmiechnął się szeroko. - Wiem, że każdy, kto ma czelność zakłócić pokopulacyjny nastrój panny Trishy, zasługuje na to, by powiesić go za kciuki, z zapalonymi zapałkami pod paznokciami. Ale nie możesz tak po prostu wyrzucać ludzi w Koenigshausie, jak zwolniłaś wczoraj służącą. Ellie i Rose są faktycznie członkami rodziny. Przygotuj się. Ona tu wróci.

Oczy Trishy zabłyśły.

- No cóż, więc będę musiała ją znowu wyrzucić!

Pochylił się i złapał jej nadgarstek, ściskając go mocno.

- Nie słuchasz, kochanie. Nie ty przyjmujesz do pracy i wyrzucasz ludzi w Koenigshausie, tylko ja. A kiedy Ellie się pojawi, przyjmiesz to spokojnie i będziesz dla niej miła, dobrze?

Na twarzy Trishy odmalowała się cała gama uczuć.

- Spałeś z nią! Dlatego nie chcesz, by odeszła! Głos miał nadal łagodny, ale twarz mu skamieniała.

- Lepiej wbij to sobie do głowy, moja kochana, że nawet dla twego pokornego sługi istnieją sprawy ważniejsze niż seks. Na przykład sprzedaż Koenigshausu. A to uda się tylko wtedy, jeśli nikt się nie będzie mógł do nas przyczepić! Kto zechce kupić posiadłość z urażonymi tubylcami, bez służby kuchennej, jeśli będzie czuł, że coś tu cuchnie?

Urwał, oczy mu błyszczały.

- Gównu mnie obchodzi Ellie czy jakaś inna mała dziwka, powinnaś znać mnie na tyle, by to wiedzieć! Ale nie chcę, by ona... lub ktoś inny... zrobił scenę właśnie wtedy, gdy cały Koenigshaus powinien pachnieć jak ogród różany dla pani Matsuda! Ciebie też to dotyczy! - Ze złością ścisnął silnie jej drugą rękę i pochylił się do przodu, z groźbą w każdej linii napiętego ciała. - Zrozumiałaś wreszcie? Czy mam ci dać nauczkę?

Jon siedział w biurze pod koniec kolejnego dnia bezowocnych poszukiwań. Miał wrażenie, że po raz setny sprawdza to, co udało mu się odkryć do tej pory - i zastanawiał się, dlaczego robi tak małe postępy. Boże wielki, wiedział, czego szuka, nie tracił z oczu tego drania i wciąż nie mógł znaleźć sposobu, by go pokonać!

Odchylił się do tyłu w krześle Phillipa i patrzył, jak Ben wychodzi z biura, by wrócić do domu i przebrać się do kolacji. Zresztą będzie musiał wkrótce zrobić to samo. Ale następny dzień ciężkiej pracy powinien przynieść jakiś rezultat, przecież coś tu musi być...

Gdyby tylko potrafił to znaleźć!

Uświadomił sobie z przykrością, że główną przeszkodą było to, że nie miał pojęcia, jak wyciągnąć potrzebne informacje z komputera. Dzięki krótkiemu podstawowemu wykładowi Bena dowiedział się tylko, jak dostać się do głównych programów. Każdy, kto umiał więcej od niego - to znaczy praktycznie wszyscy, których znał - mógł przechowywać na dysku, co tylko chciał, bez niczyjej wiedzy.

Zaczynał rozumieć, że nic już więcej nie znajdzie. O ile rzeczywiście było coś do znalezienia. Jeśli ten dowód, którego szukał, w ogóle istniał, to o wiele bardziej prawdopodobne było, że składała się na niego pajęczyna najłżejszych poszlak, które należało zestawić, by z mozołem odcyfrować winę Charlesa. Do odkrycia ich nie wystarczało samo pracowite przeszukiwanie, a Jon tylko do tego się nadawał.

Jak to się często zdarza, największy sukces osiągną) na samym początku.

Kiedy natrafił na udział Charlesa w Operacji Kingdom, dowodzący, że stryj był zaangażowany w ambitny program spekulacji, który powalił firmę na kolana, uznał, że ma cel w zasięgu wzroku. Ale od tego czasu - nic!

Dlaczego jednak upierał się, że klucz do wszystkiego jest tutaj, w tym pokoju, stanowiącym centrum nerwowe Koenigshausu? W tym biurze, gabinecie i palarni pana domu, z wyraźną atmosferą starych tajemnic i nowych planów? Rozglądał się ponuro po pokoju z dogodnego miejsca za biurkiem ojca. Stwierdził, że coraz częściej tu przesiaduje, bez zastanowienia wybierając zabytkowe, podobne do tronu krzesło Phillipa. Czy przymierzał się do roli władcy „Królestwa” na te kilka godzin, zanim utraci wszystko na zawsze? Jeśli Alex mówił prawdę o przyjeździe pani Matsuda, sprzedaż Koenigshausu była już przesądzona i nic na to, u diabła, nie mógł poradzić!

Z mieszaniną uczuć zbyt intensywnych, by mógł je nazwać, przyglądał się przedziwnej kombinacji nowego i starego, która zawsze była dla niego symbolem Koenigshausu. To, co najlepsze w przeszłości dotrzymywało kroku temu, co najkorzystniejsze w

teraźniejszości. Patrzył bezmyślnie na elektroniczne zdobycze międzynarodowej nowoczesnej technologii, harmonijnie współgrające z meblami ze starego świata, ciężkim biurkiem i krzesłami, przestarzałym sejfem...

Sejf.

Ale dlaczego tato tak się upierał, by go tu trzymać? Phillip był konserwatywny, ale nie sentymentalny, zachowywał takie starocia tylko wtedy, jeśli czemuś służyły. Nigdy nie pozwoliłby, by zabierały miejsce jedynie przez pamięć dawnych lat. Więc jakiemu celowi służył ten sejf?

Musi być w nim coś, czego nigdy nie powierzyłby komputerowi, nawet gdyby potrafił ukryć to jak najsprytniej.

Ogarnęło go gorączkowe podniecenie. Co tato tam ukrywał? I gdzie, gdzie schował szyfr, otwierający skrytkę? To musiała być szóstka cyfr, wszystkie stare sejfy miały po sześć zapadek. Myśli Jona pędziły szaleńczo, patrzył tępym wzrokiem na starą, dawną fotografię Phillipa, wiszącą nad wielkim sejfem krytym mosiądzem: Phillip Johann Koenig... Head Boy... 1948-49...

Och, ten stary, sprytny drań!

Jon omal nie wybuchnął śmiechem. Mama szukała i on sam, Bóg wie kto jeszcze przewrócił wszystko do góry nogami, a rozwiązanie było tutaj, przez cały czas! Takie oczywiste, mogło komuś odgryźć nos, gdyby podszedł trochę bliżej! Jakie to podobne do Phillipa, że zawsze musiał śmiać się ostatni.

1948-49.

A może 19-48-49?

Powoli, spokojnie podniósł się na nogi. Był teraz niezmiernie pewny swego. Podszedł do sejfu i przykleknąwszy, dotknął centralnej tarczy. Trudno ją było poruszyć, zbyt długo nikt jej nie używał, ale jego palce pewnie nastawiły koło.

19.

Nie musiał czekać więcej niż sekundę, by usłyszeć, jak ciężka zapadka porusza się z wahaniem, a potem opada.

48.

Znowu ten oczekiwany stukot.

49.

Stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk. Obrócił rączkę rygla i otworzył drzwi. Nic.

Niczego tam nie było.

Cokolwiek oczekiwał tam znaleźć, mylił się całkowicie. Głębokie półki, wypełniające przestrzeń wielkości dużej lodówki, były zupełnie puste. Poczuł gwałtowny zawód, którzy przekształcił się w oburzenie.

Na samym dole, pod najniższą z półek znajdowała się płytka szufladka na akta. Otworzył ją obojętnie. W środku leżało kilka kartonowych teczek, zniszczonych, pogiętych i pokrytych wieloletnim kurzem. Prawdopodobnie spis rzeczy do prania z czasów ojca taty! - pomyślał Jon z bezsilną wściekłością. Otworzył okładkę jednej z nich.

*RAPORT DOTYCZĄCY HELEN GRACE WILLIAMS.*

W pierwszej chwili nie potrafił tego zrozumieć.

*Przygotowany dla pana Phillipa Koeniga z Koenigshausu przez Neville'a Harveya, prywatnego detektywa, Darlinghurst, Sydney... WILLIAMS.*

To było panińskie nazwisko matki. Jednak nie mógł dać temu wiary, nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Tato kazał śledzić mamę, zanim się z nią ożenił? Ale dlaczego? Zahipnotyzowany, pełen lęku, zaczął czytać wyblakłe strony maszynopisu.

*Panna Williams jest obecnie zatrudniona jako pracownik sezonowy na farmie Golden Mountain, w sąsiedztwie Koenigshausu. Znana jest jako osoba spokojna i zamknięta w sobie, dobra pracownica, która woli stać na uboczu. Wydaje się, że utrzymuje kontakt jedynie z panem Charlesem Koenigiem, który bywa tu stale, i od ponad sześciu miesięcy uchodzi oficjalnie za jej przyjaciela.*

Stryj spotykał się z mamą przez sześć miesięcy? A jak długo znał ją przedtem?

Jon natychmiast przypomniał sobie, co Helen mówiła o Charlesie. „Znaliśmy się wcześniej”. To było coś więcej niż krótka i przelotna znajomość, jak mu się zdawało.

*Życie panny Williams przed przyjazdem tutaj okryte jest tajemnicą. Niewiele mówi o swej rodzinie, a inni pracownicy zauważyli, że niechętnie opowiada o sobie. Ale przyznała się koleżance, że opuściła dom, by podróżować, ponieważ nie żyła w zgodzie z ojcem. Wygląda na to, że miał on bardzo despotyczny charakter i uważał, że ma prawo kierować życiem swej jedynej córki.*

*Udało się odszukać inne farmy, na których dorywczo pracowała panna Williams. Wszędzie żegnano ją z żalem, gdy odchodziła. Kilku dawnych pracodawców chętnie zatrudniłoby ją na stałe, ale panna Williams zawsze odmawiała. Mówiła, że marzy o podróżach. Najwyraźniej gromadzi oszczędności, by zwiedzić cały świat.*

*Nie odkryto przypadku skazania żadnej kobiety o tym nazwisku.*

Jon przysiadł na piętach, oszołomiony. Nagle przed nim tak wyraźnie stanęła młodzianka Helen, cicha i uczciwa, pielęgnująca swoje dziewczęce sny o podróżach i ucieczce, że poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

Chciała podróżować dookoła świata, a dotarła tylko do Koenigshausu. Uciekła od despotycznego ojca, który rządził jej życiem, a poślubiła Phillipa, który po prostu zajął miejsce tego starego brutala.

I Helen... Helen, tak otwarta i ufna, z dziewczęcą wiarą w miłość i romans... właśnie ona poślubiła człowieka, który zniżył się do tego, by ją sprawdzać przez detektywa? Dziewczyna, która marzyła o podróżach, przywiązana była do człowieka, który zostawiał ją samą w domu, czasem na wiele miesięcy, za każdym razem, gdy wybierał się do Francji, Niemiec, USA?

A jednak nadal była tak samo naiwna.

Dlaczego tak gorączkowo chciała dostać się do sejfu w dzień pogrzebu taty?



Czy tego szukała? Czego mogła się obawiać? A może spodziewała się czegoś innego, bardziej mrocznego, co mogło ją skompromitować, pokazać, że zamieszana była w zabójstwo Phillipa? Bo w tej chwili widział mężczyznę, którego poślubiła, jak gdyby patrzył oczyma kobiety, która przestała go kochać.

Czuł, jak ogarnia go mdlący lęk. Dlaczego tak robiłeś, tato, dlaczego musiałeś ją szpiegować? - Płakał w duszy. - Jak mogłeś tak postąpić, jak mogłeś nawet o tym pomyśleć? I to właśnie w stosunku do mamy...?

I nie tylko wobec mamy. Gdy otwierał drugą teczkę, wiedział już czyje życie tam znajdzie, obnażone i poszarpane na strzępy.

*RAPORT DOTYCZĄCY TRUDI MARIII KOENIG, Z DOMU FOSTER.*

Pierwsza żona. No cóż, to było całkiem zrozumiałe, jeśli śledziło się jedną żonę, to czemu nie drugą? To był nawet ten sam detektyw, ci prywatni kapusie musieli nieźle zarabiać na lękach podejrzliwych mężów! Czując coraz większe obrzydzenie, Jon przerzucił zawartość akt o wiele grubszych niż w przypadku Helen.

*...Trudi Foster - pod tym nazwiskiem była znana pani Koenig w momencie ślubu. Wydaje się jednak, że nazwisko to przybrała w jakiś czas po opuszczeniu rodzinnego domu, usiłując ukryć prawdziwą tożsamość...*

*...przyszła na świat w niezwykle biednej rodzinie, w gospodarstwie rolnym na północ od San Carlos w okręgu Henderson w Teksasie, jako CindyLou Robards. Najstarsza z licznego rodzeństwa, opuściła dom po tragicznej śmierci bliskich. Ojciec, znany powszechnie pijak, najwyraźniej wpadł w szal i zastrzelił wszystkich członków rodziny. CindyLou ocalała dzięki temu, że w tym czasie pracowała w sąsiedztwie. Natychmiast po strzelaninie opuściła miasto i nigdy tam nie wróciła.*

*...następnie została zatrzymana jako nieletnia uciekinierka w Los Angeles. Wysunięte przeciwko niej oskarżenie o prostytutkę i handel narkotykami zostało odrzucone z braku dowodów.*

*Umieszczona w rodzinie zastępczej, wróciła pod opiekę Wydziału do Spraw Dzieci w Los Angeles, gdy przybrana matka oskarżyła ją, że usiłowała uwieść jej męża i nieletniego syna. Uciekła potem z zakładu poprawczego dla dzieci, gdzie oczekiwała na skierowanie do następnej rodziny zastępczej.*

*...potem ślady prowadzą do San Francisco, gdzie pracowała trochę jako modelka, trochę występowała na scenie, odnosząc pewien sukces. Nieznane źródło dochodu, ale styl życia rozrzutny, podejrzewana o prostytutkę. Dwa lata później pojawiła się w Nowym Jorku jako towarzyszką znanego biznesmena, którego legalne interesy były, jak sądzono, przykrywką dla przestępczej działalności, w tym handlu narkotykami. Dzięki niemu uzyskiwała dostęp do wyższych sfer i organizacji charytatywnych Nowego Jorku, gdzie poznała pana Phillipa Koeniga...*

A reszta, jak mówią, to już historia...

Czując zawrót głowy, Jon odłożył akta i oparł się o ścianę, usiłując wszystko przemyśleć. Mimo suchego stylu raportu detektywa nie mogło być wątpliwości, jakie znaczenie miało to, co przeczytał. Tato ożenił się z dziwką! Jego pierwsza żona była wesołą panią, amatorką-prostytutką, zamieszana w sprawy narkotyków, gorzej... związaną z ludźmi, którzy nimi handlowali, o ile detektyw miał rację co do jej ostatniego przyjaciela!

Jak mogła tak oszukać tatę, dlaczego nie zauważył tego wszystkiego od razu, gdy się spotkali?

A jednak, jak mógł się zorientować? Jeszcze młody, przekonany o swojej mądrości, prosto z interioru, został olśniony przez amerykańską damę z towarzystwa, nie miał powodu, by nie wierzyć w jej słowa. To naturalne, że poddał się szaleńczemu romansowi i podniecającej wizji tryumfalnego powrotu do Koenigshausu z przepiękną żoną, ku wścieklej zazdrości wszystkich sąsiadów. Tak musiało być i aż nazbyt łatwo to zrozumieć.

Nie mógł o tym wszystkim wiedzieć, zanim się z nią ożenił. Mężczyzna taki jak Phillip nigdy nie poślubiłby kobiety, która źle się prowadziła, a co dopiero takiej, która zarabiała w ten sposób na życie...

A to znaczy...

Pośpiesznie spojrzął na okładkę zniszczonej i spłowiałej teczki, szukając daty. *Raport opracował i podpisał... no, dalej, dalej!... Neville James Harvey, dnia 12 czerwca 1969 roku...*

Zdawał sobie sprawę, że musi to jeszcze sprawdzić. Ale i tak wiedział, że Phillip żył sobie szczęśliwie z pierwszą żoną przez wiele lat, lat, które obdarzyły ich ślicznym synkiem. Z rozmów po powrocie Alexa wywnioskował, kiedy miał miejsce ów fatalny wypadek, który pozbawił tego trzynastolatka matki i skłonił go do ucieczki z domu.

1969.

Jon pojął, z mrozącą krew w żyłach pewnością, że Phillip otrzymał i przeczytał raport w sprawie Trudi Koenig zaledwie na tydzień lub dwa przed jej śmiercią.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Przywołując uśmiech, jak inni mężczyźni sięgają po ukryty w kieszeni krawat, by skompletować strój, zanim pojawią się w towarzystwie, Alex spiesznie zbiegł z wieży po schodach, kierując się do kuchni. Na zewnątrz noc zapuszczała kurtynę błękitu, purpury, indygo i głębokiej czerni, zasłaniając płonąca czerwień i złoto kolejnego tropikalnego zachodu, ale on nie miał teraz czasu, by gapić się na gwiazdy. Śmigłowiec był już w drodze, a Alex ciągle nie miał pojęcia, czy kolacja będzie gotowa na czas... a jeśli tak, to czy będzie się do czegoś nadawać. Właśnie tak wyobrażał sobie koszmar senny.

Nie wolno mu jednak zapomnieć o uśmiechu dla ekipy kuchennej...

- Co słyhać, moje panie?

Dookoła niego Helen, Geena i kipiąca gniewem Rose pracowały jak szalone. Helen przyrządzała wyśmienitą wołowinę z Koenigshausu, Geena kroїła jarzyny, niczym automat, a Rose

zonglowała kawałkami melonów, winogron, pomidorów, pieczarek i krewetek.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała odruchowo Helen.

Boże, ale okropnie wygląda, odkąd Charles ją rzucił - zauważył Alex. Nie może pozwolić, by przez ten swój wygląd utrudniła sprzedaż Koenigshausu!

- Głowa do góry! - przemówił zwycięsko. - Znajdź uśmiech dla Jona, jeśli nie dla pani M., on będzie potrzebował twojej pomocy, by zachować dziś pogodę!

- O tak - odpowiedziała Helen niewyraźnie.

- A jak tam moja Rosie?

Gospodyni zwróciła się ku niemu z jadowitym błyskiem w oku.

- Nie mam pojęcia, jak sobie poradzimy bez Ellie, tego leniucha! Nie szkodzi, że się nie zjawiała ostatniej nocy, na kolacji była tylko rodzina. Ale dzisiaj! Musi ją pan wyrzucić, panie Alexie, zostawiła nas w takiej chwili!

Chryste, ależ się uwzięły na tę małą dziwkę!

- Nie ma się czym denerwować, Rose - zapewnił ją. - Ona nigdzie nie poszła, zaraz się tu zjawi, daję słowo!

- Niech tylko się pokaże, to skręcę jej kark! - oznajmiła Rose, wracając z wściekłością do krewetek.

- Więc wszystko będzie w porządku? - spytał pogodnie, próbując siłą woli skłonić je, by się sprężyły i stanęły w gotowości bojowej. - A Charles pojechał na lotnisko, by zabrać gości? To świetnie!

Nagle zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak wodzirej, mógłby podkrecać widownię, niczym jakiś cholerny ewangelista z telewizji.

Tylko spokojnie - mówił do siebie, żegnając się z wdziękiem - tylko spokojnie, chłopie. Zostało ci jedynie pójść do domku gościnnego i upewnić się, że panna Trisha wzięła się w garść, jak jej kazałeś, a sukces masz prawie jak w banku!

- Mielicie dobry lot?

Pani Matsuda uśmiechnęła się.

- Zawsze mam dobry lot. - Niedbale wskazała postać, która wychodziła za nią po schodkach z helikoptera, z rękami pełnymi teczek i akt. - Tak samo Craig. A ty, Charles? Dobrze się czujesz?

- Nieźle - odpowiedział krótko Charles. - Jedźmy już, dobrze?

Nie mają prawie wcale bagażu - zauważyła praktyczna część jego mózgu - to znaczy, że zostaną krótko, uzgodnili już swoje warunki i nie sądzą, abyśmy mieli jakieś zastrzeżenia. W porządku, poznajmy ich ofertę. I zobaczymy, czy to dobre nowiny, czy złe.

- Tym razem bez Helen?

Buckley zawsze potrafił wszystko wywęszyć jak terier - pomyślał z goryczą Charles. Wydawało się, że widzi, jak kobiety miotają się w panice, próbując zrobić w ciągu kilku godzin to, na co powinno się przeznaczyć cały dzień. No cóż, Craig nie będzie miał okazji, by się czegoś doszukać!

- Zawsze jeździmy na zmianę po Koenigshausie - powiedział swobodnie. - A ponieważ dzisiaj moja kolej, pomyślałem, że mógłbym pokazać wam coś, czego nie widzieliście ostatnim razem. Nie trzeba będzie zanadto zbaczać. I warto to obejrzeć, zwłaszcza w taki wieczór jak dziś.

Nie przerywając pogawędki, skierował dżipa w kierunku zachodzącego słońca.

- Wiem, że kiedy byliście tu poprzednim razem, widzieliście jezioro z helikoptera - powiedział. - Ale wtedy było tam stado, to miejsce wygląda zupełnie inaczej, gdy nikogo tam nie ma. Sądzę, że potraficie je docenić.

Gdy to mówił, zbliżali się do grani wielkiej, naturalnej niecki. W ukośnie padającym świetle zdawało się, że osobliwe, jakby na wpół ożywione drzewa, gromadziły się wokół skał, niczym tancerze na wielkim corroboree, drżący z niecierpliwości. Wielka tafla wody odbijała, jak zwierciadło, olbrzymią ścianę odwiecznego piaskowca i mieszczącą się w niej jaskinię.

Wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech. Nawet na Buckleyu zrobiło to wrażenie, a pani Matsuda upajała się tą scenerią w całkowitym milczeniu.

- Chcecie wysiąść? - spytał Charles.

Goście wygramolili się z dżipa i przeszli kilka kroków. W górze stado lorys tęczyowych rozproszyło się, krzycząc z lęku, a od strony wody doleciał nocny zew żab, który zawsze przypominał Charlesowi przedśmiertne rżenie. Powietrze wokół ożywiła delikatna płatanina owadów, a nocne stworzenia poruszyły się w dziuplach, gotowe zacząć swój dzień, gdy tylko noc zapadnie.

Okrzyk pani Matsuda zdawał rozplýwać się w nocy.

- Aaaach!

- Yoshiko, co się stało, o co chodzi?

- Och, Craig, tam... spójrz!

Z reflekssem, który zawdzięczał chłopcym latom spędzonym w buszu, Charles wydostał się z samochodu i z latarką w ręku zaczął biec, zanim jego świadomość zdążyła zaplanować jakąś akcję. Nadal opóźniała się o sekundy, nawet o minuty, gdy szperający promień światła przeciął zapadające ciemności i zatrzymał się na skulonej sylwetce, wciśniętej pomiędzy dwa głazy. Jej głowa była skręcona pod kątem niespotykanym u żywych istot.

- No cóż, nie żyje, nie ma żadnej wątpliwości!

Można się było spodziewać, że policja stwierdzi fakt oczywisty - pomyślał Jon.

- Z pewnością! - rzucił. - Ale czy nie wiecie, kto to mógł zrobić? Wielki, krępy policjant, ubrany w cienki mundur koloru khaki, potrząsnął głową.

- A to ci dopiero pytanie - rzekł z ubolewaniem. - Gdybyśmy to wiedzieli, powiedzielibyśmy panu, prawda, Roscoe?

- No pewnie, George - odparł jego towarzysz uprzejmie. Był to jeszcze jeden wielki, jasnowłosy, muskularny Australijczyk, który wyglądał jak bliźniak swego partnera.

- Och, na litość boską! Wracam do domu! Jon wskazał głową odchodzącego Alexa.

- Muszę was przeprosić za pana Koeniga - powiedział niezręcznie. -Tyle dziś przeżył... wieczorem zjawili się goście... w interesach...

- Taak, ta japońska damulka, prawda? - wtrącił Roscoe z zainteresowaniem. - Ta, którą widzieliśmy u was w domu z jej przyjacielem? Która znalazła dziewczynę?

- To był jej doradca finansowy - poprawił go Jon. Boże, jeśli te dwa błazny wyskoczą z czymś takim w obecności pani M., Alex ich chyba zamorduje!

George zachichotał.

- O taak, „doradca finansowy”. To dobre określenie.

- To delikatna sprawa, George, bardzo delikatna - upomniał go Roscoe.

Jon miał idiotyczne wrażenie, że bierze udział w jakiejś surrealistycznej podwójnej grze. Od chwili, gdy samochód zatrzymał się w Koenigshausie, by wyrzucić z siebie bładą i zimną jak stal panią Matsuda, oniemiałego Craiga Buckleya i Charlesa, który skoczył za nimi jak tygrys, upiorny wieczór, na który się przygotowywał, przekształcił się w inny rodzaj koszmaru.

- Więc co teraz? - spytał głuchym głosem.

Roscoe cmoknął przez zęby i obaj policjanci wymienili spojrzenia.

- No cóż, ustaliliśmy tożsamość ofiary - powiedział w końcu.

- Wydaje się, że nie ma wątpliwości, że to Ellie Hands.

- Och, oczywiście, że to Ellie! - wykrzyknął z furją Jon. - Wszyscy tu ją znali, możemy potwierdzić, że to ona! - Musiał odwrócić oczy od żalostnego tobołka, leżącego w pobliżu. Takie podejście do śmierci Ellie zdawało się być obrazą dla jej szczątków. - Kto ją zabił, to chcielibyśmy wiedzieć!

- Zabił? Czy mówiliśmy, że ktoś ją zabił, George?

- Ja tego nie słyszałem, Roscoe.

Jon mógłby podrzucić następną linijkę tekstu, przyzwyczał się już do sposobu bycia tej koszarnej dwójki.

- To musi ocenić doktor, prawda, chłopcy?

- Patolog - poprawił George. - To znaczy, ten latający doktor w śmiesznym ubranku.

- Ale na razie - powiedział Roscoe wspaniałomyślnie - sędzę, że trzeba przyznać panu rację. To było morderstwo. Przynajmniej możemy powiedzieć, że ta młoda dama, która skończyła z twarzą zwróconą ku plecom, raczej nie postarała się o to sama.

- A skoro mowa o staraniu się - wtrącił George - sędzę, że zrobiliśmy już wszystko, co można. - Dał znak mężczyźnie, który pilnował ciała. -Lekarz sądowy i cała reszta zjawia się tutaj we właściwym czasie. A do tej chwili miej na wszystko oko, dobra? - Zwrócił się do Jona. - Podrzucić pana do domu?

Nikt ze zgromadzonych w jadalni nie myślał o jedzeniu. Przygotowane przez Rose Shrimp Supreme i Koenigshaus Surprise marniały po obu stronach wspaniałej pieczeni, nad której przyrządzeniem trudziła się Helen, i niegdyś apetycznych pagórków jarzyn, naszykowanych przez Geenę. Jon zaraz po przyjsciu zorientował się, że Trisha zajęła miejsce u szczytu stołu, przy barku z winem, i wlewała w siebie wyśmienite chardonnay, jak gdyby była to woda mineralna. Obok siedział Alex, bardziej ponury niż zwykle, a na końcu stołu skupili się razem w poszukiwaniu otuchy Helen, Geena i poszarzały na twarzy Ben. Pani Matsuda i Buckley położyli się już, nikt nie wiedział - razem czy osobno. Tylko Charles stał na uboczu, patrząc ponuro przez okno na busz zalany księżycową poświatą.

- Coś nowego?

Jon widział, że Alex żałował już, iż z furią wyniósł się z miejsca zbrodni. Chciał wiedzieć, co się działo. No dobra, może mu powiedzieć.

- Nic.

- Nic?! - niemal warknął Alex.



Wbrew woli Jon zareagował na ton głosu brata.

- Nie wrzeszcz na mnie, stary, to nie ja prowadzę śledztwo! Zaniepokojona Helen pośpieszyła wylać oliwę na wzburzone fale.

- Dziś nie mogą już nic zrobić - wtrąciła. - Jutro dowiemy się czegoś więcej.

- Więcej o nim, chciałaś chyba powiedzieć?

Dlaczego nawet głos Trishy brzmi teraz tak chrapliwie i nieharmonijnie pomyślała gniewnie Geena. Przypomina jakąś cholerną kakadu. I dlaczego musi przez cały czas gapić się na Jona? W następnej chwili przeszła ją wściekła zazdrość. A czemu on w ogóle zwraca na nią uwagę? Dlaczego on też tak na nią patrzy?

- O nim? - Zadając to pytanie, Jon podszedł do barku. - Co masz na myśli, Trisho?

Gdy sięgał po otwartą butelkę wina, obdarzyła go leniwym, kocim uśmiechem.

- To oczywiście, no nie? Tak, dolej i mnie, to wspaniałe wino. - Przyjęła kieliszek, robiąc z tego całe przedstawienie, potem ciągnęła dalej. - Na pewno została zabita przez męża, tego o którym ciągle mówicie.

- Przez Marka? - spytał Jon, który żywił to samo podejrzenie, ale nie chciał ryzykować oskarżenia człowieka być może niewinnego.

- Taak, przez niego albo jednego z tamtych - wycodziła Trisha. - Wydaje mi się, że to mógł być każdy z osady aborygenów. Wszyscy czarni są tacy sami.

Zapadło przykre milczenie. Potem Geena wstała powoli.

- Przepraszam - powiedziała bardzo wyraźnie. - Idę się położyć. Dobranoc. Jej drobne stopy zatupotały wyzywająco, gdy wychodziła w noc typowym krokiem tancerki.

- No cóż, myślę, że Geena ma rację - odezwała się z powagą Helen. - Ja też się pożegnám.

Towarzystwo rozeszło się po chwili, zostali tylko Jon, Trisha i pogrążony w myślach Alex, który najwidoczniej próbował ocalić co się da z gruzowiska swych nadziei.

- Więc powiedzieliście im, by zatuszowali sprawę? - rozpoczął bez żadnego wstępu.

- Komu?

Twarz Alexa wykrzywił gniew.

- A jak myślisz? Policji, a komuż by, jeszcze możemy doprowadzić do sprzedaży, jeśli przekonamy panią Matsuda, że nie będzie żadnego skandalu. Ci Japończycy dbają tylko o to, by nie było plotek.

Czy on stracił rozum? Jon patrzył na brata z narastającą wściekłością.

- Chryste, chłopie, zabito kobietę, a ty martwisz się tylko o tę cholerną sprzedaż! Kobietę, która pracowała dla tej rodziny od czasu, gdy była jeszcze dzieckiem. Kobietę, którą ty...

Zagryzł usta i urwał. Nie ma sensu wyciągać tego przy Trishy... ale jeśli kogoś Ellie powinna obchodzić, to przede wszystkim Alexa! Alex był bardzo blady.

- Nie praw mi kazania, Jon-Jon - powiedział spokojnie. - Po prostu weź się w garść i zrób co do ciebie należy, jak grzeszny młodszy brat, a gdy doprowadzimy do sprzedaży, zatroszczymy się, byś dostał tę farmę, o której była mowa, co?

Jon próbował się zaśmiać.

- Zapominasz o jednym, starszy bracie - powiedział równie szyderczo, jak Alex. - Ja nie chcę sprzedawać Koenigshausu! Nawet gdybyś ofiarował mi na własność dwadzieścia farm, ja chcę mieć tylko tę! Dla mnie to nie tylko pieniądze, okazja do zdobycia szybkiego szmalu, ale żywa istota, część nas wszystkich! A jeśli chcesz wynająć kogoś, by przekazał twoje polecenia tym dwóm zbirom, George'owi i Roscoe... no cóż, zamieść ogłoszenie w „The Australian”, stary, bo nie będę odwałał za ciebie brudnej roboty!

- Brudna robota, tak? - Alex odzyskał panowanie nad sobą. - A mnie się wydawało, że tylko to potrafisz robić, nie bardzo

nadajesz się do czegoś innego! Na całe szczęście jest tu ktoś, kto potrafi myśleć! - Wyprostował się niczym wąż. - Przepraszam - zwrócił się uprzejmie do Trishy. - Muszę złapać tych dwóch zbirów, jak ich nazwał Jon, zanim wrócą do miasta i rozpuszczą jęzory. Właściwie mogę porozumieć się z nimi przez radio. Nie zajmie mi to długo.

Wyszedł z pośpiechem.

Jon zacisnął pięści i oparł się pokusie, by wymierzyć sobie solidnego kuksańca. Jaki sens miała ta głupia kłótnia? Alex nadal ma wszystkie karty w ręku, nadal ma Koenigshaus...

Boże, co za wieczór! Najpierw odkrycie ukrytego archiwum ojca i jego obrzydliwych tajemnic, a potem to...

I Ellie... umrzeć w ten sposób, to żalosne życie zdmuchnięte w ten sposób...

Czuł, że musi zostać sam.

Zwrócił się ku Trishy, nadal rozwalonej na krześle. Bawiła się kieliszkiem, na twarzy miała wciąż ten niebezpieczny uśmiech.

- Dobranoc - powiedział lakonicznie.

Podniosła się na nogi.

- Taak, czas do łóżka. Odprowadzisz mnie?

Gdy schodzili po schodach od frontowych drzwi w pachnącą cynamonem noc, Trisha zaczęła o coś obcasem, potknęła się i niemal upadła.

- Czy mogę? - zapytała, biorąc go pod ramię. Szli powoli po trawniku, czuł dotyk jej pełnych, ciężkich piersi, i jego ciało zareagowało mimo woli. Jednak choć zauroczyła go ta fałszywa, zmysłowa kobieta, to wspomnienie drobnej, wiotkiej istoty w białej sukience, zaledwie przed paroma chwilami wychodzącej z jadalni z pełną prostoty godnością i pochyloną głową, sprawiło, że zrobiło mu się gorąco ze wstydu. Ale nie mógł zaprzeczyć, że kobieta u jego boku była o wiele potężniejszym źródłem gorąca.

- No, jesteście na miejscu!

Choć starał się, by jego głos brzmiał pogodnie i jowialnie, efekt był równie udany, jak marny żart. Trisha zignorowała go

całkowicie. Zrobiła krok w stronę Jona, potem drugi, aż dzieliły ich tylko cale.

- Alex nazywa cię małym braciszkiem - wyszeptała cicho. - I wiesz co? Uważam, że jesteś miły.

Wiedział, że powinien odejść, natychmiast. Ale to pochlebstwo było bardzo przyjemne.

- Taak - powiedział ironicznie. - Wszyscy to mówią.

W odpowiedzi uniosła dłoń i przesunęła długim, pomalowanym paznokciem po jego piersi, niemal dotykając sutka. Poczul, jak burzy mu się krew. Po raz pierwszy w życiu odczuwał powab doświadczonej kobiety, która wiedziała, czego chce. Teraz prowokująco odchyliła górę koszuli Jona i wsunęła pod nią dłoń, by czuć jego tors. Drugą ręką otoczyła mu szyję i powoli przyciągnęła w dół jego głowę, tak, by natrafił na jej usta.

O Boże, ależ umiała całować! Zauważył z rozbawieniem, że jego umysł nadal zachował pewną zdolność do kontroli, choć ciało płonęło niczym napalm. Dziko pragnął tej kobiety, mógł zrozumieć, dlaczego Alex pożera ją wzrokiem.

Ale jemu to nie wystarczało!

Boże wszechmogący - pomyślał na wpół z uśmiechem, na wpół z rozpaczą. Raz w życiu trafia mi się coś, jakby żywcem wzięte z pornosów, i tylko o tym mogę myśleć? Ale wiedział, że jest zgubiony... albo ocalony.

Spojrzał na Trishę, która kołysała się lekko w księżycowej poświacie. Ona mu nie wystarczała. To wspaniałe, kobiece ciało, cała ta pewność siebie, szyk, doświadczenie życiowe i przedsiębiorczość, nie wystarczały mu. Nic nie mogło się równać z drobną, mocną sylwetką, złożoną bardziej z mięśni niż tłuszczu, parą sarnich oczu i zwojem czarnych włosów, które niczego nie zawdzięczały sztuce fryzjerskiej.

O czym on dotąd myślał?

Jak mógł pozwolić, by rozwiało się to marzenie... o nim i Geenie, o ich wspólnej przyszłości?

Czy sądził, że interesował ją tylko jako pan na Koenigshausie, że nie kochałaby go, gdyby był jedynie zwykłym Jonem Koenigiem, który nie posiadał niczego poza sobą samym?

Gdyby to było prawdą, przeniosłaby swe względy na Alexa, jak tylko się pojawił. Ale tego nie zrobiła, wolała patrzeć na Jona tym zagubionym, ufnym wzrokiem małego żrebaczka, za każdym razem, jak się pojawiał. A on przechodził obok niej przez cały ten czas obojętnie, na próżno usiłując i odgrywać detektywa-amatora i zapobiec nie istniejącemu związkowi matki i Charlesa!

Matka...

I ojciec...

Już nigdy nie będzie mógł myśleć o nich jak dawniej. Okazało się, że nie są nieomylni, mieli swoje słabości, żalodne sekrety. Jeśli chodziło o ojca, był więcej niż słaby, nawet nikczemny, z tym wstrętnym szpiegowaniem kobiet, które podobno kochał. No cóż, jak to mówi Biblia... „mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną”<sup>\*...</sup>

Tak, najwyższy czas.

- Czas, bym się pożegnał - powiedział pogodnie. Zanim Trisha zdążyła zareagować, znalazła się w jego żelaznym uścisku i została trochę wepchnięta, trochę wniesiona na schody wiodące do domku gościnnego.

- Jesteśmy na miejscu! - Otworzył drzwi do jej apartamentu, zapalił światło i szarmancko przeprowadził ją przez próg. Potem wycofał się natychmiast i zamknął drzwi.

- Dobranoc!

Pawilon dla gości był okazałym budynkiem, każdy pokój oddzielała od pozostałych szeroka sień i korytarz. Odwrócił się plecami do apartamentu Trishy i lekkim krokiem, z jeszcze lżejszym sercem ruszył wyłożonym dywanem korytarzem tam, gdzie jak wiedział, znajdował się pokój Geeny.

---

\* Księga Rodzaju 2, 24, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, „Pallotinum”, Poznań 1989, wyd. IV.

Stanął pod drzwiami, zaczerpnął tchu, potem zapukał cicho. Zza drzwi wysunęła się drobna, wystraszona twarzyczka.

- Geena? - powiedział cicho. - Nie śpisz jeszcze? Słuchaj, czy mogłabyś przejść się ze mną? Chciałbym ci coś powiedzieć.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Jon miał już zawsze wspominać tę noc jako najważniejsze wydarzenie w życiu.

Gdy Geena, jednocześnie zdumiona i pełna obaw, wyśliznęła się przez drzwi, by dołączyć do niego, czuł z niedowierzaniem, jak zalewają go fale radości. Kiedy sprowadził ją po schodach domku dla gości, a potem pociągnął w noc, nie mógł uwierzyć, że znajduje się wciąż na ziemi, miał wrażenie że unosi się w powietrzu.

Kiedy podała mu z wahaniem rękę, gdy szli pod wielką, cienistą kopułą drzew, zdawało mu się, że dotyka niezwykle ptaka, tak delikatnego, że gdyby nie obchodził się z nim ostrożnie, niby z włóknem szklanym, mógłby złamać jakąś kruchą kosteczkę. A kiedy skłonił ją, by wyznała mu urywanym szeptem miłość, którą mogli cieszyć się już od dawna, gdyby nie był tal ślepy, i kiedy w końcu przypieczętowali pocałunkiem swoje porozumienie poczuł się naprawdę jak w raju.

- Och, Geeno...!

- Co?

- Nic.

- Jon... co się dzieje?

- Och... wszystko!

Oboje zaśmiali się cicho. Nagle Jon spoważniał.

- Potrzebuję cię, Geeno.

Jej oczy przepelniała tęsknota.

- Ja też cię potrzebuję.

- Nie, chciałem powiedzieć... naprawdę cię potrzebuję. Urwał. Ile może jej powiedzieć?

Uniosła jego dłoń ku swej twarzy i przytuliła do policzka.

- Kocham cię.

Spojrzał w jej oczy i odczytał w nich szczerość. Och, jej oczy...

Delikatnie przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował, z początku lekko, potem ze wzrastającą namiętnością. Czuł, jak jej drobne ciało drży w odpowiedzi na pocałunki. Zdziwiła go ta niezwykła mieszanina dziecięcej niewinności i kobiecej zmysłowości, zdawało się, że jest idealnym połączeniem wszelkich jego fantazji i tego, co w prawdziwym życiu najlepsze. I wszystko w jednym rozkosznym, pięknie zapakowanym pudełku.

Znajdowali się teraz w głębi lasu, gdzie nikt nigdy nie zachodził.

- Usiądźmy - powiedział cicho, gładząc jej rozjaśnioną twarz. Łagodnie usadził ją obok siebie na suchej, piaszczystej ziemi. Przyjęła ich w migotliwej ciemności, ciepła niczym żywa istota. Zdjął koszulę i rozesał ją na ziemi, potem położył na niej Geenę i wziął ją w ramiona.

Utkwiła w nim wielkie oczy, okrągłe i poważne jak u dziecka, które budziły w Jonie absurdalny zachwyty.

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku - wyszeptał, pokrywając jej twarz pocałunkami. W nagrodę mógł obserwować, jak jej delikatnie żyłkowane powieki trzepoczą i przymykają się, gdy mu uległa.

Wyciągając się niczym wielki kot, poddał się niespiesznej rozkoszy poznawania drobnego ciała, które mógł teraz nazwać swoim. Pod lekką sukienką wyczuwał zaokrąglone ramiona, zarys żeber i drobne, twarde kanty bioder. Jego dłoń powoli zbliżyła się do małych, ale zgrabnych piersi. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy stwierdził, że była już przygotowana, jej sutki były naprężone i spragnione jego dotyku. Pieścił ją z początku niezręcznie, potem z narastającą śmiałością otoczył palcami drobne piersi, aż z jej ust zaczęły wyrwać się niskie, gardłowe krzyki i ciche jęki pożądania.

Jak zwykle miała na sobie tylko prostą, luźną, bawełnianą sukienkę. Ostrożnie podciągnął ją powyżej bioder, a potem zsunął przez głowę. Teraz jedynie skąpa, dziewczęca bielizna oddzielała ich nagość. Nagle zapragnął Geeny tak, jak niczego dotąd. Zrzucił dzinsy, usiłując zapanować nad narastającą niecierpliwością, pragnąc oddać się kochaniu całą duszą. Pokrył ciało dziewczyny deszczem pocałunków, od ciepłego czoła i wilgotnej górnej wargi do zagłębienia przy kostkach u nóg. Reagowała na każdą pieszczotę przytływem pożądania.

Teraz jej ręce drżały, gdy pieściła jego uszy, linię szczęki i klatkę piersiową. Z czułością zsunął w dół skrawek jedwabnej koronki i odsłonił pierś Geeny, całując koniuszek, różowy jak rozpłomieniona słońcem róża, muskając atlasowe bruzdy aureoli zachwyconymi ustami.

Słyszał teraz jej oddech, krótki i ciężki.

- Och, Jon! - krzyknęła. - Och, Jon!

Trzymał ją przez chwilę w ramionach, chroniąc przed nagłym atakiem chłodnego nocnego powietrza. Potem przesunął dłoń kolistym ruchem od zagłębienia bioder w dół, aż palce natrafiły na jądro jej ciała i miłości.

Zadrzała jak ptak i przytuliła się do niego.

- Wszystko w porządku - wyszeptał znowu. Łagodnie przygotowywał ją czułymi pieszczotami, potem, kiedy zorientował się, że nadszedł już czas, wszedł w nią i wreszcie należała do niego.

Potem tulił ją w ramionach, pogrążony w radości, zbyt głębokiej, by wyrazić ją słowami. Ale wcześniej czy później będzie musiał przemówić.

Ile jej powiedzieć?

Gdy na nią spojrział, poczuł przytływ sił. Nowa miłość to szansa na nowe życie. Sam widział to dziedzictwo kłamstw i podejrzeń, które zostawił po sobie ojciec. Jaki sens ma miłość, jeśli nie możesz być szczerzy z osobą, którą kochasz? Zacerpnął głęboko tchu.



- Słuchaj, Geeno. Powód, dla którego trzymałem się od ciebie z daleka odkąd umarł tato... nie ma z tobą nic wspólnego. Rzecz w tym... że nie mogłem zgodzić się, że śmierć taty to wypadek.

- Co? - Jej oczy szeroko otworzyły się ze zdziwienia. - Myślisz, że to było zaplanowane? Ze został zamordowany?

Skinał głową z powagą, nadal obejmując mocno dziewczynę.

- Taak, tak sędzę.

- Ale kto...?

- Tego właśnie nie wiem.

- Ale myślisz...?

Musiał być ostrożny, nawet z nią.

- Sędzę, że tato został zamordowany, bo nie chciał nic zrobić, by ratować firmę, ocalić Koenig Holdings. Pragnął tylko zatrzymać Koenigshaus i nic więcej go nie obchodziło. - Urwał. - Myślę, że ktoś chciał się go pozbyć, aby można było sprzedać farmę i uporządkować interesy.

Zapłonęła gniewem i oburzeniem.

- Jon, musisz iść na policję! Zaśmiał się gorzko.

- Sędzisz, że o tym nie myślałem? Ale nie mam dowodu! - Potrząsnął głową. - Nie mogę nic im pokazać na poparcie tego, o czym mówię.

- Nic? - Pomyślał, że dziewczyna zna go już tak dobrze, jak on siebie. - Nie miałbyś takich podejrzeń, gdybyś ich na czymś nie opierał. Musisz coś mieć.

- Och... - Wzruszył ramionami. - No cóż, mam słowo Dusty'ego... słowo aborygena, który potrafi czytać ślady jak nikt. Rozkład lotów, z samolotem, którego nikt nie widział, a który był słyszany przez jednego zaspanego poganiacza. Mogli nim przylecieć z Sydney zabójcy taty. I żadnych świadków.

- Coś jeszcze?

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

- Mój instynkt.

Uścisnęła gorączkowo jego dłoń.

- Mnie to wystarcza.

- I komu jeszcze? - Zwrócił się ku niej gwałtownie z rozpaczą. - Spójrz tylko na to, Geeno. W oczach wszystkich jestem przegrany, chłopak, który został pozbawiony dziedzictwa i nie potrafi znieść myśli o sprzedaży farmy. Narobiłbym tylko zamieszania, prawda? A gdybym zaczął mówić o morderstwie, zwłaszcza teraz, gdy ostatniej nocy zdarzył się następny przypadek nagłej śmierci... kto uwierzyłby choć w jedno moje słowo?

- Ja. - Jej niski, miękki głos był teraz stanowczy i zdecydowany. - I mówię ci, że powinieneś powiedzieć o tym policji, po prostu poinformuj ich o swoich podejrzeniach, a oni niech zajmą się resztą, to ich zawód! - Jej ramiona nadal obejmowały go w pasie, przytuliła go gwałtownie. - I słuchaj, nie będzie lepszej okazji, policja jest już tutaj i przeszukała teren wokół jeziora!

Boże, przecież ona ma rację! W jej ustach brzmiało to tak prosto. Znowu porwał ją w ramiona.

- Geeno, kocham cię!

Dla żartu udawała, że z nim walczy.

- Po prostu idź i powiedz im wszystko, co wiesz. Zrzuć to z serca, nie będziesz już musiał się o nic martwić. Zrobisz to, co uważasz za słuszne, i jak będziesz to miał z głowy, będziesz wolny. - Spojrzała w górę z przewrotnym uśmiechem. - Wolny dla mnie. Tylko dla mnie!

- Udało ci się połączyć z policją?

Znowu piła - pomyślał Alex, odbierając Trishy butelkę - czy nigdy nie przestanie? Nawet na jej doskonałej cerze znać już było skutki pijaństwa, wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną, to nie była ta sama kobieta.

- Taak - odpowiedział zwięźle, gdy wszedł do apartamentu. - Złapałem ich przez radio, kiedy wracali. I tak by chyba trzymali gęby zamknięte na kłódkę, to porządne chłopaki. Ale wolałem się upewnić.

- Chcesz drinka?

- Nie. - Próbował się uśmiechnąć. - Teraz mam ochotę tylko na jedno przed snem. - Zaczął zbliżać się do niej, czuł rosnące podniecenie.

Ale ona odepchnęła go.

- Alex, słuchaj, właśnie myślałam...

Obudziła się w nim wściekłość, niczym chłodny ogień.

- Chciałaś chyba powiedzieć „popijałam”, prawda, kochanie? - dociekał. Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Słuchaj, draniu... tamtego dnia, kiedy ta mała dziwka wtargnęła do nas, kiedy wyrzuciłam z pracy tę jak-jej-tam...

- Ellie - powiedział odruchowo.

- Taak, o niej mówię, no... coś zobaczyłam w nocy, wtedy, kiedy musiała zginąć...

O, nie!

Nie miał zamiaru tego znosić.

Teraz, kiedy sprawa sprzedaży wisiała na włosku, jedyną nadzieją było bezbolesne, szybkie, ciche śledztwo, zakończone jednoznacznym werdyktem.

Alex nie miał zamiaru pozwolić boskiej panie Trishy na odgrywanie głównej roli świadka w sprawie o morderstwo, do której szykowała się niczym gwiazda filmowa do wielkiej sceny.

Złapał ją i przyciągnął do siebie, potem rzucił na łóżko.

- Nic nie widziałaś - pouczył ją, zdejmując marynarkę i rozluźniając krawat. Oczy mu płonęły. - Zdawało ci się tylko, że coś zobaczyłaś, prawda? Zrób sobie jeszcze drinka.

- Och, jaki piękny ranek, George!

- Roscoe ma rację, prawda, panie Koenig?

- Hej, chłopcy, mówcie do mnie Jon, dobra?

Jon, który po wejściu do domu niemal wpadł w ramiona dwóch krzepkich policjantów, uśmiechnął się do siebie, czując, że dziś łatwiej mu znosić ich dziwaczne poczucie humoru. Szczęście jest niesamowitym lekarstwem - pomyślał - potrafi zmienić ludzkie życie w jedną noc.

Ci dwaj oficerowie mogli być błaznami, ale dzisiaj zabrali się do pracy dość energicznie. Przyjechali do Koenigshausu, zanim ostatni spóźnialscy skończyli śniadanie i zanim pani Matsuda i jej doradca pojawili się, by uspokoić nerwy spiętego i wściekłego Alexa. Ale przybyli po to, by zobaczyć się z Jonem.

- Już po śniadaniu, panie Jonie? Czy moglibyśmy zadać potem panu kilka pytań?

- Nie, ale wszystko w porządku, nie jestem głodny, nie chcę nic jeść. Jak każdy świeżo zakochany, Jon nie potrzebował jedzenia. - Pytajcie o wszystko, co chcecie.

Zaczęli zbliżać się z obu stron, mówiąc raczej do siebie niż do niego, przerzucając się słowami na zmianę.

- Chcielibyśmy spytać, czy nie pojechałby pan z nami do osady czarnych...

- ...pomóc nam porozmawiać z kilkoma mieszkańcami...

- ...a zwłaszcza z Markiem...

- ...z Markiem Handsem, to znaczy...

- ...mężem zmarłej...

- ...sęk w tym, że oni niezbyt chętnie pomagają policji...

- ...zdarzały im się od czasu do czasu jakieś kłopoty z prawem...

- ...ale pana lubią...

- ...ufają panu...

- Dobra, dobra! - Jon podniósł do góry obie dłonie. - Oczywiście, że wam pomogę, zrobię wszystko, co będę mógł.

Niewiele brakowało, a powiedziałby im: No, już, przekonałście mnie. Tylko przestańcie tyle gadać, dobra?

Mógłby przysiąc, że pod drzewem siedzieli stłoczeni ci sami starcy, w tej samej pozycji, jak podczas jego ostatniej wizyty w osadzie. Nic się nie zmieniło od dwudziestu, czterdziestu lat, może dłużej, może od zawsze.

Jeśli coś kochał w tym kraju, to tę odwieczność, nieśmiertelny, niezmienny rytm. Wokół starych ludzi siedzących w centrum wioski nie ustawało życie, kobiety pracowały, dzieci się bawiły, konie skubały trawę, psy grzebały w ziemi. A na

samej górze - serce mu rosło na ten widok -zobaczył smukłą sylwetkę Geeny, która ćwiczyła gorliwie ze swą grupą, wprowadzając ostatnie poprawki do przygotowywanego występu. Ale ziemia po prostu trwała pod rozpaloną do białości kulą wiecznie płonącego słońca, z boskim lekceważeniem ignorując te ludzkie insekty, które biegały niespokojnie tam i z powrotem po jej obojętnej powierzchni.

Jon wysiadł z policyjnego gazika i jak zwykle został otoczony rojem podnieconych dzieci.

- Hej, witajcie chłopaki - zawołał, to wichrząc czyjeś włosy, to wymierzając żartobliwego kuksańca. - I dziewczyny! Ile masz już lat, Kristy, dwadzieścia jeden? Nie, nie możesz mieć tylko dwunastu, taka duża dziewczyna?

Wielkookie, chude dziecko przypominało mu Geenę w tym samym wieku.

- A właśnie, że tak!

- Niemożliwe!

- A tak!

Jon pogłodził krótkie i grube warkoczyki dziewczynki, podziwiając wstążki przypominające motyle.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć, muszę spytać twojej mamy!

Ze śmiechem oderwał się od grupki dzieci i natychmiast zauważył zmianę atmosfery. Wszyscy, od starców, którzy obserwowali obu policjantów spod przymkniętych jak u jaszczurek powiek, do młodszych mężczyzn, gromadzących się bez entuzjazmu przy ognisku, zareagowali na samo pojawienie się obcych lękiem i ukrywaną niechęcią.

- Cześć, Frank! Cześć Slim i James! - powitał Jon poganiaczy. - Jak tam? Wiecie, co się stało?

To wcale nie było pytanie.

- No pewnie - odpowiedział z zakłopotaniem Frank, uciekając wzrokiem.

- Cholernie paskudna sprawa - mówił Jon ze sztuczną pewnością siebie. - Musimy tylko sprawdzić kilka drobiazków, zadać parę pytań, to wszystko.

- Ty, szefie? - zapytał sarkastycznie Slim, a jego zwykle wesoła twarz była mroczna i nieruchoma. - Czy oni?

W jego głosie dźwięczała wyraźna wrogość, nie sposób było jej nie zauważyć.

- No, no, no - rozpoczął dobrodusznie George. - O co chodzi?

- Chyba nie są zadowoleni, że nas widzą, George - powiedział Roscoe.

- No cóż, nie byliśmy tu od dość dawna, to prawda.

- Prawda, wstyd przyznać. I więcej niż wstyd, to niedopatrzenie. - Roscoe zwrócił się do Jona. - Często tu wpadaliśmy, będąc dziećmi.

George kiwnął głową.

- Nie byliśmy pod Diabelską Skałą od... och, od wielu, wielu lat.

- Kawał czasu.

- Od lat szkolnych.

- Dobrych, dawnych, pamiętnych czasów.

- Taak, pamiętamy! - wtrącił agresywnie Slim. - Pamiętamy was obu ze szkoły... i później!

- Hej, chłopcy, spokojnie! - Jon był zaskoczony, usiłował odszukać w pamięci jakiś ślad, wyjaśniający to, co się tu działo. W okolicy wszyscy się znali, na obszarze wielu mil była tylko ta jedna szkoła, nie więc dziwnego, że Slim i pozostali pamiętali obu oficerów. Jon też ich znał, choć - rzecz jasna - raczej ze słyszenia, nie byli jego rówieśnikami, należeli raczej do pokolenia Alexa, więc musieli chodzić razem z nim do szkoły. Ale kiedy ta dwójka... w szkole, czy w trakcie swej kariery... zdobyła sobie tak złą opinię u aborygenów? A niezależnie od tego, czym zasłużyli na wrogość, nie ułatwiało to wcale prowadzonego śledztwa.

Ani George, ani Roscoe nie wydawali się tym zmartwieni.

- Chcieliśmy tylko wiedzieć, gdzie paru z was było przedostatniej nocy - wtrącił miłym tonem George, przyglądając wielką dłonią jasne włosy.

- Przede wszystkim nasz stary Markie - podjął Roscoe. -  
Mąż Ellie, Mark Hands, czy ktoś go widział?

Odpowiedzią na ich wysiłki była tylko ściana obojętnych spojrzeń.

- Tam jest jego chata - przemówił z ciężkim sercem Jon, odwracając się. Wskazał ją ręką. - To tam. - Nie mógł zachować neutralności i oczekiwać, że ludzie, których uważał za przyjaciół, zdradzą jednego ze swoich. Ale nie cieszyło go, że musiał wziąć na siebie rolę Judasza.

- Tatku, myślałam, że będziesz się cieszył!

Nie była pierwszą istotą, która zakochana młodzieńczą miłością stwierdziła, że ludzie starsi, poważniejsi nie są zbyt skłonni, by podzielać jej zachwyty. Od chwili, gdy Jon odprowadził ją do pokoju po tej błogiej nocnej wędrówce po zaczarowanym ogrodzie świeżo odkrytej miłości, Geena nie mogła doczekać się, by podzielić się nowinami z Benem. Więc ojciec myślał, że Jon tylko się nią bawi, ignoruje i traktuje tak, jak wszyscy Koenigowie swych podwładnych, a zwłaszcza kobiety? Umierała z chęci udowodnienia ojcu, jak bardzo się mylił, jak Jon pasuje do niej, do niego, do całej rodziny.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna go tym zaskoczyć, nawet najlepsze wieści wymagają odpowiedniego przygotowania. Oczekwała więc, by jak zwykle skończył jeść pośpiesznie śniadanie i poszli razem do biura, gdzie mogli być sami. Jak mógł nie dzielić z nią zalewającego ją szczęścia, w tak wspaniałym ranku, gdy słońce wschodziło niczym świeżo wybita złota gwinea, a ptaki ćwierkały i wyśpiewywały pieśni w gałęziach drzew?

Ale Ben siedział daleki, z poszarzałą twarzą, drobna żyłka koło oka, która zazwyczaj drgała mu po całym dniu spędzonym przy komputerze, zaczynała pulsować, choć był dopiero ranek.

- Jon? - Był wyraźnie przerażony.

- Tak, Jon! - odparowała z niepokojem. - Tatku, o co chodzi?

Ben wpatrywał się w ścianę, w podłogę, byle tylko nie spojrzeć na córkę.

- Och, Geeno! - Wydawało się, że tylko to potrafi powiedzieć.

- Tatku, o co chodzi? - pytała natarczywie. - Słuchaj, nie jesteś zadowolony, że nie zwraca na mnie uwagi. Teraz nie podoba ci się, kiedy to robi!

- Och, Geeno. Czy cię zauważa, czy nie... nie rozumiesz, że to bez różnicy?

- Nie, nie rozumiem! - krzyknęła z desperacją. - Na litość boską, tatku, co masz przeciwko niemu?

- Jest Koenigiem! - zawołał. - Jest cholernym Koenigiem, a oni wszyscy są tacy sami! Niszczą wszystko, czego się dotkną, są zepsuci i zarażają tym innych! A nikt tego nie wie lepiej ode mnie!

Zakrył usta dłonią, odwrócił twarz do ściany i zaczął cicho, bezradnie płakać.

W chacie Marka cuchnęło piwem i nie domytym mężczyzną, powietrze można było kroić nożem. Z ciemności dolatywał dźwięk podobny do donośnego chrapania, ale skulony człowiek, wsparty w głębi o ścianę, wcale nie spał.

- Nie wchodzić do mojej chaty bez zaproszenia! - zaskrzeczał, gwałtownie budząc się do życia. - Chcecie ze mną pogadać, to wyjdę!

Upłynęło kilka minut, zanim przysadzista, muskularna postać pojawiła się przed nimi, ściskając w dłoni jak zawsze puszkę piwa. Mark wzdrygnął się wyraźnie na widok mocnych i oskarżycielskich sylwetek obu policjantów, które rysowały się na tle słońca.

- Ja tego nie zrobiłem! - krzyknął histerycznie. - To nie ja, nigdy nie tknąłem tej dziwki!

- To ona była dziwką, Markie? - spytał z zainteresowaniem George.



- Dlaczego, Marku? - podjął Roscoe. - Co ona zrobiła, że ją tak nazywasz?

Ku przerażeniu Jona pijak zwrócił się w jego stronę, podszedł niepewnym krokiem i wskazał na niego drżącym palcem.

- Jego spytajcie! - wrzasnął. - Do cholery, jego spytajcie! On ją pieprzył!

- No, no, no!

- Patrzcie państwo!

Dwie pary jasnych oczu wpatrzyły się w Jona, przyprowadzając go o większy szok i konsternację niż samo oskarżenie. Czuł, że twarz pokrywa mu ciemny rumieniec, gdy wykrztusił odpowiedź:

- To śmieszne! Ja nigdy... nigdy jej nie tknąłem!

- Tak, no cóż... - powiedział George tonem uprzejmego zainteresowania. - Oni wszyscy tak mówią, prawda, Roscoe?

- Prawda, George, tak każdy może powiedzieć, no nie?

- Właśnie tak, do cholery! - wykrzyknął Mark z pijackim lamentem. - Wiem, że tak było, ona sama mi to powiedziała. A jego brat, on też ją pieprzył!

Twarze obu policjantów wyraziły silniejsze zaciekawienie.

- Brat pana Jona, Markie?

- To znaczy, pan Alex Koenig?

- Tak, oni obaj! Oni wszyscy!

- Oni obaj, mówisz?

- Mówisz, że w s z y s c y, Markie?

Nie, to się nie może dziać naprawdę - pomyślał tępo Jon. Lada chwila obudzę się i okaże się, że to zły sen. Ale ten makabryczny duet trwał, zrozumiał więc, że sytuacja może być tylko jeszcze gorsza.

- Oni obaj, tak powiedział, George?

- W s z y s c y, czy nie tak mówił, Roscoe? Policjanci jednocześnie pochylili się ku Markowi.

- Tak, wszyscy - wściekał się oszalały aborygen. - Stary miał ją także, on pierwszy! Zajął się nią, gdy skończył z Rose, bo była za stara! A potem oni wszyscy ją mieli!

- No, no, no.
- A to dopiero, co, Roscoe?
- Słuchajcie...

Głos Jona brzmiał, jakby dolatywał z odległości miliona mil. Urwał, potem spróbował odezwać się ponownie, nie mógł uwierzyć w gorycz, którą czuł.

- Ten kłamliwy drań plecie bzdury! Nigdy nie tknąłem jego żony. Tak samo ojciec, przysięgam!

- Ty przysięgasz! - zaśmiał się z oburzeniem Mark. - Nic nie wiesz, synku, nic nie rozumiesz. Spytaj Rose! Ona była pierwszą dziewczyną Koenigów w wielkim domu, ona wie wszystko, tylko ją spytaj! A moja Ellie była ostatnią.

Pierwszą. I ostatnią.

Jeśli Rose była pierwsza, a Ellie ostatnia, to kim były te inne? Nie trzeba było żadnego większego nacisku ze strony tych dwóch błaznów, by wyciągnąć następny zarzut od pijanego wraku człowieka.

- Była naprawdę świetna, najlepsza w okolicy, każdy facet chciałby ją mieć! A kiedy Koenig czegoś chce, bierze to. Nieważne, że była żoną innego. Nieważne, że był to najlepszy przyjaciel.

Oskarżycielsko utkwiał zamroczony alkoholem wzrok w Jonie.

- To był największy drań na świecie, ten twój ojczulek! Wystrychnął na dudka swego przyjaciela i pieprzył jego żonę. Biedny, stary Ben!

Zaśmiał się, a ten dźwięk zmroził Jona do kości. Małe oczka Marka rozbłyły złośliwie.

- Podrzucił też kukułcze jajo do ich gniazda, ale nie dbał o to. Odwrócił się i zdawał się wskazywać całemu osiedlu Geenę, która w tej

chwili zastygła w figurze tanecznej, jakby znajdowała się poza czasem. Jon poczuł ostatnie, rozpaczliwe pragnienie, by wstrzymać obrót Ziemi, zatrzymać tę lawinę, zanim stoczy się na

niego, miażdżąc go, miażdżąc ich oboje. Mark zachichotał, wyczuł jego lęk.

- To właśnie ona, to jest to kukulcze piskłę, które twój ojczulek podrzucił do gniazda Bena Nicholisa, kiedy pieprzył jego żonę! Nasza Geena. Przywitaj się ze swoją siostrą!

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Gdyby to była każda inna kobieta z Koenigshausu, ze świata całego... Jeśli tato musiał mieć romanse, jeśli nie wystarczała mu jedna kobieta... Ale matka Geeny?

Czy istniała jakaś granica, której nie przekroczył?

Jon nie miał pojęcia, jak wydostał się z osady aborygenów. Ostatnim jego wspomnieniem były tępe twarze obu policjantów, które rozjaśnił lubieżny błysk, gdy dotarło do nich znaczenie słów Marka.

- Nie... nie powtarzajcie tego nikomu, dobrze, chłopcy? - wyszeptał, paląc się ze wstydu. - Zatrzymacie to przy sobie?

I to on tak mówił? On, który sztywniał z Alexa, że chce zatuszować skandal w rodzinie Koenigów, teraz sam podlizywał się policjantom?

Potem odszedł sztywnym krokiem, niczym zombie, wsiadł na konia i odjechał w busz.

I jechał, jechał przed siebie, gnał i gnał, jak wszyscy ludzie, którzy nie mają dokąd pójść.

A teraz otaczający go płaski i jałowy krajobraz interioru, tak znienawidzony przez ludzi, którzy nie potrafili zrozumieć jego duchowego spokoju, zdawał się doskonale odzwierciedlać świat wewnętrzny Jona. On też był zniszczony i pusty, wypalony i uschnięty. Krzyk stada papug, drwiący chichot żurawi, naprzykrzony, naśladujący płacz dziecka wrzask kulika -brzmiały jak lament jego serca po tak druzgoczącej klęsce.

O jednym tylko potrafił myśleć - musi trzymać się z dala od domu, dopóki nie postanowi, co powinien zrobić.

Geena jego siostrą?

Powiedzmy, przyrodnią, ale to nic nie zmienia. Nie mógł jej kochać, nie mógł się z nią ożenić.

John przeszyty bólem na wylot, jechał całe mile, krzycząc bezgłośnie. Nie uwierzyłby nigdy, że może istnieć takie cierpienie. A osoba, do której, jak sądził, mógł się zwrócić w każdej sytuacji, była jedyną, której musiał unikać. Geena.

Samo to imię brzmiało teraz w jego uszach jak płacz, jak krzyk rozpacz. A czy można ją było porównać do tej, jaką będzie czuła dziewczyna, gdy powie jej, że wszystko skończone, zanim się naprawdę zaczęło?

Zerwać z nią bez powodu... bo jaką mógłby podać przyczynę? Przecież nie mógł powiedzieć, że jej matka zdradzała Bena, że nie była dzieckiem człowieka, którego przez całe życie nazywała „tatkiem”...

Jęknął głośno. W którąkolwiek stronę by się zwrócił, wyrastała przed nim nowa i okropna trudność. Ale co mógł na to poradzić?

Nic!

A jeśli to nieprawda?

To było ostatnie źdźbło, którego się chwycił, ta myśl wracała do niego nieustannie niczym promyk nadziei łudzący umierającego. Mark był pijany, do tego ział wściekłością, ze złości na niewierną Ellie gotów był powiedzieć wszystko. Byłby w stanie wymyślić takie oskarżenie, by dopiec Koenigom.

A gdyby ci dwaj policjanci nie poprosili Jona, by wybrał się z nimi do osady, nie usłyszałby szalonych zarzutów Marka, prawdopodobnie nigdy by się o tym nie dowiedział. Poza tym, jeśli Mark mylił się co do niego - Jon mówił prawdę, przysięgając, że nigdy nie tknął Ellie! - to czy nie mógł mylić się również co do taty?

To była tylko plotka, pogłoska, nie miała sensu, nie było dowodu!

Dlaczego nie miałby po prostu udać, że nigdy nie słyszał, co powiedział rozwścieczony aborygen, zrobić, co zamierzał i mimo

wszystko ożenić się z Geeną? Ale odrzucił tę myśl, ledwo zdążyła się zrodzić. Nie mógł tak postąpić. Nie potrafiłby zawieść w ten sposób zaufania dziewczyny, jej wiary w niego. Bo już zawsze musiałyby żyć w lęku... o siebie i o nią... że pewnego dnia wszystko wyjdzie na jaw.

Czy więc nie powinien wyjaśnić sprawy do końca i ostatecznie przekonać się, że było to kłamstwo?

W jaki sposób?

Dwójka ludzi, która jedynie mogła powiedzieć mu prawdę, Phillip i matka Geeny, już nie żyła, znajdowała się poza zasięgiem prawd i kłamstw ziemskiego życia.

Czy Ben wiedział?

Jak mógłby go o to spytać? „Hej, stary, czy to prawda, co mówią w osadzie, że twoja żona puszczała się z moim tatą, że pieprzył ją przez wiele lat? Że Geena to bochenek, który podrzucił do twego piecyka?”

Czy mógł spytać Helen, co jej o tym wiadomo?

Jeśli krępował się mówić na ten temat z Benem, to o ile trudniej by mu było zwrócić się z tym do niej! „Słuchaj mamo, czy to prawda, że tato nie potrafił porządnie zapiąć rozporka? Obiło mi się o uszy, że nie mógł się powstrzymać, by nie potrząsać dzwonkiem przed każdą kobietą, zwłaszcza czarną? Czy wiedziałaś, że dzieliłaś się nim z Rose, Ellie, żoną Bena, służącymi, każdą, która miała dziurę między nogami?”

Czuł, że staje się wulgarny, sprośny i ziele złością jak Mark, jak ojciec. Ale to go nie obchodziło. Zdawał sobie sprawę, że w miarę upływu dnia coraz częściej porusza się po linii koła, a jego własne mruczenie staje się coraz bardziej zwariowane. Pod bezlitosnym słońcem pocił się i jednocześnie czuł chłód. Choć z przyzwyczajenia zatrzymywał się, by koń mógł skubać trawę, i znajdował wodę, by go napoić, nie potrafił pomyśleć o sobie. Czuł, jak w rozprażonym upale traci życiodajną wilgoć, ale nie zwracał na to uwagi.

Musi trzymać się z dala od wszystkich, tyle tylko wiedział.

Odczekał jeszcze jakiś czas, zanim odważył się skierować konia ku farmie, choć było pewne, że domownicy leżą już w łózkach.

Ze stajni na tyłach domu mógł widzieć samotne światelko w kuchni. Rose zawsze prowadziła nocny tryb życia.

Rose.

Spytaj Rose! - powiedział z naciskiem pijany Mark. Dobra, czemu nie?

Zdawało się, że wcale nie była zaskoczona, gdy pojawił się w drzwiach. Tym razem odwieczne karty tarota leżały przed nią nie rozłożone, jedyną jej towarzyszką była butelka taniej sherry. Jon sięgnął gwałtownie po krzesło i ustawił je naprzeciw gospodyni, po drugiej stronie stołu. Czuł, że całe życie zależy od tego, co usłyszy w odpowiedzi na pytanie.

- Rose, czy na nas, Koenigach, ciąży przekleństwo?

Pochylona i wsparta na łokciach, skulona kobieta patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, jak pancernik.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Czy dawni ludzie... twoje plemię, ci, których wymordował Johann...

czy oni źle nam życzyli? Wzięła do ręki szklanę.

- Oni wszyscy odeszli, umarli i odeszli, dawno, dawno temu. Oni nie wrócą.

Wiedział, że sama w to nie wierzy.

- Zanim odeszli... - naciskał ze znużeniem. - Kiedy umierali... czy przekleli nas po wszystkie czasy, przysięgając, że nigdy nie będziemy żyć na tej ziemi w spokoju?

Rose wzruszyła ramionami.

- Nic o tym nie wiem. Ja chodziłam do szkoły misyjnej! Z wściekłością sięgnął po talię tarota i ścisnął ją w garści.

- Tego cię nie uczyli w szkole misyjnej!

- Panie Jonie, nie!

Opór Rose załamał się natychmiast. Wyciągnęła na oślep dłoń, by odzyskać powyginane karty.

- Co chce pan wiedzieć? - Mechanicznym ruchem zaczęła wybierać tajemnicze figury z barwnej talii: Kochanków, Wisielca, Wieżę...

- Nie - powiedział ochryplym głosem. - Żadnych kart.

Jej czarne, paciorkowate oczy natychmiast wypełnił strach, Jon czuł, jak rozchodzi się wokół niej falami.

- Więc co?

- Znasz historię tej farmy, wszystko, co się tu działo. Znowu ten błysk lęku.

- Trochę.

- Dużo - upierał się. - I o wiele więcej niż mówisz. Ciągle nie chciała ustąpić.

- Trochę.

- No, dobra. - Nie miał zamiaru toczyć o to bitwy. „Trochę” najprawdopodobniej wystarczy. Znowu poczuł ból. Może nawet dowie się zbyt wiele.

- Nie proszę, byś cofnęła się do czasów, kiedy przybył tu pierwszy Johann.

- Dobra.

- Ale jeśli chodzi o mego ojca... - Rose nie drgnęła, ale obserwując ją zauważył, że każdy mięsień w jej ciele zamienia się w kamień. Przerwał na długą chwilę, potem dokończył: - Co powiesz o nim?

- O nim? - Jej oddech przypominał westchnienie, a przytłumiony blask rozjaśnił jej oczy, stawał się coraz mocniejszy przy każdym słowie. - To był prawdziwy mężczyzna! Był Koenigiem! Wszyscy Koenigowie jedli za dziesięciu, pili niczym ryby, jeździli konno jak centaury...

- ...i pieprzyli niczym psy dingo, no nie. Rose?

Nie wiedział, co go napadło, nigdy nie używał takich wyrażań, nawet w towarzystwie mężczyzn. Ale stara kobieta nie mrugnęła okiem.

- Taak - powiedziała ze spokojem, z tęsknym błyskiem w oku. - Jak psy dingo. Właśnie tak.

- Więc byłeś jego...

Usiłował znaleźć właściwe słowo. „Utrzymanka” była zbyt staromodna, zbyt angielska. A nigdy nie była „kochanką” Phillipa, który traktował ją chłodno i bez odrobiny uczucia, wykorzystywał tylko dla swych egoistycznych celów.

- Jego...?

- Taak. Jego. - Nigdy dotąd nie widział jej tak szczęśliwej. Obracała w myślach to słowo i rozkoszowała się nim w milczeniu - Jego! - powtórzyła tryumfalnie.

A on musiał to zniszczyć, rozbić to wspomnienie wzmianką o czymś, czego musiała nienawidzić z całej duszy.

- Ty... i kto jeszcze?

Jej twarz zamknęła się niczym pułapka.

- Nikt - powiedziała bezbarwnym tonem.

Nie mógł już tego wytrzymać, po tym wszystkim, co musiał znieść dzisiaj.

- Daj spokój, Rose - odezwał się szorstko, zaciskając pięści. - Nie obchodzi mnie, czy chcesz chronić jego, mnie, czy siebie, ale dowiem się tego, nawet gdybym musiał to z ciebie wydusić! Stara kobieta złapała oddech i uchyliła się.

- Niech pan mnie nie bije, panie Jonie! Proszę nie robić tego, co on!

O Boże! Więc Phillip w dodatku ją bił? Jon czuł, jak rośnie w nim odraza. I on był dumny, że ten człowiek był jego ojcem? Czy to się nigdy nie skończy?

- Tylko mi powiedz - udało mu się wydusić. - Więc byłaś ty? Kiwnęła głową.

- I Ellie?

Zawahała się, jej twarz wyrażała bolesne wspomnienie. Czekał. W końcu potwierdziła wolnym skinieniem głowy.

- I...?

Rose siedziała niczym Sfinks, z wykrzywioną twarzą. Jej oczy przypominały świdry. Wydawało się, że między kobietą a mężczyzną toczy się pokerowa rozgrywka, Jon musiał odkryć swoją kartę, by wyciągnąć od Rose to, co chciał.



- I... żona Bena? Matka Geeny? Czy miał z nią romans?

Zacisnęła usta, jej oczy zamglily się, zapatrzyły przed siebie, jak gdyby odtwarzała w pamięci film. Siedziała, obserwując akcję na niewidzialnym ekranie.

- Taak - powiedziała wreszcie jednostajnym głosem. - Yuni go kochała, naprawdę. Jak my wszystkie.

Tego się spodziewał. Ale odczuł to jak cios w splot słoneczny, ledwo potrafił złapać oddech. Teraz ona musiała czekać, by Jon się odezwał.

- Yuni? - wydusił z siebie.

- Taak.

- To znaczy żona Bena?

- Taak.

- Ona... i mój ojciec... byli... Patrzyła ponad jego głowę.

- Miał ją... jak miał mnie i Ellie.

- Zanim wyszła za Bena?

- Taak.

- I... potem?

Głos Rose brzmiał teraz silnie, znowu była sobą.

- Taak! - odpowiedziała szorstko. - I w trakcie jej małżeństwa!

- Kiedy... to się skończyło? Rose zacisnęła pięści.

- Nigdy się nie skończyło! Dopóki nie wyjechała do Sydney, do samej śmierci. Była jego czarną kobietą, jak dawniej ja, jak potem Ellie. Cały czas! Do samej śmierci!

Cały czas...

Przez cały czas, kiedy została poczęta Geena, kiedy dorastała...

Przez cały czas myślała, że jej ojcem jest Ben, że ma prawo pokochać syna Phillipa Koeniga...

I cały ten czas była siostrą Jona.

A teraz on miał nieograniczoną ilość czasu, by obmyślić, jak jej o tym powiedzieć. Gdy już to zrobi, jak długo będzie musiał

czekać, zanim znajdzie sposób, by zacząć nowe życie... zimne, jałowe i samotne?

To zadziwiające, doprawdy, jak wszystko dobrze się układało, gdy chodziło o właściwą transakcję, o odpowiednią decyzję finansową. Pan Matsuda bardzo by się cieszył, byłby zadowolony z żony. To on pierwszy nauczył ją, że przy takich operacjach odrobina nieszczęścia bywa bardzo pomocna dla nabywcy. Dzięki temu sprzedający stawał się tak nerwowy, że mógł opuścić cenę o kilka tysięcy.

W tym wypadku - nawet setek tysięcy. Pani Matsuda badawczo przyjrzała się swemu nienagannemu odbiciu w lustrze, skończyła nanosić podkład w płynie, małym puszką łabędzim rozpyliła na doskonałym nosku odrobinę pudru i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Koenigshaus wpadnie jej prosto w ręce. Dojdzie do tej sprzedaży.

Koenigowie nie będą mogli się wycofać, nie w tej sytuacji. Z namysłem wybrała dwuczęściowy komplet z gustownego batiku w kolorze przydymionej pomarańczy. Materiał wyszukała w Dżakarcie, a kazała uszyć w Nowym Jorku. Zastanawiała się, jaki dobrać do tego naszyjnik i kolczyki. Nie, nie mają innego wyjścia. Ze względu na ciężką broń, jaką Craig znalazł w ich buchalterii sprytnie podfałszowanej, ale w gruncie rzeczy podpadającej pod przestępstwo, okropną śmierć ojca rodziny i wreszcie zabójstwo pokojówki, Koenigshaus stał się dla Koenigów prawdziwym ciężarem.

- Jeśli jeszcze trochę poczekamy, to nam po prostu dopłacą, żebyśmy zdjęli im to z głowy! - triumfował rankiem Craig.

I miał rację, jak zwykle. Dobry z niego chłopiec.

- Craig! - zawołała.

Pojawił się z sąsiedniego apartamentu, gotów, jak zawsze, wypełnić każdy jej rozkaz. Uśmiechnęła się, wyglądał jak mały, grzeczny uczeń, jak pies, który czeka, by właściciel rzucił patyk i krzyknął: „Aport!”. Craig dobrze znał ten patyk, nie musiała nawet go rzucać.

- Jeszcze tylko jeden dzień... - powiedziała. Buckley zaśmiał się nieprzyjemnie.

- ...i pan Alex Koenig na dobre znajdzie się na kolanach! Stary Ben też pęka, za dużo już tego dobrego dla nich!

- Dziś obejrzymy sobie corroboree...

- ...a jutro ubijemy interes. - Skinął z tryumfem głową. - Nie będą się bronić, Alex z wdzięczności, że się nie rozmyśliłaś, zgodzi się na wszystko.

- Ja też tak sądzę - powiedziała.

Zaśmiał się znowu.

- No cóż, helikopter czeka na lotnisku, każdy z nich potrafi nim latać. Ben zaproponował, że może nas zabrać w dowolnej chwili, marzy tylko, by zniknąć! I nic dziwnego! Więc zawiadomię biuro, dobrze? Wracamy jutro, z Koenigshausem w garści!

- Corroboree? Nie będzie żadnego cholernego corroboree!

Charles nie zszedłby na śniadanie, gdyby wiedział, że przy stole zostanie wyłącznie Alexa. Bóg jeden wie, gdzie podziewała się reszta, choć musiał przyznać, że i on sam unikał posiłków, gdy tylko było to możliwe. Ale konieczność choćby pośpiesznego wypicia filiżanki kawy i spożycia grzanki w towarzystwie najmniej lubianej osoby w Koenigshausie, może nawet na całym świecie, była ciężką próbą, której by chętnie się nie poddawał.

Szczycił się, że do tej pory dobrze sobie radził. No, powiedzmy, całkiem nieźle, po prostu każdy dzień wypełniał rutynowymi czynnościami. Ale to nie przychodziło mu łatwo, przebywanie z nią pod jednym dachem było cholernie trudne, czasem wprost nie do wytrzymania. Ciężko było znieść widok smutnej i zranionej Helen, w gruncie rzeczy Charles niemal wcale nie mógł na nią patrzeć, tak był na nią wściekły.

Na nią, na siebie, na Jona... ale przede wszystkim na Phillipa. Nawet po śmierci wielki, zachłanny cień tego samolubnego, despotycznego drania nadal rujnował ich życie.

Tylko dlatego, że Helen nie chce zniszczyć drogich wspomnień Jona o jego starym, upiera się przy odgrywaniu roli dożywotniej wdowy! - mówił do siebie gniewnie. Obserwując ją z bliska w ciągu kilku ostatnich lat, Charles widział, jak uczucia Helen do Phillipa schną i umierają, zdławione jego okrucieństwem, egoizmem, seksualną zachłannością. Ona go nie kocha! Więc dlaczego nie może pokochać mnie? Całymi dniami usiłował zapomnieć o tym pytaniu, a nocami - znaleźć na nie odpowiedź.

A teraz konfrontacja z bladym i ponurym Alexem, który zimno żądał od Charlesa decyzji, co będzie robił na corroboree, była kroplą, która przepełniła dzban.

- Nie będzie żadnego corroboree! - powtórzył.

Alex zbladł jeszcze bardziej, o ile to możliwe. Przez chwilę Charlesowi wydawało się, że słyszy, jak bratanek zgrzyta zębami.

- O czym ty mówisz?

- No, chyba chcesz to odwołać... Boże Wielki! Człowieku, myślałem, że

już to zrobiłeś!

- Odwołać? - Alex zacisnął w dłoniach kubek z kawą, jak gdyby chciał go zmiażdżyć. - A dlaczego miałbym to zrobić, do cholery?

Charles miał ochotę roześmiać mu się gorzko w twarz.

- Dlaczego? Na litość boską, zabito kobietę! Kobietę, która pochodziła z osady i która pracowała w tym domu, odkąd skończyła pięć lat! Powinniśmy odwołać tę uroczystość na znak szacunku.

Twarcz Alexa rozjaśniła się.

- Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że zorganizujemy ją na znak szacunku. Corroboree odbywa się raz do roku, Ellie nie chciałaby, żebyśmy odłożyli je z jej powodu. Jest bardzo ważne dla aborygenów.

- I dla Koenigów? - dociekał ironicznie Charles. - A zwłaszcza dla jednego z nich... jeśli pomoże ci to ubić interes z panią Matsuda?

Alex potrząsnął głową.

- Źle mnie zrozumiałeś, Charles - powiedział, rzucając mu pełne wyrzutu spojrzenie. - Myślałem tylko o mieszkańcach osady. W tym roku opracowali jakiś specjalny taniec z Geeną, coś z historii Koenigshausu. Nie chcę ich zawieść.

- Przedstawienie musi trwać, co? Alex uśmiechnął się chłodno.

- No właśnie!

Charles miał ochotę go uderzyć.

- Tyle tylko, że dla nich to nie jest żadne cholerne przedstawienie! Corroboree to świętość, to coś specjalnego...

- Wiem o tym! - wtrącił Alex. - I to będzie coś specjalnego. Odmiennego.

- Taak, z pewnością. - Charles widział, że przegrywa. - Ale zrób coś dla nich. Pozwól, by odbyli spokojnie swoje corroboree w osadzie. Niech Geena urządzi pokaz tutaj, w domu. by pani Matsuda kwiczała z radości, jeśli tego chcesz. Przynajmniej aborygeni będą mogli uczcić Ellie na swój sposób, a my nie będziemy im siedzieć na karku, w roli białych panów. Zgoda?

Alex zastanowił się, rozważając każdy aspekt propozycji.

- W porządku - powiedział w końcu. - Myślę, że możemy to zrobić. - Obdarzył Charlesa pełnym szczeroci spojrzeniem. - I daję ci słowo, że w żadnym wypadku nie będzie to oznaczało braku szacunku... dla aborygenów, ani dla... zmarłej damy.

Zmarła dama.

Charles pomyślał o biednych, zmasakrowanych szczątkach, które kiedyś były Ellie, i zrezygnował z dalszej walki.

- Rób, jak chcesz - powiedział krótko, odsuwając krzesło i szykując się do wyjścia. I tak to zrobisz, taka była jego ostatnia myśl.

- Tak - uśmiechnął się sztucznie Alex. - I tak to zrobię.

Corroboree.

Moje ostatnie corroboree w Koenigshausie - myślała Helen. Ostatnie po dwudziestu pięciu latach...

No cóż, wszystko się zmienia.

Powtarzając chłodno i bezlitośnie to zdanie, zwróciła się w kierunku komody. Ciepłe powietrze poranka wpadające przez okno sypialni łagodnie unosiło atlasowe jabłkowitzelone zasłony, ozdobione absurdalnymi koronkowymi falbankami. Patrzyła na tapetę w kwiatowy wzór, z bez końca powtarzającym się motywem małych różowych pączków pnącej róży. Jak mogła uważać kiedyś, że to jest piękne? Tak wyobraża sobie buduar nastolatka, to nie był pokój dorosłej kobiety.

No cóż, jej następny pokój będzie wyglądał zupełnie inaczej.

A może tak: ponury, czarny wielościan, czarny sufit, ściany wyłożone czarnym futrem, żadnych książek, obrazów, telewizora, telefonu, okien i drzwi?

Och, zamknij się! I skończ z tymi cholernymi, cmentarnymi myślami, masz odejść stąd do Sydney, znaleźć pracę i dach nad głową, postępować jak każda normalna kobieta, która zmieniła swoje życie i zaczęła wszystko od początku!

Trzymając w ręku bieliznę, zatrzymała się, w połowie drogi pomiędzy otwartą komodą a walizką, leżącą na łóżku. Ale ja nie chcę zaczynać od początku - miała ochotę krzyknąć. Chceę odzyskać swoje dawne życie.

Doprawdy, ze wszystkim co w nim było? - zakpił wrogo jej wewnętrzny głos. Także i Phillipa, z gorącymi dłońmi, gorącym językiem, gorącym seksem...?

Z nagłym dreszczem wrzuciła splątany kłęb paryskiej bielizny prosto do kosza.

Nowe życie - powtórzyła odruchowo.

Najpierw obejrzyj corroboree, potem zabierz się helikopterem z gośćmi, kiedy będą odjeżdżać, i to koniec...Nie ma już tu dla ciebie miejsca. I czas, by Jon zaczął żyć na własny rachunek, dwudziestoczteroletni chłopak powinien dać sobie radę bez mamusi!

A co z meblami? - usłyszała następny głos.

Dobry Boże, co z nimi?

Oczami równie ponurymi jak Morze Północne, zmierzyła ciężkie dębowe łóże, scenę tak wielu straszliwych upokorzeń,

potężną starą dębową szafę, dość wielką, by małżonkowie mogli się nią podzielić, ciężkie biurko Phillipa, kryjące ponurą tajemnicę jego choroby, czarnej narośli, która zżerała go od środka, raka, który niszczył jego mózg. To miejsce nigdy nie było Helen, te wszystkie rzeczy nigdy do niej nie należały, bez żalu pozostawi je za sobą.

Nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co zbudziło w niej poczucie wolności. Helen miała wrażenie, że pękają wszystkie więzy, umożliwiając jej bezbolesne oderwanie się od tego wszystkiego. Nic tutaj nie należało również do Trudi, choć tak myślała z lękiem przez wiele lat. To była zawsze własność Koenigów, tych despotycznych mężczyzn. Narzucali ją po prostu swym kobietom, nie rozumieli, że panna młoda może chcieć sama stworzyć swój nowy dom, że dorosła kobieta ma prawo, by decydować, jak chce żyć, wybrać własny styl. No cóż, ona będzie teraz miała takie prawo. W wieku czterdziestu dwóch lat odzyska nareszcie wolność, przestanie być tylko żoną Phillipa lub matką Jona. Będzie mogła być w pełni kobietą. Miała tylko nadzieję, że nie jest już na to za późno.

W lustrze toaletki zobaczyła odbicie bladego, postarzałego cienia kobiety, której twarz w ostatnim czasie bardzo zeszczuplała, i która robiła wrażenie starszej o dziesięć lat, niż powinna. Pomyślała cierpko, że jeśli nadal będzie tak wyglądać, nic nie pokrzyżuje jej planów samotnego życia. I bardzo dobrze, po prostu wspaniale. Czuła, że byłaby szczęśliwa, gdyby już nigdy więcej, do końca życia, nie zobaczyła mężczyzny.

Ale jeśli chodzi o pracę...

To było zmartwienie, prawdziwy problem.

Co będzie robiła w mieście, czym mogłaby się zająć? Ale znowu zdławiła te myśli. O to przyjdzie się martwić, gdy siądzie w kawiarni w Sydney z poranną gazetą i zacznie przeglądać ogłoszenia o pracy. Wróciła do pakowania.

Zaskoczył ją odgłos kroków na schodach. Nikt tu teraz nie przychodził, poza nią samą.

- Rose? O co chodzi?

Nie sposób było odczytać wyrazu twarzy Rose.

- O nic, pani Koenig. Ale znowu przyszli policjanci i pan Alex chce, by wszyscy zebrali się w jadalni.

Spodziewała się następnych złych wieści, gdy potykając się schodziła za Rose po schodach. Ci dwaj kłopotliwi goście, George i Roscoe, nie mogli być zwiastunami dobrych nowin. Ale nie była przygotowana na szerokie uśmiechy i zadowolenie w głosie, z jakim oznajmili wszystkim zgromadzonym, z wyjątkiem Jona, z czym przychodzą.

- Przykro nam, że musimy zawiadomić o smutnym wydarzeniu...

- ...nieszczęśliwy wypadek...

- ...nieszczęśliwy dla niego, rzecz jasna...

- ...ciało Markiego, to znaczy Marka Handsa...

- ...znaleziono w buszu.

- Brak podejrzanych okoliczności...

- ...czekamy oczywiście na opinię lekarza sądowego...

- ...ale opakowania po alkoholu...

- ...wskazują na jego nadużycie...

- ...zmarł na skutek zatrucia alkoholem...

- ...albo, jak mówi się u nas w policji, zapił się na śmierć.

- Słyszano, że wyrażał żal z powodu śmierci swej biednej żony...

- ...a dawniej, jak wiadomo, groził jej przy wielu okazjach...

- ...i bił ją, George, nie zapominaj o biciu...

- ...więc wzięwszy to wszystko pod uwagę...

- ...sądzimy, że możemy przyjąć, iż to on zabił tę młodą damę. George uśmiechnął się.

- W ten sposób sprawę uznajemy za zamkniętą. Przykro nam, że zawracaliśmy wam głowę.

Roscoe uśmiechnął się w ten sam sposób.

- Cieszymy się, że mogliśmy to tak załatwić. Gdyby Koenigowie potrzebowali jeszcze kiedyś naszej pomocy...

Alex poderwał się na nogi.



- Dobra robota, wspaniała robota, chłopcy! - zachwycił się. - Dopilnuję, by wasz szef się o tym dowiedział! I wydaje mi się, że w tym roku nikt nie będzie zawiedziony wysokością wigilijnego datku Koenigshausu na Fundusz na Rzecz Wdów i Sierot po Policjantach!

Obdarzył zgromadzonych promiennym uśmiechem.

- Wiem, że jeszcze wcześniej, a przedstawienie, które przygotowuje panna Geena, odbędzie się dopiero wieczorem, ale mam nadzieję, że zobaczą was obu w tym domu, gdy podniesie się kurtyna!

## Rozdział trzydziesty

Czuł, że ma zawroty głowy, powinien chyba coś zjeść lub wypić, ale tak trudno było mu się ruszyć...

A już z pewnością niepotrzebnie zabrał ze sobą tę butelkę, gdy opuszczał kuchnię po rozprawie z Rose. To nie był najlepszy pomysł, pościć przez cały dzień, a potem lekkomyślnie urządzić sobie spóźnioną kolację w postaci całej butelki whisky...

Rzecz w tym, że nie chciał nigdzie iść, nie chciał opuszczać tego bezpiecznego azylu, gdzie nigdy go nie znajdą, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, by go tam szukać.

Nadal nie wiedział, co ma zrobić, co powiedzieć Geenie, gdy go wreszcie dopadnie, co w końcu z pewnością jej się uda. Po całym dniu w buszu i nocy spędzonej w kaplicy, częściowo na drzemce, częściowo na czuwaniu, czuł wściekle pragnienie, a głód i zmęczenie przekształciły się w przychodzące i odpływające fale rozpacz. Więc za każdym razem, gdy Jon pomyślał, że warto by się stąd ruszyć, pogrążał się znowu w letarg.

Ze swego miejsca w ławie, gdzieś w połowie kaplicy, mógł widzieć wszystkie mosiężne tabliczki na grobach dawno zmarłych Koenigów, ciągnące się niczym kładka wzdłuż całej

nawy. Skierował ponuro głowę ku pierwszej tabliczce, tuż przy drzwiach.

JOHANN.

Johann.

Drogi, miły, stary Johann, który wymordował całe plemię przy Diabelskiej Skale.

- Koenigshaus wykroiłes sobie z buszu, Johann - szepnął. - Ale wodę zdobyłes za cenę krwi. Ludzkiej krwi. Niezbyt uczciwa wymiana!

Jego wzrok przesunął się wzdłuż nawy na następną tabliczkę. PHILLIP.

- I po co było to wszystko, Johann? Twój jedyny syn, zabity podczas walki. Phillip, pierwszy Phillip, po którym odziedziczył imię taty, zginął na dnie okopu, z gardłem przebitym bagnetem!

Phillip Koenig, a to ci dopiero makabryczny żart! Niemiec walczący z Niemcami. Czy pamiętał o Koenigshausie, czy to była ostatnia myśl, jaka przyszła mu do głowy zanim zmarł, wiedząc, że nigdy więcej go już nie zobaczy? Czy nadal używał nazwiska „Koenig”? A może, kiedy zgłosił się do wojska, zmienił nazwisko na „King”, jak tego zawsze pragnął?

I nie zapominajmy o drogim, starym dziadku - pouczał sam siebie z namaszczeniem. - O dziadku Johnie. Nie Johannie... W tym czasie staliśmy się już prawdziwymi Australijczykami. Coś ty takiego osiągnął, dziadku? Musiałeś przecież coś zrobić! Zachowałeś starą posiadłość w czasie kryzysu i ocaliłeś ją znowu podczas II Wojny Światowej, no nie? Żyłeś tu sobie jak u Pana Boga za piecem, miałeś dwóch wspaniałych synów, Charlesa i Phillipa, umarłeś w podeszłym wieku we własnym łóżku, wszystko było w najlepszym porządku... Dopóki... dopóki jeden z synów nie zabił drugiego... i biednej Ellie, o ile się nie mylę... choć nigdy nie będę mógł tego dowieść!

Dowód.

Wbił paznokcie w dłoń w bezowocnej udręce. Mimo wszystkich badań, wszystkich poszukiwań udało mu się tylko odkryć coraz więcej powodów, dla których Phillip mógł zostać

zamordowany, a nie kto sprowadził na niego przedwczesną śmierć. Chryste, on sam chętnie sprzątnąłby starego za niektóre postęпки! Zwrócił się w kierunku nie oznakowanej płyty, pod którą leżał ojciec.

- No cóż, może byśmy trochę pogadali, tato, skoro już tu jestem? - rzucił z wyzwaniem. - Czy wierzysz w sny? Ja wierzyłem i zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło! Dowiedziałem się tylko, jakim byłeś draniem!

- Cześć, Jon.

Drzwi były otwarte, nie słyszał, jak weszła. Stała w drzwiach, otoczona aureolą światła, miała na sobie jedną ze swych prostych, białych sukienek. Zdawało się, że jego znużone, piekące od alkoholu oczy wypali ten biało-złoty płomień.

- Z kim rozmawiasz?

- Ze zmarłymi. Ale mi nie odpowiadają.

Uniosła dłoń, jak gdyby chciała odgonić jego odpowiedź, niczym brzęczącą muchę.

- Gdzie byłeś tej nocy?

Nie była zła, w jej głosie nie było wyrzutu, tylko ból, zawód i niepokój. Słyszał to wyraźnie.

- Wczoraj powiedziałam o nas tacie - zaczęła chłodno. - I wcale nie był z tego tak zadowolony, jak oczekiwałam, strasznie nim to wstrząsnęło. Więc tak bardzo pragnęłam, abyś był na kolacji, żeby ojciec mógł zobaczyć, że naprawdę jesteś szczery, że nie zwodzisz mnie tylko. I kiedy wcale się nie pokazałeś, utwierdził się w swych obawach. Gdzie byłeś, Jonie?

- Ach.

Teraz, gdy nadeszła ta chwila, czuł tylko pustkę. Wpatrywał się w dziewczynę z poważną miną.

- Ach.

- Odpowiedz.

- Tak. - Usiłował odchrząknąć. - Poza domem. Byłem poza domem. W buszu. Nie tutaj.

Jej opanowanie znikło.

- Jon, co się dzieje?

- Nic, a bo co?

- Nie rób mi tego! Czy zapomniałeś... co było między nami? Jednego dnia mówisz, że mnie kochasz, a następnego... uciekasz, znikasz, chowasz się w kaplicy, upijasz się...

Poruszył butelką.

- Nie jestem bardzo pijany... Niewiele brakowało, by się rozpląkała.

- Jon, chciałabym z tobą porozmawiać... kiedy będziesz w lepszym stanie. Tymczasem muszę przygotować się do wieczornego występu. Alex przeniósł wszystko tutaj, więc nie wiem od czego zacząć.

Skierowała się ku drzwiom.

Rozpaczliwie zapragnął, by nie odchodziła.

- Słuchaj, czemu nie miałabyś mówić... a ja nadstawię uszu. Popatrzyła na niego z mieszaniną gniewu i bólu.

- Mówisz poważnie?

Wstał powoli i zaczął zbliżać się do niej.

- Jak nigdy dotąd. Wzruszyła z rozpaczą ramionami.

- Musimy przełożyć to na później. Pogadamy po przedstawieniu.

- Dlaczego nie teraz? - Złapał ją za rękę. - Dopóki jestem jeszcze pijany?

Wzdrygnęła się.

- Jon, wiem, że ostatnio żyjesz w strasliwym napięciu...

- Napięciu? - Kaplica rozbrzmiewała jego histerycznym śmiechem. - Taak, można tak powiedzieć!

Schyliła głowę.

- I wiesz, jak mi przykro z powodu... tego wszystkiego.

- Tak, no cóż, dobrze, że możemy tak szczerze i otwarcie rozmawiać! - sztywniał.

Zesztywniała.

- Nie śmieję się ze mnie, Jon! Przez ciebie przeżyłam najgorszą noc w życiu. Próbuję okazać zrozumienie, usiłuję spojrzeć na wszystko z twojego punktu widzenia! Nie utrudniaj

mi tego! - Wyrwała mu rękę. - Zobaczymy się później. Będziemy mogli o tym porozmawiać.

- Zanim odejdziesz - zanim odejdziesz, moja najdroższa, najmilsza, kochana, zanim odejdziesz i zabierzesz ze sobą moje serce, teraz i na zawsze - spróbujmy przynajmniej oddzielić uczucia od spraw praktycznych.

Dziewczyna zbladła.

- Co...

Mówił teraz bardzo spokojnie.

- Chcę, abyś wyjechała, Geeno.

- Co?

- Żebyś odeszła.

- Dlaczego?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna zbiera desperacko resztki odwagi.

- Musisz mi to powiedzieć!

Jak mógł to wymówić i nie umrzeć?

- Wszystko skończone.

- Nie! Nie, nie wierzę ci! - Jej oczy wyglądały jak otchłań cierpienia. Zamachała dziko ramionami, jak gdyby chciała bronić się przed tymi słowami. - Po prostu jesteś pijany! - krzyknęła, czepiając się strzępków nadziei.

Zaśmiał się znowu, z głęboką goryczą.

- Nie dość pijany. - Musiałbym wypić rzekę, pochłonąć ocean... - Powtórzę to jeszcze raz. Wszystko skończone. Musisz odejść. Nie mogę ci nic wyjaśnić. Kropka.

Zdawała się nikać pod jego wzrokiem, jak odbicie w pomniejszającym zwierciadle.

- Wczoraj mnie chciałeś. Wiem, że tak było! - powiedziała jak dziecko.

Uzbroił się w męstwo.

- A teraz nie chcę.

- Co ja takiego zrobiłam?

- Nic. Po prostu odejść.

Nie wiedział, jak długo potrafi to ciągnąć, ile jeszcze może znieść.

- Nie!

Zwrócił się ku niej z wściekłością.

- Jeszcze tu jesteś?

- Najwyższy czas na szczerość! Spojrzał na zegarek.

- Czas? Jest koło jedenastej.

- Dlaczego to robisz? - Przycisnęła do ust zaciśniętą pięść, nieświadomie wracając do gestów dzieciństwa. - Chciałam z tobą spędzić resztę życia, a ty mnie odpędzasz?

- Tak.

Zebrała się w sobie, szykując się do ostatniego starcia.

- Przecież mnie chcesz!

Pochylił się do przodu i powiedział dobitnie, prosto w twarz Geeny:

- Chcę... byś... odeszła! - Usiłował przybrać protekcyjny ton. – Idź i przygotuj przedstawienie! To ma być dzisiaj, prawda? Idź się bawić w Margot Fonteyn ze swoimi przyjaciółmi z osady. Wtedy wszyscy będziemy mogli zobaczyć, co potrafisz.

- Dobrze!

Wyprostowała się, drżąc z gniewu.

- W porządku, ty draniu! Nie wiem, w co grasz ze mną, ale mam nadzieję, że dało to panu satysfakcję, panie Koenig! Och, tato przez cały czas miał rację! Wszyscy cholerni Koenigowie to podłe dranie!

Uniosła pięść, jak gdyby chciała go uderzyć, potem opuściła ją. Ale miała jeszcze kilka strzał w kołczanie.

- Jeśli przyjdiesz dzisiaj na nasze przedstawienie, będziesz mógł zobaczyć hołd, jaki składamy Koenigom. I nie sądzę, by zbyt wiele kłopotu sprawiło ci rozpoznanie samego siebie, w tym, co oni robili!

Samochodami, gazikami, motocyklami, a nawet konno, tancerze i uczestnicy uroczystości ściągali z odległości wielu mil, by wziąć udział w corroboree. Na terenie ogromnej, czerwonej

pustyni, majestatyczne drzewa gumowe, lśniące upiorną bielą w zapadającym mroku wyróżniały z otaczającej głuszy punkt przeznaczenia, osadę aborygenów..

W sercu osady ofiarny taniec Geeny zapoczątkował już corroboree, starożytne ceremonie rytualne miłości i śmierci, sięgające początków życia na wyspie. Teraz przy domu w Koenigshausie specjalnie przygotowano scenę dla drugiego przedstawienia, twardo ubitą ziemię umieciono i uprzątnięto w oczekiwaniu na tancerzy.

Przed estradą ustawiono już w półkole kilka krzeseł, choć niektórzy z widzów, jak obojętny, ironiczny Charles czający się z tyłu, dali do zrozumienia, że wolą stać. Lampy naftowe, oczekujące na zapadnięcie nocy, tworzyły podkowę wokół Geeny i jej ekipy tancerzy i muzykantów, przygotowanych do występu.

- Sądzę, że to was zaciekawi - zapewniał żarliwie Alex panią Matsuda i Buckleya, prowadząc ich na honorowe miejsce w samym środku.

Chryste, czy on nigdy nie przestanie krzątać się koło tej sprzedaży! -pomyślał Jon, który próbował trzymać się jak najdalej od Charlesa i jednocześnie nie stracić nic z przedstawienia. Czuł, że zbiera mu się na mdłości ze wstrętu, choć zdawał sobie sprawę, że jest to również skutek płynnej diety, którą stosował od poprzedniej nocy przez cały dzień.

Obok Craiga Buckleya siedziała Helen, bledsza niż zwykle, zdaniem Jona, choć nie sposób było rozstrzygnąć, kto wygląda gorzej - ona czy Ben, który zajął miejsce po jej drugiej stronie. Z przeciągłego spojrzenia, którym obdarzył go Ben, gdy się tu spotkali, spojrzenia pełnego wściekłego, palącego wyrzutu, Jon wywnioskował, że Geena musiała opowiedzieć ojcu o wszystkim, co się zdarzyło w trakcie tej bolesnej rozmowy w kaplicy. Teraz skulony, poblady Ben unikał uparcie wzroku młodego człowieka.

Siedział nieruchomo, ale drżenie rąk i twarzy zdradzało wewnętrzny niepokój.

Ben, Helen, trzymająca się z tyłu Rose, Buckley, Matsuda i Alex...

Jon ze znużeniem przyjrzał się rzędowi widzów, sadowiących się w oczekiwaniu na tańce. Och, i panna Trisha... nie zapominajmy o boskiej pannie Trishy! Siedziała z drugiej strony Alexa, ale jego obecność nie zbijała jej z tropu. Kompletnie zalana, udawała, że chce zapalić papierosa i flirtowała z policjantami, Georem i Roscoe.

- Macie ognia, chłopcy?

To była najstarsza zaczepka świata, można ją było usłyszeć na każdym rogu ulicy, w każdym mieście kuli ziemskiej. Jon nie musiał wiedzieć, co mówiła ta kobieta, z najdalszej odległości można było się zorientować, że odruchowo sięga po oręż seksu. Ale i Trisha nie była sobą, wydawała się napięta i niezwykle zdenerwowana, śmiała się zbyt piskliwie, mówiła za głośno, jej głos, dwuznacznie przeciągający słowa, brzmiał niczym skrzek warana olbrzymiego.

Alex zwrócił się ku niej z furją.

- Zamknij się! - syknął. - Zaczynają!

Boże, ależ on podminowany! - pomyślał Jon. Jakby znajdował się pod wpływem jakiegoś silnego narkotyku! Ale trzymaj się, wielki bracie, wołał ku niemu z milczącą nienawiścią, nie trać zimnej krwi! Jutro będziesz już bogaczem, a ja mniej niż zerem, i może to cię wreszcie uszczęśliwi!

Skierował wzrok na scenę, gdy wysoki, smętny dźwięk didgeridoo przeszył powietrze i przyciągnął uwagę widzów. W pełnej oczekiwania ciszy Geena zrobiła krok do przodu. Jak wszystkie tancerki była ubrana skąpo i prosto w sztukę szkarłatnej bawełny, owiniętej wokół ciała, niczym sarong. Twarz i ciało pomalowała białoszarą papką z popiołu, używaną przez aborygenów, ramiona i nogi miała obnażone. Była blada pod białą farbą, napięta niemal poza granice wytrzymałości, głos jej załamał się, gdy zaczęła mówić.

- Chcielibyśmy przedstawić nasz dramat taneczny, wynik pracy nas wszystkich. - Odchrząknęła. - Próbujemy opowiedzieć



historię Koenigshausu od najdawniejszych czasów. Chcemy pokazać wam kilka wydarzeń, które miały tu miejsce... parę stron z żywej książki, która należy do nas wszystkich. Dziękuję.

Ukloniła się lekko i włączyła do grupy, dając znak, by rozpoczęto spektakl. Teraz didgeridoo podjęło głęboki, rytmiczny ryk, któremu wtórował cichy klekot klaskanek i głuche dudnienie bębnów. Scena ożyła w zapadającym mroku. Dźwięk i obrazy eksplodowały jednocześnie, jak tylko około dwudziestu tancerzy, z Geeną pośrodku, pojawiło się na otwartej przestrzeni, biegnąc, ślizgając się i skacząc przy akompaniamencie burzy dzikich dźwięków.

Opowiadaną uniwersalnym językiem tańca historię cechowała doskonała prostota każdej prawdziwej sztuki i każdej rzeczywistej tragedii. Najpierw pokazano dni sprzed nadejścia Koenigów, zanim jeszcze stopa pierwszego człowieka dotknęła tej ziemi. Gdy nieodparty jutrzeńkowy dźwięk pradawnych instrumentów napełnił powietrze melodią wezwań i krzyków, główni tancerze zaczęli skakać pośrodku sceny jako kangury, władcy pustkowia nie zagrożonego przez człowieka. Wokół ich potężnych, muskularnych ciał młodszy mężczyźni i kobiety wdzięczyli się jako emu, skradali jako kojoty albo ślizgali jako węże, ciągnąc jednocześnie nieskończony, pulsujący refren gruchania, treli, szczekania, klekotu i ryku. Zadziwiające umiejętności tancerzy powołały do życia ten rajski ogród, niepokalany świat piękna i spokojnej koegzystencji.

A potem pojawił się człowiek.

Z migotliwych, wydłużonych cieni wyszła ukradkiem grupa najwyższych mężczyzn, wojowników, którzy w mrozącej krew w żyłach pantomimie tropili kangury, by je upolować. Młodzieńcy stali na czatach, głośno sycząc, a pozostali mierzyli dzidami w kangury i mordowali je. Tancerze leżący na ziemi drżeli tak zapamiętale, targani śmiertelnymi drgawkami, iż trudno było uwierzyć, że nie umierają naprawdę.

Z tyłu podeszły kobiety, prowadzone przez Geenę, by powitać wojowników i przygotować ucztę. Na czoło wysunął się

młody wódz, pozdrowiał kobiety i ofiarowywał im mięso kangurów, by nakarmiły nim plemię. Timbo, na Boga! - pomyślał ze zdumieniem Jon, obserwując, jak Geena w roli królowej kobiet przyjmuje dar wodza i zaprasza wojowników, by się przyłączyli. Kto by pomyślał, że ten chłopak potrafi tak tańczyć, tak wyglądać?

Teraz każdy z wojowników wybrał sobie jedną z kobiet i wszystkie pary, twarz przy twarzy, obejmując się ramionami, roztopiły się w migotliwym półmroku, zostawiając tylko młodą królową i wodza. Gdy Geena i Timbo kłaniali się i wymieniali spojrzenia, okrążając się ostrożnie i nieśmiało zbliżając się do siebie, krok po kroku, ich ciała sięgały po siebie, przepelnione namiętnością po same czubki trzepoczących palców. Rytm muzyki skoczył w górny rejestr, przekształcając się w pulsowanie serca, pełne miłości i życia. W pantomimie zalotów młodzieniec podbił dziewczynę i wziął ją za rękę, by ogłosić, że należy do niego. Jon zobaczył, że Ben, siedzący z przodu widowni, poruszył się w krześle z wyraźnym niezadowoleniem. Więc i jemu nie podobało się to małżeństwo na niby? Czerwona mgła zazdrości przesłoniła oczy Jona, mógłby zabić teraz Timba, pragnął roztrzaskać szczęśliwego zalotnika „królowej” Geeny na drobne kawałki i nakarmić nimi psy.

Nagle muzyka pomroczyła, dziwne instrumenty lamentowały, kasłały i zawodziły żałośnie, niczym chór zwierzęcych duchów.

Nadchodzą Koenigowie! - powiedział do siebie ironicznie Jon. To jedyna nieharmonijna nuta!

Teraz stado tancerzy-kangurów skoczyło w zapadającą ciemność, gdy grupa powolnych tancerzy-krów, z opuszczonymi głowami, palcami naśladowującymi sterczące rogi, odpędziła ich i zmusiła do ucieczki. W głębi, kobiety i młodzieńcy odcięci od wody, odgrywali mimicznie głód i powolną śmierć. Młody wódz, pierwszy tancerz, Timbo, otoczony swymi wojownikami, przysięgał gestami świeżo poślubionej żonie, Geenie, że ocali plemię. W końcu zaatakowali przybyszy i przynieśli w tryumfie

dwa ciała tancerzy-krów, by nakarmić głodujących. Ale w ślad za nimi nadciągnęli najwięksi i najmocniejsi mężczyźni, pokryci papką z popiołu, biali jak drzewa gumowe o zmierzchu, przedstawiający teraz Koenigów, białych ludzi goniących za zemstą.

Zapadła już niemal ciemność, lecz nikt nawet nie drgnął, odkąd zaczął się pokaz. Z lewej strony Jona siedział zeszytywniały z napięcia Charles, z zaciśniętymi zębami, z pobladłą i ponurą twarzą. Ben kręcił się w krzesle, gdy dźwięki nasilały się oskarżycielsko, wzmagając napięcie do dzikiego krzyku bólu, kołysał się niczym katatonik opętany wszechwładnym rytmem muzyki. Alex również przyglądał się tańcowi nieruchomym spojrzeniem, z trudem panując nad sobą, a siedząca obok niego Trisha oddychała nienaturalnie prędko, jej piersi podnosiły się i opadały, wyraźnie sygnalizując napięcie. Nagle zaczęła płakać. No cóż - pomyślał Jon z goryczą - to niezbyt miła historia! Zdawało się, że tylko pani Matsuda nie poddawała się nastrojowi nocy, przyglądała się akcji z zainteresowaniem, nie tracąc jednak swej obojętności.

Śmiertelnie bladzi, z pasami z amunicją wymalowanymi na ciałach, tancerze-Koenigowie wjechali do wioski i pokazując gestami, że dźwigają karabiny i ciężką broń, przeciwstawiając swe bice prostym kijom i dzidom aborygenów, strzelali, zabijali i tratowali. Jako wódz, Timbo zbierał swych ludzi do ostatniej bohaterskiej walki, do ostatniego aktu oporu. Potem, gdy kobiety podniosły lament z jednej strony sceny, a mężczyźni skupili się z drugiej, zaczął żegnać się z Geeną. Smukłe, pełne wyrazu sylwetki ich obojga wstrząsał smutek rozstania i brak nadziei, że kiedyś się spotkają.

Bo muzyka zapowiadała już zakończenie tej historii. Wódz, prowadzący wojowników przeciwko tancerzom-Koenigom, kobiety i dzieci, tulące się w głębi sceny do siebie, byli kolejno zabijani bezlitosnymi razami bata i kulami. Niedobitków otoczyli tancerze-Koenigowie i zepchnęli ich na sam skraj ściany z piaskowca, zwisającej nad wodą. Widzowie, zafascynowani i

przerażeni, patrzyli jak ofiary tłoczą się na krawędzi przepaści, na próżno usiłując uniknąć czekającego ich losu, a potem spadają i spadają, skręcając się i obracając jak liście jesienne, i zatrzymują się na samym dnie. Do końca życia Helen miała pamiętać patos tej sceny, górę ciał, jeszcze drgających i jęczących z bólu, podczas gdy ofiary umierały, a didgeridoo wykrzykiwało ostatni żaloszny tren pożegnania.

Spektakl zaplanowano idealnie, punkt kulminacyjny przypadł na moment, gdy słońce schowało się za górami, pogrążając scenę w migotliwej ciemności. Jeden po drugim, tancerze znikali ze sceny, roztopiając się w nocy, która zapadła niczym kurtyna.

W ciemności przemknęła blada jak éma postać. Drobną dziewczęcą sylwetką biegła ku widzom, chwiejąc się i zataczając, uciekając przed kimś.

Gdy dotarła na skraj sceny, pochodnia w ręku tancerki wybuchła na chwilę płomieniem i znowu przygasła. Ten krótki błysk oświetlił rysy młodej kobiety, wykrzywione przerażeniem. Geena? To musiała być ona! Ale zmienił ją nie do poznania lęk i przerażenie, widoczne w jej niepewnym biegu, dzikich spojrzeń, które rzuciła przez ramię, szaleńczo rozwianych włosach.

Teraz z ciemności wyłonił się jej prześladowca, olbrzymi mężczyzna, potężny, ponury i groźny. Tancerka biegła tam i z powrotem, ale on tropił ją wciąż, zawsze obecny, choć niewidoczny, poza zasięgiem jej wzroku. Z ciemności doleciało głębokie westchnienie kobiety, a potem jęk pełen przerażenia. Trisha? Helen? Jon wiedział, że mogła to być każda z nich. Bo to był koszmar wszystkich kobiet, nocny łowca, drapieżca w mroku - nic dziwnego, że się tak bały!

A po zagładzie całego plemienia mogło być tylko jedno rozwiązanie. Powoli, powoli, lecz z przerażającą nieuchronnością, prześladowca zbliżał się do swej zwierzyny, coraz bardziej ją osaczając. Koła, które wokół niej zataczał, były coraz mniejsze, jej ruchy - coraz bardziej gorączkowe. Wreszcie

uznał, że nadeszła pora, by uderzyć niczym wąż. Dziewczyna była teraz zwrócona twarzą do widzów, drżała na całym ciele, pogodzona z losem. W migotliwym zmroku widzieli, jak od tyłu zbliża się wielka, muskularna postać jej wroga. Gdy wielkie ramię zatoczyło łuk, by otoczyć jej talię, a drugie zacisnęło się wokół jej szyi, muzyka umilkła, a pochodnia w ręku dziewczyny zapłonęła znowu, by oświetlić finał.

Obie postaci, rozjaśnione migotliwym płomieniem rysowały się na tle ciemności, tworząc żywy obraz brutalnej męskiej dominacji. Dziewczyna przypominała teraz szmacianą lalkę, jej małe białe stopy zwisały nad ziemią, gdy tancerz-Koenig trzymał ją w mocnym uścisku. Wydawało się, że straciła przytomność, głowa opadła jej na ramię. A maska, schylona z tryumfem nad ofiarą, była twarzą Phillipa Koeniga.

- Ooooooch! Ooooooch! Ooooooch!

Wrzask przeszył drgające powietrze. Był to ostatni krzyk kobiety, która widzi, co ją czeka, i próbuje stawiać opór. Ale Geena nie poruszyła się. Dźwięk dobiegał z widowni, gdzie Trisha zerwała się na nogi i krzyczała historycznie.

- Ooooooch! Ooooooch! Ooooooch! To ona! To ta kobieta... to ona! Ooooooch! Ooooooch! Ooooooch!

Tak krzyczy człowiek, który w każdej chwili może się załamać, który musi uciekać przed ścigającymi go Furiami i będzie uciekał choćby na koniec świata. Ale to nie Trisha zataczała się niepewnie pośród widzów, nie ona zaczęła biec, potykając się, i skryła się w ciemnościach. Zrobił to Ben Nichols.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Ooooooch! Ooooooch! To ona! To ona! Tak wyglądała tamtej nocy, gdy zginęła! Alex zerwał się na równe nogi, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć.

- Światła! Światła! - zawołał ochryplym głosem. - Zapalić lampy, wszystkie, oświetlić scenę!

Potem, z szybkością rozwijającej się sprężyny, rzucił się uciszać Trisnę.

- Nie, to nie Ellie! - syknął jej do ucha, zakrywając jej usta ręką. - Ona nie żyje, Trisho! To Geena! To tylko przedstawienie, po prostu zwykły taniec, ona nie umarła, popatrz!

Na scenie oszołomiona Geena osunęła się z ramion partnera na ziemię i unosząc z niepokojem głowę, spoglądała w kierunku, z którego dobiegały krzyki. Jej wielkie oczy były rozszerzone ze strachu. Trisha zmuszona przez Alexa do milczenia, oklapła niczym przekłuty balon i załała się histerycznymi łzami.

- Nie zostawiaj mnie! - płakała. - Nie zostawiaj mnie z nią! Alex usadził ją szorstko w najbliższym krześle.

- Hej, wy dwaj! - krzyknął, przywołując wściekłym gestem George'a i Roscoe. - Chodźcie ze mną, szybko, musimy go złapać!

Trzej mężczyźni pognali w mrok w kierunku policyjnego gazika, zaparkowanego w pobliżu. Timbo, biegnąc z pochodnią wokół sceny, zapalał lampy naftowe, jedną po drugiej, i obecni zobaczyli wykrzywione i zaskoczone twarze wszystkich, wyłaniające się ze straszliwej ciemności.

Geena podbiegła do oszołomionej grupki, stojącej koło krzeseł i mocno ścisnęła czyjeś ramię.

- Tato, tato! - krzyczała. - Co się stało z tatkiem, o co chodzi, dokąd on pobiegł?

- Geno, weź się w garść! - przemówił ostro Charles, zbliżając się do niej. - Benowi nic się nie stanie! Alex poszedł go szukać, znajdą go i sprowadzą tutaj, wtedy dowiemy się, o co chodzi! Wszystko będzie w porządku, daję ci słowo!

Z tyłu grupy rozległ się głośny śmiech, pełen niedowierzania.

- Ty dajesz słowo! Czy możesz podać choć jeden powód, dlaczego mielibyśmy ci wierzyć, stryju Charlesie?

Z ciemności za lampami wysunął się powolnym krokiem Jon, w groźnie migocącym świetle widać było jego nieruchomą twarz i oczy.

- Podobało się pani przedstawienie, pani Matsuda? - rzucił z teatralnym naciskiem w kierunku niewzruszonej Japonki, która stała w napięciu w pobliżu, z opiekuńczym Buckleyem u boku. - Co, sądziła pani, że to tylko dawna historia Koenigshausu? Wcale nie! Ludzie ginęli dla tej posiadłości... i to często... a ostatni raz miał miejsce zaledwie kilka tygodni temu!

Charles pobałł śmiertelnie.

- Na litość boską, zamknij się, idioto! - syknął. - Pomyśl o...

- O sprzedaży? - szyderczo spytał Jon. - O tak, najważniejsza jest sprzedaż!

Helen nie mogła już tego znieść.

- Jon!

Czy nie rozumiesz, kochanie, te musi dojść do sprzedaży? To wszystko wina Koenigshausu, to przekleństwo, które na nas wszystkich ciąży, ta posiadłość gnije, doprowadza nas do szaleństwa, musimy odejść, porzucić ją, zacząć wszystko od początku, nie rozumiesz tego?

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zbyt wiele spadło na Jona, załamał się w końcu, stracił rozum.

- Proszę nie słuchać Jona, pani Matsuda - przemówiła niepewnym tonem. - Jest wstrząśnięty, śmierć Phillipa wytrąciła go z równowagi, wie pani, że testament ojca pozbawił go wszystkiego. Mój mąż nie został zamordowany! Nie ma słowa prawdy w tym, co mówi Jon...

Przerwał jej okropny śmiech syna.

- Jeśli w to wierzysz, droga mamó, to obawiam się, że czeka cię okropny wstrząs... i to już teraz! - Zwrócił się do Charlesa, stojącego w cieniu. - On wie o wszystkim, prawda?

Charles napiął mięśnie, niczym bokser na dźwięk gongu.

- Kto?

- Ben, rzecz jasna! - Jon groźnie zrobił krok w jego kierunku. - Wiedział, co robisz! Tylko bez sztuczek, Charles!

Twarze wokół nich wydawały się wyrzeźbione z ciemności, migotliwe, żółte światło lamp naftowych modelowało je i przekształcało. Gdy rozpoczęło się starcie, Helen, Geena, Rose,

pani Matsuda i Buckley przypominali insekty uwięzione w bursztynie.

Charles próbował się roześmiać.

- Kto wiedział o czym? Jon był bardzo spokojny.

- Ben. Wiedział o twoich malwersacjach... oszustwach, które doprowadziły Koenigshaus na skraj przepaści. Bardzo się napracował, kryjąc cię, prawda? Wykorzystywał wszystkie umiejętności księgowego, by zamaskować twoje pożyczki, by wyglądało, że wszystko w porządku? Nic dziwnego, że był tak zdenerwowany ostatnio, gdy obcy ludzie zaczęli przeglądać księgi! Musiał chyba doprowadzić się do szaleństwa, sprawdzając bez końca swoje arcydzieło, na wypadek, gdyby pozostał choć najmniejszy ślad twoich kombinacji!

Z miejsca, gdzie stali Craig Buckley i pani Matsuda, dobiegł ledwo słyszalny odgłos westchnienia pełnego zaskoczenia.

Charles wzruszył obojętnie ramionami, ale oczy mu błyszczały.

- To bzdura, całkowita bzdura. Nie robiliśmy tajemnicy z kłopotów, jakie ma firma... dlatego szukaliśmy kupca. - Udało mu się rzucić uśmiech w kierunku pani Matsuda i Buckleya, którzy obserwowali wydarzenia, niczym wyścigi konne. Potem zwrócił się do Jona. - Nic nie rozumiesz, do cholery! Nie masz pojęcia o interesach! Nie wiesz, o czym mówisz.

Jon potrząsnął głową z uporem i wściekłością.

- Wiem o wiele więcej! Jeśli nawet wyjaśnisz część problemów, i tak dużo ich jeszcze zostanie! Wiem to, tylko nie mam dowodu! - Podniósł głos. - Co zrobiłeś z pieniędzmi? Czy to twoja zemsta... nie mogłeś mieć Koenigshausu, więc dopilnowałeś, by się wykrwawił? - Czuł, że lada chwila się załamie, ale musiał się opanować, doprowadzić wszystko do końca. - Jednego tylko nie wiem... czy Ben orientuje się, że nie tylko pozbawiłeś mego ojca firmy i pieniędzy, ale i zabiłeś go !

- Nie!



To był krzyk Helen. Ale Charles odezwał się wkrótce po niej, jego głos przeciął ciszę, jak nóż.

- Zwariowałaś! - powiedział z niedowierzaniem. - Nigdy nie słyszałem czegoś równie podłego! Tak, nienawidziłem Phillipa! - Nagle jego blada twarz posiniała z wściekłości. - Ale go nie zabiłem, jego śmierć to nieszczęśliwy wypadek!

Odwrócił się szybko do Helen, która szlochała u jego boku.

- Nie martw się, Helen, zajmiemy się Jonem, dopilnuję, by miał opiekę lekarską, najlepszą w Australii, wyleczymy go, nie płacz! - Spojrzał na Jona. - Uznałem, że nigdy tego nie powiedziałaś! A tymczasem jest ktoś, kto potrzebuje naszej pomocy bardziej niż ty! Mam zamiar dołączyć się do poszukiwań biednego, starego Bena! Bóg jeden wie, gdzie się teraz pod ziewa! Ale kiedy go znajdziemy, będziemy mogli wszystko wyjaśnić!

Helen nie czekała, aż Charles odejdzie. Płacząc i zawodząc, niemal całkiem wyprowadzona z równowagi, rzuciła się na syna.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony! - zaatakowała go, zalewając się łzami. - Co chciałeś osiągnąć tym przedstawieniem, tylko zranić Charlesa, czy wprawić nas wszystkich w zakłopotanie? - Zacisnęła zęby, by przestały szczerkać, drżała na całym ciele. - Słuchaj, Jonie, wiem, że miałeś ciężkie przeżycia. Ale my też! - Jej głos przeszedł w lament.

Opadła skulona na krzesło obok oszołomionej i milczącej Trishy. Syn podszedł do Helen, przykląkł i wziął ją za rękę, patrząc jej w oczy.

- To coś więcej niż ciężkie przeżycia, mamó - krzyknął. - Tato został zamordowany i to Charles go zabił! Dowiedziałem się, że Charles zaciągał pożyczki w imieniu firmy, wykrwawił ją doszczętnie. Miał tylko jedną szansę... doprowadzić do sprzedaży, zatrzeć ślady z pomocą Bena, zwinąć interes i ulotnić się.

- Nie, nie - szlochała. - To nie może być prawda! To nie Charles! Jon zerwał się na równe nogi, gniew podsycił jeszcze furję.

- Rany boskie, mamó, doróśnij wreszcie, wbij to sobie do głowy! Tak, to Charles! Tak, drogi, stary stryj-brat-kochanek Charles! Równie dobrze możesz wiedzieć, że nie jestem pewien... czy nie jest także zabójcą Ellie!

Niczym błyskawica przeszła go nagle myśl:

- Jezu, ja tu stoję i gadam, a on może uciec! Prawdopodobnie gna teraz na lotnisko, by złapać helikopter, i uda mu się zwiać, gdy policja razem z Alexem szuka Bena! Muszę go zatrzymać!

Pobiegł w ciemność, a ciszę przerwał bełkotliwy głos Trishy.

- Nie, on nie zabił pokojówki, tej-jak-jej-tam. Nie Charles. Muszę to jednak powiedzieć Alexowi.

Pani Matsuda rzuciła łagodne spojrzenie na pijaną Trishę, potem wskazała na szlochającą Helen, rozciągniętą na krześle. Twarz miała niemal współczującą.

- Zabierzmy je do domu - powiedziała.

Geena i Rose z niechęcią ruszyły wypełnić jej polecenie.

Pani Matsuda popatrzyła na Buckleya i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jak na chłopaka, który zna się tylko na bydłe, to Jon wyciągnął zadziwiająco słuszne wnioski, prawda? - spytała cicho.

- Jaka szkoda, że nie możemy powiedzieć mu tego, czego nie wie... i w czym się omylił. Obawiam się, że będzie musiał się jeszcze dowiedzieć, że człowiek, który się za tym wszystkim kryje, to ten sam, którego nadal darzy tak wielkim szacunkiem.

Buckley mruknął cicho, tak by Helen nie słyszała.

- Ale kiedy czarnym charakterem jest, ni mniej ni więcej, jego własny ojciec...

Pani Matsuda dopowiedziała z wiecznym jak czas uśmiechem.

- To co może taki chłopak zrobić?

O Boże, ci ludzie z barbarzyńskiego Zachodu nie potrafią zachować się jak należy!

Nic dziwnego, że Japonia ostatnio zdobyła w świecie pozycję gospodarczego supermocarstwa, jeśli miała tylko takich

przeciwników. A kiedy ten śpiący olbrzym, czyli Chiny, ocknie się z bezrozumnego snu komunizmu, niech się strzegą barbarzyńcy! Nie domyślą się nawet, skąd padnie cios!

Nie, to nawet nie barbarzyńcy, lecz zaledwie dzieci - westchnęła pani Matsuda. Teraz, gdy ta rodzina potrzebowała silnej męskiej ręki i jeszcze silniejszej kobiety, by opanować sytuację, gdzie się oni podziwiali? Mężczyźni popędzili do interioru w poszukiwaniu słabeusza i nieudacznika, który w Japonii musiałby popełnić samobójstwo, by nikomu już więcej nie zawadzać. A tymczasem wszystkie kobiety zalewały się histerycznie łzami!

No, niezupełnie wszystkie. Obojętnie przyjrzała się grupce rozbitków, skupionych przy kuchennym stole. Musiała oddać sprawiedliwość silnej jak drzewo Geenie, nadal owiniętej szkarłatnym sarongiem, z nienaturalnie poszarzałą twarzą i ciałem pokrytym farbą, i Rose, wiecznej niczym skała z piaskowca, strzegąca oczka wodnego.

Jednak żadna z nich nie potrafiła poradzić sobie ze zrozpaczoną Helen i niezrównoważoną, histeryzującą Trisha. A Rose, poza tarotem, miała tylko jedną radę.

- Jeszcze drinka?

Sięgnęła po butelkę. Pani Matsuda westchnęła.

- Nie... nie - odpowiedziała słabym głosem Helen, odgarniając z oczu włosy i odsuwając szklaneczkę. - Nie, dla mnie nie, to nie jest żadne rozwiązanie! - Spojrzała na Trishę, na wpół leżącą na stole, pochlipującą cicho w pijackim żalu nad sobą. - I słuchaj, Rose, ani kropli więcej dla Trishy... Musimy wziąć się w garść...

Do ciebie mowa! - skarciła się gniewnie w duchu, czując wstyd z powodu gwałtownego wybuchu i wyczerpanie szaleńczą burzą emocji.

O Boże, pozwól nam tylko przetrwać następną dobę! - błagała niewidzialne bóstwo. Niech tylko pani Matsuda kupi tę cholerną posiadłość, a wszyscy będziemy wolni. I będę mogła zrobić to, co muszę, dla Jona...

Podniosła się, obeszła stół i położyła dłoń na ramieniu płaczącej.

- Czy pomóc ci dojść do łóżka? - Spojrzała na Geenę, która stała, pełna niepokoju, u boku Trishy. - Jeśli weźmiesz ją za rękę...

Ale gdy tylko dotknęły Trishy, ta oprzytomniała i wyprostowała się z trudem.

- Nie dotykajcie mnie, czuję się dobrze!

Twarz ze zniszczonym makijażem, zaczerwieniona i pokryta plamami, rozmazany tusz pod oczami i napuchnięte usta - zadały kłam jej zuchowatym słowom, ale usiadła prosto, jak gdyby miała zamiar wziąć się w garść.

- I nie chcę iść do łóżka - oznajmiła buntowniczo. - Mam zamiar poczekać, aż wróci Alex, i powiedzieć mu... powiedzieć mu, co wiem.

- Tak? - spytała pani Matsuda łagodnie. - A co pani wie?

W kuchni zapadła cisza, wszyscy czekali na słowa Trishy. Choć nie była to odpowiednia pora na dramatyzowanie, nie mogła oprzeć się pokusie, by nie wykorzystać należycie okazji.

- Widziałam Ellie tamtej nocy, gdy zginęła - wygłosiła z triumfem. - Alex sądzi, że po raz ostatni widziano ją, kiedy wpadła do niej sypialni tego ranka, gdy ją zwolniłam. Tak powiedział policji. Ale ja spostrzegłam ją, idąc na kolację. Przyszłam na końcu, więc wiem, że byłam ostatnią osobą, która widziała Ellie. I chcę to powiedzieć Alexowi! Craig Buckley zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Chryste, to znaczy, że pani mu tego jeszcze nie powiedziała?

- Z początku nie przyszło mi to do głowy! - zaprotestowała wojowniczo. - Nie obchodziło mnie ani trochę, że gdzieś znikła, i dopiero później zorientowałam się, że ostatni raz widziano ją żywą właśnie tamtej nocy! - Zaczęła nerwowo szukać torebki, by wziąć papierosa. - Kiedy to sobie uświadomiłam, próbowałam Alexowi to powiedzieć! Ale nie chciał słuchać, był zbyt zajęty.

Za bardzo zajęty pieprzeniem ciebie - pomyślała pani Matsuda. Ale na głos powiedziała miłym tonem:

- Więc co pani widziała? Trisha wyprostowała się.

- Zobaczyłam ją na dworze, ja szłam z domku gościnnego, a ona obchodziła dom od tyłu. Myślałam, że zjawiła się, by pomóc przy kolacji. Zanim dotarła do kuchennych drzwi, z ciemności wyłonił się czekający na nią mężczyzna. Złapał ją i zaczęli się szarpać.

- Jaki mężczyzna? - naciskał usilnie Buckley. Trisha wyduła usta.

- Nie widziałam go, było ciemno. Wchodziłam przez frontowe drzwi, co miałam sobie zawracać głowę parą kłócących się aborygenów!

Pani Matsuda pochyliła się w jej kierunku.

- To był aborygen?

- Tak! - odpowiedziała ze złością Trisha.

- Krępy, dobrze zbudowany? - wtrąciła Helen. - Może to mąż Ellie, Mark. - Jęknęła. - Och, biedna Ellie! To chyba musiał być on!

Pani Matsuda uniosła lekko dłoń i znowu zwróciła się do Trishy.

- Jest pani pewna, że to był aborygen?

- Tak, oczywiście! - warknęła Trisha. - A niby kim miałby być? Ja...

- Ona go nie rozpoznała! - wybuchnął Craig Buckley. - Było ciemno, widziała go tylko z daleka, jeśli kłócili się przy bocznych drzwiach, a ona wchodziła frontem. - Wbił w Trishę spojrzenie godne samego Goebbelsa. -Pani po prostu uznała, że on jest czarny, gdyż walczyli ze sobą.

- Tak, no cóż, ja...

- Więc to mógł być każdy, biały lub czarny - upierał się Buckley. -Mieszkaniec Koenigshausu... lub nawet jakiś mężczyzna z zewnątrz!

Zapadło niepewne milczenie. Nagle z kąta rozległ się głos, którego nikt nie oczekiwał.

- To był Markie.

Wszystkie oczy skierowały się na skuloną w kącie przy drzwiach Rose, ściskającą butelkę.

- Ona widziała Marka - mówiła ochryplym głosem. - Słyszałam ich. Tuż przed kolacją. Jego i tę... tę dziwkę, Ellie!

Rose nie należała do ludzi, którzy twierdzą, że nie można mówić źle o zmarłych.

- Ta mała flądra zjawiła się akurat wtedy, gdy podawałam na stół kolację! - rzuciła jadownicę. - A ten pijany nicpoń, jej mąż, czekał na nią, chciał ją zatrzymać, miał dosyć jej zadzierania nosa. „Mówiłaś, że cię wyrzucili!” - zaatakował ją. „Więc co tu robisz?” A ona odpowiedziała mu wrzaskiem: „Dlaczego chcesz mnie powstrzymać? Powiedziałam ci rano, że wrócę, gdy będę chciała, kiedy będę gotowa!” I zaczęli się szarpać. Słyszałam, jak Mark odciągnął ją i zaczął bić, a ona płakała, jak zarzynane prosię.

Zapadło ciężkie milczenie. Helen podniosła głowę.

- Więc to Mark ją zabił, jak mówiła policja.

- To musiał być on, a któż by? - wtrącił Buckley. - W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto mordercą jest osoba, która ostatnia widziała żywą ofiarę.

Pani Matsuda kiwnęła głową.

- Jak pan Matsuda, pan Buckley wie bardzo dużo o tych sprawach. Jeśli mąż jako ostatni widział swą żonę żywą, to bardzo źle mu to wróży.

- Tylko że on nie był ostatni.

Bez wątpienia w głosie Rose dała się słyszeć nutka satysfakcji, odniosła zwycięstwo nad cudzoziemskimi gośćmi, a zwłaszcza nad tym samozwańczym ekspertem, Buckleyem.

- Co masz na myśli, Rose? - dopytywała się Helen, modląc się w duchu, by nie stracić panowania nad sobą.

Na twarzy Rose odbiło się poczucie własnej ważności.

- Duch pani Trudi zjawił się tamtej nocy - oznajmiła monotonnym, śpiewnym głosem. - Przyszła po pana Phillipa, a także po tę dziwkę Ellie.

- Rose...

Helen wzięła głęboki oddech.

- Dlaczego pani Trudi miałyby przyjść po Ellie?

- Bo to była latawica! Słyszałam, jak gadała z Markiem, chwaliła się i krzyczała! Słyszałam, jak mówiła: „Spałam z nimi wszystkimi, oni wszyscy mnie mieli, pan Phillip i pan Alex, i pan Jon, wszyscy, wszyscy!”

Dobry Boże - pomyślała Helen - czy to się nigdy nie skończy? Pani Matsuda wytrzeszczyła oczy.

- Czy to prawda? A może tylko tak mówiła, żeby zdenerwować męża i ukarać go?

- Nieprawda, jeśli chodzi o pana Jona - stwierdziła Rose. - Ale prawda, gdy mowa o tych dwóch, o mężczyznach pani Trudi, jej mężu i synu. A Markie o tym nie wiedział, nic nie wiedział, nie miał pewności, dopóki mu o tym nie powiedziała, i to ze śmiechem! Więc uderzył ją parę razy, ona krzyczała, a ja słyszałam, jak pani Trudi się śmieje, i myślę, że Markie Hands był wystarczająco rozwścieczony, by wykończyć żonę. Ale gdy tak ją bił, ona krzyczała i wykrzykiwała jedno i to samo, dopóki nie uciekła od starego Marka i nie pobiegła w busz. Że lepiej będzie, jak się od niej odczepi, albo znajdą go gdzieś pod krzakiem z głową wykręconą ku plecom, że załatwi to dzisiaj nocy, jak tylko zobaczy się... Napięcie stało się niemal nieznośne.

- Więc miała jeszcze jedną randkę? - dopytywał się szorstko Buckley. - Była z kimś umówiona? Z kim?

Rose potrząsnęła głową.

- Z „nim”, tak mówiła. Powiedziała tylko „z nim”.

On musi tu być, nie mógł udać się gdzie indziej.

Jon nie posiadał się z radości, tryumfował i śmiał się głośno, pędząc przez busz na motocyklu crossowym, który nawinął mu się pod rękę, gdy wybiegał z domu. Czuł, że wreszcie, wreszcie zmusił Charlesa do ucieczki. Zbyt wiele osób było obecnych, gdy rzucił stryjowi wyzwanie, by ten mógł snuć dalej swą pajęczyne

kłamstw. Nic dziwnego, że musiał uciekać! I tylko w jedno miejsce mógł się udać.

To musiało być lotnisko, Charles potrafił pilotować śmigłowiec, jak wszyscy, to była konieczna umiejętność, jeśli żyło się na wielkiej farmie, w interiorze...

Charles musiał uciekać, ukrywać się, szybko się stąd wydostać. Tylko w jeden sposób mógł to zrobić. Był zbyt mądry, by brać samochód, który policja mogła wysledzić z góry równie łatwo, jak orzeł tropi powolnego robaka. Po wszystkich latach spędzonych w mieście nie orientował się wystarczająco w terenie, nie mógł więc wziąć konia i po prostu rozplynać się w buszu. Nie, tylko lotnisko dawało mu szansę ucieczki.

Mknąc przez miękką, czarną noc, kiedy nie musiał walczyć, by utrzymać podskakujący motocykl na nierównej polnej drodze, tak słabo oświetlonej przez bladą poświatę księżyca, że każdy jard był śmiertelną pułapką, Jon zastanawiał się, czy Ben nie wpadł na taki sam pomysł. Ale od razu odrzucił tę hipotezę. Stary Ben nie zmierzał w konkretnym kierunku, on po prostu wybiegł na ślepo w noc. Nie miał ułożonego planu ucieczki, żadnego celu w myślach, uległ zwykłej panice, mógł być wszędzie.

I potrzebował pomocy, to pewne, niezależnie od tego, co zrobił. Ale na to przyjdzie czas później! Teraz kolej na Charlesa! Jon dodał gazu i motocykl znowu skoczył do przodu. Najpierw musi znaleźć Charlesa. A wtedy ten podły morderca nie będzie się już miał gdzie ukryć!

Lotnisko leżało przed Jonem, na końcu długiego, prostego szlaku. Światło reflektora natrafiło na nich, zanim zorientował się, na co patrzy. Grupa postaci, których nie potrafił rozpoznać, zastygłych w pozycji, której nie rozumiał. Gdy zbliżył się nieco, odróżnił wyciągnięte ciało człowieka, leżącego twarzą do ziemi. Klęczał przy nim jakiś mężczyzna, przyciskając jego ramiona do ziemi, inny stał przy jego stopach, krepując mu nogi, a jeszcze inny przykucnął obok, pochylając się nad leżącym.

Na Boga, dopadli go!



Gdy postaci stały się lepiej widoczne w świetle reflektorów i Jon rozpoznał najpierw Alexa, a potem George'a i Roscoe, serce wezbrało mu radością i ulgą. Musieli tu dotrzeć jako pierwsi, w poszukiwaniu Bena, i byli tutaj, gdy zjawił się Charles! I aresztowali go, złapali drania, gdy próbował uciec, co było równoznaczne z przyznaniem się do winy!

Dodał gazu w przyływie szaleńczej radości, nie mógł się doczekać, kiedy do nich dołączy. Chciał skrócić kark Charlesowi, deptać mu po twarzy! Zaśmiał się głośno. To znaczy, jeśli z Charlesa coś jeszcze zostało. Drań musiał nieźle się bronić, jeśli sądzić po krwi na głowie i widocznym fragmencie twarzy! Ale Jona to nie obchodziło, nie przejąłby się nawet gdyby Charlesa zabili!

Złapali go, przyciskali do ziemi, skrepowali mu ręce i nogi! Już po wszystkim, już po wszystkim, Jon był wolny, mógł zacząć życie od początku, nareszcie mógł żyć...

Zatrzymał gwałtownie motocykl, i pochylił się do przodu niemal z histeryczną ulgą, opierając się na kierownicy.

- Hej, chłopcy! - zawołał zdyszany, przekrzykując warkot silnika. -Dostaliście go, co? Wspaniała robota!

- Jon?

Alex skierował bladą twarz w kierunku świateł, odwracając się od postaci rozciągniętej na ziemi.

I nagle Jon zrozumiał wszystko.

## Rozdział trzydziesty drugi

I nagle Jon zrozumiał wszystko.

Pojął, bez najmniejszych wątpliwości, że mylił się straszliwie, przerażająco, przez cały czas, aż do tej chwili. Gdy zatrzymywał motocykl w wirującej, duszącej kurzawie, miał w ustach smak kurzu i popiołu. Czuł tryumf, z powodu odkrycia prawdy, lecz przeradzał się on w ściskające gardło poczucie przegranej. Bo choć znał teraz odpowiedź, której od tak dawna i z

takim wysiłkiem szukał, pojął również, że ceną tej wiedzy miało być jego życie.

Wiedział już, jak umarł Phillip. Gdy tylko zobaczył tę złowieszczą trójkę, przyłapaną w chwili, gdy nie mieli się na baczności, zastygła niczym króliki w świetle reflektorów, nagle przed oczami stanęła mu jego wizja.

Człowiek rozciągnięty na ziemi, samotny, bezbronny wobec tych, którzy szli przez noc z zamiarem popełnienia morderstwa...

Dwóch ludzi, którzy go obezwładniali, dwóch wielkich, krzepkich mężczyzn, przyzwyczajonych do przemocy...

I jeden przywódca... człowiek, który miał dokonać zbrodni... pochylał się nad zakneblowaną, unieruchomioną ofiarą i przygotowywał jej gwałtowne przejście na tamten świat.

George i Roscoe - to dwóch pomocników-zbirów.

I Alex... brat Alex... truciciel. W jednej sekundzie Jon zrozumiał, że widzi zabójstwo ojca tak wyraźnie, jak gdyby był przy tym.

I znajdował się niecałe sześć stóp od mordercy.

- Jon? - Alex zwrócił twarz ku reflektorom i osłonił oczy dłonią. - Przyjechałeś, by nam pomóc?

- Taak, no jasne! - Musiał to ciągnąć, nie mógł pozwolić, by zorientowali się, że coś podejrzewa. Ale nawet w jego własnych uszach ten załamujący się głos miał żałośnie nieprzekonujące brzmienie. Na chwilę zapadło milczenie, gdy trzej mężczyźni rozważali to, co powiedział. Potem zobaczył, że Alex niezauważalnie sztywnieje, a George i Roscoe wymieniają spojrzenia.

Teraz z kolei Jon poczuł się jak królik w obecności węża. Ze skrywaną paniką, czując, że zaczynają mu drgać mięśnie ramion i nóg, a mózg zostaje ogarnięty paraliżem, przyglądał się, jak policjanci bez pośpiechu kończą krępować nieprzytomnego Charlesa, leżącego twarzą ku ziemi. Potem trzej mężczyźni powoli się podnieśli. Alex stał na ich czele.

- Mamy szczęście, że się zjawiliś - powiedział niedbale.

- Taak, im nas więcej, tym weselej - wyrwał się Roscoe. Jego towarzyszy rzucił Jonowi chytre spojrzenie.

- Zawsze się znajdzie miejsce dla jednej osoby.

- Hej, bracie! - Alex nie uśmiechał się. - Powiedz, co cię sprowadza? Po prostu odpowiedz na pytanie, zachowuj się normalnie, udawaj, że

wszystko w porządku, dopóki nie nadarzy się okazja do ucieczki...

Czuł, że niemal się dusi.

- Ja... ja szukałem Charlesa.

- Charlesa?

Alex wpatrywał się w brata, oczy miał lodowate.

- Dlaczego sądziłeś, że znajdziesz go tutaj?

- Dlatego że... że on...

Alex spojrzał z ukosa na George'a i olbrzym, nadal uśmiechając się, przesunął się do tyłu. Stojący po drugiej stronie Alexa Roscoe niedostrzegalnie powtórzył manewr partnera, nie potrzebując instrukcji.

- Powtóż - dociekał Alex ze spokojem. - Szukałeś Charlesa... po co? Jon przesunął się jakby od niechcenia do przodu, oba zbiry deptały mu po piętach.

Dzieliły ich teraz niecałe cztery stopy. Dziki strach ogarnął Jona, a wraz z nim - przyplływ szaleńczej odwagi.

- Szukałem go, bo myślałem, że zabił mego ojca! Ale już nie muszę szukać zabójcy taty! Patrzę na niego! Bo wiem, że to ty! To byłeś ty! - Łapiąc oddech, Jon rzucił ostatnie wyzwanie w drgającą twarz Alexa. Tylko obaj policjanci wydawali się niewzruszeni.

- No, no, to ciekawe, prawda, Roscoe? - wyraził swój pogląd jeden z nich.

Drugi powoli skinął głową.

- Niezbyt miłe... chociaż ciekawe, taak.

- Ale nie wydaje mi się, że można pozwolić, by facet biegał sobie po całym Terytorium...

- ...powtarzając takie zarzuty...

- ...oszczerstwa i pomówienia...  
- ...przeciwko szanowanemu właścicielowi wielkiej farmy hodowlanej na naszym terenie...

- ...prawda, panie Koenig?

Twarz Alexa była napięta i blada, oczy błyszczące, twarde i bezlitosne.

- Z całą pewnością, chłopcy. Co proponujecie? Zbliźali się do Jona, cał po cał, mówiąc bez przerwy.

- Jak sądzisz, George? Areszt prewencyjny?

- Przeszkodzić mu, zanim przeszkodzi nam, jak ty byś to powiedział...?

- A potem zdarzy się nieszczęśliwy wypadek...

- ...czynny opór...

- ...próba ucieczki...

- ...atak na policjanta...

- ...wiele okazji do wypadku...

- ...bardzo nieszczęśliwego wypadku...

- ...dla niego...

- ...ale nie dla nas...

Spomiędzy wąskich warg Alexa wymknął się rozkaz, przypominający syk:

- Na co czekacie?

Byli już przy nim. Wielka dłoń Roscoe wysunęła się, by złapać za kierownicę, a George pochylił się ku Jonowi, szukając jednocześnie kajdanek przy szerokim, skórzanym pasie. Roscoe uśmiechnął się niczym miły wujaszek.

- Chyba nie chce pan narobić nam kłopotu, panie Jonie?

Zimne, metalowe szczęki kajdanek już muskały przegub Jona, gdy nagle odzyskał zdolność ruchów.

- Tak! - krzyknął, przywracając silnik do pełni życia i przerzucając się na trzeci bieg. Ruszył z miejsca, motocykl wierzgnął niczym koń, niemal zrzucając swego jeźdźca. Ale przy tym skoku uderzył w Roscoe, a George potoczył się jak piłka, rycząc z bólu. Jon pomknął w noc, zagłębiając się w ciemność lotniska i pędził jak szalony, pełną parą.

Za sobą słyszał wrzask rannego i stek przekleństw i oskarżeń. W potwornej panice przeciął pas startowy i znalazł się po drugiej stronie. Po chwili natrafił na piaszczysty pagórek, porośnięty ostrą trawą, i zdał sobie sprawę, że nie uniknie upadku. W następnej chwili wyrzuciło go z motocykla. Miał wrażenie, że przez długi czas zawisł w powietrzu, zanim spadł na twardą jak skała ziemię.

Leżał bez tchu przez moment, potem znowu poczuł panikę. Gorączkowo, zataczając się, wstał i starał się myśleć precyzyjnie.

Pomyśl, zanim cię dopadną! Upadł tak, że motor go nie przygniótł i wyładował cało, więc mogło być gorzej. Szukając po omacku motocykla stwierdził, że pojazd powinien być w porządku, przednie koło nie było chyba wygięte i, dzięki Bogu, silnik zaskoczył za pierwszą próbą. Ale prawie nie czuł lewego ramienia, musiał uderzyć się w nie, gdy spadł, żeby tylko nie było złamane! I bolała go głowa, ale to mogła być wina alkoholu... tylko ta lepka wilgoć we włosach...

Myśl.

Myśl!

Uciekać, to najważniejsze.

Ostrożnie wgramolił się na siodło. Mógł poruszać lewą ręką, kierować nią, jeśli będzie jechał ostrożnie. A dzięki motocyklowi może zboczyć z głównego szlaku, gdzie przede wszystkim będą go szukać, i jechać na skróty, a samochód policyjny nie potrafi go dogonić.

Więc na co czekasz?

Naprzód!

Ruszył powoli. Po przejechaniu kilku jardów wyłączył reflektory, wolał znajdować drogę przy świetle księżyca, niż stanowić łatwy cel dla karabinu z noktowizorem. Zdawał sobie sprawę, że nadal mogą go słyszeć. Ale od chwili, gdy znaleźli się w samochodzie, nie mogli odróżnić dźwięku silnika motoru od ich własnego. Naprzód, chłopcze, po prostu uciekaj.

Uciekać, ale dokąd?

Nie do domu, bo przede wszystkim tam będą go szukać. I nie mógł narazić na niebezpieczeństwo matki i Geeny, Rose i innych mieszkańców. Musiał znaleźć jakieś miejsce, by się ukryć przed pościgiem, dopóki nie wymyśli, co powinien zrobić, dopóki nie dotrze do jakiegoś nadajnika radiowego i nie wezwie pomocy.

Zakrztusił się śmiechem.

Wezwać pomoc?

Policję?

Kogo można prosić o pomoc, jeśli przestępcy to policjanci? Spróbował wziąć się w garść. Dosyć! Będziesz się tym martwić, gdy znajdziesz nadajnik. A teraz... po prostu uciekaj.

Po prostu uciekaj.

Uciekaj.

Jak Charles na lotnisko, tak Jon mógł udać się tylko w jedno miejsce. Od czasów dzieciństwa tylko ono zapewniało mu bezpieczeństwo. Tam nikt go nigdy nie znalazł, tam mógł myśleć i być wolny, w tajemnicy zapanować nad swą duszą i pogрузić się w spokój, który płynie tylko z ciszy, cierpliwości i długiej samotności.

Pójdzie tam.

I będzie bezpieczny.

Ale podobnie jak zwierzę, które wraca do ukrytego legowiska w samym sercu interioru, Jon zdawał sobie sprawę, że nie może udać się tam najprostszą drogą. George i Roscoe byli dziećmi tej krainy, tu dorastali, spędzili całe życie na polowaniu na ludzi, mogli więc go wytropić.

Bo będą go tropić, musieli to zrobić. Pomyślał, że Roscoe mógł zostać wyeliminowany, gdy najechał na niego motocykl. Przy odrobinie szczęścia, mógł także nieco uszkodzić George'a. Ale sądząc z hałasu, jaki podnieśli, gdy Jon oddalał się od nich, byli bardziej przestraszeni niż poranieni. I bardzo wiele trzeba, by naprawę unieszkodliwić takich zabójców, wielkich, silnych mężczyzn w kwiecie wieku.

Pozostawał jeszcze Alex, nie był nawet draśnięty. A on będzie zdecydowany na wszystko, nie pożałuje wysiłku, by dopaść przeciwnika. Teraz Alex musiał go zabić, inaczej na marne pójdzie zabójstwo taty.

I Ellie?

I Marka?

Zapomnij o tym! - mówił do siebie.

Przyjdzie czas, by to rozwikłać. Teraz szukał kryjówki, jak lis szuka nory, by lizać rany i ocalić zagrożone życie.

Głowa bolała Jona coraz silniej, tętniła niemal z hipnotyzującym natężeniem, wybijając z okrucieństwem odzew na pulsujący ból ramienia. Próbował nie zwracać na to uwagi, obawiał się, że może spaść z motocykla. I zmuszał się do kluczenia tam i z powrotem, jak to robi ścigane zwierzę, wyszukiwał małe strumyczki, wjeżdżał w nie i wyjeżdżał z nich w różnych miejscach, by prześladowcy zgubili ślad. Jechał przez noc, zataczając szereg kół, zawracając we wszystkie strony.

Dopiero gdy brzask zaczął rozjaśniać atramentowoczną misę ciemności, pozwolił sobie skierować się ku kryjówce. Wyczerpany, brudny i posiniaczony, z włosami poczerniałymi od krwi, zatrzymał się w końcu na brzegu jeziora. Zjechał w głąb niecki, spłoszył i rozgonił stado wodnego ptactwa, które uniosło się, zataczając kręgi wokół jego głowy, gruchając z przerażeniem. Niemal umierając ze zmęczenia, walcząc ze łzami ulgi, jechał nad brzegiem wody aż do wejścia do jaskini. Potem ostatnim nadludzkim wysiłkiem wepchnął tam motocykl.

Ostatnie zadanie.

Wyszedł na zewnątrz i, ułamawszy gałąź drzewa gumowego, zaczął cofać się od granicy zarośli, starannie zacierając wszelkie ślady pozostawione przez pojazd. Potem wycofał się w czarną noc jaskini, opadł na ziemię w aksamitnym mroku, kompletnie wyczerpany.

Ale bezpieczny.

Wiedział, że nic mu już nie grozi.

Ostrożnie wyciągnął się, najwygodniej jak potrafił, chroniąc zranione ramię, i leżał, usiłując się odprężyć.

Nikt nie mógł go tu odszukać. Tego przede wszystkim nauczył się od Dusty'ego w trakcie dzieciństwa spędzonego w buszu. Uciekał niczym zwierzę, ale był od niego mądrzejszy. Żadne zwierzę, chociaż uzbrojone w niezrównany dar węchu i wzrok, który potrafi przebić ciemności, nie potrafiłoby go wytropić dzisiejszej nocy.

Dzisiaj mógł odpoczywać spokojnie.

Kilka godzin snu... lub przynajmniej odpoczynku, gdyż prawdopodobnie tylko na drzemkę pozwoli mu ten ból głowy... a może ramienia... kilka godzin... czas, by zaplanować, dokąd pójść, co zrobić.

Jutro, po pierwsze, będzie musiał poszukać pomocy.

Do kogo się zwrócić?

Do Dusty'ego?

Lepiej do Henry'ego Suffolka, skontaktować się z Henrym, pójść z nim do jego domu, skorzystać z jego nadajnika. Z małej farmy Suffolków jest bliżej do miasta, prawda? Ile zostało benzyny w maszynie? Dostyc, by tam dotrzeć? Chyba tak.

A może bliżej była sąsiednia farma Golden Mountain, w której kiedyś pracowała mama? Mama. O, Boże!

Mama.

I Charles.

Nie, nie mógł o tym myśleć, nie dzisiaj, będzie musiał wynagrodzić im to szaleństwo, tę zazdrość, to wszystko... Jutro.

Wynagrodzi im to jutro.

Wyciągnął się, był zanadto zmęczony, by ziewnąć.

Leżał w głębokiej nocy jaskini, niemal w całkowitym spokoju. Jutro wszystko wyjaśni, zacznie od nowa, z mamą, z Charlesem, ze wszystkimi. Teraz ma tylko spać.

Leżał, wsłuchując się w ciszę. Nagle za sobą w mroku usłyszał jakieś poruszenie.

Potem rozległ się dźwięk przejmujący śmiertelnym chłodem.

- Cześć, Jon.



## Rozdział trzydziesty trzeci

Jon nie poruszył się. Ale włosy na karku zjeżyły mu się, gdy pierwsza fala drżenia ogarnęła całe ciało.

- Przykro mi, naprawdę. - Głos zdawał się prowadzić zwykłą, towarzyską rozmowę. - Wiesz, lubię cię, naprawdę cię lubię. I gdybyś nie upierał się, by wtykać nos w to wszystko...

- To by ci się upiekło.

- I tak mi się udało! - Rozmówca był rozgniewany i urażony.  
- Osiągnąłem swój cel!

Jona niemal rozbawiła ta szaleńcza pewność siebie, ta potworna pycha.

- Zbrodnia doskonała, no nie?

- To było coś więcej! Wszyscy tego pragnęli! Wszyscy marzyli, by umarł! -Nastąpiła cisza pulsująca niechęcią. - I mieli cholernie dobre powody!

Czy to miało być jedyne epitafium Phillipa? Och, tato.

Fala żalu i wściekłości ogarnęła Jona. - Poza mną. W ciemności rozległ się cichy śmiech.

- Poza tobą. No cóż, bardzo mi przykro. Przecież dlatego się tu znalazłeś. Masz pecha. - Westchnienie. - Bo z żalem muszę powiedzieć, że nie będziesz mógł stąd odejść.

To brzmi jak uprzejma rozmowa na prozowanej kolacji, gdy przybycie gości opóźnia się z jakiegoś błahego powodu - pomyślał Jon.

- Jesteś tego pewien?

- O taak, jestem pewien. Wiesz, musisz się postawić w moje położenie... Jon ostrożnie spróbował usiąść. Ramię bolało go teraz tak mocno, że

ledwo zdołał się poruszyć.

- Nie ruszaj się! - dobiegł go zwięzły rozkaz. - Mam ze sobą latarkę i rewolwer. Powiem ci, kiedy przyjdzie czas.

Przyjdzie czas.

Jakie miłe określenie śmierci.

Ze wszystkich pytań, które eksplodowały niczym fajerwerki w głowie Jona, jedno było najważniejsze.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? Nie mogłeś mnie wytropić, nikt by tego nie potrafił, więc jak mnie znalazłeś?

Musiał dowiedzieć się, gdzie zawiodły go umiejętności, nawet gdyby to miało być ostatnie pytanie w życiu. Znowu śmiech.

- Nawet nie próbowałem. To ty jesteś dzieckiem buszu, Jonno, nie ja. Ale ty myślisz jak ludzie buszu, działasz niczym zwierzę, które kluczy tam i z powrotem, by wrogowie stracili jego ślad. Ja po prostu starałem się przewidzieć, dokąd możesz pójść, gdzie spróbuje się ukryć zwierzę, które jest w tobie. W Koenigshausie wszyscy wiedzą, że to twoje ulubione miejsce od czasów dzieciństwa. Dokąd więc miałbyś pójść?

Jon myślał jak ścigane zwierzę, jego wróg myślał jak drapieżca. Czuł się pokonany, przechytrzony przez potężniejszą, bardziej okrutną moc. Jego przeznaczeniem było trafić tutaj i przyjąć los z tych samych rąk, które odebrały życie ojcu. Teraz Jona całkowicie opanował strach przed śmiercią, który zaparł mu dech, gdy tylko rozległ się po raz pierwszy ten nieubłagany głos.

- I nie zapominaj - usłyszał głębokie westchnienie - że ja też byłem kiedyś dzieciakiem z Koenigshausu. To była moja jaskinia, zanim stała się twoim azylem. Dawniej lubiłem ją tak samo jak ty.

- Więc dlaczego... Alex, na litość boską, dlaczego zabiłeś tatę? Zapadło marzycielskie milczenie.

Jon czuł, że traci przytomność, niemal mdleje z bólu w ramieniu, który zdawał się panować nad nim całkowicie. Ale musi mieć się na baczności!

- Powodów jest tyle - ciągnął Alex tym samym dziwnym, cichym głosem - że nie wiem, od czego zacząć. Chciałem mieć Koenigshaus, po pierwsze. „Królestwo” było moje, zanim ty się urodziłeś! I nie chciałem, żebyś ty je dostał, to drugi powód. A może nawet i główny.

Jon niemal zaśmiał się z goryczą. Istotnie, odkrył prawdziwy motyw zbrodni. Ale nie szukał we właściwym pokoleniu! Próbował zwrócić się w kierunku niewidzialnej sylwetki w ciemności za plecami.

- Jak to zrobiłeś... z testamentem, ze wszystkim?
- Och, to nie było trudne.

Alex przypominał nauczyciela, prowadzącego wykład z teorii wykroczeń i zabójstw.

- Wiedziałem, że tato trzyma jedną z kopii testamentu w sejfie. Znałem szyfr, sam mi go zdradził, gdy byłem jego jedynym synem i spadkobiercą, zanim stał się podejrzliwy i zaczął nienawidzić synów i żon. I, oczywiście... - zachichotał. - Musiałeś się domyślić, że miałem w domu „śpiocha”.

Nie rozumiem - pomyślał Jon.

- Śpiocha?

- Szpiega w obozie przeciwnika. Kogoś, kto pracował dla mnie i mówił mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Oczywiście.

To mogła być tylko jedna osoba.

Jon odezwał się, mając przed oczami tę drobną twarzyczkę, trochę chytrą, trochę wystraszoną i całkowicie zepsuta.

- Ellie.

- Właśnie! Panna Ellie Hands! - Alex parsknął pogardliwie. - A może powinienem powiedzieć „pani”. Panna czy pani, zrobiłaby dla mnie wszystko, szalała za mną od piątego roku życia. Z łatwością skontaktowałem się z nią, gdy byłem gotów do odegrania powrotu syna marnotrawnego.

Jon jęknął.

- Więc zdobyła dla ciebie testament, ty go przerobiłeś, a potem...

- ...odesłałem go do Careya, do jego cholernego banku, żeby mieć pewność, że tam będzie bezpieczny i wypłynie właściwego dnia.

- A George i Roscoe?

- Chłopcy? - Alex znów się zaśmiał. - Ci dwaj psychopaci to moi przyjaciele z dzieciństwa, dobre chłopaki, zrobiliby dla mnie wszystko. Zwłaszcza że mieli przed oczami solidny kawał tortu z Koenigshausu, który miał im przypaść w nagrodę. - Cmoknął z ubolewaniem. - Ta dwójka marzy, by twoja śmierć była o wiele bardziej bolesna, niż to cię prawdopodobnie czeka dzięki tej niezwykle wydajnej broni ognistej, którą trzymam w dłoni. Bo z przykrością muszę przyznać, że nieźle ich uszkodziłeś, gdy rąbnąłeś w nich motocyklem. I choć powszechnie znane jest ich poczucie humoru, wcale nie byli tym rozbawieni.

Jon nawet nie potrafił udać żalu.

- Sami się o to prosili! - powiedział z gniewem. - I zrobiłbym to jeszcze raz!

- Nie, braciszku, jeden raz wystarczy. W każdym razie to dosyć, by cię powiesić. Obawiam się, że biednego Roscoe czeka niemiła noc. Został na lotnisku, obie nogi złamane... - Alex nadal podtrzymywał złowieszczy ton normalnej rozmowy. - Ale George wróci do starego domu z najprawdziwszą historią, jak to wpadłeś w szal i bez najmniejszego powodu najechałeś na nich motocyklem, z premedytacją usiłując ich zabić. Więc kiedy przywożę cię z powrotem - ja będę miał kilka własnoręcznie zrobionych siniaków na twarzy, a ty... dodatkowy otwór wentylacyjny za uszami - będę mógł twierdzić, że musiałem cię zastrzelić w obronie własnej.

- W obronie własnej!

Teraz Jon musiał się roześmiać.

- I dlatego musiałeś zabić Ellie?

- Jasne! Musiałem się przed nią bronić, mogła wszystko zniszczyć! Myślałem, że będzie dobrze, obiecałem, że się nią zajmę. Miałem zamiar pozbyć się Rose i dać jej tę posadę, ale zaczęła sprawiać kłopoty, kiedy zjawiała się Trisha. Musiałem Ellie usunąć. Kazałem jej spotkać się ze mną tamtego wieczoru przy oczku wodnym, często tam bywaliśmy, zanim wróciłem. Łatwiej ją było zabić, niż myślałem. Po prostu położyłem ją na ziemi, zacząłem pieprzyć, a jak byłem na wierzchu, udusiłem ją

podczas pocałunku. Złamałem jej kark, ot tak! - W ciemności rozległ się suchy trzask palców. - Trzasnął jak kość kurczaka.

Jon z wysiłkiem zapanował nad pełnym łęku drzeniem głosu.

- A Mark?

- Och, o niego zadbali chłopcy, to było jeszcze łatwiejsze, całkiem proste, tak mówili! Zabrali go, gdy wędrował sobie po buszu, po prostu posadzili go pod drzewem i wlewali w niego tyle alkoholu, ile dał radę wypić. I tak na okrągło, dopóki wątroba mu nie wysiadła. Ten drań nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, czuł się jak w siódmym niebie, tak wyobrażał sobie raj. - Zaśmiał się. - I ona też, gdy ją pieprzyłem! Przynajmniej możesz przyznać, że oboje zmarli szczęśliwi!

Jon nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Spróbuj powiedzieć to samo o tacie, ty draniu! - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Chcesz przekonać mnie, że umierał szczęśliwy, gdy twoje zbiry siedziały mu na rękach i nogach, a ty opróżniałeś mu w twarz worek pełen jadowitych węży?

- Nie, stary.

Głos Alexa zmienił się całkowicie.

- Nie, nie mam zamiaru powiedzieć, że umarł szczęśliwy. Ale przecież wcale tego nie chciałem. Chciałem, by umierał w męczarniach. I żeby dobrze wiedział, co się dzieje i kto mu to robi. Żeby spojrzął mi w twarz i pojął, że wreszcie go dopadłem.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Och, nadal nic nie rozumiesz, Jonno, prawda?

Głos w ciemności był stary jak czas i młody jak świeży żal. Coś zaszurało, a potem rozległ się trzask przełącznika. Światło latarki wypełniło ciasną przestrzeń jaskini. Jon widział groźną, skuloną sylwetkę Alexa, a za nią ogromny, potworny cień na pokrytej malunkami ścianie.

- Chciałem, żeby umierał w męczarniach i wiedział, kto go zabija! Chciałem, by wiedział, że właśnie ten jedyny człowiek na świecie, który powinien go kochać, chronić i troszczyć się o niego, był właśnie tym, który przeciw niemu się zwrócił. Tak, jak

on postąpił z moją matką! Jak on zwrócił się przeciwko niej! - Oddech Alexa przypominał przeraźliwy syk. - Marzyłem o tym, bo pragnąłem, by umarł w taki sam sposób, w jaki zabił moją matkę!

- Nie sądzisz, że powinnaś się trochę przespać?

Bełkocząca, budząca niesmak Trisha została odprowadzona do domku dla gości, pani Matsuda i Buckley zrezygnowali z, późnej kolacji, złożonej z kawy, sera i biszkoptów, i poszli spać, nawet Rose oddaliła się do swego mieszkania z butlą-pocieszycielką. Nadal nie było wieści o żadnym z mężczyzn. Ale jakimś cudem Helen zdołała opanować się na tyle, by poradzić sobie ze wszystkim i uśmiechać się przy tym, co prawda z przymusem.

Teraz jednak marzyła, by swoją ostatnią noc w Koenigshausie spędzić w łóżku. Wiedziała, że nie zaśnie... dopóki nie wróci Jon, Charles lub Ben, i nie dowie się, co się właściwie dzieje. Ale nie mogła już nic robić, pragnęła zostać sama. Zwróciła się do Geeny, nadal ubranej w strzępki szkarłatu, ze śladami śmiertelnie białej farby z wieczornego przedstawienia.

- Chciałabym się położyć. Nie jesteś zmęczona? Geena potrząsnęła głową.

- Będę czekać, dopóki nie wrócą.

Słowa wymknęły się z ust Helen, zanim zdołała się powstrzymać.

- Wszyscy? Czy tylko Jon? Geena buntowniczo uniosła głowę.

- Mój tatko... i Jon! - powiedziała. Helen westchnęła.

- Och, moja droga... nie wiem, co myślisz... czego się spodziewasz... ale gdybym była tobą, zbytnio nie liczyłabym teraz na Jona...

Jej głos zamarł.

Co mogła powiedzieć? Sądzę, że mój syn oszalał?

Niezbyt lojalne stwierdzenie w ustach matki! Ale ta kobieta-dziecko, z drobnymi ramionami i zranionym spojrzeniem budziła w niej takie same uczucia macierzyńskie jak Jon.

- Po prostu myślę, że on... nie czuje się dobrze - udało jej się wykrztusić. - I nie chcę, by cię skrzywdził...

Geena zmusiła się do uśmiechu.

- Już to zrobił.

Helen pragnęła przytulić dziewczynę.

- Jak?

- Och...

Zdawało się, że nie potrafi o tym myśleć, nie wybuchając łzami. Upłynęła długa chwila, zanim się odezwała.

- Ubiegłej nocy powiedział, że mnie kocha. A dzisiaj rano oznajmił, że wszystko skończone.

- To niepodobne do Jona! - odruchowo odpowiedziała Helen. Ale następna myśl przyniosła mdłą eksplozję strachu. Niepodobne do dawnego Jona... ale jeśli oszalał...

Stały tak, połączone strachem. Potem w mroku na zewnątrz rozległ się ochryply okrzyk i odgłos ciężkich, szurających kroków. Helen poczuła, że Geena rzuca się odruchowo w jej ramiona. Obie kobiety przytuliły się do siebie z przerażeniem, niezdolne do płaczu ani krzyku.

Chwilę później rozległo się gwałtowne walenie do drzwi, które uchyliły się powoli pod naciskiem czyjegoś ciała. Do kuchni chwiejnym krokiem wtoczył się zakrwawiony mężczyzna, krew lała mu się z rany na głowie, jedno ramię zwisało, złamane i bezwładne, ciągnął za sobą nogę. Krzyknął, gdy rozpoznał Helen, i rzucił się ku niej niczym piekielny demon.

- Pani Koenig!

- O Boże! - krzyknęła Helen.

- To pani syn! - wychrypiął przybysz. - On oszalał! Wykończył Bena Nicholisa, zaatakował nas, a teraz ściga Alexa. Oszalał! Kompletnie zwariował!

## Rozdział trzydziesty czwarty

On zwariował, kompletnie zwariował!

Czy ludziła go wyobraźnia, czy też niebo poza jaskinią zaczęło się rozjaśniać? Jeśli uda mu się skłonić Alexa do mówienia, nawet tych zwariowanych bzdur o tacie, może w tym czasie coś wymyśli, może pojawi się jakiś błysk nadziei...

- Nie wierzysz mi, prawda? - Alex sprawiał wrażenie rozbawionego. -Wiesz, twoja lojalność wobec starego przynosi ci zaszczyt! Słowo daję, ja też taki byłem! Dopóki nie zabił mojej matki!

Jon czuł rosnące zdenerwowanie, choć zdawał sobie sprawę, że powinien zachować spokój.

- Na Boga, chłopie, dlaczego miałby to zrobić? - rzucił z wyzwaniem. -Była jego żoną, kochał ją!

Ale gdy to mówił, w pamięci odżyły fragmenty i urywki tajnego raportu: ...oskarżenie o prostytucję i handel narkotykami... odrzucone z braku dowodów... nieznane źródło dochodów... styl tycia rozrzutny...

- Odkrył, że nie była taka, jak sądził wtedy, gdy się z nią żenił - mówił Alex z twarzą wykrzywioną z wściekłości. - Byłem dzieckiem, ale słyszałem, jak się kłócili. Byli tacy, co chcieli, by zajął się polityką. Kazał mamę sprawdzić, by upewnić się, że nic złego nie wyjdzie na jaw. I wyszło. Więc ją zabił.

Jon prawie nie mógł się ruszyć ani oddychać.

- Skąd... skąd możesz wiedzieć?

- Widziałem to - odparł po prostu Alex. - Pojechali konno w busz. Byłem tam, oni mnie nie zauważyli. Kłócili się, zaczęła mu wymyślać. Nazwał ją dziwką, a ona próbowała dać mu w twarz. Trafił ją pierwszy. Zachwiała się, a potem zatoczyła w tył, spadła z konia i uderzyła się w głowę.

- Więc... to nie było zaplanowane?

- Zaplanowane? O, nie. On płakał, wiesz, że ten drań płakał? Usiłował ją ocucić. Potem wrzucił ją na konia i prowadził go do



domu. Musiałem wrócić okrężną drogą. Ale i tak byłem pierwszy, bo mogłem galopować, a on nie, więc nigdy nie zorientował się, że gdzieś wyjeżdżałem. Ale ja wiedziałem, że ja zabił. I że prędzej czy później będę musiał zrobić to samo.

- Ale jeśli nie chciał...

Alex zapłonął niesamowitym błyskiem szaleństwa.

- A jaka to różnica? Nie dla niej i nie dla mnie! Ona nie żyje, prawda? A teraz i on jest martwy!

Przeciagnał się, jakby z namysłem. Obłędny blask w jego oczach przekształcił się w martwą, senną czerń, a twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Teraz i ty musisz umrzeć, Jonno. Przykro mi. Ale rozumiesz, że nie mogę tego tak zostawić. Za daleko się posunąłem. - Znowu się przeciagnał. -No więc podnieś się. Wstawaj.

Na zewnątrz ostatni świt w życiu Jona rysował na szaroczarnej ponurości nieba pasma ognia i głębokiego różu. W mroku jaskini Jon zauważył błysk metalu i poczuł na skroni chłodną lufę rewolweru.

- Myślę, że załatwimy to na zewnątrz, prawda? - powiedział pogodnie Alex. - Będzie mi łatwiej, jeśli podejdziesz bliżej do samochodu. A może zamiast taszczyć cię z powrotem, po prostu rzucę cię w buszu, gdzie psy dingo i kanie załatwią za mnie sprawy pogrzebu. No więc, wstawaj. -Zbłąkany promień światła odbił się w rewolwerze, gdy Alex machnął nim w stronę wyjścia z jaskini. - Wychodź.

Z nadludzkim wysiłkiem Jon podniósł się na kolana, ze znudzeniem i niedowierzaniem myśląc o tym, co robi. Dlaczego miałby pójść na rękę temu draniowi i wyjść z jaskini? Jeśli musi zginąć, dlaczego nie miałby umrzeć tutaj, po prostu położyć się i umrzeć? Czy chciał rzucić ostatnie spojrzenie na świat, który tak bardzo kochał? Pożegnać swój ostatni świt w interiorze? Potykając się ruszył w kierunku wąskiego wejścia i nadstawił twarz na chłodne powietrze.

- Odwróć się do mnie, jak będziesz na zewnątrz - usłyszał za sobą. - Chyba że wolisz położyć się na plecach. Jeśli to ma być obrona konieczna, muszę strzelić do ciebie z przodu.

Ty pieprzony draniu!

Patrząc na odległy horyzont, Jon poczuł dziki poryw buntu. Jeśli mam zginąć - pomyślał - umrę spoglądając we wschodzące słońce, na stojąco, podczas walki. Na Boga, nie położę się i nie będę błagać o życie! Niech ten drań strzela, jeśli chce, jestem gotów!

Rzucił się ukosem ku ścianie jaskini, jednocześnie wymierzając w tył kopniaka. Na chwilę przedtem zanim poczuł, że jego stopa napotyka ciało wroga, usłyszał, jak broń spada na dno jaskini. Latarka zakreśliła wariacki łuk i też wypadła z dłoni przeciwnika. Jon szarpnął się wściekle do tyłu, machając rękami i nogami. Stopami trafiał raz po raz w brata, a dłonią odnalazł rewolwer.

- Mam ją, mam broń! - wychrypiał. - Nie ruszaj się, znalazłem ten cholerny rewolwer!

Zapadła śmiertelna cisza. Potem do uszu Jona doleciał odgłos instynktownego przelękania, praca płuc, dziko pochłaniających powietrze. Sięgnął po latarkę, leżącą pod ścianą.

- Alex, to koniec, mam rewolwer!

Czy mu się wydawało, czy usłyszał cichy śmiech? Gdy porwał latarkę i zatoczył nią gwałtownie koło, zobaczył, jak ciemna sylwetka wyslizguje się z kręgu światła i wydostaje się z jaskini. On ucieka!

Jon podniósł się chwiejnie na nogi.

Dostanę go, tato, dostanę go...

Na zewnątrz jaskini nadciągający świt rozcieńczał mrok nocy. Jon widział, jak postać przemierza szybko stok, otaczający olbrzymią ścianę piaskowca, u której podnóża leżała jaskinia.

- Alex, poddaj się! - krzyknął ochryple. - Idę za tobą, mam broń! Ale słowa niknęły w przestrzeni, nie przynosząc żadnego skutku. Kontynuował zawzięcie pościg, nie zatrzymywał się ani na chwilę. Teraz ból zdawał się pochłaniać ciało Jona, cały był

cierpieniem, od rany na głowie po nogi. Ale musiał dopaść Alexa, odciąć mu odwrót!

Niczym zwierzę z buszu, szaleńczo starał się poruszać z największą szybkością. Dniało, mógł zatem widzieć Alexa coraz wyraźniej. Nie będzie więcej krzyczał, nie może marnować tchu.

Teraz tropiona zwierzyna zbliżała się do szczytu, gdzie wielki piaskowcowy płaskowyż przechodził w ponure wzniesienie, zawieszane nad wodą. Ale Jon doganiał Alexa, zbliżał się do niego z każdym jardem. Gdy dotrą na szczyt, jak tylko rozpocznie się równy teren, będzie miał Alexa w zasięgu wzroku, skieruje na niego broń i...

Potykaçąca się postać na przedzie znalazła się na szczycie i zaczęła biec. Jeszcze kilka kroków i Jon też był na płaszczyźnie. Widział, jak Alex przecina gładziczną skałę, kierując się ku obniżeniu terenu po drugiej stronie. Jeśli tam dotrze, będzie mógł zagubić się w poszyciu, zbiegnie w dół i umknie. Jon zebrał resztki sił, starając się zachować zimną krew. Potem krzyknął, nadając głosowi zdecydowanie, jakby miał zamiar wypełnić swą groźbę:

- Ani kroku dalej albo strzelę ci prosto w głowę!

Alex, który znajdował się w odległości dwudziestu jardów, zastygł w miejscu. Pokonując rozpaczliwe zmęczenie, Jon przebył dzielącą ich przestrzeń.

- Poddaj się, Alex, przegrałeś, wszystko skończone!

Alex zwrócił się ku niemu, trzymając ręce w górze. Zdawało się, że jest całkiem spokojny.

- Więc wygrałeś, co, braciszku? - powiedział cicho, cofając się.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Jon.

- Albo... co? - zawołał kpiąco Alex.

Nadal się cofał. Jon desperacko ruszył do przodu, próbując zmniejszyć odległość między nimi. Albo... co? - tak spytał Alex. Czy mógłby zastrzelić brata z zimną krwią? Tam, w jaskini, rzucił się na niego, walczyli na śmierć i życie... To nie to samo, co zabić ludzką istotę, posłać ją na tamten świat.

Ale jeśli teraz się zawaha...

Jeśli pozwoli, by Alex zrozumiał, że nie potrafi tego zrobić...  
Dostanę go, tato, dostanę go... Runął ku bratu z wściekłością.

- Albo cię wykończę draniu, jak ty zrobiłeś to z tatą! Żałuję tylko, że nie mogę cię zabić gołymi rękami! Chciałbym widzieć, jak wisisz na najwyższym drzewie w Koenigshausie, zamiast gnić w więzieniu do końca życia!

- O nie, stary. Alex nadal się cofał.

- Nie wrócę tam, nigdy tam nie wrócę!

Z nagłym przerażeniem Jon zrozumiał, że Alex zbliża się do krawędzi skały, do prostopadłego urwiska, w którym płaszczyna piaskowca opadała do leżącej w dole wody.

Diabelska Skała.

Alex był nienaturalnie spokojny, nawet radosny.

- Widzisz, jak wszyscy Koenigowie nie potrafię znieść przegranej. Nie mógłbym się pogodzić zwłaszcza z jedną stratą. - Zaśmiał się lekceważąco. -Pozdrów ode mnie pannę Triszę. - Do końca życia Jon miał pamiętać wyraz bólu, jaki przemknął po twarzy brata, gdy wymieniał to imię. - Nie musisz jej mówić, by nie opłakiwała mnie zbyt długo, zapomni o mnie, nim minie tydzień...

- Alex, słuchaj...

Alex jeszcze raz się uśmiechnął.

- Taak, wiem, że lubisz historię, Jonno, i te opowieści o naszych przodkach. Jak sądzisz, czy duchy tubylców będą spać spokojniej, kiedy tu, przy Diabelskiej Skale, dołączy do nich jeden z Koenigów?

- Alex...!

Boże, Jon życzył sobie jego śmierci, ale teraz pragnął z całej duszy, aby brat żył.

- Poczekaj, poczekaj, nie musisz tego robić!

Ale odezwał się za późno. Gdy słońce wychynęło spoza horyzontu, Alex skoczył bezszelestnie, niczym ptak w locie, w eksplozję złota i ognia, zawisł na chwilę w powietrzu... i znikł.

## Rozdział trzydziesty piąty

George? O mój Boże!

Człowiek, który pojawił się w drzwiach, był obrazem nędzy i rozpacz. Krew zlepiała mu włosy, zakrzepła na wykrzywionej bólem twarzy, jedno ramię zwisało bezwładnie. Wtoczył się do kuchni, ciągnąc za sobą nogę.

- To Jon - wychrypiał. - Szukaliśmy Bena Nicholisa na lotnisku... ja, Roscoe i pan Alex. Jon nadjechał na motocyklu i zwyczajnie rąbnął w nas! Roscoe tam został, jest w złym stanie. Niewiele brakowało, byśmy obaj zginęli!

Opadł na krzesło.

- Ale gdzie jest teraz Jon? - krzyknęła Helen. - I co z Alexem?

- Jon po prostu pognął w busz - ciągnął chrapliwie George. - Alex go ściga. On... sprowadzi go z powrotem.

Powiedział to tak, że Helen poczuła chłód.

- No cóż, zobaczymy, co możemy teraz dla ciebie zrobić - powiedziała, podchodząc do komody, gdzie trzymano apteczkę. Automatycznie sięgnęła po watę i środek odkażający. Ale gdy zajmowała się rannym mężczyzną przy pomocy milczącej Geeny, jej myśli kłębiły się bezustannie.

Nie mogę uwierzyć, że Jon to zrobił! Nigdy nikogo nie skrzywdził. Nie miał powodu napadać na tego człowieka. Musiało zdarzyć się coś, o czym nie wiem.

- No, teraz lepiej!

Po obmyciu twarzy i opatrzeniu rozcięcia na czole za pomocą plastra, George był bardziej podobny do siebie niż do tej ponurej zjawy, która wtoczyła się tu wcześniej. Zdawało się, że odzyskał władzę w ręce i nodze, nie zgodził się, by Helen sporządziła mu temblak. Nie pozwolił też, by przez radio poprosiła latającego doktora o ambulans dla Roscoe.

- Nie, i tak musimy poczekać jakiś czas, dopóki pan Alex nie przywiezie Jona. I nie byłbym zdziwiony, gdybyśmy potrzebowali wtedy dodatkowej... pomocy medycznej.

Helen poczuła znowu ostrzegawczy dotyk lęku.

- Gdzie Rose i cała reszta? - dociekał George. - Wszyscy w łózkach? - Niedbale rozluźnił pas i, wyciągnąwszy broń z kabury, położył ją na stole. - My też możemy urządzić się wygodniej - stwierdził. - Zechcą panie usiąść. O ile zrozumiałem, macie zamiar dotrzymać mi towarzystwa przy czekaniu na powrót tułaczy? Więc proszę siadać.

Później Helen nie potrafiła określić, w którym momencie zrozumiała, że grozi im niebezpieczeństwo. Ale czas mijał, George ciągnął swe bezsensowne żarty i stopniowo drobne ułkucia niepokoju przekształciły się w jej sercu w prawdziwą burzę lęku. Czemu George nie pozwolił wezwać pomocy dla swego partnera? Dlaczego Alex ścigał Jona, zamiast wrócić tu, by wezwać lekarza, jeśli chłopak rzeczywiście oszalał, jak mówili? A przede wszystkim, gdzie, och, gdzie podziewa się Jon?

Po drugiej stronie stołu widziała mizerną twarz Geeny, nadal pokrytą bladymi smugami farby. Biedna dziewczyna! Cierpiała podwójnie, z powodu ojca i Jona. Gdzie oni mogą być?

Rozmowa zamarła. Geena siedziała, przypominając zjawę, a Helen desperacko próbowała rozstrzygnąć, co powinna zrobić.

Co im zostało, poza czekaniem?

Kiedy połowa domowników ugania się już za sobą po interiorze, ostatnią rzeczą jakiej potrzebowali, była następna wyprawa poszukiwawcza.

Nie wierzyli własnym uszom, gdy usłyszeli podjeżdżającego dżipa, tak bardzo na to czekali. Potem doleciał ich odgłos hamowania, a następnie ktoś wszedł na werandę.

- To na pewno pan Alex - powiedział z satysfakcją George. - Teraz dowiemy się, co mamy robić!

Ale to nie Alex wszedł bocznymi drzwiami, chwytając się ze zmeżenia.

- Wszędzie szukałem, ale nie mogłem natrafić na żaden ślad Bena -oznajmił Charles. Helen zobaczyła, że sprawia wrażenie wyczerpanego. Jego twarz nie zmieniła się, gdy spostrzegł siedzących przy stole. Ale gdy tylko wszedł, George niby przypadkiem przesunął dłoń w kierunku broni.

Geena przełknęła ślinę.

- Nie ma śladu taty? - spytała ochryplym głosem.

Charles zatrzymał się w drzwiach, jego wysoka postać wspierała się o framugę, twarz miał szarą ze zmęczenia. Zdawało się, że wcale nie zauważył George'a, nie zwrócił uwagi na jego obrażenia ani na rewolwer, który przykrywał dłonią.

- Tam, gdzie szukałem... nie - powiedział. - Widziałem światła policyjnego gazika, który zmierzał w kierunku lotniska, więc dalej już nie sprawdzałem. Może warto tam podjechać, ale najpierw napiję się piwa. - Obojętnie podszedł do lodówki za plecami George'a. - Czy ktoś ma ochotę na piwo? -Otworzył drzwiczki lodówki.

- Nie, ja dziękuję, panie Koenig - odparł George z wyraźną nutką groźby w głosie. - Sądzę, że wszyscy powinniśmy grzecznie czekać, aż wróci pan Alex. Może by pan tak wziął sobie piwo i po prostu usiadł spokojnie razem z nami?

- Nie ma mowy!

Charles zatrasnął drzwiczki lodówki i zaatakował od tyłu George'a, jedną ręką otoczył szyję policjanta, a drugą wcisnął mu coś w krzyż.

- Nie tylko ty masz broń, łobuzie! Helen! Zabierz mu rewolwer! Ledwo Charles się odezwał, Helen zacisnęła palce na chłodnym metalu i wyrwała George'owi broń. Ręka jej nie drgnęła, gdy skierowała rewolwer w głowę policjanta. Czekala tylko na okazję, by strzelić.

- Geena, daj jakiś sznur... szybko! - wychrypiał Charles. - Helen, przynieś mi broń!

Dopiero wtedy, gdy Charles miał w rękę broń policjanta i przyciskał od tyłu lufę do jego szyi, podniósł się z klęczek i pokazał, co trzymał w drugiej dłoni.

- Jesteś pierwszym przestępcą, którego aresztowano za pomocą butelki piwa! - oznajmił. - I choć twierdzisz, że Jonowi odbiło, założę się, że ja jestem przy zdrowych zmysłach. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, u diabła. Ale wiem, że porządny gliniarz nie będzie bez ważnego powodu groził bronią dwóm kobietom. Więc zwiążemy cię solidnie i dokładnie, potem poproszę komendę główną policji o pomoc. I może wtedy dowiemy się, o co tu chodzi!

Alex leżał nad brzegiem wody, jak latający bohater, który spadł z nieba. Gdy Jon podszedł bliżej, zrozumiał, że brat nie żyje. Och, Alex - poczuł żal w sercu - czy musiałeś zginąć w ten sposób? Ale choć zapłakał, zadając sobie to pytanie, w głębi duszy znał odpowiedź.

Na znak szacunku niezręcznie próbował ułożyć wygodniej skulone ciało, prostując połamane ręce i nogi. Ale nie dotykał twarzy. Nie uszkodzona podczas strasznego upadku, była to wciąż fatalnie piękna twarz dawnego Alexa, tak jak go mieli pamiętać. Skóra zdawała się pulsować życiem, ciemne, szeroko otwarte oczy spoglądały na świat, który go oszukał.

Teraz Jona przepeliła miłość do utraconego brata, który urodził się do wspaniałego losu, ale zamiast obiecanego królestwa odziedziczył gorzki legat nienawiści i bólu. Może ta udręczona dusza znalazła wreszcie ukojenie w śnie mającym trwać całą wieczność. Przez długi czas Jon czuwał przy zmarłym, oplakując szansę, którą stracił, i brata, którego nie miał.

Nadszedł wreszcie ranek, którego Alex nigdy nie zobaczy. W końcu Jon podniósł się z trudem i poszedł szukać samochodu, którym brat musiał tu przyjechać. Ukryty był za kępą drzew gumowych, kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Jon z trudem wcisnął się za kierownicę i skierował się na lotnisko.

Modlił się tylko o to, by Charles jeszcze żył. Jeśli zalany krwią mężczyzna, którego widział leżącego na ziemi, spędził całą noc związany niczym kurczak, mógł być w złym stanie. Ale gdy pędził przez migotliwy srebrzysty świt najszybciej, jak pozwalała



rozważa, zaczął zastanawiać się nad inną możliwością. Więc gdy ze zgrzytem hamulców zatrzymał się przy związanym człowieku, nadal leżącym na ziemi, nie był zdziwiony, odkrywając pod maską krwi i kurzu twarz Bena.

- Jak się czujesz, stary? - dopytywał się z niepokojem. Ben poruszył się i jęknął.

- Jeszcze żyje, jęczał przez całą noc! A tego nie będzie można powiedzieć o mnie, jeśli mi ktoś szybko nie pomoże, do cholery!

Ten okrzyk wydał Roscoe, leżący nie opodał w pyle.

- Nie martw się, chłopie! - zawołał w odpowiedzi Jon. - Będziesz miał pomoc! A tam, gdzie się znajdziesz, nie będziesz musiał się o nic martwić przez długi, bardzo długi czas!

- Nic mu nie będzie, lekarz mówi, że potrzeba mu tylko wypoczynku.

Popychając przed sobą Jona i Charlesa, Helen zostawiła bladą i czujną Geenę przy łóżku Bena w domku dla gości i ruszyła w kierunku domu. Była już prawie pora lunchu, ale ona ciągle miała wrażenie, że jeszcze nie minął ranek. Wszyscy czuli się wyczerpani minionymi wydarzeniami, więc po wysłuchaniu ostatnich nowości pani Matsuda oraz Buckley wycofali się do swych pokoi. Niedobitki rodziny Koenigów musiały sobie radzić najlepiej jak potrafiły.

- Czy ktoś chce kawy?

- Zaraz zaparzę.

Helen zauważyła z wdzięcznością, że przyciszona Rose stara się ze wszystkich sił, by życie wróciło do normy.

- Dziękuję, Rose - powiedziała ciepło. - Wypijemy na werandzie.

Na dworze świeciło pogodnie słońce, jak gdyby wypadki ubiegłej nocy nigdy nie miały miejsca. Jon opuścił się ostrożnie na krzesło i potrząsnął z niedowierzaniem głową, myśląc o tym, co się zdarzyło. Od chwili, gdy wrócił z lotniska, sprawy potoczyły się tak szybko, że stracił nad nimi kontrolę.

- Mamy go! - zawołał do Geeny, gdy wpadł, potykając się, do kuchni. - Ben jest ze mną, żyje!

Ku jego ogromnej uldze okazało się, że Charles zdążył zawiadomić policję i lekarza. Na szczęście byli już w drodze. Jak słusznie domyślił się Jon podczas jazdy spod Diabelskiej Skały, uciekający Ben został zaatakowany przez Alexa i jego zbirów, którzy obawiali się, że wyjaśnienia księgowego mogą zaszkodzić sprawie sprzedaży. Zamierzali, jak się wydawało, tylko unieszkodliwić go ciosem w głowę. Krew z zadanej rany sprawiła, że Jon nie rozpoznał w mroku twarzy Bena.

- Ale i tak miał szczęście, że się zjawiłeś - z drżeniem mówiła Helen. Jon również podejrzewał, że gdyby go tam nie było, Ben mógłby zostać „unieszkodliwiony” na zawsze.

Widok Jona, Bena i rannego Roscoe sprawił, że George załamał się całkowicie. Nie upłynęło wiele czasu, a opowiedział całą historię przedstawicielom najwyższych władz policyjnych na Terytorium Północnym. Zanim słońce wstało, zjawił się policyjny helikopter, by zabrać go wraz z partnerem do więzienia stanowego, gdzie mieli oczekiwać na proces i karę za liczne zbrodnie. Ta sama ekipa przeniosła również ciało Alexa spod Diabelskiej Skały i złożyła je w kaplicy, gdzie miał odbyć się pogrzeb.

Śmierć Alexa wisiała nad nimi niczym żałobny całun.

- Tak wielu spraw jeszcze nie rozumiem! - powiedziała Helen drżącym głosem.

Charles zmarszczył brwi.

- To proste. Uciekł od ojca. Potem, gdy dorósł, zrozumiał, co stracił, i pragnął to wszystko odzyskać. Chciał mieć Koenigshaus, całe swoje dziedzictwo. - Popatrzył z ironią na Jona. - Ludzie zabijali z mniej ważnych powodów!

Jon jęknął.

- Charles... nie wiem, jak cię przeprosić... nie wiem, co powiedzieć...

- Zapomnij o tym! Wystarczy, że wiesz, kto był prawdziwym winowajcą!

- Sądzę, że my też możemy co nieco wyjaśnić.

Był to inspektor policji, w równym stopniu przybity tragedią, która rozegrała się na jego terenie, jak i wstrząśnięty odkryciem korupcji wśród podległych sobie oficerów.

- Dzięki odciskom palców, które zdjęliśmy z ciała Alexa Koeniga, dowiedzieliśmy się paru rzeczy. To całkiem ciekawa historia.

Helen wstała, by go powitać.

- Proszę usiąść, inspektorze. Może kawy? I proszę... proszę powiedzieć, co pan ustalił.

- Alex Koenig, inaczej King, był znanym oszustem - zaczął inspektor. - W wielkim stylu. Zakładał fikcyjne firmy i przywłaszczał sobie dochody. Był w tym dobry... działał na międzynarodową skalę. Ale kiedyś powinęła mu się noga i został przyłapany. Na długo trafił do więzienia.

Jon nadal słyszał ostatni rozpaczliwy krzyk Alexa: „Nigdy tam nie wrócę!...”

- Nie potrafił znieść więzienia, zdawało się, że doprowadza go to do szaleństwa, choć jako przestępca wyższej kategorii miał całkiem niezłe warunki. Dzielił celę z oszustem, radcą prawnym. Może pod jego wpływem poszerzył swój repertuar o fałszerstwa i oszustwa prawne. Pamiętał z dawnych lat, że pan Phillip Koenig trzyma testament w sejfie biurowym. Takiego dokumentu nie można przechowywać na dysku w komputerze. Musiał tylko namówić Ellie, by go dla niego wykradła, i sfałszować kodycył. - Inspektor przerwał na chwilę. - Będziemy musieli oddać testament do ekspertyzy. Ale jestem pewien, że wykaże ona fałszerstwo dokonane przez Alexa Koeniga.

- A tak dobrze mu szło! - wtrąciła z niedowierzaniem Helen.

- Niemal do końca - powiedział powoli Jon. - Nie tylko Ben załamał się po występie Geeny. Z początku tego nie rozumiałem. Ale teraz wiem, dlaczego takie wrażenie wywarli na Alexie tancerze, ten, który ucharakteryzowany był na Phillipa, i ci, udający węże, pamiętacie? Pomalowani byli diamentową farbą, pełzali w tak naturalnie wężowy sposób... że musiał pomyśleć o

nocy, kiedy on i tamta dwójka skradali się przez busz, by zabić tatę. Z pewnością uznał, że ktoś jest na jego tropie.

- No cóż, tak było! - sucho rzucił Charles. - Przecież zacząłeś go podejrzewać... w końcu!

- Jeśli dowiemy się jeszcze czegoś, przekażę to państwu. - Inspektor wstał. - Ale nie musicie się już martwić o tych dwóch drani, Roscoe i George'a, słowo daję. Za to, co zrobili, możemy wsadzić ich za kratki, a klucz od celi wyrzucić!

Obserwowali, jak odchodzi. Wydawało się, że nikt nie potrafi przerwać milczenia. W końcu Helen spytała:

- Co teraz zrobimy?

- Ja wracam do Sydney - odparł sucho Charles. - Zabiorę się helikopterem z panią Matsuda i Buckleyem, gdy będą odlatywać wieczorem. - Uśmiechnął się chłodno. - Sądzę, że dotarło do nich, iż nie ma mowy o sprzedaży Koenigshausu, gdy władzę objął nowy właściciel.

- Poczekaj, chłopie.

Jon odwrócił się i spojrzał Charlesowi w oczy.

- Tato kiedyś zapisał mi w testamencie Koenigshaus, a całą resztę i gotówkę przeznaczył dla ciebie i mamy, prawda?

Charles zeszywniał.

- To prawda.

- No cóż, moim zdaniem to słuszne rozwiązanie. Ja chcę mieć tylko farmę. Ty i mama możecie wziąć resztę.

- Jon! - Helen z niepokojem pochyliła się ku synowi. - Jesteś tego pewien? Nie doszedłeś jeszcze do siebie po tym uderzeniu w głowę.

Jon uśmiechnął się.

- Jestem tego pewien jak niczego w świecie - powiedział wesoło. - Nie nadaję się do interesów, co Charles zmuszony był zaznaczyć ostatniej nocy. To wszystko wasze. Uważam, że po prostu zdejmujecie mi ciężar z ramion. - Znowu spojrzał na stryja.

- Może uda ci się sprzedać to pani Matsuda zamiast Koenigshausu.

Charles skinął głową, oczy mu rozbłyły.

- To jest pomysł!  
- Potem mógłbyś podzielić się zyskiem z mamą.  
- Och, ale... Jon, kochanie...  
- Hej, koniec dyskusji! - Jon wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Helen. - Gdybym był tobą, mamó, zabrałbym pieniądze i wziął nogi za pas!

- Niestety, to niemożliwe - Charles potrząsnął głową. - Nie ma sensu dłużej tego ukrywać. Miałaś rację, jeśli chodzi o pożyczki obciążające firmę. To szaleństwo doprowadziło do tego, że jesteśmy doszczętnie splukani. Miałaś rację co do Bena, on to maskował, fałszował księgi, by wyglądało, że jesteśmy w lepszej kondycji. I Craig Buckley to wykrył. Ale nie wiesz jednego... kto jest za to odpowiedzialny. Jon zebrał siły.

- Chyba zaczynam się domyślać.

- To był Phillip - powiedział z trudem Charles. - Zawsze pozwalał mi prowadzić interesy i wtedy wszystko było w porządku. Ale ostatnio ogarnęło go jakieś szaleństwo, chciwość, żądza władzy... och, sam nie wiem. To on był siłą napędową tych zmian, rządził wszystkim, a im więcej tracił, tym więcej pożyczzał. Nie mogłem powstrzymać banków, zarzucały go pieniędzmi. Niektóre jego przedsięwzięcia były w gruncie rzeczy oszustwem. - Zaśmiał się niewesoło. - Jaki ojciec, taki syn. I to również odkrył duet pani Matsuda.

Jon odetchnął gwałtownie.

- Więc nic nie zostało? Nasze przedsiębiorstwa to po prostu puste skorupki?

Charles potrząsnął głową.

- Niezupełnie. Teraz mogę przejąć kontrolę, pewnie uda się nam coś ocalić. Nie będzie to fortuna, o jakiej marzył ten biedny drań, Alex. Ale będziemy mieć czyste sumienie i możemy zacząć od początku, mając coś niecoś w banku. - Uniósł głowę. - Myślę, że pójde zamienić słówko z panią Matsuda. Sądzę, że to ją może zainteresować.

Helen milczała, dopóki Charles nie odszedł.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się zmienionym głosem. - Charles mówił o „szaleństwie” Phillipa i jego chciwości. Ale twój ojciec był chory! W jego biurku znalazłam list od lekarza. Miał raka mózgu, umierał. Bóg wie, jak długo to trwało, nie ponosił odpowiedzialności za swoje czyny.

- Za niektóre... tak.

Nie było sensu dłużej bawić się w tajemnice, jak to stwierdził Charles.

- Mamo, nie wiem, jak to zniesiesz... - powiedział cicho. - Ale od Alexa dowiedziałem się, że tato zabił Trudi. Widział, jak się kłócili, koło oczka wodnego. Tato uderzył ją, a ona spadła z konia. Dlatego Alex zabił tatę, nie tylko z powodu Koenigshausu.

Helen siedziała bez ruchu. Pomyślał, że zranił ją bardziej, niż mogła to znieść. Ale kiedy się odezwała, głos miała spokojny, bez śladu zaskoczenia.

- Zawsze podejrzewałam, że to zrobił.

- Myślałaś, że tato zabił żonę, a mimo to za niego wyszłaś?

- Och, nie przed ślubem, rzecz jasna! Nie wtedy, gdy go dopiero poznałam. Ale później zaczęłam się bać... - Przcisnęła dłonie do ust. - Trudi dobrze jeździła konno, nie mogła tak spaść bez powodu. A Phillip miał koszmary... wołał i krzyczał... wiedziałam, po prostu wiedziałam.

- Nie myślałaś, że pewnego dnia może to wyjść na jaw?

- Oczywiście, że tak! Zwłaszcza po jego śmierci! Przerażeniem napełniała mnie myśl, że mógł zostawić coś, co może świadczyć przeciwko Trudi lub niemu... jakiś dowód na to, co zrobił... Pragnęłam chronić jego pamięć, nie dopuścić, byś się o tym dowiedział.

Macierzyńska miłość nie zna granic - pomyślał ze zdumieniem Jon. Więc dlatego Helen z taką desperacją próbowała dostać się do sejfu. Nie miała pojęcia, że może znaleźć tam coś, co jej dotyczy, pragnęła tylko chronić reputację męża przez wzgląd na syna.

- I żyłaś z tym przekonaniem, nie zamierzałaś pójść na policję? Uśmiechnęła się do syna z nieskończoną miłością.

- Jonny, wtedy miałam już ciebie! Najwspanialszego chłopca na świecie... a Phillip był twoim ojcem! Jak mogłam ci to zrobić, przecież tak bardzo cię kochałam. - Oczy jej pociemniały. - I jego też kochałam. Kochałam go i było mi go żal. Bo wiesz, on nie uniknął kary. Nigdy nie przestał za to płacić. Płacił przez całe życie. Od dnia, kiedy zginęła Trudi, nie zaznał chwili szczęścia ani spokoju. - Westchnęła. - No cóż, może teraz są nareszcie razem, cała trójka... On, Trudi i Alex.

Najwyższy czas przestać płacić.

Geena, siedząca przy łóżku Bena, z pełną miłości czułością odgarnęła włosy z czoła ojca i pogładziła jego dłoni.

- Dobrze się czujesz, tatku? Ben uśmiechnął się niewesoło.

- O wiele lepiej, niż na to zasługuję!

- Przestań się oskarżać!

Z wydarzeń ostatniej nocy i porannej rozmowy Geena wywnioskowała, że ojciec odgrywał w Koenig Holdings dość wstydliwą rolę. Ale sama czuła wyrzuty sumienia, że przyczyniła się do załamania ojca. Gdyby na złość Jonowi nie upierała się przy ucharakteryzowaniu jednego z tancerzy na Phillipa, Ben nie musiałby przeżyć takiego wstrząsu. Ponieważ nadal cierpiała z powodu zdrady Jona, aż nazbyt chętnie gotowa była winić Koenigów za zdemoralizowanie ojca.

- Po prostu uległeś naciskowi Phillipa! - powiedziała zapalczywie. - Nie jesteś niczemu winien!

- To niezupełnie tak było - westchnął ciężko Ben. - Ale już po wszystkim. Jon i Charles zajmą się sprzedażą i, jeśli dopisze mi szczęście, będę mógł odejść z firmy i zapomnieć.

- Tak trzymać! - Geena była stanowcza. - Wkrótce stąd wyjedziemy! Jeśli nie dzisiaj, to zabierzemy się helikopterem, jak tylko będziesz mógł znieść podróż. I nigdy już tu nie wrócimy, zgoda? - Łzy stanęły jej w oczach.

- Nigdy? - zapytał Ben ze smutkiem. Zawahał się chwilę. - Nawet dla Henry'ego Suffolka?

- Dla Henry'ego? - W uśmiechu Geeny nie było nadziei. - Och, tatku, nic do niego nie czuję. Mam zamiar powiedzieć mu to, gdy go zobaczę. On się po prostu we mnie zadurzył, przejdzie mu. To nie jest prawdziwa miłość. - Wstała i podeszła do okna.

- Pragnęłam tylko, żeby wszystko ułożyło się dla ciebie jak najlepiej. Myślałam jedynie o tobie.

Jon popatrzył na Helen ze łzami w oczach. Jak mógł być dla niej taki okrutny, taki głupi? Nigdy jeszcze matka nie była mu równie bliska, nie budziła w nim tylu opiekuńczych uczuć jak teraz, gdy widział ją zmęczoną i bezbronną.

Także Helen czuła rozpaczliwą i bezradną miłość.

- I co teraz, kochanie? - Nagle poczuła, że szczerść, jaka między nimi powstała, umożliwia zadanie tego pytania. - Co z Geeną?

- Mamo, to nie ma sensu.

- Dlaczego? Kochasz ją, prawda?

Nie mógł dłużej milczeć. Mama wiedziała już tak wiele, musiała poznać i resztę.

- Taak. Ale nie można ożenić się z przyrodnią siostrą!

- Przyrodnią siostrą? Helen zerwała się na równe nogi.

- Chcesz powiedzieć... Boże, tyś sądził... - Mógł niemal wyczuć gonitwę jej myśli. - Jeśli chcesz powiedzieć, że Phillip miał romans z żoną Bena...

- Taak. - Nie potrafił ukryć wściekłości. - Dokładnie to miałem na myśli!

- Jon... Nie wiem, co było między Yuni i Phillipem... Muszę to przemyśleć, rozważyć wszystko. Ale pamiętam dobrze, że kiedy przyszła na świat Geena, nie rozstawałam się z Yuni nawet na krok. - Oczy rozbłysły jej na to wspomnienie. - Urodziła się przed Bożym Narodzeniem, w końcu listopada. - Mówiąc to, obliczała coś szybko w pamięci.

Jakie to mogło mieć znaczenie?

- I co z tego?



- To znaczy, że Yuni musiała zająć w ciążę w lutym. - Z każdym słowem rosło jej podniecenie. - Tamtego roku, możesz to sprawdzić w urzędowym dzienniku firmy, Phillipa nie było w Koenigshausie od Nowego Roku do początku czerwca. W owym czasie nie było lotniczych połączeń międzykontynentalnych. Kiedy wyjeżdżał w interesach za granicę, musiał podróżować, drogą morską, zabierało mu to kilka miesięcy!

Jon czuł, jak łyzy radości szczypią jego zamknięte powieki.

- Więc to znaczy...

- Że Geena nie może być córką Phillipa. Nie jest twoją przyrodnią siostrą, masz prawo pójść do niej, kochać ją, może do ciebie należeć.

Mogła sobie wyobrazić, jak Jon biegnie w podskokach przez trawnik w kierunku domku dla gości. Niemal miała wrażenie, że jest przy tym. Pukanie do drzwi, płynąca z głębi serca prośba, by Geena poświęciła mu chwilkę, następnie szczerą spowiedź i prośba o przebaczenie. Dziewczyna rozplywa się we łzach i zasypuje go oskarżeniami, mówi, że nigdy mu nie daruje, a potem i tak przebacza. Następnie wędrują ramię przy ramieniu pomiędzy drzewami i nikną w kępach hibiskusów i, pachnących słodko jak marcepan, krzewów frangipani.

Kiedy stamtąd wyjdą, będą zaręczeni, Helen nie miała co do tego wątpliwości. Teraz była połowa czerwca - zastanawiała się z roztargnieniem. Pobiorą się przed Bożym Narodzeniem, mogła się o to założyć. Prawdopodobnie w urodziny Geeny, błogosławiony dzień, który sprawił, że mimo wszystkich przeszkód ich szczęście stało się możliwe.

A potem ona znowu utraci dom. Wszystkie matki muszą kiedyś zrobić miejsce synowej. Nie zbudowano dotąd tak wielkiej kuchni, by mogła pomieścić dwie kobiety.

Więc gdy nadejdzie zima, będzie musiała odejść.

Znaleźć sobie w Sydney pokój, pomalować go na czarno...

Bo w ich wieku nie trafia się druga szansa, tak powiedział Charles. Odrzuciła go już i więcej nie będzie jej prosił. Wybrała

syna zamiast kochanka i musi za to zapłacić. Płacić, płacić i płacić, do samej śmierci.

- Helen?

Charles zbliżał się do niej od strony jadalni, twarz miał chłodną i daleką.

- Chciałem się tylko pożegnać - powiedział sucho. - Zabieram się helikopterem z panią Matsuda i Buckleyem, weźmiemy ze sobą Trishę, żeby zdjąć ci ją z karku. Pani Matsuda mówi, że jest zainteresowana filiami, jeśli nie może mieć Koenigshausu. Będę więc z wami w kontakcie. - Przerwał na chwilę. - Ale już tu nie wrócę. Więc żegnaj. Dbaj o siebie.

Odrzucił się, by odejść.

Czuła, że jeśli się poruszy, zaczerpnie tchu, to jak z przepelnionego kieliszka, spłynie z niej kaskada łez, nie kończącego się żalu i bólu.

- Och, Charles... - powiedziała. - Ja... Zwrócił się ku niej.

- Tak? - spytał schrypniętym głosem.

- Nie chcę, byś odszedł!

- Co to znaczy?

- Nie chcę się z tobą żegnać! Charles zaśmiał się cicho i szyderczo.

- Trochę na to za późno, nie sądzisz?

Czuła, jak łzy wzbierają w niej niczym przyływ morza.

- Nie chcę, byś mnie opuścił, nie mogę znieść, że odchodzisz!

- Och, Helen! - Zraniony, odrzucił w tył głowę. - Już to kiedyś przerabialiśmy! Jestem za stary na takie gierki! - Stał przed nią, twarz miał smutną i daleką. - Słuchaj, musimy przyznać, że raz próbowaliśmy i nic z tego nie wyszło.

W naszym wieku nie trafia się druga szansa, tak mówił. Helen zebrała siły.

- Możemy sprawić, że teraz się nam uda.

Nadal przyglądał się jej uważnie i podejrzliwie.

- A co z Jonem?

- Rozmawiałam z nim. Wyjaśniliśmy sobie nieporozumienia, wszystko się dobrze ułoży.

- Dla kogo?

Nigdy dotąd nie był taki chłodny i pełen rezerwy.

- Co masz na myśli? - krzyknęła. Zasłonił dłonią oczy.

- Helen, nie rób mi tego, to ponad moje siły. Nie potrafię się włączać i wyłączać, zależnie od twojej chęci. Kiedy wcześniej z tobą rozmawiałem, chciałem cię kochać, pragnąłem żyć z tobą... - urwał i wrzucił bezradnie ramionami. - No cóż, to już przeszłość. Wszystko skończone.

- Tylko, jeśli tego chcesz. - Nigdy nie czuła takiej rozpaczy.

- Bo ja cię kocham i pragnę, jak nigdy niczego dotąd nie pragnęłam.

Charles patrzył na nią z nadzieją i lękiem. Podeszła ku niemu i mówiła dalej:

- Wiem, że miałam szansę i straciłam ją. Wiem, że cię odepchnęłam, pożegnałam się z tobą. Ale proszę cię, Charles, błagam... o następną szansę.

Wzięła go za rękę, lży niemal ją oślepiła.

- Nie tylko dla mnie, krchanie, musisz to widzieć. Dla nas obojga. Stał nadal niezdecydowany, twarz miał nieruchomą jak maska.

- Mówisz szczerze? - spytał wreszcie, drżąc z hamowanego podniecenia.

- Jak nigdy w życiu! - rozplakała się. - Och, Charles, mogę dać ci szczęście, kochany, naprawdę, tylko daj mi szansę!

- Szansę? - Czyżby i on płakał? Za zasłoną łez jego twarz wydawała się rozmazaną plamą.

- Tylko mnie nie opuszczaj! - zawołała. - Charles... proszę, nie opuszczaj mnie! - Z ust wyrwał się jej krzyk rozpaczy. - Nie chcę, byś odszedł! Nie chcę być z dala od ciebie! Nigdy mnie nie zostawiaj! Po prostu chcę być z tobą!

Widziała fale uczuć na jego twarzy.

- Helen, naprawdę tak myślisz?

W chwilę później trzymał ją w ramionach i pokrywał jej twarz niezręcznymi pocałunkami, szałowując z niej łyzy.

- Nie opuszczę cię, kochanie - zaklinał się gorączkowo. - Nigdy cię nie opuszczę! Teraz będziemy już razem do końca życia!

SCANDALOUS